

De. I 1.
TOM CCXLVIII

SERYA 9

ROK 62

ZESZYT 746

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1902

TOM IV.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

—
1902.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. W PRZEDEDNIU KATASTROFY. Galicya w roku 1846,—przez d-ra Bronisława Łozińskiego . . .	417
2. WYCHODŹTWO POLSKIE W NIEMCZECH (dokończenie), —przez d-ra Kazimierza Rakowskiego	438
3. AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg) . . .	458
4. O MATOMANACH W ASTRONOMII, —przez M. Ernsta .	489
5. EMIL ZOLA,—przez Władysława Bogusławskiego	512
6. PRÓBNA POMOĆ LEKARSKA DLA LUDU W GUBERNII PŁOCKIEJ,—przez S. Krzeczковского	540
7. NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA. Bernhard Berenson: 1) The Central Italian Painters of the Renaissance; 2) The Florentine Painters of the Renaissance. Second Edition revised. 1901, —przez M. T. S. . . .	548
8. PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSSENHOFFA (dalszy ciąg), —podał Józef Weyszenhoff .	565
9. PIŚMIENICTWO:	
<i>Józef Jeziorański</i> : „Potrzeby stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem“. Warszawa, 1902, —przez A. R. . . .	585
<i>Jana Dantyszka</i> poemat: „De nostrorum temporum calamitibus silvia“ (z Portretem Dantyszka i medalem. wybitym na cześć jego w roku 1529), wydał dr Zygmunt Celichowski. (Przyczynek do dziejów panowania Zygmunta Starego, zeszyt drugi), Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1902, —przez Henryka Gallego	59 ;
<i>Stanisław Przybyszewski</i> : „Z gleby kujawskiej“. Warszawa. Nakładem księgarni Borkowskiego, 1902, 4-o, stron 71,—przez Henryka Gallego	594
<i>Marya Rodziewiczówna</i> : „Wrzos“. Powieść. Warszawa. Druk synów S. Niemiry, 8-o, Str. 392,—przez Henryka Gallego	597
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Kolej Kaliska. — W sprawie zwyrodnienia fizycznego naszego ludu. — Pieskowa Skala, jako wzorowe letnisko. — Zakład schronienia dla nauczycielek w Zielonce. — Co się dzieje z „Towarzystwem przyjaciół astronomii“? — „Bitwa pod Grunwaldem“ Matejki. — Echo jubileuszu Konopnickiej—Ś. p. ks. biskup Antoni Baranowski .	597
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	615



De. II. 1.

W przededniu katastrofy.¹⁾

GALICJA W ROKU 1846.

II.

Literatura polityczna, nietylko polska, lecz wogóle austriacka, w najszerszym tego wyrazu znaczeniu, obejmującym wszystkie narodowości, w skład Austrii wchodzące, wzniosła w ciągu obecnej ery konstytucyjnej staro-austriackiej biurokracyi taki pomnik historyczny, jakiego pewnie nie posiada biurokracya innych krajów. Pomnik ten składa się z ciężkich głazów potępienia i przekleństwa, rzuconych na jej grób, da Bóg, na zawsze zamknięty. Nie skończyło się jeszcze to kamienowanie pamięci staro-austriackiej biurokracyi, bo na jej rachunek zapisała już i dalej zapisuje historia współczesna wszystkie katastrofy, jakie w drugiej połowie XIX wieku dotknęły Austryę, wraz ze wszystkimi, jeszcze nieprzebytymi całkowicie, następstwami tych katastrof, bo, co ważniejsza, upiór tej dawnej biurokracyi przywiduje się dotąd ludom austriackim w każdym cięższym przesileniu konstytucyjnym i niejako wyzywa do powtarzania wszystkich złorzeczeń i przekleństw. Może dopiero przyszłe pokolenie, które nie będzie już słyszało głosów naocznych świadków staro-austriackiego systemu rządowego, i przekona się o niemożliwości jego wskrzeszenia, zamknie ostatecznie rachunek polityczny ze staro-austriacką biurokracyą według maksymy: *De mortuis nil*, skoro *bene* nikt pewnie odezwać się nie może.

Katastrofa galicyjska z roku 1846 idzie także na historyczny rachunek staro-austriackiej biurokracyi, która wtedy zapuściła swoje gęste sieci w mętne wody anarchii, wywołanej w niemalej części całem jej postępowaniem. Że bowiem anarchia odgrywała tutaj główną rolę, na to wymowną wskazówką jest fakt, iż w najdrastyczniej-

¹⁾ Patrz zeszyt majowy, str. 213 i czerwcowy, str. 429.

szych nawet przedstawieniach całej grozy rzezi galicyjskiej i odpowiedzialności wszystkich czynników, które zawiły bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio, z góry bywają wypuszczane, lub w najgorszym razie traktowane tylko jako w błąd wprowadzone ofiary perfidy biurokratycznej dwie osobistości historyczne, przeciw którym, jako dzierżycielom całej władzy w państwie i w Galicji, z natury rzeczy głównie przeciw powinna-by się zwracać cała gorycz, to jest: cesarz Ferdynand, „dobrotliwym“ przez Wiedeńczyków nazwany i za takiego wszędzie uważany, a obok niego arcyksiążę Ferdynand d'Este, generał-gubernator Galicji, również dobrotliwy, a przytem przejęty duchem szczerzej pobożności. Historia nie zmieniła bynajmniej tej opinii współczesnej o powyższych osobistościach, lecz, owszem, utwierdza ją jeszcze więcej najświeższymi źródłowemi publikacyami o stosunkach Austrii przed rokiem 1848. W obrazie tych stosunków, oświetlonym już dziś dokumentami, zupełnie zrozumiałem jest to, co w pierwszej chwili po lutym 1846 roku wydawać się mogło trudnem do zrozumienia, nawet wprost niepojętem, to jest fakt, że poza plecami monarchy, jeżeli nie zupełnie bez jego wiedzy, to już z pewnością bez świadomości prawdziwego stanu rzeczy i stanowczo wbrew jego dobrotliwemu charakterowi, wdrygającemu się na samą myśl rozlewu krwi, nawet w chwili tak krytycznej. jak 13 marca 1848 roku, gdy zrewoltowany tłum wiedeński wyruszał ku pałacowi wiedeńskiemu, z zamiarem wymuszenia swobód konstytucyjnych.— w Wiedniu książe Metternich, do spółki z szefem policyi, hr. Sedlnitzkym, i najwyższym kanclerzem (szefem kancelaryi nadwornej), hr. Inzaghim, a w Galicji starostowie, jak Breinl w Tarnowie, Berud w Bochni i t. p., pod faktycznemi rządami prezydenta gubernialnego, Kriega, wywołali, lub co najmniej tolerowali krwawą orgię, na której wspomnienie, jeszcze po upływie lat pięćdziesięciu z okładem, krew się w żyłach ścina.

Dzisiaj trudno pojąć, jak w połowie XIX wieku, w cywilizowanym państwie europejskiem urosć mogła do takiej potęgi kasta ludzi (biurokratów), nieprzodujących bynajmniej otoczeniu swojemu wyższemi pojęciami o zadaniach państwa i potrzebach społeczeństwa, uważających, owszem, państwo tylko za szeroką arenę dla pościgu za osobistą karierą, wreszcie nieprzyświecających wyższą siłą moralną, lecz tylko dbających o własny interes, i dla tego interesu o wszystkim zresztą zapominających. W polskich publikacyach o roku 1846 i wogóle o przedkonstytucyjnych rządach austriackich, kwestya powyższa traktowana bywa tylko mimochodem, jako niewymagająca bliższego objaśnienia. Najczęściej sprawa ta bywa tak przedstawiana, jak gdyby to położyć należało na karb faktu, że w owych czasach w Galicji między służbą rządową a świadomością obowiązków obywatelskich

zachodziła sprzeczność rażąca, wskutek czego urzędy galicyjskie wypełniać się musiały zbieraniną z innych prowincyi, i to zbieraniną najpośledniejszą, wrogą, albo w najlepszym razie obojętną dla kraju. W takim objaśnieniu niezawodnie wiele jest racyi, bo było to właśnie nieszczęście dla Galicji, że nie przynęcała do siebie lepszych żywiołów świata biurokratycznego, a wskutek tego otrzymywała i znosić musiała u siebie wybiórki z innych prowincyi. Ale właśnie fakt, że nawet w ręku tak poślednich reprezentantów staro-austryackiej biurokracji leżała taka potęga, taka siła demoniczna, jaka się w roku 1846 w Galicji ujawniła, naprowadza na wniosek, iż źródła tego stanu szukać należy głębiej, mianowicie w całym ustroju państwa i kraju w tej dobie. Przypatrzmy się bliżej temu ustrojowi, a to, cośmy powyżej nazwali trudnem do pojęcia, przedstawi się, jako naturalne następstwo stosunków.

Cała austriacka maszynerya rządowa, cały system absolutny rządów był już zupełnie rozstrojny i blizki bankructwa na długi czas przed katastrofą roku 1846. System ten bowiem nie posiadał w Austrii ówczesnej żadnego z tych dwóch czynników, które w innych państwach stanowiły jego podporę, to jest ani monarchy, który-by umiał i zdołał działać pod wyniosłem hasłem *l'état c'est moi*, ani dobrze i jednolicie zorganizowanego aparatu administracyjnego, wykonawczego wogóle. Cesarz Józef II, przedstawiany przez historyków i publicystów austriacko-niemieckich jako typ takiego monarchy absolutnego, który nietylko mógł podtrzymać system absolutny, lecz nadto uczynić go nawet do pewnego stopnia popularnym, posiadał niezawodnie wiele przymiotów, uprawniających go do takiej roli; ale działalność jego, kierowana głównie dążnością centralizacyjno-germanizatorską i wysilająca się przytem na awanturniczą w całym przebiegu swoim misję reformatorską, była raczej tylko jedną fazą w rozstroju państwowym. Jak po jego misji reformatorskiej na polu społecznem, tak i po organizacyjnych zabiegach około machiny rządowej, pozostało zamieszanie. Organa administracyi przedstawiały razem taką chaotyczną w rozdziale agend strukturę, że częstokroć przypadek rozstrzygał, do której czeluści biurokratycznej pewna sprawa wpaść miała. Bardzo często sprawy pokrewne z treści i ze wszystkich akcesoryów bywały rozmaicie traktowane i załatwiane z powodu ich rozrzucenia pomiędzy różne władze centralne. Za rządów następnych próbowano niejedno zmienić i naprawić, ale próby te nie osiągnęły celu pożądanego.

W takim składzie rzeczy, system absolutny w Austrii potrzebował do utrwalenia swojego wobec nowych prądów politycznych, coraz śmieiej docierających od Zachodu ku środkowej Europie, już

nietylko monarchy, który-by w wyższym umyśle umiał objąć i samodzielnią inicjatywą forytować całość zadań państwowych, niedostępną dla ścieśnionego widnokągu biurokracyi; lecz nadto centralnego organu przybocznego, który-by z jednej strony był motorem i regulatorem wszystkich funkcji skomplikowanego aparatu administracyjnego, a z drugiej strony czuwał bacznie nad utrzymaniem tego aparatu w stanie dobrym, zabezpieczonym przed osadzaniem się rdzy przedajności i śniedzi bezmyślnej pedanteryi na poszczególnych kolach i kółkach. Tych warunków nie posiadała Austria absolutna w okresie, poprzedzającym wypadki lat 1846—1848. W tych czasach bowiem cesarz Franciszek ograniczał swoją ambicyę do ześrodkowania w swojej gabinetowej kancelaryi spraw administracyi wewnętrznej tak, ażeby w tym zakresie zachować sobie wszystkie pozory samodzielności i niezależności. Sam lubił chwalić się tem, że mógł-by być bardzo użytecznym „hofratem“, i niezawodnie należał mu się tytuł najwyższego i najpracowitszego „hofrata“ w całej Austrii. Rzecz naturalna, że taki monarcha-biurokrata musiał nietylko opażniać w nieskończoność ostateczne załatwienie wielu spraw, sobie zastrzeżonych, lecz nadto, wobec fizycznej niemożności wglądania we wszystkie szczegóły, pozostawić w końcu biurokracyi szerokie pole, na którym ona czuła się już zupełnie wyjętą z pod kontroli. Doniosłość tej konsekwencyi maleje w oczach dzisiejszego pokolenia społeczeństwa polskiego w Galicyi, oswojonego już z widokiem urzędników-obywateli, stojących poza sferą hierarchicznej odpowiedzialności pod podwójną ścisłą kontrolą własnego sumienia obywatelskiego i opinii współobywateli. Ale takie wyjęcie biurokracyi z pod kontroli, o jakim powyżej mówiliśmy, znaczyło dla pokolenia polskiego ze schyłku pierwszej połowy XIX-go stulecia niemal tyle, co wyjęcie z pod prawa i wydanie na łup samowoli liczej, ale wspólnością interesów ściśle z sobą połączonej i przewrotnym *esprit du corps* na tle tych interesów od dołu do góry ożywionej, armii indywiduów obcych krajowi i przejętych zawistnemi uprzedzeniami.

Jedynie dobrą — ale nie w znaczeniu bezwzględnem, lecz tylko w porównaniu ze stanem późniejszym — stroną rządów cesarza Franciszka było to, że ksiązę Metternich trzymany był zdala od spraw administracyi wewnętrznej, nie tyle z zasadniczych powodów, jak raczej dzięki tej zazdrości, z jaką cesarz warował wszystkie pozory samodzielności monarszej w tym właśnie zakresie agend.

Wszystko zmieniło się na gorsze z chwilą wstąpienia na tron cesarza Ferdynanda. W niedołężnie skombinowanym, a bardzo skomplikowanym aparacie biurokratycznym absolutnej Austrii główny czynnik, ten właśnie, który wszystko jednoczyć i do jednego tonu

dostrajać winien, był obezwładniony. Cesarz Ferdynand, z przymiotów serca jako dobrotliwy znany i tak już stale w historii nazywany, dotknięty był ciężką a nieuleczalną chorobą nerwową, epilepsyą. Często ponawiające się silne ataki epileptyczne nie tylko czyniły go niezdolnym do takiej systematycznej pracy, jaką cesarz Franciszek, mimo drobiazgowego pedantyzmu, jeszcze jako tako zapewniał regularne funkcjonowanie maszyny rządowej, lecz nadto, wskutek ujemnego wpływu na funkcje intelektualne monarchy, mianowicie wskutek postępującego słabnięcia jego pamięci i siły woli, nasuwały sferom dworskim coraz więcej potrzebę ustanowienia bodaj cichej regencji, która-by zapobiegała zupełnemu zastojowi w rządach przez zanik tej siły rozpędowej, jaką za poprzednich monarchów stanowiła ich indywidualność wybitna i zdeklarowana wola.

Była to sytuacja, świetna dla wybitnego męża stanu, który w roli wszechwładnego ministra mógł-by być ustrój państwowy zreformować na trwałej podstawie i okryć się w historii Austrii niepozbytą sławą. Ale równie świetną była ta sytuacja dla takiego demona politycznego, jakim był w tej dobie książę Metternich, już nie młody pod względem wieku, ale pełen młodzieńczej siły woli i pomysłowości w tem, co sobie jako zadanie główne postawił: w tamowaniu, a jeżeli można, nawet w brutalnem krępowaniu wszelkich aspiracji wolnościowych, wszelkich porywów reformatorskich, wogóle wszelkiego odstąpienia od maksymy ówczesnego systemu absolutnego, według której „ograniczony rozum poddanych“ skazany jest wobec powagi i przewagi „ojcowskiego rządu“ na wieczne milczenie i ślepią potulność. Że aż do śmieszności posuwano przestrzeganie tej maksymy, na to najlepszem świadectwem fakt historyczny, na pozór małej wagi, ale co do istoty swojej wielce charakterystyczny. Kiedy raz deputacja ze świata literacko-naukowego i księgarskiego zdobyła się na krok śmiały na ówczesne stosunki i wręczyła kanclerzowi bardzo pokorną petycję o złagodzenie nieznośnego a niedorzecznego przytem ucisku cenzuralnego, tamującego wszelki rozwój, wogóle wszelki ruch w zakresie pracy duchowej, Metternich odprawił ją oświadczeniem, że deputacja tym krokiem właśnie uniemożliwiła oddawna już przez siebie z własnej inicjatywy zamierzoną reformę cenzury, gdyż rząd nie może teraz tego uczynić, aby uniknąć wszelkiego pozoru ulegania naciskowi od dołu.

Siła wypadków i całej sytuacji ówczesnej wciskała niejako całą władzę w ręce Metternicha. To też na dworze cesarskim powstała obawa, żeby ten potentat nie urósł wszystkim ponad głowy. Skoro niemożliwem było zepchnięcie Metternicha ze stanowiska przewagi, niemożliwem najpierw z powodu jego niezaprzeczonej wyższości nad

całem otoczeniem politycznem i dworskiem, a powtórę, z powodu jego wielkiej powagi wobec całej Europy, nie pozostawało czynnikiem, dbałym o powagę dynastyczną, a tem samem poniekąd zawistnym Metternichowi, nic innego, jak tylko utworzenie pewnego kollegium regencyjnego, w którem kanclerz państwa odgrywał-by, bo odgrywać musiał, główną rolę, które jednak ścieśniało-by, przynajmniej na pozór, jego wszechwładztwo. W ten sposób powstała konferencya stanu, która miała zastępować cesarza w razie choroby, a w rzeczywistości wyręczała go stale. Członkami stałymi tej konferencyi byli: arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec dzisiejszego cesarza, Franciszka Józefa I, arcyksiążę Ludwik, oraz ministrowie: ks. Metternich i hr. Kolowrat. Do udziału w obradach, ale nie stale, lecz tylko w miarę potrzeby, jeżeli mianowicie tego prawne sprawy wymagały, mogli być powoływani także inni ministrowie, prezydenci najwyższych dekasteryi, oraz szefowie sekcji i rady stanu. Ponieważ członkowie ostatniej kategorii byli tylko referentami, a arcyksiążę Franciszek Karol pozostał wogóle w całej działalności swojej biernym, więc ostatecznie rządy spoczęły w rękach tryumwiratu, to jest arcyksięcia Ludwika, ks. Metternicha i hr. Kolowrata. Taka organizacya naczelnego i centralnego kierownictwa maszyny rządowej nie mogła, oczywiście, dawać rękojmi jednolitej i sprężystej akcji, zwłaszcza w chwili nacisku nadzwyczajnych wypadków i wśród wyjątkowej sytuacji. Jeżeliż tedy z taką organizacyą łączyła się jeszcze niezgoda w łonie tryumwiratu, to nic dziwnego, że w danym razie brak harmonii u góry musiał pociągnąć za sobą, na niższych szczeblach administracyi formalny rozstrój, a wśród takich nadzwyczajnych wydarzeń, jakie zaszły na początku roku 1846, nawet anarchiczne rozprężenie.

Że w łonie tego tryumwiratu panowała istotnie niezgoda, tego domyślano się w swoim czasie, a dziś są już na to niezbite dowody, zawarte w wielkim zbiorze pism po ks. Metternichu i ogłoszonych przed dwudziestu laty¹⁾. Takim dowodem jest najpierw memoriał, znaleziony pomiędzy temi pismami, a napisany, jeżeli nie przez samego kanclerza Metternicha, to w każdym razie przez osobistość, nie tylko wtajemniczoną w cały tok spraw rządowych, lecz nadto postawioną tak blisko kanclerza, że wiadome jej były jego skryte zale i dławione podejrzenia. „Niezgoda i sprzeczność między zapatrywaniami i dążeniami obu kierujących ministrów (tj. ks. Metternicha i hr. Kolo-

¹⁾ „Aus Metternich's nachgelassen Papieren“, — Wien, 1883 — Część II, tom 5.

wrata), z każdym dniem staje się coraz więcej publiczną tajemnicą. Ani w postępowaniu z ludźmi, ani w załatwianiu spraw nie widać stałego kierunku. Opóźnienia, wywoływane nie ścisłością, lecz niejasnością zamiaru, albo brakiem decyzji, doprowadzają najczęściej do zaniechania koniecznych kroków lub do połowicznych zarządzeń, a nie-raz do przełtczesnych dyspozycji. Instytucye w najwyższej sferze tracą na sile i kredycie... Dla jasno patrzących nie jest to żadna tajemnica, że absolutyzmem ministerstwa gabinetowego (tj. hr. Kolowrata), nie kieruje pewna konsekwentna i stanowcza dążność ku jasno pojętemu wielkiemu celowi państwowemu, lecz kapryśne starania o zaspokojenie drobiazgowych aspiracji i próżności, że opiera się nie na samodzielnej, silnej i imponującej indywidualności, lecz raczej na najzupełniejszej zależności od kilku intrygantów i egoistów“. W dalszym ciągu memoriału już bez wszelkich ogródek i bez oszczędzania osób (hr. Kolowrata i arcyksięcia Ludwika) przedstawiony jest stan rzeczy w taki sposób, że tok memoriałowy zmienia się wprost w oskarżycielski.

Jeszcze jaśniej określił anarchiczny ustrój maszyny rządowej ówczesnej Austrii sam ks. Metternich, już po upadku swoim, w piśmie do swojego następcy w ministerstwie spraw zagranicznych, hr. Ficquelmonta z 30 marca 1848. „Znasz pan przeszłość—pisze były kanclerz austriacki—i wiesz, czego pożądałem, nie mogąc celu osiągnąć. W ciągu lat, które upłynęły od nastania ogólnego pokoju, żądałem przede wszystkim stworzenia władzy rządowej (création d'une force gouvernementale), bez której niema państwa. Moje usiłowania były daremne; nie zrozumiano mnie, a stąd wyniknąć musiały następstwa, które uważać należy za konsekwencję tego faktu. Moje ministerstwo, a także moja indywidualność reprezentowała potęgę Austrii na zewnątrz, a tymczasem wewnątrz powstała próżnia. W ten sposób stałem się (na co wzdyga się moja świadomość moralna) fantasmagoryą, istotą fantastyczną, duchem bez ciała, przedstawicielem tego, co powinno być istnieć, a czego wcale nie było. Oto historia a nie powieść“. A na innem znowu miejscu w autobiograficznych zapiskach mówi były kanclerz: „O ile rozległym był mój osobisty zakres działania na polu politycznym, o tyle ograniczonym był on w zakresie wewnętrznych stosunków rządu. W leniwym toku spraw środki rządowe wtedy dopiero dochodziły do mojej wiadomości, gdy przeszły już wszystkie niższe stadya i dojrzały do ostatecznej decyzji i wymagały jej z powodu swojej nagłości lub ważności. Najpłodniejszym w skutki błędem w sytuacji cesarstwa austriackiego przed r. 1848 było wciągnięcie w zakres rządu spraw, które należały do zakresu administra-

cyi. Przez to maszyna państwowa była w swoim ruchu tamowana, najwyższe sfery zaprzętało rozmaitemi sprawami, a odpowiedzialność niższych władz została uchylona“.

To ostatnie otwarte przyznanie, że w funkcyach władzy państwowej panował rozstrój anarchiczny, wyjaśnia trudną do pojęcia ospałość, prawie bierność centralnych organów wobec Galicyi w 1846, mianowicie w chwili, gdy z całego ruchu powstańczego śladu już nie było, a bandy chłopskie w zachodnich obwodach długi jeszcze czas w sposób rozbójniczy grasowały po dworach pod okiem organów cyrkularnych, z jednej strony już wtedy bezsilnych wskutek poprzednio z temi bandami milczącego zawartego sojuszu, a z drugiej strony zasłoniętych przed odpowiedzialnością przez to, że pospolite mordy i rozboje chłopskie wyjęto w Wiedniu z zakresu administracyi i przeniesiono w zakres rządu, tj. traktowano nie jako zbrodnie, lecz jako akta lojalnej kontr-rewolucyi, a więc jako akta polityczne.

W takich sprawach polityki wewnętrznej, w których interesa polityki zagranicznej w grę wcale nie wchodziły, hr. Kolowrat czasem zdołał wobec kanclerza utrzymać się ze swojemi odmiennemi zapatrywaniami. Faktem jest np., że kierunek germanizacyjny, wytknięty przez cesarza Józefa, za wpływem hr. Kolowrata zwolniał w czasie, gdy przewaga ks. Metternicha na pozór wydawała się nienaruszalną. M. Bach, którego najświeższa historia rewolucyi wiedeńskiej z r. 1848¹⁾ napisana została już widocznie pod wrażeniem współczesnych zawikłań i przesileń politycznych w Austryi, na tle antagonizmów narodowych i sporów językowych, wprost obwinia hr. Kolowrata, że, sam będąc Czechem, zwolennikiem dążności czeskich, pod wielu względami popierał Czechów, forytował ich w służbie państwowej, a przedewszystkiem zapewnił im spokój i wolność w pracy narodowej.

Być może, że także żywił polski posiadał w hr. Kolowracie, jeżeli nie takiego przyjaciela, jak żywił czeski, to przynajmniej wyrozumiałego świadka swojej niedoli ówczesnej i wysiłku ku wydobyciu się z tej niedoli. S. Barzykowski wymienia w swojej „Historyi powstania listopadowego“ hr. Kolowrata obok ówczesnego gubernatora, księcia Lobkowitza, jako jedynie w ówczesnym urzędowym świecie austriackim życzliwych mężów stanu, którzy wysłannikom rządu warszawskiego okazali wiele współczucia i gotowości do życzliwej interwencyi, jak wiadomo, daremnej wśród danych stosunków poli-

¹⁾ Maksymilian Bach „Geschichte der Wiener Revolution im Jahre 1848,“ Wien 1893.

tycznych. W samej Galicyi zaszedł właśnie w tych czasach widoczny, choć krótko trwający, zwrot we wrogim dotąd dla polskości systemie rządowym. Zwrot ten objawił się w najdrażliwszej właśnie sprawie, w traktowaniu stosunków pańszczyźnianych z mniejszem uprzedzeniem ku szlachcie, z większą dbałością o jej prawa wobec poddanych, którzy, uzuchwaleni poprzedniem jednostronnem forytowaniem swoich pretensyi i zachceń, posuwali się aż do napastliwości. Namiestnik, ks. Lobkowitz, okazywał na zewnątrz w sposób ostentacyjny swoją przychylność dla polskiej szlachty.

W 1846 jednak w Wiedniu, w łonie rządu centralnego, nie mógł się żaden głos ująć za Galicyą. Kierunek germanizacyjny bowiem w sojuszu z rygiorem systemu absolutnego zaciężył właśnie na Galicyi z całą siłą, tak, jak gdyby sobie tutaj powetować miał osłabienie rozpędu w innych krajach koronnych, mianowicie w Czechach, zasłanianych przez hr. Kolowrata. Było nienniknioną konsekwencyą tego fatalnego zbiegu okoliczności, że właśnie wtedy, gdy ks. Metternich uważany był w całej środkowej Europie za strażnika jej cmentarnej ciszy politycznej wobec dobywających się z zachodu prądów wolnościowych, Galicya za sprawą spiskowców, a przedewszystkiem paryskich emisaryuszy i wersalskich związków konspiracyjnych, uchodzących za najniebezpieczniejszą inkarnacyę tych prądów, uchodziła obok włoskich prowincyi Austryi za klasyczne pole knowań i przygotowań rewolucyjnych europejskiej doniosłości, więc za niepodzielną domenę wszechwładztwa Metternichowskiego.

Rzecz naturalna, że na tępienie tych knowań i na śledzenie emisaryuszy wysilała się administracya państwowa tak, jak gdyby w tem koncentrowały się w danej chwili wszystkie jej zadania. Akcyja organów rządowych w tym zakresie stanowiła niejako generalne pole wyścigowe dla wszystkich karyerowiczów a zarazem i dla wszystkich bandytów biurokratycznych ówczesnej epoki, którzy urząd swój i władzę z niego czerpaną uważali zarazem za środek przysporzenia sobie ubocznych dochodów, polepszenia bytu, wreszcie nawet wzbogacenia się kosztem ofiar teroryzowanych i wyzyskiwanych. Kiedy takie twierdzenie ożwie się ze strony polskiej, niemieccy publicyści w Austryi i dziś jeszcze mają na to gotową odpowiedź, że jest to oszczercza przesada. Niechżeż więc rozprawią się teraz z własnym kolegą, M. Bachem, który, kreśląc w dziele powyżej przytoczonym charakterystykę świata urzędniczego z epoki Metternichowskiej, jego zwartą organizacyę kastową, nizki poziom inteligencyi i nędzne położenie materyalne, kończy temi słowy: „Ten świat urzędniczy jest przede wszystkim sprzedajny, można-by nawet powiedzieć: słusznie sprzedaj-

ny". A Bach brał miarę oczywiście z innych prowincyi austryackich, najmniej może myśląc o Galicyi, gdzie było najgorzej!

W takim składzie rzeczy na Galicyi szczególnie zaciążyć musiała w tej dobie prawa ręka Metternicha w tropieniu i gnębieniu wszelkich związków z najjaskrawszymi aspiracyami wolnościowemi, szef najwyższej władzy policyjnej, faktyczny minister policyi hr. Sedlnitzky. Jako generalissimus całej armii tajnych agentów, szpiegów i tak zwanych konfidentów różnego stanu i zawodu, po całej zachodniej Europie zajętych tropieniem planów spiskowych, był on wtajemniczony we wszystkie zamysły swojego ministra i nawzajem wtajemniczając go we wszystkie tajniki swoich zdobyczy informacyjnych, mógł się uważać za współkierownika polityki i rządów Austrii. Za wpływem Sedlnitzkiego i wskutek istotnego związku pomiędzy akcją polskich emissaryuszy, a ogniskami rewolucyjnymi zachodniej Europy, władze austryackie wogóle, a szczególnie galicyjskie, stały się niejako międzynarodowymi agencjami policyjnymi. Między Sedlnitzkym, a władzami pruskimi istniał rodzaj konwencyi policyjnej, której celem była wzajemna wymiana wszystkich zdobyczy śledczych. W miarę, jak akcja spiskowa we wszystkich dzielnicach polskich ożywiała się i rozgałęziała, wypadło uprościć i przyspieszyć tę wymianę. To też na wniosek Sedlnitzkiego zapadło 16 stycznia 1846 postanowienie cesarskie, że władze galicyjskie mają wprost władzom pruskim komunikować wszystkie znane sobie daty i fakta o spiskowych związkach polskich, a za to także wprost od władz pruskich odbierać będą podobne komunikaty. Odtąd toczy się już bez przerwy aż do r. 1848 taka serdeczna otwarta korespondencya między szefem policyi poznańskiej, hr. Minutollim, a Lwowskiem gubernium, jak gdyby chodziło o interesa jednego i tego samego państwa. Hr. Minutolli zasypuje gubernium galicyjskie nieustannie donosami i w bogactwie szczegółów ma taką przewagę nad tem gubernium, że krzyżacka wyższość już w tej ponurej epoce święci tryumfy. W gorliwości swojej posunął się hr. Minutolli tak daleko, że władzy galicyjskiej zakomunikował nawet tajny memoriał słynnego Flottwella o środkach przyspieszenia germanizacyi W. Ks. Poznańskiego.

Trzeci uczestnik powyżej wspomnianej trójcy wiedeńskiej, która tak krwawo zapisała się w r. 1846 w historii Galicyi, hr. Inzaghi, najwyższy kanclerz, to jest szef zjednoczonej kancelaryi nadwornej w Wiedniu, powinien-by, jako naczelnik władzy z agendami dzisiejszego ministra spraw wewnętrznych, zajmować miejsce naczelne. Że jednak tak nie jest, że należy mu się dopiero miejsce trzecie, bo wysuwa się na pierwszy plan i to z najmniejszym stosunkowo, chociaż

zawsze złowrogim dla Galicji, wpływem, dopiero wtedy, gdy przyszła kolej na konsekwencye chybionego ruchu, mianowicie na uregulowanie albo raczej na fatalne dla szlachty powikłanie nieszczęsnej sprawy pańszczyźnianej, to świadczy wprawdzie przede wszystkim o małym znaczeniu osobistem hr. Inzaghiego w ówczesnych kołach kierujących, ale stanowi przytem także szczegół charakterystyczny dla obrazu ówczesnych stosunków. Ponad wszystkim górowała polityczno-policyjna strona akcji rządowej, a cała administracja wewnętrzna ze wszystkimi dla dobra ludności najżywoźniejszymi interesami leżała odłogiem, upośledzona, lekceważona, w danej chwili niemal ignorowana.

Kiedy w Wiedniu grono faktycznych chociaż nie autoryzowanych regentów tak opanowało sytuację, że na chorego cesarza Ferdynanda oglądano się tylko o tyle, o ile dla sfinalizowania danej kwestyi potrzebne było ujęcie przygotowanej już decyzji w sakramentalną formułę „najwyższego postanowienia“ i opatrzenie aktu podpisem cesarskim, we Lwowie poza plecyma wprawdzie nie tak apatycznego, jak cesarz Ferdynand, ale wcale nieprzenikliwego, ani bystrego, a poza sferą aktów religijności i dobroczynności, ani zdolnego, ani skorego do inicjatywy lub samodzielności, generał - gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, rozpanoszyła się zgraja biurokratów - karyerowiczów, dla których administracja była najlepszem polem, a Galicja najwięcej obiecującą placówką w dziedzinie do egoistycznych celów promocyjnych i do zaspokojenia prostej chciwości. Właściwym kierownikiem administracyjnym był prezydent gubernialny, Franciszek baron Krieg von Hochfelden, przybłąda z Wirtembergii, którego skrytem marzeniem było zajęcie pozycji gubernatorskiej po arcyksięciu Ferdynandzie. Br. Krieg za młodu kolegował i łobuzował po koleżeńsku z br. Hauerem, który został gubernatorem Galicji i karierą swoją wzbudził w dawnym towarzyszu wesołego życia tę skrytą ambicyjkę. Była ona już zresztą dość bliską urzeczywistnienia, gdyby nie fakt, że w chwili, gdy arcyksiążę Ferdynand ustąpił ze swojego stanowiska zaraz po krwawem stłumieniu ruchu w r. 1846, postępowanie gubernium Galicyjskiego i wogóle biurokratów galicyjskich rzuciło, mimo wszelkich wysiłen rehabilitacyjnych w organach rządowych i półrządowych, krajowych i zagranicznych, taki cień na rząd austriacki w oczach zachodniej Europy, że o podobnem wywyższeniu barona Kriega bez prowakacji opinii już nie można było myśleć.

Dobranym towarzyszem br. Kriega był wice-prezydent gubernialny, Leopold baron Lazanzky, dla którego także samo tropienie każdego ruchu wolnościowego i żywszego poczucia narodowe-

go w społeczeństwie polskiem stanowiło główne zadanie administracji, a zarazem pole popisowe w zabiegach o karierę. Był on o tyle szczęśliwszym od br. Kriega, że działalnością swoją w Galicyi dobił się wysokiego stanowiska w państwowej hierarchii biurokratycznej, mianowicie został w rok po krwawych przejściach galicyjskich naczelnikiem rządu krajowego na Morawie. Jak głęboko przejęty był swoją misją galicyjską świadczy fakt, że nawet później, na nowem stanowisku swoim poza Galicyą, nie przestał z amatorstwem tropić wszelkich podejrzanych objawów w społeczeństwie polskiem. Nieproszony, niewzywany, a nawet ze stanowiska formalności kompetencyjnych wcale niepowołany, narzucał się w trzy lata później ówczesnemu gubernatorowi Galicyi, Agenorowi hr. Gołuchowskiemu, w listach prywatnych i w pismach urzędowych, z doniesieniami o wrzekomych związkach tajnych, rozszerzających swoją akcyę z Poznańskiego na Kraków, Warszawę i Lwów.

Poza temi głównemi figurami pozostawało w cieniu całe ówczesne gremium radców gubernialnych. Jeden z nich, Agenor hr. Gołuchowski, który w trzy lata później miał stanąć na czele rządu krajowego, jako gubernator, znosić musiał wtedy wprost upakarzające lekceważenie, na co w aktach ówczesnych znajduje się dowód wielce charakterystyczny. Już po rzezi tarnowskiej wdowa po jednej z najtragiczniejszych jej ofiar, obywatelu z emskim, Karolu Kotarskim, pragnęła wyjechać do Wiednia, aby stracić z oczu widownię swojego nieszczęścia. Celem uzyskania paszportu zwróciła się za pośrednictwem swojej krewnej, br. Konopkowej, do hr. Gołuchowskiego o pośrednictwo. W normalnych stosunkach powinno-by było wystarczyć ustne wstawienie się radcy gubernialnego. Hr. Gołuchowski, przewidując trudności, zwrócił się do tej władzy, której był radcą, z pisemną umotywowaną prośbą i otrzymał rezolucyę odmowną, na referacie przez samego br. Kriega w tym duchu poprawionym.

Za to prawdziwymi potentatami byli starostowie ówcześni, to jest naczelnicy obwodów, na które, we współczesnej urzędowej i późniejszej historycznej nomenklaturze utarła się nazwa cyrkulów. Galicya z dzisiejszemi 78 powiatami i tyluż starostwami, podzielona była w r. 1846 na 18 cyrkulów. Sprawował tedy starosta cyrkulowy administracyę na terytorium przeszło cztery razy rozleglejszem, aniżeli starosta dzisiejszy, a wyższość jego co do zakresu władzy nad dzisiejszym starostą prześcigała nieskończenie nawet powyższy stosunek terytoryalny. W tych 18 urzędach cyrkularnych, które-by nazwać można blokhauzami pozakładanemi dla osaczenia i poskromienia żywiołu polskiego w kraju, panowała najgorsza kategoria biurokracyi, właśnie ta, która przygotowała najpierw anarchię w stosunkach spo-

lecznych i administracyjnych, a później, gdy na tem tle rozwinęła się krwawa akcja czerni chłopskiej, ujrzała się bezsilną, popadła nawet w zupełną zależność od swoich występnych narzędzi.

O szykanach, podstępach, kręctwach, zdzierstwach itp. biurokracyi, która z takich blokhauzów cyrkularnych rozwijała działalność swoją po całym kraju, a przedewszystkiem po dworach szlacheckich, współczesne pamiętniki i późniejsze prace historyczne o wypadkach w r. 1846 zawierają mnóstwo szczegółów tak drastycznych, że już dzisiejsze pokolenia polskie w Galicyi mogły-by je uważać za nieprawdopodobne, lub co najmniej bardzo zaprawione przesadą, gdyby powaga obywatelska pamiętnikarzy i autentyczność innych źródeł nie uchylały wszelkiej wątpliwości pod tym względem. Nie myślimy z tej kolekcji szczegółów przytaczać nawet najdrastyczniejszych, ani wzbogacać jej nowemi, co by dziś jeszcze było możliwem. Jak w całym traktowaniu rzezi galicyjskiej z r. 1846 w tych szkicach nie chodzi nam o wypełnianie obrazu krwawych scen nowemi rysami i szczegółami, lecz o przedstawienie tła wypadków, głównych czynników katastrofy i przyczyn tego anarchicznego zamętu, jaki w Galicyi w r. 1846 zapanował, tak też i w określeniu roli biurokracyi cyrkulowej z 1846 nie zależy nam na ilustracyi tej roli w sposób anegdotyczny, lecz głównie na wyjaśnieniu tego, bądź co bądź, trudnego już dziś do pojęcia faktu, że jeszcze przed niespełną sześćdziesięciu laty w Austrii cały kraj koronny, i to jeden z największych, mógł być oddany na pastwę kaście, pojmującej zadanie swoje, zadanie administracyi wogóle, w sposób najezdniczy.

Przedewszystkiem weźmy na uwagę materyał, z jakiego powstała ówczesna biurokracya w Galicyi. W urzędowych schematyzmach tej smutnej doby nie braknie wprawdzie nazwisk polskich, ale fakt ten nie ma znaczenia, bo najpierw nazwiska takie gubią się w tłumie obcych, a powtóre, indywiduala, noszące te nazwiska, nie poczuwały się do łączności ze społeczeństwem polskiem w jego aspiracyach narodowych, umiały dostrajać się i istotnie zupełnie dostrajały się do tonu w urzędach panującego. Największego kontyngensu biurokratów dostarczały Galicyi prowincye niemiecko-słowiańskie, bo kandydaci, stamtąd pochodzący, nadawali się najlepiej do roli, jaka ich czekała. Z jednej strony od biedy pokonać mogli trudności językowe, skoro władali jednym z narzeczy słowiańskich, a z drugiej strony można było zaufać im zupełnie, że w Galicyi wierni pozostaną niemieckości i służyć będą dążnościom germanizacyjnym rządu. W tych czasach bowiem poczucie narodowe, więc i poczucie tej wspólności plemiennej, które wydobyło się z żywiołową siłą dopiero w dwa lata później (1848) z pod gruzów obalonego systemu Metternichowskiego, a po przebyciu późniejszej porewolucyjnej represyi wzmogło się i dziś roz-

strzygającą odgrywa rolę w wewnętrznej polityce Austrii, znajdowało się w jej niemiecko-słowiańskich prowincjach w stanie zupełnego odrętwienia, w prawdziwym letargu. W dwóch tylko prowincjach Austrii: we Włoszech (Lombardyi i Wenecyi) i w Galicyi poczucie narodowe było żywe, ale uchodziło w ówczesnych pojęciach rządowych i w politycznej nomenklaturze systemu Metternichowskiego za synonim antypaństwowej spiskowej dążności, której tępienie wszelkimi środkami prewencyjnymi i represyjnymi poczytywano za pierwszy artykuł racyi stanu. Z tym mandatem wysyłano do obu prowincyi legiony biurokratów, a najgorszych nie do Włoch, lecz właśnie do Galicyi, która uchodziła za kraj kulturalnie najniższy w państwie, za teren jałowy, który dopiero pod kulturą austriacko-niemiecką uprawić należało. Ponieważ inkarnację spiskowej polskości widziano w szlachcie, a zatem w dworach szlacheckich ogniska antypaństwowych knowań, przeto mandat powyższy łączył się najściślej ze starą, jak Austria absolutna, maksymą rządową: *divide et impera!* Wytworzyć między dworem a ludem wiejskim przepaść na tle pańszczyźnianem, pogłębiać przepaść tę coraz więcej na ogólnem tle stosunków społecznych, a potem wyzyskać ją politycznie przez wpojenie w lud wiejski przekonania, że szlachcic polski, uciskający go pańszczyzną, jest zarazem niepoprawnym spiskowcem przeciw państwu i cesarzowi, że zatem ucisk pańszczyźniany i spiskowość idą w parze, a wobec obu tych dążności jedynie w biurokracyi znaleźć można siłę odporną i obronną — oto dyrektywa, z którą już jechał do Galicyi każdy, świeżo tam odkomenderowany, biurokrata.

Że tak przedstawiała się ówczesna sytuacja nietylko w kolach polskich, lecz także przebywającym w kraju naszym Niemcom, którzy z blizka i bez uprzedzeń patrzyli na stosunki, a z lekliwości, lub serwilizmu, zdania swojego nie ukrywali, na to kiedyś pewnie znajdują się dowody w niedostępnych dziś jeszcze dla historyka aktach centralnych władz wiedeńskich z roku 1846. Na jeden taki dowód natrafiliśmy w zbiorach zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie. Są to autentyczne odpisy memoryałów, które na wiosnę roku 1846, zaraz po rzezi, wystosował do centralnej władzy policyjnej, do ministra hr. Kołowrata, do kanclerza hr. Inzaghiiego i nawet do arcyksięcia Ludwika Niemiec, w Galicyi osiadły od lat kilkunastu, Ferdynand Hoesch, właściciel dóbr ziemskich a zarazem pocztmistrz w Grybowie ¹⁾.

¹⁾ Szczegółowe sprawozdanie z tych memoryałów podał autor we lwowskim „Przewodniku naukowo-literackim“ z roku 1902 (pod tytułem: „Głos niemiecki z roku i o roku 1846“).

Hosch musiał posiadać opinię bardzo dobrego patrioty austriackiego, skoro wprost z Wiednia i do tego z centralnej władzy policyjnej otrzymał wezwanie do przedstawienia swoich spostrzeżeń i uwag o wypadkach współczesnych. Na opinię tę Hosch niezawodnie zasługiwał, gdyż jego memoryały stanowią niemal entuzjastyczną afirmację tego patriotyzmu, poczucia niemieckości i uwielbienia dla dynastji habsburskiej. Ale Hosch był człowiekiem prawym i wrażliwym na niegodziwość. To też w memoryałach swoich, a jak się z luźnych uwag pokazuje, także i w rozmowie z arcyksięciem Ludwikiem na wyznaczonej sobie audyencji, oparty na własnej kilkonastoletniej obserwacji i na własnych smutnych przejściach, gdy 21 lutego 1846 roku wśród zamieci śnieżnej uciekać musiał z całą rodziną z Galicji ku granicy węgierskiej, wystąpił z formalnem oskarżeniem władz cywilnych i wojskowych, których postępowanie przed wybuchem i wśród rzezi wprost niepojętem mu się wydało. Hosch z godną podziwu odwagą nie tylko wystąpił przytem w obronie szlachty, lecz nadto oskarżył Breinla o forytowanie rzezi, na co przytoczył szereg bardzo ciężkich poszlak. Tak stanowczem było wystąpienie Hoscha w tym kierunku, że, jak sam zaznacza w jednym z memoryałów, popadł w posądzenie, iż, ujęty przez szlachtę polską, stał się jej stronnikiem i propagatorem jej wrzekomo oszczerczych zarzutów.

Nie chcemy odbiegać od tematu, więc po tej ogólnej uwadze o memoryałach Hoscha, jako klasycznego świadka z r. 1846, ograniczymy się tylko przytoczeniem ustępu, specjalnie biurokracyi poświęconego, a bardzo trafnie objaśniającego jej wrogię dla kraju stanowisko.

„Więcej i ciężej—pisze Hosch—niż szlachta innych prowincji, uczuwa szlachta galicyjska nieustannie podsycane uprzedzenie, zazdrość i nienawiść ze strony poszczególnych urzędników. Nie ujmuję się za szlachtą, do której sam nie należę, ale mam na uwadze prawo i wiem, że co dla jednego jest prawem, to i dla drugiego jest słusznem. Jeżeli głos zabieram, to czynię to z najgłębszem przekonaniem, że prawdę mówię... Było to i pozostanie urojeniem, doktryną szkół niemieckich, że szlachta polska żyje głównie ze zdzierstwa poddanych, że ich uciska i gnębi, aby wydusić środki dla swoich potrzeb wykwinnych. To urojenie nabrało w niemieckim narodzie przysłowiowej pewności; ciągle jest podtrzymywane. Ja sam nawet, wychowany w niemieckich zakładach szkolnych, przyswoilem sobie to urojenie i uważałem je za fakt tak samo, jak Niemcy po największej części jeszcze niedawno Galicję i wogóle Polskę błędnie uważali za niezmierny obszar moczarów, lasów i bagien, na którym wilki i niedź-

wiedzie całemi stadami się snują i drogi niebezpiecznemi czynią. Dziś jeszcze niejednen niemiecki urzędnik rozpoczyna praktykę w Galicyi z tem urojeniem, i znajduje je zazwyczaj zakorzenionem w największej części personelu rozmaitych urzędów. Urojenie takie zmienia się w przesąd, którego wyplenić nie można, a przesąd ten znowu staje się dyrektywą dla wszystkich urzędowych rozpraw i zarządzeń. Przesąd taki staje się nawet zabarwieniem ogólnem, tłem dla relacji i opinii, wskutek czego najwyższe władze, nie mając tak potrzebnego dla ścisłości bezstronnego przedstawienia stanu, często muszą być w błąd wprowadzone. Przesąd ten wreszcie wytworzył wzajemną nieufność między czynnikami, w grę wchodzącemi, podsycia i podnieca zazdrość i nienawiść“.

Powtarzamy, że jest to głos Niemca, zaznaczającego na samym wstępie memoryału w sposób demonstracyjny swoje poczucie narodo-
we i swój gorący patryotyzm austriacki, głos, oparty na kilkonastoletniej własnej obserwacji i w dalszym toku memoryału objaśniony całym szeregiem wymownych, częstokroć nawet drastycznych faktów. W swoim czasie sfery wiedeńskie uważały głos ten za wynurzenia ekscentryka, którego sobie szlachta polska ująć zdołała. Ale wtedy w tych sferach także o rozbójniczych bandach chłopkich panowała opinia, że są to przejęte duchem patryotycznym rzesze dobrowolnych bojowników za sprawę państwa i cesarza. Dziś sumienny historyk niemiecki nie podejmie się pewnie obrony tej ostatniej opinii, a natomiast w Hoschu widzieć musi nie ekscentryka, lecz świadka klasycznego.

Sposób, w jaki wysłani do Galicyi obaj biurokraci postępować mieli, aby dokonać misji sobie wytkniętej, był już poprzednią długą praktyką tak utworowany, że każdy nowy przybłęda odrazu mógł się w sytuacji zorientować.

Ks. Waleryan Kalinka wykazał (w dziele: „Galicya i Kraków pod panowaniem austriackiem“) z wszelką ścisłością historyczną i jak najdokładniejszą znajomością stosunków prawnych i administracyjnych, że sprawa pańszczyzniana była od zaboru Galicyi osiłą polityki, obliczonej na zgładzenie polskości w jej głównych ogniskach, w dworach szlacheckich. W tym celu patenty i dekrety wiedeńskie stopniowo a kousekwentnie zmierzały do zmiany pierwotnej, patryarchalnej, na wzajemności świadczeń i korzyści opartej, natury stosunku poddańczego przez nadanie mu wszelkich pozorów arbitralnego władztwa, wobec którego lud przed bezwzględnością i uciskiem tylko w cyrkulach znaleźć może sprawiedliwość i opiekę. Przy takiej dążności i dyrektywie administracyjnej, systematyczne podkopywanie materyalnej siły i moralnej powagi szlachty obok równie systema-

tycznego rozgoryczenia ludności wiejskiej ku „panom“, stanowiło zadanie łatwe i wdzięczne dla aspiracyi karyerowiczowskiej. A spełniał je z tem większą skwapliwością, ile że w ten sposób każdy taki przybłęda biurokratyczny zaspokajał także głęboką zawiść, jaką zwykle przejmował się ku szlachcie, nie z samych tylko politycznych, lecz także i ze społecznych pobudek. Taki przybłęda bowiem miał wygórowane poczucie swojej władzy arbitralnej i swojej urojonej misyi cywilizatorskiej wobec zacofanej w jego wyobrażeniu Galicyi, a tymczasem przy bliższem zetknięciu się ze szlachtą dotkliwie uczuwał na każdym kroku swoją niższość kulturalną pod każdym względem, zaczawszy od wykształcenia, a skończywszy na formach towarzyskiego pozycia. Starał się więc tę upokarzającą niższość powetować sobie prostacką, wprost brutalną wyniosłością w zakresie czynności urzędowych, zwłaszcza wtedy, gdy miał przed sobą szlachcica w roli strony, szukającej wymiaru sprawiedliwości wobec poddanych występujących chociażby z najdzikszyemi uroszczeniami.

Z tą zawiścią do szlachty nie kryli się biurokraci, lecz, owszem, jawnie przyznawali się do niej, niemal w sposób chępliwym, jak gdyby w tem koncentrować się miał cały rozum stanu, cały patriotyzm austriacki. I tak naprzykład komisarz cyrkularny w Przemyślu, Tobiaszek, w sposób natarczywym tak perorował do chłopów: Nie dam spokoju tym dumnym panom, dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyć za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic, jeżdżący czterema końmi, o lasce chodzić nie będzie.

Jak rzadkiemi były dobre wyjątki, o tem świadczy fakt, aktami urzędowemi stwierdzony. Wkrótce po rzezi tarnowskiej umarł w Jasle tamtejszy komisarz cyrkularny, Banhölzel, którego nazwisko chłopie powszechnie przekręcali, niewiadomo, czy bezmyślnie, lub złośliwie, na Panhycel. Podczas pogrzebu Banhözlza, szlachta z okolicy, licznie zgromadzona, wzięła trumnę na barki i niosła ją aż do grobu. Fakt ten sprawił tak wielką sensacyę w świecie biurokratycznym, że gubernium Lwowskie, dowiedziawszy się o nim, zarządziło dochodzenie, i pewnem było, iż wyjdą na jaw dowody, jeżeli nie wprost zbrodniczego zachowania się Banhözlza w niedawnych wypadkach, to przynajmniej nielojalnego zasłaniania przestępców politycznych z grona szlachty. Badano więc urzędownie wszystko i wszystkich, zbierano zewsząd informacje o działalności urzędowej zmarłego komisarza, i pokazało się, że wszystkie powyższe przypuszczenia i osądzenia nie miały najmniejszej podstawy. Banhölzel był urzędnikiem nietylko lojalnym lecz nawet gorliwym, ale przytem i — sprawiedliwym, pełniącym swoje funkcye bez uprzedzeń i szykany. Jeżeli zaś Banhölzel był osobliwością w świecie urzędniczym, jeżeli sama

uczciwość, okazana nie wśród wyjątkowych stosunków w sposób heroiczny, lecz w codziennym toku spraw i w sposób tak normalny, że za regułę uchodzić powinna, wywołała aż demonstracyjne objawy czci i żalu; to sytuacja musiała być nad wyraz smutną. Ten jeden fakt charakteryzuje ją może lepiej, aniżeli cały szereg nadużyć.

Postępując w ten sposób wobec szlachty przed rokiem 1846, system rządowy w Galicyi tem samem formalnie propagował anarchię, podkopując wszelką powagę władzy u dołu, w gminach, więc wobec całej masy ludności. W ówczesnym bowiem państwa państwa ustroju dominia sprawowały administrację na jej najniższym szczeblu, a jakąż powagę mogła mieć ta władza, jeżeli dziedzica, od którego zależnym był, jako oficyalista, widomy organ tej władzy, mandatarjusz, łała jaki urzędnik cyrkularny, traktował w sposób tak zawistny i lekceważący, jak to powyżej wskazaliśmy? A do tego w ciągłym pościgu za rzeczywistymi i urojonymi emisaryuszami i spiskowcami władza rządowa, zwracając się bezpośrednio do chłopów o pomoc w czuwaniu i zapobieganiu, przedstawiała nie samych tylko dziedziców i zależnych od nich mandatarjuszów, lecz także proboszczów, wogóle księży, więc także czynniki ładu i porządku, jako wrogów państwa i rządu, spiskujących na jego zgubę, przygotowujących rzeź urzędników cesarskich po miastach, a chłopów po wsiach, o ileby w danej chwili nie chcieli połączyć się ze spiskowcami. Ponieważ równocześnie skrajne żywiły, mianowicie emisaryusze, z samobójczem zaślepieniem wyjawiali swoje szalone plany bezpośrednio przed chłopem, już poprzednio w cyrkulach do roli hajdamackiej nastrojowym, przyrzekając mu za uczestnictwo w planach spiskowych to samo, co mu przedtem komisarze cyrkulowi przyrzekali, jako nagrodę za wierność dla rządu, to jest ulżenie, a nawet zdjęcie całego ciężaru pańszczyźnianego; przeto z dwóch stron równocześnie było tlejące w duszy ciemnego ludu zarzewie instynktów anarchicznych, żądź, pokus i nienawiści klasowej. Podsycaly to zarzewie jeszcze i inne fatalne okoliczności, mianowicie wyjątkowy niedostatek po wsiach, jako następstwo nieurodzaju i ciężkich klęsk elementarnych, oraz rozchodzące się wszędzie potworne wieści o krwiożerczych wobec ludu zamysłach spiskowców, wieści tak alarmujące, że już samym ich wpływem nawet bez zbrojnego wybuchu owo zarzewie musiałoby wystrzelić słupem piekielnych płomieni mordu i pożogi. Jeżeli przed kilku laty, więc w pół wieku po tej smutnej dobie, w kilku powiatach zachodnio - galicyjskich, chłop, za wpływem wieści niedorzecznych, w oczach władzy i wojska aż do zaprowadzenia sądów doraźnych rzucał się na żydów, plądrował karczmy i kramy żydowskie, święcie o tem przekonany, że według rozpowszechnionych wieści jest na to pozwole-

nie cesarskie z aprobatą papieską; to jakżeż dziwić się, że w r. 1846 chłop, nieskończenie niższy od dzisiejszego pod względem ogólnej oświaty, a do tego społecznie i politycznie zdemoralizowany przez niegodziwych podżegaczy z firmą cyrkularną, przebrał wszelką miarę w pofolgowaniu swoim dzikim instynktom?

Że zaś przed katastrofą r. 1846, bądź to wprost z cyrkulów wychodziły, bądź tam milcząco tolerowane były wieści o blizkiem wkroczeniu zbrojnych oddziałów powstańczych dla wymordowania urzędników cesarskich i chłopów z nimi trzymających, o zniesieniu dziesięciorga przykazań boskich itp.; to wszędzie w swoim czasie uchodziło za fakt niewątpliwy, a władze wcale nie starały się dochodzić źródła tych wieści, chociaż w rok później z oskarżeniem śmiałym wystąpili w tej mierze niektórzy obywatele (Aleksander Fredro, Franciszek Trzeciecki i inni) przed objeżdżającym Galicyę, nadzwyczajnym komisarzem cesarskim, Rudolfem hr. Stadionem, bratem późniejszego gubernatora galicyjskiego, Franciszka hr. Stadioną. Jeden z tych oskarżycieli, Franciszek Trzeciecki, nie wahał się pisemnie, w memoryale wręczonym temu komisarzowi cesarskiemu, obwinieć funkcjonariuszy cyrkulowych o rozpowszechnianie powyższych wieści, żądając śledztwa i surowego ukarania winnych. Memoryał ten ugrzązł w aktach, a jego autora nie ścigano wcale za oszczerstwo.

Jeżeli się skombinuje wszystkie te czynniki rozstroju, które w przededniu katastrofy z r. 1846 zawichrzyły sytuację w Galicji, to trzeba-by cofnąć się daleko wstecz, a w każdym razie poza wiek XIX, aby znaleźć równie podatny grunt dla anarchicznego posiewu. Jeszcze dalej wstecz wypadło-by się cofnąć, żeby znaleźć taki straszny plon, jaki z posiewu tego urósł na gruncie galicyjskim w 1846 roku, taki dziki tłum, zbrojny w cepy, widły i kosy, żądny krwi i rabunku, świadomy swojej bezkarności, liczący nawet na nagrodę za swoje krwawe dzieło. Dzisiejsi socyologowie, kreślący fizyologię i psychologię tłumu, zgodni są w tem, tak na analizie rzeczowej, jak i na historycznej obserwacji opartem, twierdzeniu, że tłum wiejski jest daleko groźniejszy od miejskiego. Kiedy bowiem tłum miejski szybko się tworzy, ale i szybko rozprzega, jakby tuman kurzu wzbijający się za silniejszym podmuchem wiatru na ulicy i razem z tym podmuchać znikający; tłum wiejski zbiera się powoli i trudniej, ale skoro raz się zbierze, nabiera zaraz takiej siły odpornej, że nie rozbije się wobec pierwszej lepszej zapory, jak kapryśny z natury swojej tłum miejski, lecz łamie i druzgocze, jakby nieokielzana siła żywiołowa, wszystko, co mu w drodze stanie. Jak w sile swojej, tak i w srogości, tłum wiejski prześciga tłum miejski, bo kapryśna natura drugiego jest przystępniejsza dla refleksyi i uczuć, kiedy tymczasem

pierwszy upija się poczuciem brutalnej siły swojej i ślepo za nią idzie.

A siła zbrojna? Była ona w r. 1846 w Galicyi wcale wystarczająca, aby nie tylko stłumić w zarodzie wszelki wybuch zbrojny, lecz nadto w razie wybuchu nie dopuścić band chłopskich do krwawego rozgospodarowania się po dworach. Ale na czele tej siły stali w zachodniej Galicyi niedołężni wodzowie, jak generałowie Collin i Csollich, z których pierwszy po chwilowem zajęciu Krakowa, zaalarmowany wieścią o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, drapnął jakby pobity i rozbity, aż ku Wadowicom, a drugi zamknął się w Tarnowie i tak drżał na fałszywą wieść o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, że nawet wśród najstraszniejszych rzezi nie chciał wysłać asystencyi zbrojnej do wsi okolicznych. Nic lepiej nie charakteryzuje bezradności i niedołęstwa tych generałów, jak fakt, że kiedy w pierwszych dniach rzezi przybył na miejsce ze Lwowa podpułkownik Benedek, mógł chwilowo zauzurpować sobie komendę naczelną nad garstką żołnierzy i wielką czernią chłopską, z którą zmasakrował pod Gdowem nieliczny oddział powstańców. I takie zwycięstwo wystarczyło, aby opromienić smutnego bohatera aureolą, nietylko w swoim czasie przez sfery wojskowe z poklaskiem uznane, lecz i później ciągle odświeżane przez autorów oszczerczych niemieckich pamfletów o wypadkach galicyjskich z 1846.

Siłę zbrojną to tylko do pewnego stopnia tłómaczy, że pozostawiona była bez potrzebnych dyspozycyi. Nie wydano ich we Lwowie w porę, bo istny fatalizm zrządził, że tam w otoczeniu gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, i w gubernium, zapanowało niepojęte optymistyczne zaślepienie właśnie w chwili krytycznej, gdy sytuacja wymagała przyspieszenia środków zaradczych. Optymiści powoływali się na prezydenta gubernialnego, br. Kriega, który na sesyi jesiennej sejmu stanowego w r. 1845 obywateli poważnych, zwracających jego uwagę na niepokojące zachowanie się chłopstwa wobec szlachty z powodu obiegujących wieści spiskowych i innych, uspakał mniej więcej temi słowy, że chociażby przyjsć miało do jakiegoś rozruchu, to skończy się on po kilku dniach, a potem kraj będzie kilkadziesiąt lat zażywał zupełnego spokoju! Od jesieni r. 1845 niepokojące symptomy stawały się coraz liczniejsze i dobitniejsze, tak, że może optymizm br. Kriega byłby się zachwiały, zwłaszcza wobec faktu, iż relacye, otrzymane w styczniu 1846 roku od niektórych starostów cyrkulowych, ujawniały niepokój nawet w prowincjonalnych kołach biurokratycznych. Że jeszcze mimo to i wtedy optymizm przeważał w otoczeniu br. Kriega, tego dziś pojąć nie można. Prawie narzuca się podejrzenie, że br. Krieg, marzący o zajęciu stanowiska

gubernatorskiego, w duchu chętnie przyczyniał się do wszystkiego co mogło arcyksięcia Ferdynanda utrzymać w złudzeniu, a potem sprowadzić na drogę, wiodącą do skompromitowania się, więc w dal-
szej niechybnej konsekwencji do ustąpienia ze stanowiska gubernatorskiego. Jak dalece ludził się arcyksiężę Ferdynand co do stanu kraju, najlepszym dowodem fakt, że 18 stycznia 1846 r., a więc na miesiąc przed rzezią, odeszła ze Lwowa do Wiednia jego relacja, której treść temi słowy została zapisana w protokóle prezydyalnym: „Przypomnienie ¹⁾, że zbrodnicze plany rewolucyjnej propagandy, zmierzające do zakłócenia spokoju publicznego w Galicyi przez powstanie ludowe na teraz spełzły na niczem, i że co do spokoju i porządku w tej prowincyi obecnie nie zachodzi żadna obawa“. W Wiedniu relacji tej uwierzono zapewne z tych samych powodów, które we Lwowie, zamiast pobudzić do środków prewencyjnych, pod-
syciły tylko gnuśny optymizm. Rząd pruski bowiem, który wpadł na trop akcji spiskowej w Poznańskiem i wczesnem uwięzieniem osób podejrzanych pokrzyżował jej plany, o wszystkim doniósł zaraz rządowi austriackiemu. Widocznie uważano akcyę galicyjską za tak nierozdzielnie połączoną z akcyą poznańską, że udaremnienie ostatniej uchodziło za rękojmię spokoju.

Tak więc w chwili, gdy na widnokregu krajowym zbierały się dokoła czarne chmury, zwiastujące niechybną burzę, a na powierzchni życia publicznego już golem okiem dopatrzeć się dawały niepokojące zmarszczki i fałdy, które niebawem spiętrzyć się miały w straszne fale anarchii, sterownicy nawy krajowej wydali niejako hasło: *voque la galère!*

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

¹⁾ Wyraz ten stanowi w języku biurokratycznym sygnaturę dla aktów z własnej inicjatywy władzy wychodzących. (Przyp. aut.).

Wychodztwo polskie w Niemczech.¹⁾

Gdy weźmiemy mapę Prus wraz z Westfalią i prowincjami nadreńskimi, zauważymy mniej więcej w punkcie, gdzie stykają się ze sobą obwody regencyjne: Arnsberg, Dysseldorf i Monastyr (Münster), niezwykle zgęszczenie sieci kolejowej, świadczące o niezmiernie ożywionym przemyśle.

Widzimy tam w bezpośrednim sąsiedztwie obok siebie miasta Ruhrort, Recklinghausen, Essen, Gelsenkirchen, Dortmund, Bochum Duisburg, Elberfeld, Dysseldorf...

Wszystkie znane każdemu ze szkolnych podręczników geografii, jako siedziby niemieckiego przemysłu.

I w tej oto okolicy, gęsto usianej kominami fabrycznymi, poprzerywanej kolejami, jak żadna okolica w całych Niemczech, zasnutej gęstą mgłą dymu, zaludnionej pięć razy gęściej niż przeciętne zaludnienie w całym państwie niemieckim, — w okolicy w obrębie powyżej 35 mil kwadratowych zamieszkuje obecnie 180 tysięcy Polaków.

W zbitych masach znajdują się oni w następujących powiatach: Recklinghausen, Hamm, Dortmund, Ruhrort, Gelsenkirchen, Bochum, Hörde, Hagen, Schwelm, Hattingen, Essen, Duisburg, Mülheim, Elberfeld i Dysseldorf. Kolonie polskie sięgają z jednej strony poza obręb tych powiatów — w powiat monastyrski, a z drugiej — do Remscheid, Solingen, aż po Kolonię nad Renem.

Aby mieć pojęcie o rozmiarach tego wychodztwa, dość nadmienić, że np. w okręgu Gelsenkirchen górnicy Polacy stanowią więcej niż połowę wszystkich tam zatrudnionych górników wogóle. W innych okręgach, jak np. w Recklinghausen, Herne, Essen, Wattenscheid, liczba Polaków między górnikami przewyższa 40%.

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 66.

Są szyby nazywane krótko „polskimi“ dla wielkiej liczby pracujących w nich Polaków. Szybów tych jest 19. Z pomiędzy nich szyb „Pluto“ w okręgu Gelsenkirchen posiada przeszło 70 proc. Polaków, a szyb „Eward“ w okręgu Recklinghausen—przeszło 80 procent Polaków.

Na wyjątkowy ten napływ górników polskich do niektórych szybów składają się rozmaite okoliczności. Powyższe dwa wymienione już przez samą potężną liczbę górników polskich zyskują wyjątkową siłę atrakcyjną dla nadpływających świeżych sił roboczych polskich. W innych znowu szybach dopływ robotników Polaków zawdzięczać należy bezpośrednio szybkiemu rozwojowi kopalni, dzięki napotkaniu niezwykle obfitych pokładów. W ten sposób wyłómaczyć sobie można, dla czego oddawna istniejące kopalnie w południowych powiatach okręgu przemysłowego mniej liczą Polaków, niż położone na północo - wschód, których nagły rozwój datuje się od niedawna.

Zdarza się, że po otworzeniu nowego szybu w miejscowości dotychczas niezaludnionej polskimi wychodźcami, jak z pod ziemi wystają całe zwarte osady polskie.

Wogóle wychodztwo polskie potrafiło niektórym miastom i osadom nadać pewien odrębny charakter, który występuje najjaskrawiej przy zmianie szycht, lub naturalnie w święta, gdy górnicy nie pracują w kopalniach.

Po nabożeństwie lub w porze południowej, gdy zbliżają się nieszpory, wśród licznych gromadek, uwijających się po ulicy lub starym zwyczajem zbierających się przed kościołem, słychać prawie wyłącznie polską mowę i na chwilę ulega się złudzeniu, że to wcale nie Westfalia, lecz jakieś miasteczko w Księżtwie. W małych miasteczkach, liczących po parę tysięcy mieszkańców, mieszka nieraz przeszło tysiąc górników polskich z rodzinami: w Buer—1952 górników Polaków; w Bottrop—1,971; a w okolicy najbliższej po wsiach i koloniach ze trzy tysiące; w Bickern—1890; w Baukau — przeszło tysiąc, w Bruchu Polacy stanowią więcej niż połowę parafian katolików; w Dortmundzie naliczyć ich można do tysiąca, a w najbliższych osadach i koloniach podmiejskich mieszka dwa razy tyle, w Eickel, Herne, Hortshausen, Herten, Katernberg, Oberhausen, Röhlingshausen, Schalke, Ueckendorf, Wattenscheid, Werne—mieszka przeszło po tysiąc górników z rodzinami.

Wymienione miejscowości należą do rzędu osad miast, jak np. Essen, gdzie ludność polska, aczkolwiek liczna (w Essen i najbliż-

szej okolicy, w obrębie parafii,—3,000 górników) znika wobec przeważającego stosunku liczebnego Niemców. Ale trzeba zajrzeć do statystyki specjalnej, aby zliczyć te wszystkie małe osady i wioseczki, które—licząc ogółem do tysiąca mieszkańców, a nawet mniej, mieszczą po 200—300 rodzin polskich górników.

Zarówno większe, wymienione powyżej osady, jak i mniejsze kolonie robotnicze, zawdzięczając powstanie swe nagłemu rozwojowi przemysłu, noszą już na swej powierzchowności wyraźne znamię celów, dla których mają służyć. Szeregi niezbyt wysokich dwupiętrowych kamienic z czerwonej nietynkowanej cegły ciągną się równoległymi liniami, nużąc swą jednostajnością oko. Na ścianach domu zalega powłoka gęstego, czarnego kurzu i pyłu, która ścieka czarnymi smugami do rynsztoków, gdy ją deszcz splócze. Przed domami bardzo często brak trotuarów. Na chodnikach i na środku ulicy jednakowy niewyszukany bruk. Wychwalana pruska czystość nie istnieje. Z okien domów padają różne śmiecie na ulicę.

Ruchu ulicznego niema, chyba o pewnych porach, gdy odbywają się donośne świstawki fabryczne, zwalające robotników do pracy i w wieczór oznajmujące im koniec roboty. O tych dwóch porach na ulicy rojno i gwarno. Jeszcze szaro, lub zupełnie jeszcze ciemno na dworze, gdy po domach zaczynają się ukazywać światełka w oknach a po chwili szybkim krokiem pośpieszają z rozmaitych stron robotnicy, w jednym i tym samym kierunku, ku wejściu do szybu, gdzie się odbywa kontrola przychodzących do pracy, gdzie każdy górnik bierze swoją latarkę, i gdzie oczekuje robotników winda, aby ich zawieźć w podziemia.

Przez dzień cały, prócz rozgadanych kumoszek i sąsiadek wadzących się lub znoszących sobie plotki, i prócz dzieci bawiących się całymi godzinami na ulicy, obok cuchnących rynsztoków, nie znać żadnego ruchu.

Potem znów rozlega się głos świstawki po ukończeniu pracy, ta sama winda wywozi na powierzchnię górników, gdzie się myją i przebierają w ubrania, w których przyszli rano.

W bramach i sieniach domów oczekują wracających żony. Następuje kolacja, która dla ojca rodziny jest najczęściej obiadem. Potem wieczór wolny, który zmęczeni całodzienną pracą najchętniej przepędzają w domu.

Wyplata odbywa się co miesiąc od 20—26. Pomiędzy 9—11 wydaje kasa zaliczki, sięgające połowy zarobku.

Sobota jest uprzywilejowanym dniem zabawy, pijatyki bójek, i awantur. Żony wiedzą, że znaleźć można spażniających się mężów w szynkowniach. Gdy matka rodziny chora, lub z innych przyczyn męża szukać nie może, zjawia się nieraz w szyku chłopiątko lub dziewczynka, zaledwie odrosła od ziemi.

— Ociec, chodźta do matki! — woła chłopiec i ciągnie ojca za rękaw.

— A dać mu tam „glas“ śnapsa, niech sobacza nie przeszkadza! — mówi który z towarzyszków.

Aż wreszcie 8—10 letnie dziecko prowadzi do domu ojca, który się tacza i opiera się na dziecku, aż biedactwo w pałąk się zgina.

Sobotnie pijatyki nie rzadko kończą się bójkami, w których rolę używany tu „Hampelmann“ — krótki gruby pręt z twardej gumy, z wprawionym wewnątrz kawalkiem żelaza. Jest to broń, za pomocą której przetrąca się kości, a w najgorszym razie zabija. Dla tego też bójki sobotnie mają często epilog — w więzieniu.

W zawodzie górniczym rozróżnić należy trzy rodzaje zajęcia. Oprócz właściwych górników, jest w każdej kopalni węgla cała armia pracujących na powierzchni robotników i rzemieślników, zajętych sortowaniem węgla, przesiewaniem miała, ładowaniem itd. Osobny dział stanowi — będąca oczywiście na powierzchni — koksownia i fabryka chemiczna.

Robotnicy i rzemieślnicy zarabiają rozmaicie, według swej roboty, począwszy od 3 marek dziennie. Są to — obok robotników — mularze, cieśle, stolarze, ślusarze, kowale itd.

Górnicy przy szacheicie na powierzchni pracują 8 godzin dziennie, w głębi kopalni też po 8 godzin, natomiast zwykli robotnicy pracują po 12 godzin.

W koksowni są rozmaite rodzaje zajęcia i odpowiednio do tego unormowane płace, począwszy od dwóch marek 80 fenigów aż do 4 marek. W chemicznej fabryce skala robotników ta sama. Co do górników we właściwem tego słowa znaczeniu — to dzielą się oni na trzy klasy.

Pierwszy stopień zajmują hajerzy i ich pomocnicy (Lehrbauer, zwani lerhajerami).

Ci wykuwają węgiel kilofami i pobierają wynagrodzenie akordowe „Gedinge“ — od każdego wózka węgla, którego dostarczą. Zarobek przeciętny dosięga 5 marek na dzień, przy szczególnej pracy wy-

nosi 6 marek, a nierzadko w razie sprzyjających warunków (łatwość odłupywania węgla), dosięgnie i siedmiu marek. Ale potrzeba do tego mieć, jak mówią górnicy— „szczęście górnicze“. Przy wynagrodzeniu nie na akord zarobek wynosi 3.5—4.5 marek.

Oprócz tych hajerów są jeszcze hajerzy i ich pomocnicy w reparatorze, oraz hajerzy „w kamieniu“. Jest to drugi stopień pracy górniczej. Hajerzy pracujący w reparatorze budują rusztowania, umocowują słupy podtrzymujące sklepienia i ściany przechodów i ulic, poprawiają nadwątlone słupy—jednym słowem zastosowują się zupełnie w swej pracy do potrzeb pracujących w zakładach węglowych hajerów.

Inny wymieniony powyżej rodzaj hajerów „w kamieniu“ ma pracę najniebezpieczniejszą, ale też najwydatniejszą. Poszukują oni miejsc obfitujących w węgiel, nowe w pokładach węgla ryją przejścia, kruzganki i przecznice. Ci zarabiają najwięcej—bo 5 marek 50 fen. do 6 marek 50 fen., a w niektórych kopalniach więcej. Pracują 6 godzin.

Jak widzieliśmy, wszystkie rodzaje hajerów — i tych od węgla lub kamienia, i tych niższego rzędu, z reparatorzy, — mają pomocników. Czas trwania praktyki obliczony jest na trzy lata, z których rok ostatni przypada na pracę pod bezpośrednim dozorem hajera. Dostają oni 3 marki 50 fenigów do 4 marek 50 fenigów, gdzieindziej i akord.

Z zarobku tych pomocników fabryka potrąca 20%, które płyną do rozmaitych specjalnych funduszków.

Trzeci, najniższy rodzaj pracy górników mają szleperzy i „koniarki“, tj. poganiacze koni przy wózkach górników. Ci ładują węgiel i kamień na wózki i odwożą do windy, która wydobywa je na powierzchnię.

Wszyscy pracują z wypowiedzeniem na 15-go każdego miesiąca.

Poganiacze koni rozpoczynają pracę od lat 16 zarobkiem 1 mar. 80 fen. dziennie, który wzrasta do 2 marek 80 fen.

Podawacze pobierają 2 m. 50 fen. do 3 m. 50 fen. stosownie do pracy i fizycznego uzdolnienia.

Naturalnie, że wychodzący polscy rozpoczynają pracę w kopalniach od tych najniższych stopni. Są koniarzami i szleperami pod ziemią, na powierzchni zaś ładują i przesiewają węgiel, przystosowują deski i pale do potrzeb i według wskazówek hajerów.

Prawie we wszystkich kopalniach westfalskich zarządy kopalni budują dla robotników—przeważnie dla przybyszów z Polski—szeregi domów mieszkalnych, czasami nawet wręcz osobne kolonie. Koszta wynajmu są niewielkie. Za jeden pokój na parterze płaci się 4 m., za takiż pokój na pierwszym piętrze—3 m. 50 fen., na drugim 3 m. Do tego należy chlew lub komórka na podwórzu, piwnica i ogródek, a raczej mała działka kwadratowa z kilku drzewami i miejscem na altankę i parę zagonów.

Rodziny polskie o ile nie są bardzo liczne, wynajmują 3 lub 4 pokoje, niektóre zaś mają 5 tj. 4 pokoje i kuchnię. Domy tak są zbudowane, aby dla każdego lokatora było osobne wejście z sieni. Wodociąg i zlew mieści się oczywiście w kuchni albo przy jednej lub dwóch izbach mieszkalnych—w sieni.

Stosunki pomiędzy górnikami Polakami a Niemcami nie są co prawda naprężone, ale nie należą do najlepszych. Już sama ta okoliczność, że przychodzić Polak, dopóki się nie obezna z położeniem, inaczej, a mianowicie bardziej patryarchalnie zapatruje się na swój stosunek do pracodawcy, źle usposabia dla Polaka jego niemieckich towarzyszków. Uważając siebie za pewnego rodzaju arystokrację robotniczą, Niemcy skłonni są widzieć w swych polskich towarzyszach barbarzyńców, stojących na daleko niższym stopniu kultury społecznej. Głęboka religijność, cechująca polskiego wychodźcę w Westfalii, obojętność wobec ruchu socjalno-demokratycznego, zacieśniony horyzont pojęć, którego, podług wyobrażeń Niemca, nie rozszerza należenie do polskiego towarzystwa, wszystkie te okoliczności składają się na to, aby kolegę Polaka—skoro już jest istotnie niezbędnym wobec braku sił roboczych,—uważać przynajmniej za niższy jakiś rodzaj, przeznaczony do podrzędnych i gorzej wynagradzanych prac zawodowych. Górnik Polak wprawdzie nie psuje cen pracy i przez dobrowolne obniżenie wysokości zarobków nie szkodzi kolegom Niemcom, ale jednak robi im w tem znaczeniu konkurencję, że nieraz z uszczerbkiem dla zdrowia pracuje sumiennie wśród najtrudniejszych warunków, które Niemców powodują do ustąpienia; przytem górnicy niemieccy są przekonani, że, gdyby nie Polacy, wysokość zarobków jeszcze bardziej-by się podniosła, jak to było np. w r. 1870.

Wszystkie te okoliczności, do których doliczyć należy i nieznamość języka niemieckiego u Polaków, przez to trudność porozumienia się z Niemcami poza pracą,—wszystkie te okoliczności razem wzięte wytworzyły pewien antagonizm.

Jak się zdaje, antagonizm ten w połączeniu z ogólnym prądem anty-polskim doprowadził w r. 1899 do wydania policyjnych przepisów dla mówiących obcym językiem górników. W myśl tych przepisów robotnicy, nie władający wystarczająco językiem niemieckim w mowie, w czytaniu i piśmie, nie mogą być zatrudnieni w pewnych, wyszczególnionych w rozporządzeniu policyjnym, rodzajach pracy. Rodzaje te naturalnie należą do najlepiej płatnych.

Na wielkim wiecu górników polskich, który się odbył dnia 5 marca 1899 r. w Bochum, zaprotestowali Polacy przeciw temu wyłączeniu ich z lepszych rodzajów zajęcia. Padły tedy ze strony polskich mówców słowa, świadczące, że górnik polski w Westfalii nie na darmo przeszedł pół Europy za chlebem i rozszerzył swój widnokrąg. Powiedziano tam: „Jeśli kto z nas istotnie będzie musiał opuścić swe miejsce wskutek policyjnego rozporządzenia, to stoją przed nami otworem kopalnie w Anglii, w Niderlandach, w Ameryce! Czy mieszkamy na obczyźnie w Prusach, czy za obrębem Prus—to wielkiej różnicy nie stanowi, o ile wogóle musimy mieszkać poza granicami kraju. Przed nami stoi świat otworem.“

Jak się zdaje, przepis policyjny, zagrażający w znacznej części interesom przedsiębiorców, żadnych doniosłych skutków nie wywołał.

Rząd już poprzednio kilkakrotnie próbował za pomocą policyjnych przepisów utrudnić Polakom pobyt w kopalniach westfalskich, jednak zawsze bezskutecznie.

W r. 1892 egzaminowano Polaków z języka niemieckiego w kilku kopalniach. Ale ekonomiczna konieczność, jednakowo silnie przemawiająca i w robotniku polskim, poszukującym pracy, i we właścicielach kopalni, poszukujących robotników, nie dała się ująć w żadne formułki i paragrafy policyjnych zakazów.

Wiec polskich górników zakończył się żądaniem, żeby ważniejsze przepisy zarządy kopalni ogłaszały i po polsku, oraz życzeniem, aby więcej inteligentnych Polaków obierało zawód górniczy i uczęszczało do akademii górniczej, co doprowadzić-by musiało do tego, że i wśród dyrygujących robotami kopalni urzędników znalazł-by się procent Polaków, odpowiadający ich procentowi wśród prostych robotników górniczych.

Przejście stosunku robotnika do pracodawcy, z prawie patryarchalnego w kraju, do fabrycznego — w Westfalii, dokonało się w polskim robotniku zbyt nagle, przeskok jest zbyt silny, aby nie

miał, obok stron dobrych, wywołać i bardzo ujemnych. Widzieliśmy powyżej te dobre; widzieliśmy, jak rozszerzył się widnokrąg robotnika polskiego, z jaką pewnością siebie on mówi: świat stoi przede mną otworem.

Pójdźmy w tym kierunku o krok dalej, a napotkamy strony ujemne. To przekonanie, że „świat stoi przed nim otworem“ napelnia robotnika polskiego zbyt wielką pewnością siebie, nieraz lekceważeniem miejsca i sprowadza niepożądane dla przedsiębiorstw fluktuacje robotniczych drużyn. Są górnicy, którzy z amatorstwa chyba co parę miesięcy wędrują od jednej kopalni do drugiej, robiąc sobie rodzaj sportu z częstej zmiany miejsca, lekceważąc pracę wszędzie.

Pod względem pijaństwa i świętowania poniedziałków Polacy nie ustępują Niemcom, aczkolwiek ich w tem nie przewyższają

Świętowanie poniedziałków (t. zw. Blaumontag), jest w tak powszechnem użyciu u Polaków i u Niemców, że zarządy kopalni mają co poniedziałki poważne kłopoty.

Wyprawienie hucznego wesela i połączonej z niem pijatyki uważanem jest za punkt honoru młodego małżeństwa, choćby w tydzień po ślubie musiało się ono zadłużać u kupców „na książkę“. Największa rozkosz, jeśli na wesele można dostać dudy. Wtedy zabawa trwa hucznie, rojno, przez całą dobę.

Dzięki nawoływaniu prasy polskiej i dzięki wyrobionemu przez towarzystwa polskie na obczyźnie przekonaniu, że Polak pod żadnym pozorem nie powinien zawierać małżeństwa z Niemką, liczba małżeństw mieszanych jest stosunkowo nieznaczna, jeśli się zważy, że emigrująca ludność polska należy w większej części do klasy młodzieży w okresie zawierania związków małżeńskich. W okręgu górniczym dortmundzkim, w którym liczbę Polaków górników na podstawie niemieckich źródeł obliczyliśmy na 42,000, liczba żonatych z Niemkami wynosi najmniej 15%, najwięcej zaś 22%, a więc około 10,000.

Jak wiadomości z ostatnich miesięcy zgodnie potwierdzają, liczba wychodzców stale wzrasta.

Na ten objaw składają się najrozmaitsze przyczyny.

Obok wysokiej skali zarobkowej, wyższego poziomu życia i wygod, oraz wywierającego na wychodzców magiczną siłę przyciągającą poczucia niezależności ekonomicznej, jednym z powodów masowego napływu ludu polskiego do westfalskich kopalni jest krótkość trwania pracy. T. zw. szychty ośmiogodzinne wymagają wprawdzie większego natężenia sił w czasie trwania pracy, ale za to pozwalają robo-

tnikowi na staranne umycie i ubranie się, gdy pracę skończy, dają w zwiększonym stosunku możność korzystania z wygod życia rodzinnego, pozostawiając czas na zajęcie się wychowaniem dzieci.

To są wszystko momenty niezmiernie ważne, które decydują w większości wypadków o wyemigrowaniu z kraju.

Jakkolwiek poważna większość wychodźców polskich, którzy przebywają w prowincjach nadreńskich, trudni się pracą w kopalniach, to wszakże niemało ich znajduje zarobek i w rozmaitych fabrykach, przeważnie wyrobów żelaznych, i w lejarniach, których w tej niezwykle ożywionej prowincyi Niemiec nie brak.

Praca w fabrykach trwa 12 godzin, tj. od 6 rana do 6 wieczór. Co do wysokości zarobku, to naturalnie nie da się on przeciętnie obliczyć, są bowiem z natury rzeczy rozmaite rodzaje zajęcia, a zatem i rozmaite skale zarobków. Za regułę jednak uchodzi, że praca w fabryce nie przynosi mniej od 3 marek, a więcej niż 5 m. na dzień. Po większej części praca w fabrykach należy do najcięższych i wymaga nietylko przygotowania fachowego, ale i sił fizycznych połączonych z wytrzymałością.

Zarobek w fabrykach nadreńskich wynosi dla początkujących najmniej 12 m. tygodniowo i dochodzi do 25 m.

I tu przeprowadzona jest różnica pomiędzy zarobkiem akordowym a dzienną płacą. Na akord robotnik w fabrykach żelaznych zarabia 6 m. do 6.50 fen. dziennie, zaś płaca nie akordowa wynosi 3 m., najwyżej 4 m.

Wogolności wychodźcy nasi najwięcej pracują w kopalniach i w przemyśle fabrycznym górniczym. Następnie postawić można huty, fabryki mozaik, betonów i smołowcowych tektur na dachy.

Bije jednak odrazu w oczy, że w przemyśle tkackim stosunkowo bardzo nieliczni wychodźcy znajdują zatrudnienie. Przypisać to należy zapewne tej okoliczności, że przybywający ze stron polskich wychodźcy poszukują takich rodzajów zatrudnienia, które niejako nazajutrz już po przyjeździe dać im mogą utrzymanie, taktwo zaś wymaga praktyki i fachowego obeznania się, którego przybyśsze nie mają możności nabyć. Powtóre zaś przemysł górniczy, hutniczy lub żelazny, cierpi na brak sił roboczych, to zaś w tak znacznych rozmiarach nie daje się uczuć w tkackim przemyśle.

Znaczna liczba Polaków w prowincjach [nadreńskich] pracuje przy t. zw. robotach ziemnych, t. j. kładzeniu rur wodociągowych, przeprowadzaniu ulic, kanałów itd. Jest to praca bardzo ciężka i niezdrowa. Zarobek wynosi od 15 do 27 m. na tydzień.

W nadreńskich prowincjach przy tych robotach napotyka się prawie samych tylko Polaków i Włochów. Niemców chyba tylko jako dozorców. Praca trwa w lecie od 5 rano do 10 w wieczór, a często i do 12 w nocy. W tych razach praca liczy się na godziny i wynosi 25—30 fen. za godzinę. W niedzielę i święta przerwy w pracy niema.

Znaczna liczba też pracuje w cegielniach. Zarobek wynosi 25—30 fen. za godzinę. Praca ta zupełnie rujnuje zdrowie. Biorą się do niej tacy, którzy w danych zawodach chwilowo miejsca znaleźć nie mogli.

Pogląd na wychodztwo polskie w Westfalii i Nadrenii nie byłby zupełny, gdybyśmy pominęli fakt zasługujący na uwagę, jako nader znamienny, a mianowicie, że aż do Westfalii dochodzą zagony, które zapuszcza wychodztwo sezonowe rolne.

W okolicach Paderbornu po wszystkich niemal dworach pracują polskie dziewczuchy wiejskie i polscy parobcy. Dochodzą tu aż galicyjscy wychodźcy i nieświadomi stosunków (bo dopiero zaczynają sobie drogi torować), nierzadko narażają się na kłopoty z policją i stratę czasu i pieniędzy.

Fakt, że wychodźcy sezonowi zachodzą aż do Westfalii, świadczy, że wzmagający się ruch przemysłowy absorbuje ludność niemiecką w produkcji fabrycznej, każąc jej posługiwać się przy roli ludności przychodnią. Taka sytuacja każe naturalnie przypuszczać, że ruch ten coraz bardziej wzmacniać się będzie, podsycając też i napływ osiadających na stałe wychodźców.

V.

Wychodźcy polscy w środkowych Niemczech.

(Saksonia, Prowincya Saska, Brunświk, Hanower, Anhalt).

Źródeł do statystyki Polaków, rozsianych po Niemczech,—niema. Dla Westfalii, która wykazuje zbite masy polskich przybyszów, przeprowadzenie takiej statystyki było rzeczą niezbyt trudną, zarówno z powodu jednakowego sposobu zarobkowania, jak i dzięki stosunkowo małemu terytoryum. W innych prowincjach Niemiec Polacy

nie osiedlają się w tak zwartych masach, lecz rozproszeni są po całej olbrzymiej przestrzeni; dziesiątki tysięcy ich nikną bez śladu wśród milionów niemieckiej ludności; nie oddają się jednemu i temu samemu zawodowi, lecz pracują we wszystkich działach produkcji ekonomicznej. Przedstawiają sobą przytem dwa zasadnicze typy i trzeci — pośredni.

Typ pierwszy—to robotnik fabryczny, kupiec lub rzemieślnik, który stale przebywa na obczyźnie w miejscu swej produkcji.

Typ drugi—to robotnik sezonowy rolny (obieżysas), który przybywa na wiosnę wobce strony, a w jesieni wraca do kraju. Zdawałoby się, że typ ten dość dużo posiada kontrastów w stosunku do emigracji stałej, aby go można pominąć, a raczej wyosobnić, gdy mowa o emigracji stałej miejskiej. A jednak tak nie jest. Obieżysas, mając sposobność przyjrzeć się na obczyźnie innym gałęziom produkcji, nierzadko przechodzi od roli do przemysłu, lub szuka zajęcia wogóle w mieście. Nośnienie ciężarów, wyładowywanie i naładowywanie berlinek, roboty kanalizacyjne i ziemne, wreszcie zajęcia fabryczne, do których nie trzeba specjalnego uzdolnienia, oto teren jego nowej działalności. Ale przechodząc od roli do tych innych gałęzi przemysłu, wychodząca ten w większości wypadków zachowuje swój dawny rys charakterystyczny i zasadniczy—pobyt sezonowy. W jesieni wraca do kraju. Roboty ziemne mają też swój sezon, niemniej jak budowanie domów i fabrykacja cegieł, nawet fabryki wyrobów żelaznych itp., są w pewnych gałęziach produkcji zależne od pory roku. Po sezonie następuje zimowa cisza i czasowe ograniczenie produkcji. Mamy więc oprócz ludności stałej z jednej, a obieżysasów z drugiej strony—jeszcze trzeci, pośredni typ: robotnika fabrycznego miejskiego, który co rok powraca do kraju. Tak jest w całej Saksonii i w Prowincyi Saskiej Prus.

Oczywiście przysparza to niezmiernie trudności w jakichkolwiek obliczeniach statystycznych i wszelką dokładność czyni zupełnie iluzoryczną, wprowadzając do obliczeń czynnik niestaly, podległy ciągłym wahaniom i fluktuacyom. W obliczeniach liczby ludności trzeba było polegać z jednej strony na informacjach przygodnych korespondentów, uzupełniając, lub kontrolując podane przez nich liczby za pomocą dedukcyi z liczby członków towarzystwa polskiego, które w danej miejscowości istnieje.

Z powodów podanych już poprzednio, a popartych spostrzeżeniami z praktyki, oznaczyliśmy wykładnik odnośny nie na 1.10, jak w Westfalii, lecz na 1.20.

Na tej kruchej zresztą podstawie obliczając, dochodzimy do wniosku, że liczba ludności polskiej w Saksonii, Brunświku, Hanowe-

rze, w Księstwie Anhalckiem, Prowincyi Saskiej i innych częściach Prus (z wyjątkiem wielkich miast i Westfalii), wynosi około 150 tysięcy głów.

Rozpatrując kwestyę wychodztwa polskiego w tych prowincjach, pamiętać na każdym kroku winniśmy, że sezonowy robotnik rolny z prowincyi polskich jest wszędzie, w każdej niemal miejscowości, zjawiskiem codziennem i że on stanowi niejako tło, jest społecznym podkładem wychodztwa polskiego, na stałe osiadłego w miastach i osadach. Zdaje się też, że ten robotnik rolny, w wielkiej masie przebywający wszędzie, jest w pewnej mierze przyczyną niezmiernie niskiej skali zarobkowej w innych działach produkcji, mianowicie w fabrykach i kopalniach. Przedewszystkiem do środkowych Niemiec zastosować można niezmiernie charakterystyczne słowa, w jakich zamknął swe spostrzeżenia jeden z korespondentów z Prowincyi Saskiej: „Na wszystkie strony pełno tutaj fabryk, a wszędzie Polaka, jak żyda wiecznego tułacza, znaleźć można, zarówno w fabrykach, jak i przy sezonowej pracy na roli“.

Przyjrzyjmy się teraz ekonomicznym warunkom bytu naszych wychodzców, pracujących w przemyśle górniczym i fabrycznym w Prowincyi Saskiej i Saksonii.

Wielki ruch przemysłowy grupuje się na linii: Magdeburg-Bernburg i Köthen, Lipsk i Merseburg, aż po Chemnitz (Kamienicę) i Zwickau, a potem w bok wzdłuż czeskiej granicy, Freiburg, Drezno, Budziszyn (Bautzen).

Na tym obszernym terenie przemysłowym rozgościły się nietylko rozmaite gałęzie przemysłu fabrycznego, ale i przemysł górniczy. Jedna obok drugiej leżą osady fabryczne, koncentrując robotniczą ludność. W całym tym rejonie napotykamy w bogatych zakładach przemysłowych i pierwszorzędnych fabrykach koszarowy system utrzymania robotników.

Robotnik nieposiadający jeszcze żadnych zawodowych kwalifikacyi zarabia 2 marki 20 fen. do 2 marek 50 fen. dziennie. Majstrzy i wogóle wykwalifikowani robotnicy pobierają 3 marki 50 fen. do 3 m. 75 fen.

Jeżeli robotnik mieszka w koszarach fabrycznych, to płaci za utrzymanie 60 fen., a w mieście, jako lokator [innych robotników], płaci 1 m.

W koszarach za 60 fenigów dziennie dostaje łóżko żelazne z siennikiem, dwie dery do przykrycia, ręcznik, szafę wojskową na rzeczy, mydło, ciepłą i zimną wodę, dwa razy na tydzień sposobność do kąpieli w łaźni, oraz pożywienie według następującego regulaminu:

Dzwonek budzi wszystkich rano kwadrans przed piątą. O piątej zwołuje dzwonek na pierwsze śniadanie, które się składa z dwóch filiżanek kawy i mlecznej bułki. Robotą zaczyna się o w pół do szóstej i trwa do ósmej. O ósmej rano drugie śniadanie — kawa gorąca i chleb w dowolnych porcjach. O w pół do dziewiątej zaczyna się znów robota i trwa do 12.

Na obiad dostają robotnicy w niedzielę, wtorek i czwartek $\frac{1}{3}$ funta mięsa z kartoflami, z kapustą i grochem i t. d., w inne dnię potrawy z samych jarzyn, jak groch, ryż, soczewica, groch strączkowy itd. O czwartej po południu kawa i chleb, o w pół do piątej rozpoczyna się znów robota i trwa do w pół do siódmej. O w pół do siódmej kolacya, składająca się w niedzielę, wtorek i czwartek z $\frac{1}{6}$ funta kiełbasy oraz chleba, w inne dnię—ze śledzia z kartoflami lub kartofli z olejem. Oprócz tego robotnik lub robotnica dostaje na tydzień $\frac{1}{2}$ funta smalcu i $\frac{1}{2}$ funta margaryny.

Regulamin powyższy, wzięty z fabryki płyt majolikowych w Zahna, naturalnie nie we wszystkich szczegółach może być uważany za typowy, lecz tylko w głównym zarysie. Gdzienigdzie, zwłaszcza w wielkich miastach system koszarowy nie da się przeprowadzić tak łatwo i z obustroną korzyścią, jak w mniejszych osadach. Wtedy naturalnie spotykamy nieco wyższą skalę płacy.

Przy systemie koszarowym i tak niskiej opłacie za utrzymanie, robotnik, po odciążeniu kosztów utrzymania, składki inwalidowej i polisy na wypadek nieudolności do pracy, otrzymuje co dwa tygodnie (wypłata odbywa się co dwa tygodnie) około 20 marek do dyspozycji.

Są przytem zazwyczaj dwie kasy chorych: jedna powiatowa rządowa, a druga fabryczna. Do każdej musi robotnik co dwa tygodnie uiszczać 20 fenigów przymusowej składki. W razie choroby, poświadczonej przez doktora fabrycznego, dostaje, począwszy od 3-go dnia, 75 fenigów dziennie z każdej kasy, razem więc 1 marka 50 fenigów.

Robota jest po większej części maszynowa.

W fabrykach tkackich, żelaznych, chemicznych i t. d. panują powszechnie podobne warunki bytu i pracy, oraz zbliżona skala zarobkowa.

Przy wielkiej oszczędności małe mający potrzeby wychodzą polski jest w stanie uciąć trochę grosza. Korespondenci też zgodnie donoszą, że pomimo ogólnych skarg na niskie płace, rok rocznie wraca niejedyn w strony rodzinne, zebrawszy sobie przez ciąg dwuletniego, lub trzyletniego pobytu, fundusik wystarczający na spła-

tę długów lub udziału, obciążającego przeciętne gospodarstwo włościańskie.

Natomiast w hutach szklanych i cegielniach, gdzie pracują w Saksonii tysiące Polaków, zarobki są nędzne i warunki pracy zazwyczaj bardzo przykre. Zwłaszcza praca w cegielniach nadwęża niesłychanie siły i zdrowie wychodzców. W lecie praca rozpoczyna się o 5 rano i trwa do 8 w wieczór. Jeden robotnik polski obsłużyć musi zazwyczaj dwóch tak zwanych strycharzy, tj. dostarczać im gliny, piasku i wody. Strycharze niemieccy zarabiają dziennie po 9—10 m., a dają robotnikowi 1.50 m. tj. 3 m. dziennie. Rzadko który wytrzyma przy tej pracy dłużej, jak miesiąc jeden. W kopalniach są warunki pracy nieco lepsze. Na szychtę wynoszącą 13 godzin, zarabia robotnik do 3.50 m. dziennie, a nawet 4 m., ale to zdrowiem przypłaca.

Co do pochodzenia wychodzców polskich w tym przemysłowym rejonie, to stosunkowo więcej niż w Westfalii znaleźć tu można wychodzców z Królestwa i z Galicyi, naturalnie pomiędzy stałą ludnością fabryczną.

Przeważnie jednak Księstwo, jak tam, tak i tu, dostarcza przede wszystkim emigrantów. Procent z Prus Zachodnich i ze Śląska jest mniejszy niż w Westfalii.

Nie brak też i Mazurów-ewangelików. Podczas, gdy w Westfalii, będąc w wielkiej liczbie tworzą oni odrębną organizację, mało mają styczności z katolikami Polakami i mają pastoryzację w polskim języku, w Saksonii i Saskiej Prowincyi Prus zupełnie się wcielają do ogółu wychodztwa polskiego. Korespondent z pewnej małej fabrycznej osady w Saksonii podaje taki charakterystyczny przykład:

„Mamy tu też kilku Mazurów ewangelickiego wyznania, którzy ani słowa po niemiecku nie rozumieją. W jedną niedzielę poszli też do Wittenbergu do swego kościoła (osada nie ma kościoła), lecz ogromnie się na Niemców oburzyli, bo ani słowa po polsku nie usłyszeli w owym luterskim kościele. W następną niedzielę przyszli do naszego kościoła, gdzie, gdy usłyszeli ewangelię po polsku czytaną, dwaj mazurzyśka aż się pobeczeli z rozrzewnienia i radości. Jeden z nich wyraził się do nas: Tutaj można przynajmniej słowo po mazursku usłyszeć, a tam to jeden wlaźł na ambonę i gada, jakby miał kluskę w gębie, albo co—i człek ani słowa nie rozumie.

Chodzą tedy do kościoła razem z nami, a my ich przygarnęli, jako braci“.

Charakterystyczną cechą wychodztwa polskiego do tych przemysłowych okolic jest znaczny procent dziewcząt polskich, których zapotrzebowanie, zwłaszcza w fabrykach tkackich i w fabrykach pa-

pieru, złóceń i skórzanych wyrobów, wzrasta z dniem każdym. Warunki pracy równie złe jak opisane powyżej w Westfalskich i nadreńskich fabrykach.

Stosunki pomiędzy robotniczą ludnością polską a niemiecką w tych okolicach nie są dobre. Często dochodzi do bójek, zatargi osobiste rozgrywają się najczęściej na tle ogólnego antagonizmu narodowo-klasowego.

Dość trudno zgłębić przyczyny tego antagonizmu. Zapewne się nie pomylimy, gdy i tu, jak w Westfalii, na pierwszym miejscu postawimy zawiść konkurencyjną, i fałszywe zresztą wyrachowanie Niemców, że gdyby nie napływ robotników polskich—z pewnością ceny pracy by się podniosły.

Dalej występuje z niemiecką siłą drugi czynnik — mianowicie fakt, że oddana zasadom socjalno-demokratycznym robotnicza klasa niemiecka ma w Polakach żywioł, który programowi socjalno-demokratycznemu nie daje się okiełznać, lecz idzie swemi drogami. „Robotnik niemiecki dziś w nic nie wierzy oprócz w siłę solidarnego działania socjalnej demokracji przeciw kapitalistom“, — pisze do mnie o tej kwestyi jeden ze światłych majstrów fabrycznych Polaków, — „a Polak właśnie dlatego, że chodzi do kościoła i modli się, uważany jest przez niemieckich kolegów za głupiego, bo mu się cała sprawa, podług pojęć niemieckiego robotnika jeszcze nie rozjaśniła. Nie poznał że „ksiądz, jak mówią, jest księdzem kapitalistycznej gospodarki, mającym na celu utrzymanie robotnika w pokorze i posłuszeństwie“ I dla tego Polaków nie cierpią“.

Ten psychologiczny motyw wydaje mi się dla objaśnienia istniejących antagonizmów zupełnie uzasadniony. Dodajmy do tego jeszcze i różnice wynikające z narodowości, i mniejszą skalę potrzeb robotnika Polaka, na którego z pogardą spogląda niemiecki robotnik — a będziemy mieli wytłómaczenie antagonizmów.

Im dalej na północ, tem bardziej wychodztwo polskie przybiera charakter rolniczy.

W zdwojonej liczbie napotykamy wędrownych wychodzców polskich w Brunświku i Hanowerze, znajdujemy ich też i na Pomorzu. Osiedla tu stale ludność polska pracuje przy „najprostszyc zatrudnieniach i skarży się na bardzo liche zarobki.

W Brunświku ruch wychodzców polskich koncentruje się w okolicach samego miasta Brunświku, oraz Helmstedtu, jako dwóch punktów ogniskujących uprawę buraków.

W Hanowerze ruch wychodzców koncentruje się w okolicach Hildesheimu, w których kwitnie uprawa buraków.

Sezonowi robotnicy rolni pracują tu, jak i w Brunświku, po folwarkach i dworach kompaniami 20—30 ludzi, bez specjalnego dozorczy—Polaka.

W Meklemburgu i Oldenburgu znajdujemy same prawie tylko kolonie rolnicze. Niemieccy właściciele ziemscy starają się mianowicie zaprowadzić system osiedlania wychodźców polskich na stałe, dają im rodzaj pańszczyzny: małe działki z domkami, do których posiadania przywiązana jest pewna ilość dni roboczych w lecie.

VII.

Wielkie miasta.

Trzecią grupę stanowią „wielkie miasta“ z koloniami polskimi. Są to miasta: Berlin, Hamburg, Brema, Wrocław, i t. d.

Cech wspólnych, odróżniających je od wychodztwa polskiego w Westfalii lub środkowych Niemczech, mają kolonie w wielkich miastach dużo: wymieniliśmy je zresztą w dawniejszym artykule o kolonii Berlińskiej i motywując w niniejszym szkicu podział wychodztwa na grupy.

Jednak ta różnorodność warunków bytu i charakteru tych kolonii jest tak znaczna, że trudno jest rozpatrywać je inaczej, jak każdą z osobna.

Liczą one razem ze 100 tysięcy Polaków.

Ogółem więc wychodztwo w Niemczech w roku 1901 wykazuje 400 — 450 tysięcy Polaków. Liczba ta szybko wzrasta i nie ulega wątpliwości, że zanim te uwagi ukażą się w druku, liczba Polaków w Niemczech wynosić będzie przynajmniej pół miliona.

Dodać tu wreszcie trzeba, żeśmy wcale nie uwzględnili Bawarii, Wirtembergii, Badenii, Alzacyi i Lotaryngii.

Jakkolwiek w tych krajach liczba Polaków wielką na ogół być nie może, w żadnej bowiem miejscowości nie spotykamy godnej wzmianki liczby Polaków, to wszakże, gdy się wszystko razem zliczy — i z tych krajów z parę tysięcy na korzyść ogólnej liczby przypadnie.

VIII.

A więc prawie pół miliona Polaków — w Niemczech. Jest to liczba tak znaczna, że przedstawia sobą niejako odrębną dzielnicę, której losy powinny społeczeństwo polskie obchodzić.

To półmilionowe wychodztwo z prowincyi, które ogółem liczą najwyżej 3 i pół miliona ludzi, jest czemś niesłychanem w historii nowożytnej. To rana, wciąż krwawiąca się, na organizmie polskiego społeczeństwa pod panowaniem pruskim. Od lat 20 ruch ten się wzmaga, potęguje i dziesiątkuje ludność polską, gorzej, niż najgorsza epidemia. Końca tego ruchu nie widać.

Gdy terminu nadejścia radykalnej zmiany przewidzieć nie można, należy użyć tych zapobiegawczych środków, jakie są dziś dostępne.

Są to: powrót do kraju i przeciwdziałanie germanizacyi na obczyźnie.

Powrót do kraju — jest to idea, której urzeczywistnienie możliwe jest dla niektórych tylko, wyjątkowych jednostek wśród wychodzców, dla ogółu jednak prawie że nieziszczalne.

Jedną z najważniejszych przeszkód powrotu do kraju jest obawa wychodzców przed zmianą znośnych warunków bytu na obczyźnie na gorsze w kraju.

Wychodzcy polscy bardzo często, dobiwszy się grosza na obczyźnie, wracają z całą rodziną do kraju, w nadziei, że potrafią się utrzymać, tembardziej, jeśli na obczyźnie utrzymać się zdołali, pomimo konkurencyi w swym zawodzie. Lecz czeka ich zbyt często bolesny zawód, bo o pracę trudno, handel i przemysł zmonopolizowany w rękach przedsiębiorców-wyzyskiwaczy, warunki bytu znacznie gorsze. Doznawszy takiego rozczarowania „na łonie ojczyzny“, biedacy, ubożsi o kosztą podwójnej podróży i przeprowadzki, wracają z rodzinami na miejsca upatrzone na emigracyi, gdzie czeka ich praca pewna i dobry zarobek i gdzie tęsknią do kraju zdaleka.

Lecz nie tylko obawa pogorszenia bytu materialnego powstrzymuje wychodzców od powrotu do kraju; znalazło-by się dużo takich, którzy-by nawet i niższym zarobkiem w kraju się zadowolnili, ale powstrzymuje ich obawa przed złem obchodzeniem się pracodawców. „W tym roku — pisze mi jeden z korespondentów — przyjechał do Zgorzelic z Krakowa pewien agent, szukając robotników Polaków dla pewnej fabryki maszyn w Krakowie. Warunki dawał wyborne

podróż III klasą do Krakowa dla całej rodziny robotnika, na miejscu w Krakowie ta sama płaca co i w Zgorzelicach, a w razie gdyby się komu w Krakowie nie podobało, po pół roku powrót III klasą na koszt fabryki.

Pomimo to agent ten pośród Polaków nie znalazł ani jednego robotnika, jakkolwiek w fabrykach nas tu bardzo wielu pracuje. A to dlatego, że każdy się bał, że w kraju pracodawca lub pierwszy lepszy urzędnik gospodarczy będzie nim pomiatał, jak rządca parobkiem. Obawa ta przed większym ograniczeniem osobistej wolności w stosunku do pracodawcy jest jednym z motywów, które najczęściej powstrzymują wychodząc od powrotu do kraju.

Te więc przyczyny paraliżują w większości wypadków myśl powrotu do kraju.

A teraz pytanie: czy wychodztwo polskie może prowadzić skuteczną walkę z germanizacją?—Sądzimy że tak.

Trzeba przedewszystkiem staranniejszego wychowania narodowego w kraju.

Nasz emigrant, wychodząc na obczyznę, powinien już być narodowo uświadomiony i rozbudzony, aby, dostając się do kolonii polskiej jako młody człowiek w wieku 25—30, już sam potrafił pracować nad osiadłymi tam dawniej emigrantami.

W kraju, niestety, dotychczas za mało się troszcza o narodowe wychowanie emigrantów naszych. Chłop lub robotnik w kraju dotychczas jest pozostawiony samemu sobie pod względem narodowym; gazet polskich czyta za mało; zamilowania do książek nie zdołano w nim rozbudzić; pojęcie narodowości miesza z pojęciami wyznania; nie posiada pojęcia o przeszłości i terażniejszości swego społeczeństwa—a wskutek tego nie ma należytego pojęcia o obowiązkach obywatelskich.

Wykształcenie polityczne i to budzenie świadomości narodowej, jakie dziś jest we zwyczaju w Poznańskim i w Zachodnich Prusach, do pewnego stopnia może wystarczyć dla kraju, lecz nie dla emigracji, a to dla tego, że w kraju rozbudza się narodowość przedewszystkiem wyborców, a więc ludzi którzy zbliżają się do trzydziestki.

Natomiast doświadczenie wykazuje, że wychodzą z kraju na obczyznę młodzi ludzie w wieku około dwudziestu lat. Ci idą na emigrację, jak dziewczki, zanim zapoznali się z gazetami polskimi, a gdy im zaczyna brakować opieki „dobrodzieja” — tj. księdza proboszcza, który zachęcał ich do wstępowania do towarzystw polskich, to całe ich poczucie narodowe znika. I potrzeba dopiero ciężkich trudów, aby na obczyźnie w niektórych z nich obudzić poczucie narodowe.

Gdyby nie to więc, że kraj za mało dba o opuszczającą strony rodzinne młodzież, germanizacya nie czyniła-by takich postępów, jakie czyni, nie napotykając prawie żadnego oporu.

Tej tylko okoliczności przypisać należy masową germanizacyę, że emigrująca z kraju młodzież nie przynosi żadnych prawie zasobów poczucia narodowego.

Towarzystwa polskie na obczyźnie przedstawiają dziś dobry materiał, przy którego pomocy przez nadanie mu pewnej usystematyzowanej formy można-by wszystkie rozstrzelone usiłowania obrony przed germanizacyą zebrać do jednego mianownika.

Tylko przez organizacyę towarzystw dało-by się system jakiś wprowadzić w usiłowaniach na polu:

- 1) Uzyskania lepszej opieki duchowej.
- 2) Zwoływania wieców.
- 3) Urządzania i zaopatrywania bibliotek polskich.
- 4) Szerzenia elementarzy polskich, oraz śpiewników.

Wreszcie jedną jeszcze gwałtowną potrzebę można-by zaspokoić przez celową organizacyę: potrzebę odczytów i referatów na wiecach.

Jedynie związek wszystkich towarzystw mógł-by znaleźć i wydelegować wędrownych mówców, którzy-by się trudnili wyłącznie wygłaszaniem odczytów i mów, zwoływaniem wieców w okolicach, gdzie niema towarzystw, oraz zakładaniem towarzystw, gdzie ich potrzeba.

Ten program zorganizowanej obrony przed germanizacyą dotyczy jednak wyłącznie starszego pokolenia.—Sprawa polskiego wychowania dzieci — to istna syzyfowa praca dla wychodztwa polskiego w Niemczech — to *in ponderabile* w pełnem znaczeniu tego słowa.

A jeśli dzieci wychować po polsku się nie da, to jakąż wartość mieć może walka z germanizacyą. — To pytanie zadawał sobie niejeden.

Odpowiedź uświadomionych jednostek wśród wychodzców brzmi tak: „Jesteśmy tu na obczyźnie po to, aby wśród obcego społeczeństwa, bardziej rozwiniętego społecznie i ekonomicznie, niż nasze społeczeństwo, poznać w praktyce nieznaną jeszcze u nas organizacyę pracy, aby zaznajomić się z postępem wiedzy praktycznej, rozszerzyć widnokrąg myśli i wrócić do kraju, a tam w przemyśle i w handlu zwalczać niemiecką konkurencyę za pomocą naszych tu nabytych sposobów, których w kraju nie znają; a dalej, w życiu towarzyskiem i społecznem dawać przykład, że i rzemieślnik w dzisiejszych czasach może mieć — i mieć powinien — samodzielność poglądów, że powi-

nien być obywatelem, jakim jest w społeczeństwie zachodnio-europejskim, ale nie u nas;— że wreszcie powinien odegrać po powrocie między swymi rolę zaczynu, który-by przyspieszył proces wewnętrznych społecznych przekształceń, których ostatecznym celem jest przeniesienie politycznego i społecznego punktu ciężkości ku klasie średniej“.

Rozumowanie powyższe opiera się na trafnem zrozumieniu ekonomicznych i społecznych potrzeb kraju, niemniej zaś na trafnej ocenie tego, co wychodztwo krajowi dać może. Może ono dać krajowi przede wszystkim jednostki wysoko wykwalifikowane w rozmaitych działach przemysłu i rzemiosła.

Wszak w innych społeczeństwach rzemieślnikom dają stypendya na wyjazd za granicę, aby mieli możność wykształcenia się w swym zawodzie, a ci tylko czekają na sposobność, aby do kraju powrócić. W Poznańskim takich ludzi potrzeba i potrzeba ich będzie coraz więcej. Potrzeba ich też w Królestwie i w Galicyi.

Walka z germanizacją staje się już celową, staje się środkiem do dalszych dążeń, a chęć zdobycia zamożności przestaje być materialistycznie zabarwionem dążeniem, skoro zostaje nagięta do celów wyższych, do powrotu do kraju. Większa część wychodzców zginie zupełnie dla kraju, rozplynie się gdzieś bez śladu w morzu niemieckiem; ale gdy żywiły zdolniejsze zorganizują się i dojdą do przekonania, że powrót do kraju nie jest mrzonką, kraj na tem skorzysta. Ludzie ci bowiem nabyli na obcym gruncie, wśród obcego otoczenia, tej samodzielności poglądów, tej przedsiębiorczości, tej inicjatywy, której warstwom mieszczańskim w prowincjach polskich brak zupełnie.

I pod tym więc względem będą oni dla kraju pionierami postępu.

DR KAZIMIERZ RAKOWSKI.

AD ASTRA.¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

VII.

Interlaken.

Dziękuję za serdeczną otwartość, za szczerą chęć pogodzenia się ze mną, za tę dobrą wolę, która z każdego słowa twego, kuzynko, przebija.

Pragnąc skłonić mnie do apostazyi prawdy na rzecz złudzeń swoich, wywiodłaś w pole walki mnóstwo rzeczy z pod słońca i z ponad słońca, szeroki przestwór ten okrasiałaś czarem dźwięcznego słowa i rozgrzałaś ciepłem kobiecego serca. Jest w tem bogactwo poetyckiego natchnienia i są rozległe horyzonty myśli, zdumiewającej mię pomimo wszystko, co już podziwienia godnego o tobie słyszałem.

Olśniony jestem, ale nie przekonany. Jednak, ażeby walkę podjąć i ją rzeczywiście stoczyć, musiał-bym rozporządzać temi samemi sposobami walczenia. Musiał-bym być złotoustym i w sercu mieć płomień. Tymczasem, armatura moja jest wcale innego rzędu. Umiejętnie obracane ostrze karnej myśli, oto jedyny mój oręż, prosty a tak potężny, iż nie potrzeba mi tamtych, błyskotliwych rynsztunków. Tak jest on potężnym, że cały zresztą świat staje przed nami, pionierami myśli, bezbronny.

Natchnienie i ogień uczuć, to dla serca skarby, lecz dla rozumu zero. Cokolwiek-by z dziedziny legend tęczowych i gorących ukochań wprowadzono do boju z ujarzmioną myślą, chociażby zasypano ją

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 1; — listopadowy, str. 253.

milionem najwspanialszych i najjaskrawszych zjawisk, na jakie wysilić się zdoła rozkołysana wyobraźnia, choćby próbowano olśnić ją milionem fajerwerków, spalonych z chwilowych prawd i plemiennych interesów wszystkich narodów i czasów, ona nie zadrży, bo hartowne łuski jej pancerza sprzęgnięte są stalową koniecznością tych matematycznych prawideł, które jedynie byt świata stanowią i światem kierują, bez względu na wszczepiony w jego treść pyłek, zwany ludzkością, bez względu na miniaturowe jego sprawy, uczucia i natchnienia.

Z drugiej strony, i to wątpliwości nie podlega, że w odniesieniu do ciebie, kuzynko, cała potęga mojej myśli musiała-by pójść w kął wobec przekonywającej siły wywodów naprzykład starej piastunki twojej, o której opowiadała mi pani Idalia, i która nawet ojcu memu utkwiała w pamięci z czasów wypraw myśliwskich w waszej puszczy. Wyższość starej „niani“ nade mną leży właśnie w tem, że ona, jak sędziwy Akim w tragedji Tołstoja, na rozumowaniu się nie zna, ani nawet pojęła-by znaczenia tego wyrazu, ale pradawną upornością kilku wyobrażeń, zaledwie w kryształ zajękliwego słowa ściętych, uderza jednostajnie i niestrudzenie w serce, podczas kiedy ja, z aparatem umiejętnych pojęć i słów ściśłych, nie przywykłem zwracać się do serc ludzkich i chyba niczyjgo serca nim nie otworzę.

A zatem, kuzynko. należymy do dwu światów odrębnych i spotkanie nasze było-by walką myśli z sercem. Ja jestem rozum, tyś królowa uczuć. Powiedział-bym, że ty nietylko kochasz, cierpisz, pragniesz, lecz także myślisz i rozumujesz sercem. Po wszystkim, com ci poprzednio powiedział, w duchu twym nie zrodził się nawet cień, choćby ślad cieniu powątpiewania o prawdziwości twych koranów; natomiast w jedną połowę twej duszy wtargnął demon gniewu na bluźniercę, a drugą owaładnął geniusz miłosierdzia nad jego sercem obłąkanem. Gdybym miał wewnętrzne życie twoje określić w sposób ogólny i zwięzły, powiedział-bym, że jest ono snem, ujawnionym na tle uczuciowem serca.

Jednakże wszystko to zajmuje mię i zastanawia. Jakiemże musi być życie na tym gruncie waszym, skoro, mimo najcięższych ciosów rodzinnych i przejść, bardziej jeszcze osobistych, których gryzący jad wytrawił się w dogmat rezygnacyi z osobistego szczęścia. skoro, mimo tych ciosów i zawodów, żadna z mar, wplecionych w koło marzycielskiego życia, nie pierzchła?

Jakież jutrzenkowe kolory przywdziewają ziemia i niebo dla Psychy, która, na widok prawdy, ukazywanej z zasłon Saiskich, ma tylko uśmiech niedowierzania, albo lżę litości? Jakże błękitnym musi wydawać się świat, odbity w kielichu takiej błękitnej duszy?

Dusza taka rozcina świat na dwie połowy: ziemię i niebios. Niebo, pełne gwiazd srebrnych i płomiennych, wzdęte opalową zamiecią księżyców, komet, meteorów, przemierzone skrzyżowanymi szlakami dróg mlecznych, to niebo jest tłem wspaniałem, rozszanem dla jednej tylko gwiazdy, dla ziemskiej gwiazdy, wybranej, gdyż na niej mieszka ludzkość. Z tego zaś globu, świecącego stubarwnym puchem kwiecica na dolinach, a perłową emalią śniegów na górskich wierzchołkach, z ziemi, spowitej wróżowe obłoki świtów i zachodów, lub w złote blaski południa, ulatują eteryczną strugą wonie modlitwy i glorie hymnów rozspiewanej i rozmodlonej ludzkości, czekającej ufnie na przyszłość jeszcze piękniejszą. Czekać i ufać może ona spokojnie, bo w każdym atomie eterów spotyka ją czujne oko dobrotliwej opatrności, bo w wędrówce przez ogniska słońc i brylanty gwiazd prowadzi ją korowód tkliwych aniołów, którzy z upadłymi płaczą, ze smutnymi mają nadzieję, z wielkim szelestem cherubowych skrzydeł bronią przystępu hufcom duchów ciemnych.

Tak młode i wielkie serce twe ogarnia sobą i krąg ziemi, i firmament gwiazdzisty, i to, co nad gwiazdami.

Serce, tak pełne stworzenia, powinno tworzyć.

Powinnaś kochaniom swoim dawać życie i kształty, natenczas serce twe mogło-by i na dawnym gruncie być szczęśliwem; przemieniać je w barwy i dźwięki. Przemień więc serce swe w eolską harfę pustyni mitycznych; weź do rąk harfę. Zwróć się ku sztuce, lecz w wiedzy nie szukaj dla siebie niczego...

Ja cię, kuzynko, w szeregi nasze nie wzywam dla tego, że jak świat twój różni się od świata istotnego, tak samo bardzo różnić się musi twój ideał uczoności — jeżeli go masz — od wiedzy prawdziwej. Chciałem nasunąć uwadze twej pewne jej czynniki, które mogły-by dla ciebie być korzyścią i ratunkiem, ponieważ z całej mocy życzę ci dobrze, ponieważ wewnętrzna istota twoja rozwinęła się tak wspaniale, ponieważ nie jestem wyznawcą zdania: błogosławieni ubodzy w duchu, i nakoniec, ponieważ uważam za stan niegodny ukształconego ducha giąć się z fanatyczną pokorą przed postrachem bożyszcz, wyrzeźbionych biegiem wieków dla nieuświadomionego gminu, który nie potrafił-by żyć bez pokłonów, ani iść bez drogowskazów. Wszakże można pozytywne wyniki wiedzy uwzględniać i żyć zgodnie z prawami natury, a nie poświęcać się ich odkrywaniu. Czyż tłum wierzących, czyż tłum maluczkich, ubogich w duchu, poddaje analizie słowa swych augurów? Więc niema w tem sprzeczności najmniejszej, jeżeli Cię pragnę wyswobodzić z więzów ułudy, a mimo to, przed dziedziną Wielkiej Wiedzy ostrzegam.

A dlaczego ostrzegam? Posłuchaj. Każda normalna jednostka ludzka ma prawo do życia i żyć powinna; my zaś, ludzie tylko uczeni, nie stanowimy w zbiorowym życiu żadnego ogniwa. Żyjemy tylko myślą i tylko dla myśli, bo żeby tę myśl wykształcić i nią pracować, nie mamy po prostu czasu żyć i jesteśmy poniekąd ciężarem świata, który nas biernych wyżywić musi. Jesteśmy więc zbytkiem, na jaki jedynie bardzo potężne i bardzo zasobne społeczeństwo może sobie pozwolić. Jesteśmy hyperprodukcją ludzkości. W gospodarce społecznej stoimy,—rzec-by można,—poza nawiasem. Możnaż więc komu doradzać: umrzyj dla tego, aby żyć myślą!

Przed laty dziesięciu, gdy wiedziony instynktem złym, czy dobrym, chciwemi usty piłem ze źródeł mądrości, sam nie przypuszczałem, że potok życia mego w tak martwym popłynie kierunku. Dziś, patrząc na alpejskie kaskady, myślałem o sobie: czy w przeciągu mego umysłowego rozwoju był jaki zwrot równie gwałtowny, jak spad wody z müreńskiej terasy? Nie wiem i wątpię. Pamiętam chwile, gdy po wielkiem wysileniu zdobywania zawikłanego rozdziału nauki, albo po przejściu się stałym teorematem wielkiego myśliciela, w pojęciach moich powstawały nagle niby ogniem wypalone wyręby, ukazujące jakieś nieznanne, groźne niemal przestworza, i jak wtedy niszczały i rozsypywały się w popiół całe systemy dotychczasowych moich wiar i pewników. Nie mniej, nie spotykam we wspomnieniach żadnej takiej katastrofy, czy skały, o której-by powiedzieć można:

„Na tem miejscu serce jego pękło“.

Ale to znowu pewne, żem wypłynął już dawno z niespokojnych rozdwojeń psychicznych fermentów i utonął w Lutchinie teoretycznej pracy. Dla indywidualności znaczy to tyle, co noc głucha i ciemna. W dziedzinie bowiem i pod władaniem Wielkiej Wiedzy bojuje myśl ludzka jako tako, lecz o indywidualności ludzkie tam nie chodzi. Wszystko jedno, kto patrzy w mgłę problematów. Jednych po drugich porywa nas śmierć, lub życie ze strażnic nauki, lecz mimo to, placówki nie opuszcza żrenica, patrząca w zagadkową treść bytu... . . .

Kto ścigać ma myślą treść wiekuistej myśli, ten z trwogą liczy krótkie godziny żywota i nie wolno mu tracić ich na pieśń serca. Wkrótce zresztą błahą wyda się mu ta pieśń. Im potężniejszą staje się myśl jego, im wszechwładniej się rozeskrzydla, tem bardziej serce mu maleje. Świat obchodzi go jedynie jako podłoże, na którem myśl opiera swoje transcendentalne rachuby. Obchodzi on go jako funkcyę działających współmiernie praw natury, a przypadkowa treść jego kalejdoskopowych obrazów jest mu obojętną. Wzrok jego zatrzymuje się na historii ludzi, na ich kołyskach i grobach, z jedno-

stajną zawsze przedmiotową trzeźwością. Z jednaką indulgencją spogląda on na grę instynktów, na cnoty, jak na zbrodnie, na aureliuszowych stoików, lubujących się w szczytnych zgonach, jak na hedonistów, zażywających wszelakiej innej uciechy. Niema dla niego ani tragedyi żubrów, wymierających resztką diluwjalną w matecznikach północnych borów, ani tragedyi wymierających narodów, którym odjęte zostały nieodzowne warunki istnienia, ani tragedyi Alp, którym każdy moment, krusząc i zwiewając granit, umniejsza wzrostu, aż legną kiedyś w prochu czół własnych na dnie przyszłych oceanów. Na wszystko to daje myśliciel baczenie, bo zewsząd wydzielić może jakąś cyfrę, potrzebną do abstrakcyjnych obliczeń. Ale jest to widz bezstronny i niemy, podobny słońcu, co świeci ziemskim nędzom i tryumfom, wszechwidome i wszechobojętne.

Spokojny i bezchmurny, nie czuje on żadnych gwiazd ani w sobie, ani nad sobą, a jeśli mu kiedy płomień jaki w oczach zaświeci, to bywa nim tylko przelotny błysk dumy. Jest w tym spokoju coś z lodu i majestatu śmierci. I rzeczywiście pracownicy myśli przebywają w sferze bytu, ogółowi obcej i odrębnej. Stoją po stronie życia dla profana zakrytej i badają materiał kulis, wśród których rozgrywa się teatr świata, należąc poniekąd do reżyserów, znających motory, które w każdym dramacie są czynne. Kładą oni dłonie na odwieczne sprężyny, zaś tłum, napełniający scenę, zna tylko każdorazowy ich efekt.

I ciebie również, kuzynko, znajduję na zmiennej arenie świata, wraz z plejadą twych ideałów, bo wszystkie one są owych sprężyn efektem znikomym. Wchłonęłaś w siebie blaski z otaczających cię kulis, więc mniemasz, że w sercu masz słońce i Boga, i mnie samemu prorokujesz lepszą przyszłość, jeśli świat sercem ogarnę, i masz dla mnie lżę żalu, że dusza moja gorzka... Ależ ja prawie czuję się sam współtwórcą świata i dzierżę w rękę wszystkie niemal siły, które, posłane w świat, wykryszalizowują się na kauwie jego przyrody iskrami łez, albo perlami uśmiechów.

I jeszcze innym mógł-bym się posłużyć obrazem: że łódź myśli naszej przesuwa się wzdłuż pstrych i wzorzystych ogrodów życia, ale nie zatrzymuje się nigdzie, i my sami nie wysiadamy nigdzie na spoczynek.

Płynąc tak wzdłuż rozwiniętej daleko wstęgi panoramy, chciał-bym cię odnaleźć na jakiejś łące lazurowej i różanej, gdzie widział-bym, że ci jest dobrze, jakimkolwiek ludziła-byś się zatrudnieniem, gdzie nie poniosła-byś szkody, bawiąc się bądź w oflarną filantropię, bądź w chwiejną ekonomię socyalną, czy też w kojarzenie duchów w znaczeniu chrześcijańskiego braterstwa. I chciał-bym, abyś z owej

kwietnej oazy pożegnała życzliwem spojrzeniem zasuważając się w coraz gęstsze cienie nawę apostaty...

Jednak i to było-by dla mnie już zbytkiem. Żadnych nici pomiędzy nawą myśli, a przemijającymi etapami życia wiązać nam nie należy, bo, płacząc się niepotrzebnie, stają się uciążliwym hamulcem, a zaczepione o serce, mogły-by ból sprawiać.

Ilekróć na horyzontach naszych zdarzyły się jakie tragedye, powód istniał zawsze w tem, że pionier nie zabrał z sobą w świat myśli serca, zupełnie pustego. Nie szkodzi to zwykłym rzemieślnikom wiedzy, którzy dziewięć dziesiątych licznego cechu uczonych składają, lecz dla szermierzy prawdziwych połowiczność taka staje się nieszczęściem.

Mówiłaś mi, że istnieją piaski jałowe, pustynie bezludne, na których straszą Sfinksy, blade od żywiołowych zadumań. O! znam ja zadumę tych Sfinksów! Skłębiona fala życia sięga aż pod ich trony, ale one dalekie są od życia na całą odległość abstrakcyi. Z fal życia dolatuje ku nim gwar jednodniowych haseł i popędów, ale na bladych ich rysach skamieniała niezgłębiona powaga oglądanej wieczności. One słyszą, jak nad zgiełkliwą falą szerokiem tchnieniem przelatuje nieskończoność czasu, i dla nich jednych czas ten nie płynie, bo z nieskończoności snuje się nieskończoność.

Tkwią one samotnie w nieskończoności, lecz na samotność się nie skarżą. Niema dla nich żadnych szczególnych zagadnień, bo analiza zaprowadziła ich od pytań doczesnych do jednej jedynej zagadki: pierwotności stworzenia. Fala życia, mącąca się u ich stóp, wie także o tej zagadce i zwie ją Bogiem, a niezdolna wzniesć się ponad ubogi świat zmysłów, czyni ją podobną sobie. Ale w oczach tych bladawców jest ten pierwiastek pierwszy i ostatni, na całą odległość abstrakcyi większym od Boga ludzkości. Nie jest on tak ułomny, aby czuć rzeczy z człowiekiem, aby kochać i nienawidzić. Jest on brakiem początku i brakiem końca. Jest bytem samym w sobie, na całą odległość abstrakcyi bardziej nieskończonym od ziemskich, wiekuisztych piekieł i rajów. W niego wpatrzone Sfinksy nauczyły się samotności i nie znają w niej smutku i, kamienne jak Masynisa, nie chowają na dnie duszy żadnych pogrzebanych błękitów... Nie znają młodości ni starości, za niczem nie płaczą i niczego nie pragną, a dążą tylko do przyjęcia w najwyższym jej wyrazie prawdy swego Boga. Szukając wykładników tej prawdy, liczą ruchy atomów, wnikają w życie dusz na ziemi, mierzą zazębenia olbrzymich kołowrotów, na których wiruje świat.

I kiedy tak piorunami myśli chcą przemódz chaos zjawisk, rozwidniają się czasem przed nieruchomą ich żrenicą, w nagrodę za tru-

dy, tajemne bezmiary poezji nowej, wyższej, gigantycznej, na całą odległość abstrakcyi, większej od maluczkiej poezji człowieka. Z poezyą taką, zanieconą w środowisku nieskończoności bytów, mocują się harde duchy Sfinksów, których skroni nie zaćmiła trwoga, a ust nie zhańbiła skarga....

Mam lat trzydzieści, a zdarzają mi się już chwile, w których odmyka się przede mną Walhalla poezji.

Tak „wre i kipi na wyżynach górskich potok mej młodości“ .

.....
Czy pożalowała-bys, kuzynko, dla mej biednej młodości, na kilka dni letnich, jednej pary aksamitnych oczu?

VIII.

Interlaken

Piove! I nasza wybrana dolina zapłynęła łzami. Jupiter Pluvius przykrył nas gęstym całunem chmur obfitych, wełnianych, pełzających tak nisko nad ziemią, że na ostrzach hotelowych wieżyczek zdają się odzierać ich sinawe szmaty. Z ziemi zaś dobywają się ustawiczne kłęby oparów i toczą się leniwie po łąkach, albo powolnym wzlotem nad szczyty drzew się wznoszą, gdzie wsiąkają w pułap deszczowych chmur. Alpy zniknęły bez śladu i nawet Mały Rugen zaledwie niewyraźną plamą za siatką deszczowych pyłów majaczy.

Z tem wszystkim Interlaken wcale nie wygląda ponuro. Światło dzienne, chociaż przyćmione słotą, ma pozór raczej błękitny niż szary, a aleję ożywia zwykły ruch przyjezdnych turystów, którzy, oszukani w nadziei ujrzenia Jungfrau, wynagradzają sobie ten zawód widokiem wystaw sklepowych i wielojęzycznym tumultem.

Mieliśmy dziś jechać w góry. Wprawdzie przez nasycone wilgocią powietrze dochodzi mię forsowny oddech lokomotyw, drapiących się zębatemi kołami na szczyty po stromem zboczu Schinige-Platte, atoli w gronie naszym nie znalazł się ani jeden tak gorący zwolennik podniebnej jazdy, aby nie dał się odstraszyć chłodem, deszczem i mgłami. Rozbiło się więc towarzystwo i każdy zapełnia czas, dzielący poranek od lunch'u, a luncheon od obiadu, jak umie najlepiej. Widziałem kilka pań naszych, uchodzących z głównej sali, wprost do smoking-roomu, i słyszałem od ojca, że mimo pory stosunkowo wczesnej, zapytywano go już o mnie. Ale zamarł dziś jakoś we mnie

cywilizacyjny appetitus societatis, stwierdzony, jak wiadomo, w naturze ludzkiej już przez Hugona Grocyusza, i zamiast słuchania szelestu wytwornych toalet, wołałem pozostać na mym balkonie, w bezpiecznym schronieniu przed nieprzyjemnościami słoty, aby skorzystać z nabytego prawa i znów chwil parę porozmawiać — z Białowieżą.

Jestem też dzisiaj w takim, dla wielu osób bardzo zwyczajnym, a dla mnie bardzo szczególnym, usposobieniu, że z kimś zaufanym albo zyczliwym pomówić chciałbym o tem, co odczuwam i w czasach podobnego, jak obecne, otium, sobie uświadamiam. Sposobność do tego rodzaju rozmowy nie często się nadarza. Nie zawsze mamy przy sobie kogoś, z kim o wewnętrznych, uczuciowych drobnostkach mówić by można, nie zawsze też mamy ochotę. Dzisiejszą sposobność zawdzięczam serdecznemu ciepłu, które razem z głosem twoim dolatuje mię z Krasowiec.

Otóż powiedzieć radbym przedewszystkiem, jak dalece miłym był mi twój pomysł, kuzynko, zbliżenia się do mnie.

Ucieszył mię i zaciekawił ten fakt dziwny i niespodziewany, że kiedyś, w okolicy świata tak odległej, ktoś osobiście mi nieznanym, a przytem tak wybitnym i niezwykle świetnym, jak Ty, Pani, interesował się mną i myślał o mnie również nieznanym i chyba tylko w Sfikso-wem znaczeniu wzmianki godnym.

Więc kiedy ja, w zamknięciu pracowni swojej, poehłonięty gorączkową pracą myśli, starałem się z doświadczeń swych wydobyć kruszec poznania; tam na północy, w zaciszu leśnym, subtelny, a wielki umysł kotlicy towarzyszył mi niekiedy wyobraźnią w mozolach pracy i z przyjaznym zajęciem śledził jej skutki, kruszec dobyte oglądał i życzył mi powodzenia... Więc mimo olbrzymiej różnicy naszych osobistych natur, naszych pojęć i pragnień, działalności i interesów, mimo największej różnicy, jaką kiedykolwiek umysł męski i kobiecy wykazać mogły, mimo też skrajnie odmiennych warunków życia i otoczenia, istniała pomiędzy nami jakaś niewidzialna spójnia i most powietrzny łączył dwa przeciwne bieguny.

Tak, dwa przeciwne bieguny! Bo my dwoje uosobiamy je daleko wielostronniej, niż świat Krasowiecki i świat Granowskich, świat zachowawczej symbiozy z ludem na gruzach ojcowizny i błyskotliwy świat użycia, który — nie wiem dlaczego — czynisz światem moim. Oba te światy, choć w powierzchownych szczegółach odrębne, są całą siecią życiowych momentów powiązane z sobą i leżą obok siebie po jednej stronie bytu, podczas, gdy ja usunąłem się w hemisferę bezcielesnej myśli, jakkolwiek otaczają mię zwykle jedwabne szelesty sukien i chociaż sam używam rękawiczek. Nie idzie za tem, abym wezwa-

nia twego do dalszej rozmowy nie przyjął radośnie? Przeciwnie, mimo dzielących nas rozbieżności, chętnie zaieśniam ogniwo naszej przyjaźni; czuję bowiem w tej przyjaźni, wraz z tchnieniem ciepła twoich leśnych ostępów, kroplę tej rosy ożywczej, której mi życie nie daje za wiele; i dalej jeszcze idąc, chętnie czynił-bym z tej przyjaźni stosunek coraz zażywszy i więcej braterski, gdyby istota do mnie podobna zdolną była wogóle stać się komukolwiek bratem. Więc chętnie i wdzięcznie otwieram serce przed braterskiem „ty,“ którego względem siebie używać mi pozwalasz.

Widzę na twarzy twej uśmiech szyderyczy... „Otwieram serce...“ Więc... serce! Tak; w godzinie szczerości,—nie pojmuję skąd przybyłej, — nasunął mi się ten wyraz nieznany w mowie Sfinksów, które serc nie znają, i nasunął mi się właśnie przy myśli o wielkim paragrafie istnienia, którym jest kochanie!

Słów napisanych nie przekreślam i, zbywając się wszelkiej dumnej oschłości, przyznam ci się w godzinie braterskiego zaufania, że na torach swego zawodu mam do walczenia z wadą, dziedziczną może i bezwinną, lecz znaczną, którą nieściśle i nieumiejętnie, raczej niejasno i po dyletancku określić-bym mógł jednym wyrazem „serce“.

Jeżeli chodzi tu rzeczywiście o wadę odziedziczoną, to otrzymałem ją chyba w spadku po matce. Jest to bezwątpienia stygmat znamienny naszego rodu. Jest on prawdopodobnie tą kroplą piolunu, o której twierdzisz, że w niemowlęctwie do warg naszych przysycha, a z warg przesącza się do duszy i życie nam zaprawia niesforną goryczą. Byłby to zarazem jedyny punkt styczny, który mię po dziś dzień z wami łączy i po dziś dzień nie daje się usunąć.

W okresach pracy, gdy ogarnięty tworzeniem tonę cały w konstrukcyi metafizycznych wywodów, wzbijam się łatwo w pychę zawczesną i ludzę się przeświadczeniem, że się na szczytach myśli wyzbył dawnej wady, i że zaczynam już rosnać w prawdziwą wielkość. A później, niestety, najbliższe otium idące po pracy, najbliższe, przypadkowo doznane wrażenie, przekonywa mię ponownie o nieuleczalnej ułomności. Niechętnie o tem myślę i kryję się z tem przed światem, ale dziś, wyjątkowo, próbuję nie taić się z tą kresą, psującą mi jednolitość ducha i skarżę się przed tobą. I oto przykład jaskrawy! Czyż to, że się skarżę i że dobrowolnie ukracam przed tobą swój wzrost duchowy, nie dowodzi najsilniej tego dziedzicznego błędu?

Nie umiem nawet powiedzieć, jak mię to niedokształcenie psychiczne gniewa, jak mi przekadza, ile mi odkrada myśli, ile marnuje energii! Chwilami tracę zaufanie w hart własnej woli i mniemam, że ideału, ku któremu zmierzam, nie dosięgnę nigdy. Jakże inną powinna być młodość Sfinksów, mających chłodem rozumu zgłębić to,

co im się ustóp mąci odmętami bytu! Młodość dla pionków ludzkości, to huczne, farysowe loty w piekło Chamsinów lub kryształ eterów, z manekinami kochanek w ramionach, z gwiazdą melancholii na rozwianych włosach; lecz dla Sfinksów, to pora największej sprężystości władz poznawania i najobfitszej w plon pracy. W pamięci też ich młodość powinna pozostać li tylko nazwą tego okresu, w którym myśl najgłębiej rozświeca chaos ciemności.

Nie taką jest moja młodość! Na tle jej czernieją plamy szkodliwych rozprzeżeń.

Wada serca czywi w abstrakcyjnych robotach niczem nie zapełnione wyręby. Wprowadza ona w zeseregowane myśli niekarność i chciała-by je węzłem rozkoszy, tęsknoty, czy żalu przywiązać do znikomej ziemi. Jakże boleśnie śmiesznym byłby Sfinks, gdyby przy sprawdzaniu podwalin i początków swej wiedzy, natrafiwszy na okres nazywany młodością, westchnął za nim z tęsknotą, jak Silvio Pellico w swej cierpkiej elegii:

„Lamento sui fuggiti anni primieri...”

Jestem lichym uczonym. Mam duszę pełną fajerwerków. Wybuchają z niej one częstokroć tak ognistą strugą, że świeżo zdobyte horyzonty gasną w grubych cieniach, a na arenę życia rzucają takie blaski mamiące, że serce chciało-by opaść na jej kwiaty, i przyłgnąć do nich, i kochać...

Trzeba ją nieraz odrywać przemocą, krępować i wiązać; a wysiłki takie męczą i drażnią niezmiernie. Złamawszy wreszcie bunt serca, pogrążam się znowu w pracy, aż do zupełnego wyczerpania, zaś wysiłki te, bunty i wysiłki umysłu do ostatecznych granic składają się na jedną ogólną barwę, cechującą mię w stosunkach ze światem, bardzo zbliżoną do apatii...

.

W tej chwili spostrzegam, że w czasie, gdy mówiłem do ciebie, kuzynko, pogoda polepszyła się znacznie.

Deszcz prawie ustał, mgły na łąkach gdzieś się rozpierzchnęły, lub przejrzyściemi pa-semkami tu i owdzie, jak pajęczyna, snują się po murawie, w ołowianym całunnie nieba porobiły się liczne wyrwy, przez które błękit oczyszczony przeziera, a naprzeciw mego stanowiska, w tem właśnie miejscu, gdzie wznosi się piramida śnieżno białej Jung-

frau, o dwie boczne kondygnacye gór oparła się tryumfalnym łukiem tęcza, „na wyplakanej rozwieszona chmurze“.

Dostrzegam nawet wśród kotłujących na horyzoncie coraz jaśniejszych oparów miejsca bielsze jeszcze i jeszcze świetniej jasne: są to fragmenty odkrytych lodowców. Jawią się one tak wysoko, że zdawać-by się mogło rzeczą nieprawdopodobną, aby do tych wysokości wznosiły się istotnie ciężkie granity ziemskie i oko bierze nieraz ściany zamczysk spiętrzonych z lodu za fantastyczny sztafaż atmosfery.

Spotrzegam jednocześnie, że w alei czyni się coraz gwarniej i weselej, bo przez otwory w wyplakanych chmurach wpadają ukośne snopy słonecznych promieni, a słońce, tak samo, jak serce, potrzebne jest ludziom do zadowolenia i do rzeźwości.

Ten ruch powszechny, blaski letniej pogody, kłójące się z niedobitkami liliowych obłoków, plamy słoneczne, połamane w deszcz złoty na osypanej rosą zieleni, świeżość bijąca z trawników i z puszystych lasów, co dymią kłębamii pary na stokach, ta mieszanina prądów, światła, linii i żywiołów wypełnia nową i czarownie piękną treścią rozwinięty przede mną krajobraz. Zachwyca on każdego i każdy zachwyca się nim inaczej. Większość widzów zwraca się oczywiście ku wypływającym z mglistej topieli lodowcom, gdyż one stanowią największą lokalną sensację i w czerwonych książkach napisane jest, że one są najpiękniejsze.

Co do mnie, widziałem już tyle śniegów i lodów, skalnych i podniebnych, w srebrze księżycy i w rumieńcach zachodu, w szafrach południa i zorzach północy, że oczy moje zatrzymują się dziś chętniej na skromniejszym widoku pól w części już zżętych i łąk świeżo skoszonych, na niskim terenie, rozciągającym się u podnóża góry, od płaskich brzegów Bryenckiego jeziora, aż ku Wilderswyl, wioski przypartej do skały i wylotu lauterbruńskiej doliny. Tam w bezpośrednim sąsiedztwie z przepychem międzynarodowych hoteli, odbywają się sprawy maluczkich pracowników ziemi. Na łąkach odciętych od nas wąską linią kolejowego toru, pstrzą się postacie szwajcarskich wieśniaków i pachnie mokre siano, rozwieszone na gałęzistych żerdziach...

.

Apatya moja była-by skończenie poprawną, gdyby była apatyą zupełną, to znaczy, gdyby była wyrazem obojętności przedmiotowej dla zjawisk świata. Ale tak wcale nie jest. Ma ona silną przymieszkę

jakiegoś niesmaku i zniechęcenia, prowadzącą do uczucia tęsknoty za jakimś stanem bytu odmiennym, przedewszystkiem odmiennym i prostym.

Nie wiem dla czego teraz właśnie, kiedy znajduję się na balkonie pałacu o kilkuset pokojach, pragnął-bym oprzeć się o wiązkę soczystego siana i przymknąć oczy, a obok mnie, zamiast strojnej, o załotnie zharmonizowanych barwach sukien i uperfumowanej skórze, niechby przechodziła świeża, niewinna, biała, jak narcyz, dziewczeczka z Soplicowego dworu, z tkliwością w oczach. Wokoło musiał-by być spokój, a w powietrzu zapach narcyzów, ściętego siana i wilgotnej ziemi.

Pragnę w tej chwili jędrnej prostoty życia. Daleki widok łąk skoszonych nęci mię zapachem poznanym niegdyś w dzieciństwie i tyle w tej chwili marzę, niejasno i głucho tęsknię, że gdybym kiedyś, w dalekiej przyszłości, znalazł się znów na tej hotelowej tarasie i popatrzał na szmaragdowe łąki, rozesłane płaskim kobiercem między szybą jeziora a domkami Wilderswylu, uczuł-bym ochotę powtórzyć tęskne słowa Zaleskiego:

„Młodości moja, niegdyś bujna trawo,
Jakże zapachłaś mi dziś zwiędłym sianem!“

.

Jak z tego widzisz, kuzynko, nietylko miewam czasem sielankowe gusta, ale popierać je nawet uniem cytatami z naszego Parnasu, który przechowuję w komplecie jako pamiątkę po matce. W formie takich nastrojów objawia się żywotność zawartych w organizmie ludzkim pierwotnych instynktów. Są one składnikami materialnej natury człowieka, ociągają myśli nasze ku ziemi, ołowiem ciężą na lotności ducha i przykuwają nas do paragrafu kodeksu, którego interpretacją najszerszą i nieskończoną są ruchy atomów i ruchy brył kosmicznych. Właściwie składa się kodeks bytu z jednego tylko paragrafu, a jest nim sama chęć bytu, popęd samozachowawczy. Rzadko się zdarza, że pęd geniuszu ściiera się z nim zwycięsko i depce po nim jak zaświatowy archanioł, przecząc jego istnienie. „Jakże-by istnieć mogła chęć bytu?—wołał z samotności swej Zarathustra;—to, czego niema, nie może bytu pożądać, a to co już jest, skądże-by brało ochotę trwać jeszcze dłużej?“ Mimo to paragraf bytu istnieje i w lakoniźmie swym

jest może jedyną realnością wypełniającą świat od brzegu do brzegu. Posłuszną jest mu kometa śpiesząca w wieczność po nieskończonych parabolach, podlega mu zawieszona w kropli wilgoci ameba, której drobina jest tak samo konieczną, jak pióropusz lecącej przez wszechświat komety, i świadczy o nim człowiek, jako najbardziej zawila wiązka atomów.

Odpowiednio do swej zawilej budowy świadczy o nim człowiek w sposób zawilszy i rozmaitszy aniżeli ameba; rozszczepił go w głębi duszy na tysiąc chromatycznych błysków i każdy z tych błysków ochrzcił osobnem imieniem. Mówi więc o miłości ku rodzicom, ku przodkom, ku przeszłości, o miłości braterskiej i szczepowej, o miłości z wyborn, którą wielbi pieśnią nad pieśniami, stwarza sobie pojęcia władztw potężnych, przed którymi się korzy, wyznaje kultury smiertelnych bohaterów i bóstw nieśmiertelnych, a wszystko to są środki mające być jego na ziemi utrwalić. I dopiero na najwyższym stopniu historycznego i indywidualnego rozwoju dochodzi duch jego do uświadomienia tej epokowej prawdy, że miłości jego, bóstwa i wiary, to kłębki owych nici, po których być wysnuł się z łona przedbytu; poznawszy zaś w nich nic żywiołową, która nas sprzęga z całokształtem świata i wolę naszą zniża do niewolniczego ruchu wtrąconych w ruch chaosów, pragnie się wyzwolić z więzów, zapanować nad biernym chaosem i własną potęgą ruchy jego rozmiarzać.

Jeżeliś mię pytała: czy można wiedzą rozmiarzyć świat od końca do końca i ścigać nią przemiany, koleje i pożytki wszystkiego, co na ziemi powstaje i znika, to znaleźć możesz odpowiedź w tem najwyższem prawie duchowego dążenia. Jeszcze nam do wytknięcia tej mety trudno i daleko. Czyżbyśmy się mieli jej dla tego wyrzekać? Ten geniuszowy rozmach należy do przyszłości; kiedy nie będzie już, jak Faros, palić się na samotnych cyplach myśli, ale z psychicznych ognisk garstki wybrańców przeleje się na tłumy. A dzisiaj? Czy jest on szaleństwem? Zaprawdę nie, bo w najtajniejszej swej naturze zawiera w sobie również wyraz wszechświatowej zachowawczej idei, rozprężającej się tu przed siebie i przez siebie w wieczność.

Tak ideę tę rozumiem, tak ją znam i taką ją w sobie czuję. Nie mogę więc giąć się pod jarzmo popędów, które człowiek w walce o byt na ziemi sam w sobie i sam dla siebie wyhodował, jeżeli mam nad przeszłością i nad przyszłością tego rozwoju, nad jego alfą i omegą zapanować. Niewolno mi czuć, jak tłumy, skoro nie pojmuję, jak tłumy. Gdybym, ulegając znużeniu, wziął naręcz siana pod głowę, myśl z czoła spędził i życie spróbował, jak żyli przodkowie, gdybym wszystkimi siłami duszy przyrósł do ich gleby, zespolił się z pracownicą, którą mi ta gleba wydała, i świecił wszystko przeszłe

i przyszłe, co z tą glebą się wiąże, ażeby terażniejszości i potomności posiadanie jej zapewnić, gdybym zgasił w duszy zapalone pochodnie, oświetlające mi drogę na szczyty, czyżbym, poczynając tak sobie, nie zdradził tamtych ideałów o cały wszechświat większych i nie stał się hamulcem postępu, który mógł-by być we mnie uczynić lowy krok naprzód?

Na tym niskim, więc naturalnym i bardzo ludzkim, ale niskim poziomie rozwojowych instynktów, pleniących się w posłusznej naturze w myśl wszechwładnego paragrafu istnienia, stoisz i ty, kuzynko, na podobieństwo rośliny, która rozkorzenia się głęboko w gruncie rodzinnym, i jak twór każdy trzymasz się swego uroczyska, aby nie stracić gotowych pokarmów bytu. Nie zachwiała twych instynktów ani otwarta księga historii, pełna epokowych doświadczeń, ani stos książek różnych, którym poświęciłaś napróżno tyle pięknych godzin młodości. Z nich wynikła twoja zwięzła religia, streszczająca się w dwu krótkich, z fanatycznym uniesieniem powtarzanych słowach: Kocham i powinnam. To znaczy: obowiązek i serce. Dwie cnoty, dwie lzy, dwie nadzieje, po całej ziemi od wieków rozgłaszane, a ja miałbym ochotę dodać, że to, zaiste, niewiele.

Jako kobiecie, dostało ci się w myśl kodeksu istnienia serce wielkie i gorące, wraz z ogromną potrzebą kochania. Kiedy zaś tory twego życia tak się jakoś zgmatwały, że kochać prawdziwie nie dałaś mu, czy nie mogłaś, wtedy otwartym kielichem zwróciło się biedne serce ku wszystkiemu, co miałaś najbliżej: po miłość i słodycz ofiary. Był tam najbliżej dom własny, gdzie echowem wspomnieniem rozlegał się głos czczonego ojca, którego nie stało, i kochanego brata, co odszedł i nie powrócił; był lud, związany z domem osobami piastunki, domowników i sąsiadów; była ziemia, przesłonią mgłą smutków niezgłębionych; była jej przeszłość obfita w złote glorye, w krwawe płacze i pieśni rapsodów; była wreszcie przyszłość tej ziemi nieznaną, bo w zupełności zakrytą kirem. To wszystko wetchnęło serce twe w kielich daremnej tęsknoty i, oszołomione napojem, uwierzyło w dogmat miłości i obowiązku. Kocha więc, poświęca się, płonie ofiarą i -- uwodzi się złudzeniem szczęścia. Weź w rękę harfę i tonami jej opiewaj swe złudne eklogi! Weź harfę — śpiewaj!

Dom, kraj, lud, przeszłość i wiara w niebo, czyli w przyszłość, taka jest mniej więcej geneza miłości i obowiązku, wypełniających dotąd twe życie. Działalność, która z tych pierwiastków wypływa, da się podciągnąć pod różne kategorie altruizmu, filantropii, pracy społecznej i wszelakich jej odmian. Pojęcia te cenione są powszechnie bardzo wysoko, jako dodatnie czynniki w ogólnej naszej symbio-

zie i wiele już powiedzieli i napisali o nich politycy, kapłani i wszyscy ci, którzy nie opuścili dotychczas doktryn, uważających człowieka za cel i koronę świata.

Z poziomu tego stanowiska rzuciłaś, kuzynko, uwagę, że nie jestem prawdopodobnie propagatorem prac społecznych; jeżeli masz pod tym względem jakiegokolwiek wątpliwości, to gotów jestem dać ci bezpośrednią odpowiedź, że w rzeczy samej osobiście nie jestem ich propagatorem. Znam pewne stopnie czasu i rozstrzeni, wobec których ludzkość, mrowiąca się przez czas pewien na globie i wszystkie interesy jej bytu maleją do takich iskierek martwych i bladych, że w płomiennych jutrzniach poznania giną mi z oczu bez śladu. Znam zagadnienia tak olbrzymiej miary, że elementarny problemat Budników, ścinających białowieskie sosny i zbierających zboże na krasowieckich polach, przestaje dla mnie być problematem.

Jakże-by mógł zastanawiać mię istotą swoją litewski zagrodnik, drzemiący w cieniu dębowym, jeżeli w twojej przeslicznej duszy czytam, jak w rozwartej karcie, obdzieram po kolei wszystkie warstwy smętnego palimpsestu i znam go prawie już do dna? I widzę na tem dnie harfę złotą, operloną łzami! Weź do rąk harfę, śpiewaj!

A zresztą, altruizm twój ma, nawet na ziemską miarę, nader ciasną granicę, jak to przyznałaś sama. Granicą jest mu rodzinna niwa. Przyznałaś sama, że na obcej ziemi nie zdołała-byś z takim samym zapalem oddawać się pracom społecznym, które prowadzisz przez obowiązek i serce. I jest w tem słuszność. W tej właściwości rozumiem cię również aż do dna. Czujesz i działasz w myśl bezpośrednich, samozachowawczych popędów, których jesteś biernym wykładnikiem. Ciasny interes lokalny i plemienny każe nam trzymać się odziedziczonego terenu i zajmować się nim całkowicie w odosobnieniu i wyłączości od innych.

Jest to konkurencya miejsca i chleba, które w formie hasel idealnych i górnych uiosą na swych sztandarach wszystkie narody i które znają wszystkie ziemskie stworzenia.

Ten sam instynkt kieruje lisem, gdy wypiera współzawodników z wąwozu, gdzie wykopał swą jamę, ludem sosen, gdy zwartą falangą zagarnia coraz dalsze ugory, trując gradem igiel słabsze, też życia spragnione, roślinki. Różnica pomiędzy ekskluzywnością narodów, a ekskluzywnością roślin i zwierząt zachodzi w tem tylko, że w państwie niższych tworów chęć bytu wypowiada się przed uchem myśliciela z całą lapidarnością pierwotnego stylu, a w życiu narodów przystraja się migotliwym kramem dodatków i wyobrażeń, które charakteryzują człowieka, jako *animal politicum* i *religiosum*. Najwybitniejszą

rolę wśród tych upiększeń gra wspomniana już miłość przeszłości miejscowej i plemiennej. Duch przecież silny nie obraca twarzy na przeszłość, ale patrzy w przyszłość, dokąd rozwój go wiedzie, i otrząsa z siebie brzemień dawnych pyłów, aby mu stóp nie obciążały. Duch silny nie dba o przeszłość, z której wyszedł, lecz obejmuje ją dalej wstecz, niżeli na kilkadziesiąt lub kilkaset pokoleń, stanowiących historję jego narodu, i wie, że węzły pokrewieństwa łączą go nie tylko z hordami Azyi, od których pochodzi, ale i z ludem sosen, zarastających puszcze zwartą falangą, i z jądrem granitów, które skamieniały w urwistą fałę Alp, wyrzuconą nad chmury.

Podobnie, jak nimbem rozokolonym nad mogiłą czasów ubiegłych, krzepi się człowiek, w bycie swym terażniejszym zagrożony, snami o szczęściu, które jego, lub jego potomków czeka w przyszłości. Nadzieja zgromienia wrogów gromem sprawiedliwości i dojścia do upragnionych celów podwaja siły jego w zapasach z losem, pomnaża odporność i utrzymuje w cnocie, hartującej mu organizm. Nieprzewycięzona chęć bytu umożliwia mu wiarę w mistykę zaświatowej pomocy i służy zarówno skutecznie, jak orłom szpony, lub jak głęboki korzeń roślinie, zwłaszcza jeżeli z pomocą pośpieszy siostrzyca poezya.

Ona także wyłoniła się z zamierchów przez kombinację sił biernych i martwych, jako potężna dźwignia zachowawcza, bo umieszczając zjawiska świata wśród ogni czarnoksięskich, budzi nadzieję i pokrzepia siły. W magicznych jej blaskach błękit przyszłości staje się coraz błękitniejszym, a pokolenia narodu nabierają podobieństwa do stad żórawich, roztapiających się w coraz dalszych i czystszych jutrzenkach.

I ty, Pani, karmisz się chlebem mistyki i poezyi; idziesz na ofiarę i chciała byś być żórawiem ulatującym z wyciągniętą szyją w lazury; lecz czemuż, tęskniąc za lotnością ptaków i wznosząc ręce ku rozwiniętym na niebie ich girlandom, nie pytasz: „gdzie wy lecicie, mowy?“ Dokąd zmierzają mowy, łabędzie, żórawie jednostek i pokoleń? kędy ich cel i koniec? Spróbuj zastanowić się nad tem. Sam mówiąc do ciebie nazwałem się apostatą. Lecz na czemże apostazya moja polega? Oto na tem, że nie mogę ci wskazać żadnych Wysp Błogosławionych, o których czytałaś w Plutarchu, ani żadnego świata gwiazdowego, w którym-by mogło odżyć to, co rozbiło się na ziemi, a opowiadać umiem tylko o żelaznej konieczności bytu, która drży w falach eteru, a nas ludzi wychowała drogą przypadku i martwej selekcji w ten sposób, że z tęczy i dźwięków, odbitych w nas przez zmysły, budujemy sobie fantomy cnót i prawd, bóstw i obowiązków.

Łatwo zrozumieć, że za cnotę uważa etyka każdy czyn w zbiorowej walce o byt pożyteczny, a za grzech uznaje każdy czyn w walce zachowawczej szkodliwy; a że w każdym okresie i u każdego ludu w miarę zmiany stosunków muszą się i zasady utylitarne zmieniać, więc w każdym okresie i u każdego narodu co innego uchodzi za cnotę, co innego za grzech.

Jednakże ludzie tak są zwykle pochłonięci ważną sprawą życia, że wzrok ich staje się krótki i nie są w stanie ocenić należycie owej względności swych etycznych przykazań. Dają oni swym idealom użyteczności byt nieśmiertelny, dają im głos sumienia i w imię ich ścierają się ze sobą słowem i orężem. Despotyzm natury działa tu tak silnie, że w poszczególnych wypadkach różni się pozornie ze swym celem, gdyż jednostki najuporniejsze cenią owe baśnie „wyżej nad szczęście“ i w obronie ich oddają chętnie życie. Egoizm tego popędu jest tak potężny, że niekiedy śmierć przybiera dla nich postać najwyszukańszej rozkoszy.

Flagelanci krwawią swe ciało biczami, męczennik modli się do Boga o śmierć z ręki kata, Leonidas umarł-by ze wstydu, gdyby mu nie było danem paść trupem pod Termopilami w obronie ojczyzny. I nikomu z was, fanatyków zaparcia i ofiary, na myśl nie przychodzi, że nurzacie się w najwyłączniejszym egoizmie stworzenia, dla którego istnieje jedno tylko prawo: utrzymanie rodu swego na ziemi.

Nie żałuję słów ostrych, ani obrazów skrajnych, aby ci tę niewzruszoną prawdę przywieść przed oczy, że ty, apostołka miłości i obowiązku, i świat, który się bawi i błyszczy, że ty samotnie cierpiąca i smutna, i sfera uperfumowanych wilków,—jak uprzejmie tutajszych moich znajomych nazywasz—jednym jesteście posłusznym instynktom i na jednym stoicie biegunie.

O tej prawdzie pragnął-bym przekonać cię koniecznie i nie zamknę swej apostrofy, nie zwróciwszy jeszcze uwagi na błędne pojęcia twe o rozwojowym postępie ludzkości. Powiadasz, że ona idzie naprzód, że wstępuje na szczeble coraz wyższe, coraz bliższe boskiego pierwowzoru. Nie umiał-bym na razie rozstrzygnąć stanowczo, czy ludzkość idzie jeszcze naprzód, albo też na nieboskłonie istnienia zakreśla już łuk zachodni? Prawdopodobnie zdąża jeszcze do swego zenitu. Lecz jakkolwiekby się ta rzecz miała, traci ten szczegół wszelkie znaczenie, jeżeli go umieścimy wobec ogromu ewolucji powszechnej. Byt realizuje się w rytmach nieskończonych, przejawia ruchem wzdymającej się i opadającej fali. Wielkość fal bywa różną: są fale strumieni, rzek, oceanów, narodów, ludzkości i światów. Na nocnym niebie możemy owe największe fale oglądać bezpośrednio.

Wśród drogi mlecznej rozsiane są plamki mgieł sinych, z których wyjdą systemy nowych słońc i trabantów. Widzimy bryły materji, miotane jeszcze chaosem dziewiczych pożarów, widzimy planety ostygłe, owiane tchem atmosfery, jak ziemia nasza, i mamy tuż obok siebie księżyc — wypalony, umarły i cichy.

Patrz na księżyc! Miał on swój zenit, przeżył tragedję zachodu, jest teraz w momencie spokoju. Ten sam los, gwoli symetrii kosmicznych ruchów, spotka i nas na ziemi, a kiedy? Za miliard stuleci, czy za godzinę, to wobec kosmicznych wymiarów szczegół błądy i obojętny. Wiemy, że ziemia wymrze. Wiemy, że naprzód zetrze z niej palec czasu pleśń, która się zwie ludzkością, a później pleśni niższe i najniższe, te na ostatku, co różnicowały się pierwsze z wicherów, gliny i wody.

I gdyby cię ktoś w tej odległej przyszłości wskrzesił i powrócił na biegun, do którego wy, ziemianie, przyrosliście umysłem i sercem, jakież punkty oparcia dla myśli i woli znalazła-byś na jego księżycowej ruinie? Byłabyś, jak Faustowski Euforyon, dziecię ziemskiego piękna, o którym nawet ciemna Forkyada musiała przyznać, że krążyły mu w żyłach anielskie melodye; unicestwiła-by cię realność ostateczna bytu i tylko jakiś twój strzępek jutrzeńkowy zamigotał-by przez moment na nieżywym słońcu. Albo rozwiała-byś się jak ukraiński Eolion, o którym nawet łabędzie nie umiały wyspiewać, kędy wraz z harfą swoją popłynął.

Biegun, na którym stanęła myśl moja, leży gdzieindziej. Biegun mój wyższy jest nad początki, rozkwity i zgony. Napelnia go melodia, w której każdy rytm i akord składają falowe rozbłyski światów. Czyż znalazł-bym w języku śmiertelnych Euforyonów dość środków do opisania horyzontów, wśród jakich melodye te rozlegać się mogą? Nie trzeba zresztą określać ich ubogim językiem ludzkim, aby zrozumieć, że kto raz spojrział w tę zamieć gwiazd roziskrzonych, tego myśl nie znajdzie już spokoju na ziemi i wiecznie wydzierać się będzie — ad astral!

Jeżeli naturę i wielkość tych gwiazd najwyższych pojmujesz, a jeżeli nie pojmujesz, to przynajmniej przeczuwasz, nie będziesz się dziwiła, że nie mię tu na waszym świecie zatrzymywać naprawdę i na długo nie może i niepowinno. Zrozumiesz chyba, że słaby duch ludzki, wyczerpujący się niekiedy na sam widok takich horyzontów prawie aż do omdlenia, dbać musi o każdy promień swej siły, i zrozumiesz jak złe są dla niego wszystkie manowce upodobań i nastrojów. A jestem do nich skory. Ciągłe i ciągle otwiera mi się serce na ziemskie barwy i głosy, i chociaż nie nie kocham prawdziwie, co-

raz bardziej lękać się zaczynam, że nigdy nie oduczę się — pragnąć kochania.

Drobnostka to jest, ale świeżo doświadczyłem w tym kierunku nieznośnej dla mnie rozterki, której sam objaw już mię zaniepokoił. Miałem wczoraj podczas wieczornego koncertu w kursaalu spotkanie, które poruszyło mię w sposób niespodziany. Znalazłem się w sąsiedztwie młodziutkiej Angielki, przypatrującej się w gronie kilku osób rulecie, a powodem nagłego wrażenia było wielkie podobieństwo jej do pewnej, młodziutkiej także, Polki, którą poznałem w Szwajcaryi zeszłego lata. Spędziłem z nią niedaleko stąd, bo w Giesbach, nad Bryenckiem jeziorem, u stóp wspaniałego wodospadu, parę tygodni i znajomość tę uśiłowałem pogrzebać w piasku zapomnienia, gdy oto wczoraj, zmylony podobieństwem, o mało rąk ku niej ruchem instyktownym nie wyciągnąłem, i potrzebowałem dopiero pewnego zebrania myśli, aby sobie uprzytomnić, że nie mogła to być ona... Angielkę rychło straciłem w tłumie z oczu, ale wrażenie tego spotkania trwa jeszcze i ustawicznie powraca mi na myśl Giesbach... Otóż są ekloga i elegia, pnące się na sfinksowy tron apostaty!

Kto wie, czy gdybym poznał Krasowce, nie począł-bym potem tęsknić do tamtejszych lip i świerków, szelestów zbóż i szumów sosen, nawet do zagrobników, drzemiących w dębowych cieniach? Na razie, przesyłam pozdrowienie wszystkiemu, co wzrasta, kwitnie, myśli, cierpi w Krasowcach, a mimo grożącego niebezpieczeństwa uowej eklogi, proszę o rychłe echo z tych dalekich samotni, o echo, które na tle interlackiego sezonu i jego poliglotycznej pstrocizny wydaje mi się czemś prawie legendowem... O! weź do rąk harfę!

IX.

Krasowce.

Przyjmuję harfę, którą mi podajesz, i w dloniach wzniesionych wystawiam ją na wiatry, na te wiatry lekkie, szemrzące i wonne, które od korony do korony kwiatu i od kielicha do kielicha serca, roznoszą po świecie rozpylone brylanty i winne grom! Niech zagrają na niej te skrzydlate posły, co, jak podczaszowie uczt starożytnych, jak owi paziowie, oblani woniami i złotemi włosy, nalewają czary biesiadników bytu, ogniem z Falernu i miodem z Hymetu! Niech na

te struny, które mi podałeś, opadną gibkie gałęzie grabowe, niech posypią się na nie granaty dojrzałych jeżyn, niech je obejmie upał lipcowego południa.. ..

Tam, gdzie z różowych margli wyrasta las najobfitszy w liście, na bogatych w liść najrozmaitszy *Hrudac*⁴, upalnie dziś było, sennie, duszno, potno na drzewach od roztopiających się wonności, a na trawach od wysypujących się z dojrzałych wymion roślinnych nasion perłowych i srebrnych. Na niskich krzakach połyskiwały granaty jeżynowych jagód, gromadami kwitnące epilobie brunatność pni plamiły fioletową purpurą—i tylko te kolory, wraz z wyekscytowaniami od gorąca woniami czuwały, igrając ze światłem słońca, rozbitem na miliardy migotliwych drobin. Zresztą, wszystko było sennie, albo i uśpione.

Sennie z gałęzi zwieszały się liście nieruchome i w kolisto utkanej pomiędzy gałęzmi pajęczynie spał pająk, złotym punktem spiuwając promienie srebrnego koła. W podniebnych gniazdach, na morzu zieleni, z powieką, na krwawe źrenice spuszczoną, usnęły krognlce; posnęły wiewiórki w dziuplach drzew i sarny wdzięcznie wyciągnęły się na wrzosach. Usnęły w porosty drzew uplatane gąsiennice welniście i spały do wiotkich trzmielin uczezione motyle ze złożonemi jak do pacierza skrzydły. Za ścianami, zbudowanemi z unerwionych tkanek roślinnych, stały wstrzymane w locie wiatry i, głowy szemrzące do szczelin przykładając, podsłuchiwały, czy porusza się cokolwiek w świątyni upału i milczenia? Czy cokolwiek tam mówi, oddycha? Nic nie poruszało się, nic nie mówiło, nawet nie szeptało, nawet nie zdawało się oddychać. Tylko rozszalałe wonie lały się w par spocony i rozproszone kolory tańczyły z rozpylonemi blaskami.

Czyś kiedykolwiek zauważył, jak długie gałęzie grabu z trzcinową giętkością kładną się na sąsiednie drzewa, przed krokami przechodnia splatając zapory sprężyste i odporne? Rozgarnęłam gałęzie grabu sprężyste, długie, pełne wielkiego, chłodnego liścia, i zaledwie wyjrzałam przez nie — stanęłam. Stałam w jeżynach i chmielach, które miliardem swych niewidzialnych haczyków oczepiły mięż aż do ramion, i tylko nad głową podnosząc feston ciężkiej kotary — patrzałam.

Polana nieduża, okrągłuteńka, obramowana ciemnym lasem, leżała pod płachtą słonecznego światła w gęstej sierści dojrzałego żyta—i na las otwierała się szczeliną wąskiej drogi, pomiędzy dwiema ścianami niebotycznemi wyciągniętej linią prościuteńką, w nieścignioną dal. U brzegu żyta stała para ludzi: wiejski parobczak i wiejska dziewczyna, do kolan w bujnych ziołach, tak, jak ja byłam do ramion w jeżynach i chmielach. Poznałam ich: prawnuki tych kolonis-

tów-pionierów, których przed półtora stuleciem w bezludnych podówczas prągęstwiach osiedlił śmiały reformator finansista, aby potężnymi ramionami czynili w nich wyręby dla publicznego przemysłu i bogactwa.

Stali niedaleko mnie, bardzo blisko siebie, i łatwo było odgadnąć, że, spotkawszy się w drodze do pracy, ze spotkania tego uczynili sobie krótkie, promienne święto. Ona jedną ręką opuszczając sierp na jaskrawą odzież, palcami drugiej dotykała wysokiego kłosa żyta; on, z suchemi liniami grabi nad ramieniem splótł ręce na ich drzewcu, i tak stali, nie mówiąc nic, nie czyniąc poruszenia najmniejszego, a tylko oczy w oczach sobie zatapiając. Na poważnie złożonych ich wargach nie było uśmiechów, po czołach gładkich nie przebiegało żadne drgnienie i nieruchome postacie te, z nieruchomymi profilami, tylko magnesem od źrenic do źrenic przeciągniętym skute, uwypuklały się na tle złotego żyta i ciemnego lasu, jak posągi, wyobrażające czysty i uroczysty moment szczęścia. Biła od nich uroczystość zaręczyn, dokonywanych na łonie natury gorącym i cichym; byli, jak ona, gorący i cisi, a nad nimi, nad skamieniałymi w złotym skwarze drzewami, kłosami, ziołami, zdawało się unosić echo sabeistycznej pieśni o słońcu:

Cicho, cicho jechał Bóg przez góry i doliny,
Nie zdrząło przed nim ani żyto w kwiecie,
Ani oblicze oracza...

Zadrząły w wewnętrznym słońcu usta dziewczyny i jak koralowa muszla rozchyliły się nad rzędem pereł. Wtedy i on uśmiechnął się także, zdjął z żyta jej rękę i, trzymając się za ręce, poszli żytem, po miedzy, na wąską, prostą drogę, pomiędzy niebotycznymi ścianami, wśród których długo jeszcze stalowa iskra sierpu pobłyskiwała na tle czerwonej odzieży to silniej, to słabiej, aż w odległości zgasła...

Nigdy jeszcze mój lotnonogi Avis nie szedł tak powoli, tak powoli, jak gdy szeroką, sklepioną nawą leśną, powracałam z *Hrud*, bogatych w liście... „Wolniej, Avisie, wolniej! prosiłam i marzyłam o jakiejś łodzi tak cichej, jak widmo, która-by mię po jakiejś toni, tak świetlanej, jak księżycowe promienie, niosła powoli, powoli, bez ruchu wioseł i bez plusku fali, ku jakimś nieznanym zaświatom, do jakichś „ogrodów kwietnych“, „grót lazurowych i różanych“.....

Achl Te ogrody kwietne! Ach, te groty lazurowe i różane! Z ironicznym zgrzytem rzeczywistość żelazna ociera się o księżycowe srebro marzeń! Fata morgany przewlekają się po ziemi, aby sto-

pom pracowników podrzucać kamienie obraży! Uludy, które niekiedy sprawdzają się pośród Budników, lecz im wyżej, im wyżej leci duch człowieka, tem szybciej pierzchają one od niego, daleko, aż przepadają na mglistych ementarzach niesprawdzonych snów

Jakże dumnym jesteś, kuzynie! Gdyby sto Pelionów na stu Ossach postawić, jeszcze-by ich wysokość nie dorównała twojej dumie! Więc mniemasz, że znajdujesz się poza ludzkością, ponad ludzkością, rozwiązany ze ślubów braterstwa, któremi zwiążuje ludzi krwawa stula wspólnych cierpień i złota obrączka wspólnych wysokich przeznaczeń? To mię zadziwia. Jam zawsze mniemała, że im w większych wielkościach człowiek tkwi wzrokiem i duszą, tem czuje się mniejszym, że im upoczywiej siły swe wspią ku słońcom nieśmiertelnym, tem jaśniej spostrzega, że sam jest przed nimi jako cień, jako sługa i jako pokorny czciciel.

I niepotrzebnie wysmiewasz zdanie: „błogosławieni ubodzy w duchu“, bo pospolicie jest ono tylko tłómaczonem opacznie. W rozumieniu jego istotnem „ubogim w duchu“ nie jest ten, któremu brak wszelkiej skarbnicy duchowej, ale ten, który, jakimkolwiek było-by jego bogactwo, samego siebie nie poczytuje za drogocenny klejnot w skarbnicy świata. Być „ubogim w duchu“ wszakże to znaczy czuć się małym wobec rozpoznanych poza sobą wielkości i czuć się małym razem z małymi, bez uwagi na choćby niezmierną nad nimi wyższość swego wzrostu. To nietylko wzniosłe, ale i bardzo rozsądne, bo, doprawdy, jakaż to jest ta nasza wielkość, choćby największa, i jakież to są te nasze bogactwa, choćby najwspanialsze, w obliczu tych mąk, tych nędz i tych znikomości, których nieskończoność każdy z nas sam w sobie nosi?

Ty, kuzynie, patrzysz oko w oko w nieskończoność materji, a co czynisz z duchem? Bo te wszystkie słońca, gwiazdy, meteory, komety, mleczne drogi, te wszystkie wiązki atomów, które od ameby, zawieszanej w kropli wilgoci, do światowej elegantki, kołyszącej się w takt muzyki na ramionach światowego eleganta, rządzące się jedynem prawem bytu i jego sytości, to tylko bryły materji w różne formy i wielkości urobione na niepojętym warsztacie wszechświata. A gdzież jest druga strona obrazu, ta, na której duch po nieskończonych przeobrażeniach i gradacyach dosięga kartezyuszowego: „Myślę więc jestem“, lub Chrystusowego: „Pójdźcie do mnie, wy, którzy cierpicie!“.

Gdzież na widnogrębach swoich umieściles to, co nawet w młodej parze Budników sprawia, że, obłani żarem, ciekącym z prawa bytu, nie rzucają się ku sobie z krzykiem wścieklej radości, jak wilk

i wilczyca, lecz stoją naprzeciw siebie w skromnej i zadumanej ciszy, w pieśni serc, która poprzedza uniesienia ciała i jest dla tych uniesień poezją i odkupieniem?

Któż to jest ta młoda Polka, spotkana w Giesbach, której obraz tak trwale odbił się na tle twojej pamięci? Jak wygląda? Jakie jest jej imię? Gdzie znajduje się obecnie? Obraz, odbity w pamięci, musi być jeszcze bardzo kolorowym i wypukłym, skoro pod jego wpływem Sfinks, ze szczytu stu Oss i stu Pelionów spoglądający w nieskończoność materyi, zdobył się na pokorę wyznania, że posiada w sobie ten oldech ducha, którem jest serce! Opowiedz mi cokolwiek o młodej bohaterce eklogi w Giesbach

. . . Czy zbyt śmiałą popelnię metaforę, jeżeli powiem, że na gruntach dusz ludzkich miłość wyrasta w tyłu różnych postaciach i odmianach, ile ich posiadają rośliny, wyrastające z różnych gruntów puszczy. Dziwią się ludzie, że miłość „jej i jego“ nieraz, bardzo często, zapowiadając zrazu cud i raj, szybko przemienia się w gminność i piekło. Lecz któż spostrzega, że pary ludzkie miłość swoją pospolicie przez wrota życia przenoszą w sercach tak lekkich i pustych, jakby z nią razem wstępowały na salę z na wieki wylustrzoną posadzką, z na wieki roznieconemi snopami świateł, z na wieki wesółym tańcem rozbrzmiałą muzyką, na salę słowem, w której odbyć się ma wiekuis-ty ku ich uczczeniu i uraczeniu bankiet.

Serca, w których pary zakochane miłość swoją we wrota życia wnoszą, są pustyniami, nad któremi ptak żądzy sam jeden leci ku jedy-nemu słońcu rozkoszy. Cóż dziwnego, że gdy niezbędną koleją rze-czy ludzkich słońce to przygasa, ptak zapada w ciemność, albo na skrzydłach spragnionych ulatuje ku biesiadom innym, a w bankieto-wej sali nie pozostaje nic, krom odrobiny krwi wyciekłej z poranio-nych serc i skrzydeł, krom unoszących się w ciemnościach woni zwie-trzałego wina, uwiędłych pomarańcz i rozpylonego pieprzu?

Cóż? Chcąc nie chcąc, muszę znowu rysować te słupy, które na twojej mapie geograficznej oznaczają etap ludzkiego rozwoju, od-dawna już przebyty, a na moim obrazie świata wznoszą się jako wiecznotrwale kolumny, podpierające stropy wszystkich Panteonów i Partenonów, wszystkich wieżyc i skarbców ludzkości.

Dwie dusze, nawzajem za siebie odpowiedzialne i nad sobą czu-wające, a w niewzruszonym zjednoczeniu łamiące się z sobą twar-dym chlebem ziemskiej pracy, z jednego kielicha pijące hyzopy ziemskich bólów, na jednych skrzydłach wzlatujące w niebo upojeń

rajskich; dwie dusze, które z żądzы ideału ukuwają sobie puklerze przeciw złemu i lemieszę do orania gruntów pod zasiewy Dobra; dwie dusze, które z pożądań własnych umieją na ołtarzach całopalenia czynić, a w krwi serdecznej, oblewającej ofiarę, jeszcze znajdować sobie czarne perły szczęścia; dwie dusze, zaludnione chórem postaci nieskazitelnych, nieśmiertelnych, które wstępującą w ich koło miłość „jej i jego“, skazitelną i śmiertelną, poją światłem wysokich natchnień, miodem ukojeń i eliksirem wiecznego życia, jeżeli kiedykolwiek widziałeś takie dwu dusz połączenie, widziałeś miłość, odlaną w formę najdrogocenniejszą i najrzadszą. Niesłuchanie rzadką jest, bo któż trudni się kunsztem, dla powstawania jej koniecznym? Kunszt to jest rozróżniania głosów materyi od głosów ducha i prowadzenia wszystkich nici życia od ziemi do nieba.

Czy pamiętasz ten moment wędrówki Alighierego po sferach niebieskich, gdy razem z Beatrycą ujrzał się on zamkniętym w perle, która przyjęła ich do łona, jak kropla wody przyjmuje promień słońca, a była gwiazdą, mającą na sobie znaki ciemne. Beatryx, z okiem, utkwionem w wiekiuste kręgi, tak ziemskiemu oblubińcowi niebieskie rzeczy tłumaczyła:

Niebo, co gwiazdy zdołają je tak mnogie,
 Głębokiej myśli, która w krąg je toczy,
 Przybiera obraz,...
 A jako dusza na rozliczne członki
 Tam w prochu waszym niewidomie sływa,
 Podobnie Dobro swoje rozmnożone
 Najwyższa Miłość zlewa na gwiazd krocie.
 Ona unosi ogień do księżyca,
 Ona porusza śmiertelników serca,
 Ona ziemię ścisła i w całość jednoczy,
 Ona, płonąć, tak się iskrzy,
 Że wieczne Piękno roztacza dokoła,
 Od niej-to idzie światel rozmaitość.

A gdy na twarzy Alighierego rozlewał się wciąż smutek niedokończonych rozpoznań, Beatryx, z takimi uśmiechy, że, patrząc na nie, „człowiek wśród tortur czuł-by się szczęśliwym“, mówiła jeszcze:

Jeśli blask rzucam w miłości zapale
 Większy, niż widzieć go można na ziemi,
 Taki, że siłę twych oczu przemaga,
 Nie dziw się wcale, bowiem to wynika
 Z doskonałego poznania...

Nie jedna droga wiedzie do poznania. Czasem, poeci, przez najwyższy rzut uczucia, wzbijają się ku emiprejskim wysokościami i dostrzegają ten punkt środkowy, z którego na Wszecchbytu „leje się światła różnorodność“. Czasem, poeci—to właśnie zdobywają poznanie najtrudniejsze, bo sami są najgłębszymi łożyskami leżącymi z góry światła, najwyższym wyrazem skupienia i nateżenia siły uczuciowej. Bo nad ziemią, obok rozświetlającego ziemskie noce księżycyca rozumu, goreje ożywiająca wszystko, co żyje, słońce uczucia, a któkolwiek od tego słońca się oddala, tego życie zakreślać musi łuk nocny.

Klucze do wszystkich zagadnień ludzkiego życia tkwią w stosunku żyjących do tej najwyższej Myśli i Miłości, którą Beatrix wskazywała Dantemu z łona perły, będącej gwiazdą. Te złote żyły, które duszę naszą przebiegają: wiara, wiedza, sztuka, ludzkość, ojczyzna, miłość „jej i jego“, to drabina z tyłu szczeblami, ile tęsknot ku celom wielkim goreje w piersiach ludzkich. A każdy z tych szczebli, im mocniejszymi niemi połączony ze środkowym punktem Wszecchbytu, z najwyższą Myślą i Miłością—Bogiem, tem więcej forma jego jest z wolą Mistrza zgodną, tem mniej materya zostaje na odpowiedź wołaniom ducha głuchą...

Taką staje przede mną miłość „jej i jego“, ...lecz wnet pierzcha i znika, na cmentarzach nieziszczonych snów.

A teraz ekloga druga i razem z nią może krótka strofa eposu.

Zaczyna się jak w bajce.

Był żył raz w pobliżu tej puszczy mąż ręki mocnej i wielkiego serca, który doświadczył objawienia, że pod strop zamczyska, runięciem grożący, podstawić ma kolumny i ściany jego, okrywające się bladeścią śmierci, zabarwiać rumianym hematytom życia. Doznawszy objawienia, wieszczącego mu czyny i znoje, naprzód pokornie rzekł: „Dobrze. o Pani! rozkaz Twój pełnić będę“, a potem spojrzeniem szeroko zatoczył, szukając po widnokregu marmurów na kolumny, żelaza i purpury na hematyt życia. Spojrzeniem tem spotkał się z ciemną, głęboką, tajemnic pełną Puszcza, skrzydłem orlem

o nią uderzył i zawołał: „otwórz się!“ Na imię temu mężowi było: Antoni Tyzenhauz. Imię cudzoziemsko brzmiało, lecz ten, kto je nosił, był synem zamczyska rodzonym i dobrym.

Rozpoczął tedy otwieranie skarbnicy. Z sąsiedniej krainy mazowieckiej przywoławszy ludzi wolnych, noszących szlacheckie nazwiska Dobrzyńskich, Młodnickich, Wołodkiewiczów itp., oddał zazarowane klucze odważnym i silnym ich rękami. Wyludnił się podówczas na Mazowszu nie jeden zaścianek, który, według poety: „słyszał szeroko z męstwa szlachciców, z piękności szlachcianek“, lecz w zamian Puszcza zawrzała życiem ludzkim.

I przedtem już nieraz wrzało tu życie ludzkie. Przy muzyce trąb myśliwskich, Jagiellońskie orszaki kładły trupem tysiące żubrów i łosi, mających żywić rycerskie hufy grunwaldzkich zwycięzców; kiedyindziej, o niebotyczne sklepienia lip i modrzewi, w wiatach tryumfalnych uderzało kochane imię Zygmunta Augusta; a w innym jeszcze, zniknionym na oceanie czasu momencie, mostem nad Lsną zawieszonym, mądry Siedmiogrodzianin przejeżdżał w królewskiej swej chwale i, jedno z uroczysk purpurą myśliwskich namiotów okrywszy, związał z niem na zawsze imię Batorego. Lecz były to momenty krótkie, po których znowu dno zielonego morza zalegały cisze bezdenne, toczące w sobie tylko szumy Boru-Lady i łoskoty lub szmery zwierzęcych walk, gonitw, miłości i gniewów.

Teraz, powstało tu nie takie życie, jakie ze szczytów zamczysk jaśnieje hełmami przepychu i sławy, lecz takie, jakie u podstaw ich migocze stałą toporów i temi iskrami, które skwarne słońca i blade księżycy rozniecają w kroplach ludzkich znojów. Lud wolny, mężny, silny, wiedzący co czyni, rozmachał topory, ogniem napelnił paszcze smolarni, zębami pił zazgrzytał po ciałach olbrzymów leśnych, a w ścianach hutniczych z materji roztopionych ukrecał pęczką płomienne węże. I niewiadomo, czy dla tego, że smolarnie i huty wznoszone były w kształcie bud stogowatych i okrągłych, czy, że odgłosy wezbranego życia zrywały z legowisk nocnych żubry posępne i łanie płochliwe, a w przepastnych lasu głębinach echa przez wieki śpiące budziły, lud ten otrzymał nazwę Budników.

Było to już dawno temu, dawno. Na zegarze czasu wskazówki posunęły się odtąd o dwie niemal godziny, które w języku ludzkim noszą nazwę stuleci. Jeszcze wówczas tabuny dzikich koni tententem kopyt i wesołem rżeniem napelniały polany i łąki; niedźwiedzie, u wierchołków lip spokojnie rozsiadłe, z pomrukami rozkoszy ograbiały z miodu nieprzeliczone roje pszczelne; rysie nocami zapalały po drzewach iluminacje święcących oczu; nad Lsną, Narewką, Białą, Jelonką, Krynicą, Gwoźną, wszędy, gdziekolwiek woda płynęła, na-

rody bobrów z rzęsimym płaczem budowały kunsztowne swe wsie i gródki.

Jeszcze wówczas, krom tych ludzi odważnych i tęgich, którzy na wezwanie męża z wielkiem sercem świat gwarny i widny rzucili a w ciszach i cieniach tutejszych osiedli, nie było tu nikogo.

Z pod ich-to rąk sosny białowieskie, w postaci masztów o nieporównanej wysokości i sile, wypływały na dalekie morza i szeroko po świecie rozlewały się rzeki miodowe. Z pod ich rąk, po świątyniach i salach tanecznych, snopy światła wytryskiwały z woskowych pochodni, a z wiecznotrwałych desek wznosiły się ściany dworów i świątyń. Ich-to ręce owijały dokoła ciał wykwintnych futra niedźwiedzie, bobrowe lub wilcze, pod uspione członki wojowników rozciągały skóry łosiowe, a stoły rodzinne, biesiadne, osypywały deszczami połysków szklanych.

Wiedząc co czynili, żądali dla siebie praw, czynom równych, a że rodem szli od tych, którzy po zaściankach rodzinnych miewali wedle poety: „klamki, ćwieki, haki albo ucięte albo noszące szabel znaki“, więc działały się tu czasem rzeczy dziwne, posępne i straszne. Gdy lud ten tak wolny, jak żyjące z nim obok tabuny dzikich koni, a tak hartowny, jak żelazo toporów, któremi sosny w złoto przekuwał, murem przeciwko czemukolwiek stanął, to mur ten obalić było tak prawie trudno, jak w palcach przełamać jeden z tych dębów, w którego wydrążonem wnętrzu koń z jeźdźcem swobodnie obrócić się może. Codziennie smoła, a w święto walki krew z pod rąk mu ciekla. Na codzien, jak mazowieckie równiny i jak ta puszcza, cicho za dumany, do walki miał kły, rogi i świecące oczy puszczoowych żubrów, odyńców i rysiów. Na tych gruntach, które wzrosty rzucają pod obłoki, rósł wysoki i wysmukły, pod woalami cieniów, któremi las przysłaniał mu skwary słoneczne, białiał na twarzach, w głębokich nawach dróg leśnych pogłębiał w sobie duszę i scena życia jego niejednokrotnie na tle kulis leśnych napelniała się odgłosami tragedji ponurych, idyli lirycznych, albo eposów niepokonanego męstwa... Aż wszystko ucichło i szumny żywioł, wylewający na rozległe samotnie fale dzikiej, lub bohaterskiej poezji, popłynął ciasnem, sennem, monotonnie wytkniętem korytem, nad którem już tylko sama jedna wieszczka natury potężnej i wolnej bezprzestannie rozwiesza czarowne swe płótna.

Lecz trwają wspomnienia. Jest w miejscu pewnem okopisko, młodą dębiną porośłe, z kopcem wysokim i długim pośrodku.

Tam, wśród cienkich dąbków, różanem światłem zachodu obłany, siwy Dobrzyński opowiada czasem, czyje to ręce wznosiły ten wał obozowy i kto snem wiecznym usypia pod kopcem, na którym blysz-

czą gwiazdy nieśmiertelników i powiewają z wysokich lodyg liliowe dzwonki. Gdy opowiada, oczy z głębokich zapadlin goreją mu czasem nakształt czarnych żużli, a gdy zmrok go tam znajdzie i nad okopisko przyplynie odgłos dzwonu, który rozlega się od podziemnego miasta, to wtedy zwiędłe usta starca razem z liśćmi młodych dębów, z przygasającymi gwiazdami nieśmiertelników i chwiejącymi się zwolna kielichami dzwinków, szepcą nad okopiskiem: „a światłość wieki sta niechaj im świeci, Panie, o! Panie!”

Przed kilku dniami, Avis mój zaniósł mię do jednej z najbliższych osad budniczych; na obejściu Dobrzyńskich, czystem, zielonem, bukiet brzoź mającem u wrót, otwierających się na szerokie błonie, półkolem lasu otoczone, siedziałam pod gruszą, która gałęzisty parasol rozpina tak szeroko, że zachodzące słońce nie dosięgało nawet rąbka mojej sukni i tylko u stóp moich rozkładało na murawie sieć ze złotych nici. Nie byłam samą i nie panowała cisza wkoło mnie. Przeciwnie; nad głową miałam wielki gwar ptactwa, a dokoła siebie szebiot mnóstwa dzieci.

Było ich mnóstwo. Patrząc na nie, myślałam, że gdybyś mógł je widzieć... O, gdybyś widział te kądziele luiane nad czołami, które pocałunki słońca okryły czerstwą śniadością, z pod czół tych świecący rój gwiazdek błękitnych lub piwnych, czerwone wargi rozedrgane śmiechem, gdy tymczasem w drobnych zębach, jak orzeszki u wieiórek, chrupały karmelki, a rączyny, jak gałązki przez wiatr miotane, wyciągały się ku błyszczącym krzyżykom i jaskrawym literom elementarzy; gdybyś widział, jak potem, między rozwartemi rąbkami koszulin, krzyżyki srebrną rosą rozsypały się po piersiach dziecięcych i jak ich połyski ścigały się o lepsze z błyskami gwiazdek błękitnych i piwnych,—gdybyś to wszystko mógł widzieć, pewna jestem, o! pewna, że oczy twe z rozkoszą utonęły-by, tak, jak tonęły moje, w tej mlecznej drodze niewinności i radosnego wdziękul

Wtem, młoda Dobrzyńska, mazurka wysmukła i zgrabna, z ciężkim warkoczem za głową, wyszła za wrota obejścia i widziałam, jak chodziła wzdłuż grzędy aster, które przed oknami świetlicy rozkwitły teraz w pełnej swej chwale, różnobarwne, wysokie, ogromne.

Przyglądała się kwiatom, wybierała, wahająca się i z żadnego nie dość zadowolona, aż wreszcie zerwała jeden, szybko przeszła podwórko i, śnieżny kwiat na długiej lodydze mnie podając, z uśmiechem rzekła: „Najpiękniejszy!”

Powieki przytem spuściła, rzęsy rzuciły cień na drobne rysy, po których obłokiem różowym przepłynął rumieniec. Przypięłam astrę do stanika i dziwnie lekko poczęło mi bić serce pod tem podziękowaniem

matki za radość jej dzieci. Była to w śnieżnym kwiecie zakłęta kropla słodyczy, o, jakże potrzebna tej sprężynie ludzkiego życia i tej ranie ludzkiej piersi, którą jest serce człowieka!

Potem wynieśli mi pod gruszę mleko pienne, chleb woniejący skibą ziemi i klonowym liściem, ów także miód białowieski, w którym więzną wszystkie aromaty lasu, i którego słodkość przenikliwa zostawia na podniebieniu goryczkę, wziętą u mięt i ajerów.

A potem, na obejściu Dobrzyńskich zapanowała cisza; wszyscy rozproszyli się, rozbiegli; słońce kędyś za błoniem spłynęło pod widnokrąg, a ciepły wieczór sypać zaczął na las i wioskę szare mroki, wśród których szyby domostw ozłociły się blaskami roznieconych ognisk. Młoda Dobrzyńska, która dała mi astrę, nuciła u ogniska i nuta smętnej piosnki dolatywała pod parasol gruszy, w którego ażurach pobłyskiwać zaczęły drobne gwiazdy.

Stary Dobrzyński siedział obok mnie w cieniu tak głębokim, że przerzynał go tylko linią czarną i cienką. Pomimo, że czolo ma on nawskroś zorane głębokimi pręgami i gdy przyjeżdżam, prawnuka woła, aby Avisa mego w wygodny kąć obejścia uprowadził, wysoki jest, ma plecy proste i gładkie, a mówi chętnie i wiele.

— Bo są na świecie ludzie nader silni, — mówił — od wszelakiego złego silniejsi, którzy, żeby nie wiedzieć jaka przeszkoda przed nimi stanęła, każdą jak piórko z drogi swej zmiotą. Było raz tak. Leżał pośród drogi, którą ludzie chodzili, kamień wielkości tak okrutnej, że ani przejść, ani przejechać nikomu nie dawał. Jednym się koła u wozów o niego potrzaskały, inisi, zaczepiwszy oń, śmiertelnych upadków doświadczyli, inisi go daleko wokół objeżdżać byli zmuszeni. Skąd się głaz ten wziął? nie wiadomo; ziemia go pewnie sama na utrapienie ludzkie wydała, bo każdy wie, że, karmicielką będąc, czasem i trapiicielką srogą dla człowieka być ona umie. Dość, że ilu tylko ludzi na całą Puszczę i jej okoliczność było, wszyscy od głazu okrutnego frasunku i biedy, a czasem nawet nieszczęścia cierpieli. Aż nakoniec przebrała się ludzka cierpliwość i razu jednego, kto żyw do kupy przybiegł i hejzel wszyscy razem przeciwko spólnemu nieprzyjacielowi. Jako gałęzie przestępu naokoło pnia dębowego, tak ręce co najsilniejsze oplotły się naokoło głazu i hej! ho! w górę go! Silniej! Dłużej! Jeszcze raz! jeszcze raz! Nic. A niechże go jasne pioruny! Jak leżał, tak leży, i z pośród mchu brunatnego, co go obrósł, białe zęby wyszczerza z pośmiewiskiem.

Stanęli tedy z poopuszczanemi rękoma, w zasmuceniu wielkiem, aż widzą, że ktośś na koniu drogą nadjeżdża, a ponieważ droga leśna była, tedy co wybłyśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu nad głową w hełmie wysokim niby gwiazdę złotą, niby brylant tę-

czą świecący zapali. Pan nie pan; rycerz nie rycerz; chyba rycerz. bo hełm ma na głowie i odzież gdzieniegdzie od stali błyszczącą. Oblicze zaś jego jaśniało taką dobrocią i pięknnością, że wszyscy odrazu wielką śmiałość i ufność ku niemu poczuli, a gdy przybliżył się i, konia wstrzymawszy, rozpytywać się jął, czego-by tu zgromadzili się w liczbie tak wlekiej i z tak zasmuconemi twarzami, oni zaraz opowiedzieli mu swoją biedę. Tak i tak, jasnie wielmożny panie, opowiadają, tak i tak; aż tu patrzą, że na jasne oblicze rycerza litość występuje i że z konia zsiadać on zamierza. „Ja wam, — mówi — kamień ten z drogi odrzucę“. Oni na to z podziwieniem: „Gdziez-by jasnie wielmożny pan dla nas taką fatygę ponosił!“ A on im na to z cudnym uśmiechem: „W tym celu po świecie jeżdżę, aby niewinnych i ukrzywdzonych ratować“. Oni znów na to z wątpliwością: „Nie wystarczy tu żadna siła, choćby największa!“ A on im znów z oczyma błyszczącemi, jako gwiazdy: „Moja wystarczy, bo ją z żalu nad wami czerpię!“ Głaz okrutny rękoma opasał, zatrząsł nim, aż ziemia stęknęła, i odrzucił go daleko w las, kędy zagrzmiało w powietrzu i z trzaskiem złamało się kilka młodych świerków. Droga leżała gładka i równa, a po twarzach ludzkich, wprzód zasmuconych, skrzydło anielskie wypisywało litery radości. Rycerz zaś na konia znowu siadł i, pięknie ukloniwszy się, pojechał dalej niewinnych i ukrzywdzonych ratować.“

Tak opowiadał stary Dobrzyński; taka wśród milceń i gwarów tej puszczy krąży legenda o mężu nad wszelkie zło silniejszym. Czy słyszysz zalatujące od tej gminnej powieści echo stąpań Rosinanty, na której jeździł po świecie szlachetny rycerz z Lamanszy, echo wspaniałomyślnych, rycerskich uczuć i dziejów? Sam król Artur chętnie, jak przypuszczam, posadził-by u Okrągłego Stolu towarzysza tego, który, ze złotą gwiazdą na hełmie i cudnym uśmiechem na ustach zabłąkał się na białowieskie drogi.

Ściemniło się. Gwiazdy nie rozpraszały ciemności, w której rozlewała się cichość taka, że można-by dosłyszeć mały wystrzał balsaminowydzikiej, gdy, potrącona skrzydłem nocnego motyla, ziarna swe na trawy rosne wyrzuca.

Kiedy, myśląc o odjeździe, ze słowem pożegnania stanęłam w progu świetlicy, oskoczyły mię dzieci i młoda Dobrzyńska głośno uderzyła w dłonie.

— Jechać chcecie! Jakże to? tak samej jednej... nocą!

Poczęła zapraszać i namawiać.

— Ostańcie, bądźcie łaskawi, przenocujcie! Jutro raniusko, jeżeli wam pilno, pojedziecie, a obaczycie, jak tutaj zrana światłości różne

cudnie po drzewach grają i jak sarenki biegną przez błonie, aby napić się w Jelonce...

Pomyślałam, że ciężko istotnie bywa nieraz tym, którzy sami jedni idą nocą, nocą... i wdzięczna byłam tej chłopce, że gdy nikt się nie troszczy, ona się zatroszczyła...

Nazajutrz, kiedy bardzo wczesnie opuszczałam budniczą osadę, światła jutrzniowe cudnie grały na drzewach, stado sarn biegło przez zielone błonie i dwa jelenie głowy z potężnymi karkami wychylały z lasu, nad którego półkolem razchwiewał się po błękitach gasnący rumieniec Auszry.

Nad drzewami wsi, to wyżej, to niżej, rysowały się na różowym niebie ciemne sylwetki stojących po guiazdach bocianów.

O matomanach w astronomii.

I.

Równoległe z postępem wiedzy, oraz pomnażaniem środków jej popularyzacji pośród najszerszych warstw społecznych, coraz wybitniej występuje objaw chorobliwy, który można określić mianem matomanii. Matomanami nazywamy ludzi, którzy, nie posiadając dostatecznego przygotowania naukowego, stają w otwartej opozycji względem najsilniej ugruntowanych poglądów naukowych, i tworzą na ich miejsce teorie własne, niczem nieuzasadnione, a często tak dziwaczne i niedorzeczne, że tylko zбочeniu umysłowemu autorów powstawanie ich przypisać można.

Medycyna oddawna zapewne zwrócić musiała uwagę na ten rodzaj obłądu, który uważać można za pewną odmianę manii wielkości. Z punktu widzenia medycznego jest to zresztą prawdopodobnie choroba bardzo niewinna, albowiem ludzie, jej podlegający, poza tem niczem nie wyróżniają się od przeciętnego ogółu; tem szkodliwszą jest ona z punktu widzenia społecznego, szczególnie gdy zaczyna posługiwać się drukiem. Nie można wymagać od szerokich mas krytycyzmu naukowego; w początkowych fazach rozwoju umysłowego najsumieniejszy popularyzator nie jest w stanie uniknąć pewnej dogmatyczności w przedstawianiu teorii naukowych. To też masy są równie skłonne do przyjęcia poglądów ściśle naukowych, jak do uznania w dobrej wierze fantastycznych mżonek matomanów. Zależnie od książki, jaką przeciętny czytelnik dostaje do ręki, kształtują się jego zapatrywania na kwestye, w książce tej poruszane.

Do zajęcia się kwestyą matomanii w tym artykule skłonił mię zauważony fakt, że z książek treści astronomicznej, które w ostatnich dziesięciu latach wydane zostały w języku polskim, przynajmniej połowę zaliczyć trzeba do płodów obłądu naukowego. A przecież astronomia nie jest bynajmniej jedyną nauką, w której matomani doniosły podnoszą głos, działalność ich wre i kipi na wszystkich po-

lach myśli ludzkiej. W warunkach społecznych i biologicznych aż się roi od najokropniejszych pomysłów, kwestye lingwistyczne i gramatyczne są ulubionym tematem dyskusyi ludzi, najmniej do tego powołanych, specjalna matomania grafomanii jest utrapieniem redakcyi czasopism literackich, a nie mniej głów może trzodzi się nad różnemi „wynalazkami“, pośród których perpetuum mobile wciąż jeszcze poczesne zajmuje miejsce.

Do wytwarzania się matomanów w znacznej mierze niewątpliwie przyczynia się popularyzacya wiedzy. Świadczą o tem wykłady popularne, po których do prelegentów napływają różne głosy opozycyjne, świadczą instytucye, specjalnie popularyzacyi wiedzy poświęcone, do których bez przerwy zgłaszają się ludzie z rozmaitemi pytaniami i teoryami. Takim ulubionem miejscem wynurzeń matomanów była naprzykład przez długi czas Urania berlińska, dopóki bezwzględniejszem traktowaniem nie odstręczyła ich od siebie.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby popularyzacya wiedzy miała być szkodliwą. Plamy są nawet na słońcu, a przecież świeci ono i grzeje. Popularyzacya jest nietylko pożyteczną, ale w dzisiejszych czasach wprost niezbędną; szkodliwą staje się ona tylko wtedy, gdy rozsiewa błędne poglądy, a, niestety, zdarza się to zbyt często.

Pomijając wszelkie korzyści praktyczne, które człowiekowi przynosi wiedza, za najgłówniejszy cel popularyzacyi należy uważać rozszerzanie poglądów na świat i życie, zbliżanie ludzi do siebie przez usuwanie przepaści, dzielącej pojęcia ludzi wykształconych od pojęć tłumu. Jak dalece wykształcenie dzieli i zbliża, widzimy stąd, iż łatwiej często przychodzi nam zawiązać bliższy stosunek z wykształconym Włochem, lub Japończykiem, aniżeli z ciemnym naszym rodakiem, pomimo tylu łączących nas z nim węzłów.

Z drugiej strony, posunięta w naszych czasach do wysokiego stopnia specjalizacya, która stała się koniecznym warunkiem postępu w poszczególnych gałęziach nauki, sprawia, że nawet ludzie wykształceni, ale w innych dziedzinach wiedzy pracujący, nie są zdolni się porozumieć w kwestyach, najbardziej ich obchodzących. Popularyzacya winna dążyć do tego, aby każdego—choćby tylko w najogólniejszych zarysach—pouczać o podstawach różnych gałęzi wiedzy, oraz o najważniejszych, dokonywanych w niej, odkryciach.

Często żartujemy sobie z dyletantów, którzy zajmują się wszystkim po trochu, a nic nie umieją porządnie. Ale jeżeli nazwiemy dyletantem człowieka, który posiadał najogólniejsze wiadomości z najróżniejszych dziedzin pracy kulturalnej, to wistocie rzeczy głównym celem popularyzacyi winno być rozwijanie tak rozumianego dyletantyzmu.

Dążenie tego rodzaju uważanem być może za objaw analogiczny do dążeń społecznych, mających na celu sprawiedliwy podział dóbr materialnych pomiędzy ludźmi. Ale gdy już te dążenia napotykają na swej drodze liczne przeszkody, to trudności wzrastają o wiele bardziej, gdy chodzi o równomierniejszy podział zdobyczy umysłowych.

Żądza życia i użycia jest w człowieku tak silną, iż wytwarza w nim dostateczne zasoby energii do pracy, lub walki. Tak samo wrodzoną jest człowiekowi żądza poznania, ale objawia się ona znacznie łagodniej i zazwyczaj dość łatwo da się zaspokoić. Bardzo nieliczni są ludzie, w których żądza wiedzy góruje ponad wszystkimi innymi potrzebami życia — ci zawsze znajdują drogę do zaspokojenia ciekawości, o ile to wogóle jest możliwem. Ogół wymaga podniety, zachęty, ułatwień, a wszystko to do pewnego stopnia może mu dać dobra i rozumna popularyzacya. Owocem jej powinien być dyletantyzm, jako objaw prawdziwie kulturalny, jako wyraz dążeń ludzkości do prawdy, światła i sprawiedliwości.

Gdy sobie wszakże uprzytomnimy, jakie znaczenie dziś ogólnie nadaje się wyrazowi „dyletantyzm“, w którym mieści się i lekceważenie, i odcień ironii, znaczenie, które się wytworzyło na podstawie obserwacji i praktyki życiowej, trudno nie dojść do wniosku, że ujemne strony dyletantyzmu praktycznego odebrały mu piętno zdrowego objawu kulturalnego. O tych stronach ujemnych, które wiążą się ściśle z główną treścią tego artykułu, musimy pomówić nieco obszerniej.

II.

Każdy specjalista, pracujący naukowo w jakiegokolwiek dziedzinie wiedzy, wie, że jest to niezgłębione morze, po którym z wielkim trudem żeglować trzeba, bez nadziei, że kiedyś dopłynie się do portu. Rozumie on, na jak olbrzymim materiale, bez przerwy z najróżnorodniejszymi trudnościami gromadzonym i krytycznie sprawdzanym, musi on opierać każde swe twierdzenie, które ma naukę zubożyc, z jaką ostrożnością musi wyciągać wnioski, aby nie popaść w sprzeczności z mnóstwem innych faktów, których całokształt zawsze musi brać pod uwagę. Nauka nie znosi lekkomyślności i zapomnienia; każdy grzech, w tym kierunku popełniony, mści się dotkliwie: powoduje zamęt, opóźnia postęp i znieślawia winowajcę.

Błędne pojęcie w nauce można porównać z chorobą w organizmie, musi ona być uleczoną, jeżeli organizm ma się rozwijać normalnie.

Nigdzie może lekkomyślność taka nie pociąga za sobą skutków tak wyraźnych, jak w naukach ścisłych. W innych naukach istnieje zawsze pewna elastyczność i rozciągliwość pojęć, probierze prawdy mają charakter bardziej przypadkowy i zmienny, względność prawd naukowych występuje jaskrawiej. Inaczej w naukach ścisłych; tam określenia nie dopuszczają żadnej dwuznaczności, te same działania prowadzić muszą zawsze do tych samych wyników, wszystko tam tworzyć musi budynek, w którego kształcie i rozkładzie żadnej nie może być dowolności. We wszystkich jego częściach istnieje ścisły, nierozzerwalny związek, a jedna cegła, wyjęta z fundamentu, albo zastąpiona inną, może spowodować runięcie, albo zupełną przemianę całego gmachu. Dziś, naturalnie, wielka część tego gmachu stoi na podstawach niewzruszonych, katastrofom, lub zmianom ulegać mogą tylko wyższe, budujące się właśnie piętra.

To, cośmy powiedzieli o naukach ścisłych wogóle, dotyczy też w szczególności astronomii, która, aczkolwiek ze względu na cel i przedmiot badań zalicza się do nauk przyrodniczych, jest jednocześnie nauką ścisłą, ze względu na sposoby i środki badania.

Podstawą badań astronomicznych są prawdy, stwierdzone spostrzeżeniem, lub doświadczeniem, oraz hipotezy, które, chociaż głębszego uzasadnienia nie posiadają, nie stoją w sprzeczności z doświadczeniem i obserwacją. Wszelkie wnioski teoretyczne, opierające się na tych podstawach, zgadzać się muszą ze sprawdzalną rzeczywistością; z chwilą, gdy spostrzegamy sprzeczność, hipoteza musi być odrzuconą. Pojęcie prawdy, naturalnie, i tu jest względnem, ale o tyle tylko, o ile względniemi są same zjawiska w postaci, w jakiej się nam uświadamiają, o ile względna jest logika ludzka. Za prawdę naukową w astronomii uważa się to, co wnioskowaniem logicznem da się sprowadzić do pewników doświadczalnych.

Kto wie, czy nie do najważniejszych rzeczy w wykształceniu naukowem należy zdobycie jasnego poglądu na to, co w nauce jest prawdą, a co hipotezą. Niektóre bowiem hipotezy, skutkiem wielowiekowego stosowania i ciągłej zgodności wyciąganych z nich wniosków z obserwacją i doświadczeniem, zatraciły prawie swój charakter hypotetyczny, a przecież nie mamy prawa zapominać, że są to hipotezy i nic więcej; inne znowu, chociaż jako hipotezy do nauki wprowadzone, z biegiem czasu w istocie być niemi przestały — przeobraziły się w prawdy naukowe. Hipotezą pierwszego rodzaju jest naprzykład wzajemne przyciąganie się mas. Obserwacja mówi nam tylko tyle, że ciała niebieskie poruszają się w swoich drogach tak, jak gdyby

się one wzajemnie w określony sposób przyciągały — i to jest niezbitą prawdą; w praktyce natomiast często owo przyciąganie uważamy za fakt, a nieumiejętna pedagogia nie mało przyczynia się do rozszerzenia tego błędnego zapatrywania. Prawdą natomiast, której obalenie jest niemożliwe, jest ruch ziemi dokoła osi, oraz ruch ziemi i innych planet dokoła słońca — chociaż prawda ta przez Kopernika wypowiedzianą została tylko w formie hipotezy naukowej. Inna rzecz, jak zapatrywał się na ową hipotezę sam Kopernik; nie ulega wątpliwości, że przekonany był on o rzeczywistym istnieniu tych ruchów, ale rozumiał dobrze, że prostota teorii jego nie mogła być dostatecznym dowodem jej prawdziwości. Na dowody nauka czekać musiała dość długo.

Jeżeli uważamy za właściwe reformować naukę, to powinniśmy rozumieć i pamiętać, że polem takiej działalności reformatorskiej mogą być tylko hipotezy. Gdy zaś zechcemy obalać prawdy naukowe, to damy tem tylko dowód nieznanomości rzeczy, naukowej nieczytalności. Dwa wyżej przytoczone przykłady zostały umyślnie wybrane, albowiem hipoteza Newtona i układ Kopernika są przedmiotami, najbardziej narażonemi na ataki matomanów. Pomijając całą niedorzeczność rozumowań, wybór tematów świadczy, iż nie rozumieją oni, że prawdy naukowe w istocie istnieją, i że nie rozróżniają prawd od hipotez.

Wytłómaczenie tych różnic, a przynajmniej zwracanie na nie uwagi w wykładach popularnych, mogło-by zapobiedz wielu nieporozumieniom. Ale przyznać trzeba, że danie jasnego pojęcia o tych różnicach ludziom, należycie do tego nieprzygotowanym, nie należy do zadań łatwych, a, niestety, zbyt często się zdarza, że sami popularyzatorzy nie zdają sobie z nich dokładnie sprawy. Oczywiście, nieznanomość rzeczy odbija się na całej formie wykładu i uwydatnia się zawsze — nawet wtedy, gdy bezpośrednio zasadniczych kwestyi się nie porusza. Wszelka niejasność, lub chwiejność daje powód do wątpliwości, do których usuwania znajdują się zawsze ludzie, nie wiedzący, że przystępują do walki z wiatrakami.

W wykształceniu dyletanckiem spostrzegamy zazwyczaj brak zrozumienia najbardziej zasadniczych podstaw naukowych, a co za tem idzie, brak zaufania do wyników nauki. Na tle tem wytwarza się rodzaj eklektyzmu, zasadzającego się na chwytaniu wiadomości, najbardziej przemawiających do przekonania danemu indywiduum, a co do znaczenia i uzasadnienia naukowego bardzo niewspółmiernych, które tylko wytwarzają w umyśle zamęt, a bynajmniej nie są zdolne przyczynić się do rozszerzenia horyzontów myślowych.

Że dokładne wyjaśnienie zasadniczych pojęć naukowych powinno być wstępem do wszelkich wywodów bardziej szczegółowych, wynika to z konieczności oparcia nauki na podstawach realnych. W najdalszych konsekwencyach nie możemy tracić z oczu owej realnej, doświadczalnej rzeczywistości, gdyż ona tylko jest tym drogowskazem, który nas ustrzedz może od błędzenia po manowcach. Gdzie kończy się rzeczywistość, tam zaczyna się fantazyja, a fantazyja nie jest nauką.

Ale gdzie kończy się rzeczywistość? Jest to rzecz względna i ściśle zależna od stopnia poznania rzeczywistości. Dla analfabety stronica elementarza są już krainą fantastyczną; może on snuć najrozmaitsze myśli na temat szeregów nieznanych mu znaków, gdy umiejący czytać złoży z nich tylko pewne określone wyrazy.

Dla każdego człowieka poza granicą jego wiedzy zaczyna się kraina fantazyi. Gdy zgłębiliśmy dokładnie jakąś naukę, to stanowi ona dla nas pewien obszar znanej rzeczywistości, ktoś inny będzie mógł bujać po tym samym obszarze tylko na skrzydłach wyobraźni. Jeżeli chcemy kogoś pouczyć, to zamiast obrazów fantastycznych, mamy mu dać rzeczywistość. Nie znaczy to, aby zadaniem nauki było zabijać fantazyę; ale jej obowiązkiem jest dążyć do rozszerzania prawdy. Wolno uczonemu poza granicami poznanego obszaru unosić się wyobraźnią jak najdalej, ale nie wolno mu obrazów fantastycznych, które w gruncie rzeczy najczęściej są tylko nieudolnym zlepkiem kawałków rzeczywistości, nazywać rzeczywistością. Ale niekiedy wyobrażenie naukowe nawet w umysłach najpotężniejszych tak ściśle łączy się z prawdą naukową, że wielka zachodzi trudność w poprowadzeniu właściwej granicy. Rozstrzygać tu może tylko poważna krytyka naukowa. Można ją przekonywać, można ją zwalczać, ale lekceważyć jej nie można, bo orzeczenia wszelkich innych sądów, choćby całego świata, w sprawach nauki nie mają żadnego znaczenia.

Nie ulega kwestyi, że łatwiej do przekonań szerokich mas można trafić, rozsnuwając przed nimi rozmaite fantazyje naukowe, aniżeli wykładając im niczem nie zabarwioną prawdę. To też popularyzatorowie często nadużywają tej słabości ogółu dla zdobycia jego uznania z uszczerbkiem dla wiedzy. Zdarzają się niekiedy i uczeni, którzy nie tylko wobec tłumów wygłaszają nieuzasadnione swoje hipotezy, jako prawdy naukowe, ale, co gorsza, od wyroków krytyki naukowej odwołują się do sądu szerokiej opinii, która zadawała się błahemi, a więcej do uczucia, niż do rozumu, przemawiającemi, argumentami. Takie świadome szerzenie błędów dla dogodzenia osobistym ambicyom jest czynem wysoce nieetycznym.

Jako przykład, przytoczyć możemy Flammariona, który, mając za sobą pewne zasługi naukowe, był zdolen spopularyzować ideę zamieszkalności ciał niebieskich. Powagą swej uczoneści opancerzył fantazyę—i puścił ją na wszystkie rynki świata, gdzie znalazła imponujące powodzenie, a z nią i inne utwory autora! Idea zamieszkalności światów nie wymagała zbyt przekonywających argumentów, ażeby przeniknąć do tłumów. W książce „Wielość światów zamieszkałych“, tłómaczonej też na język polski, argumentami są tylko cytaty, a obalenie zarzutów w rodzaju tego, że niemożliwym jest, ażeby Zbawiciel miał się rodzić na każdej gwiazdzie w celu zbawienia jej ludzkości, zajmuje w tej książce poczesne miejsce,—a przecie dla szerokich warstw publiczności argumenty takie były dostateczne. Później, gdy przez Schiaparellego odkryte zostały kanały na Marsie, a jednocześnie powstała spirytystyczna teoria zjawisk medyumistycznych, zaludnienie Marsa oraz wędrówka dusz z gwiazdy na gwiazdę znalazły we Flammarionie wymownego rzeczownika. Przeważna część utworów Flammariona, traktująca te kwestye, w charakterze książek „popularno-naukowych“, przedostała się i do literatury polskiej. Skutki są wiadome: rzadko kogo dziś interesuje u nas astronomia, jako nauka o budowie wszechświata i prawach w nim rządzących, natomiast kwestya zaludnienia Marsa wszystkich bardzo zajmuje; czasami ma się wrażenie, iż niektórzy uważają astronomię za naukę, zajmującą się specjalnie szukaniem ludzi na Marsie.

Nie wiemy dobrze, jak się zapatrywać na motywa postępowania Flammariona. Jeżeli na podstawie dotychczasowych danych zdobył on przeświadczenie o zamieszkalności światów, w takim razie zaliczyć go trzeba do matomanów w tej dziedzinie, która go uczyniła głośnym. Takie zapatrywanie mniej uwłacza jego honorowi, aniżeli zarzut świadomego reklamowania błędnych zapatrywań. Jako matomana, należy Flammariona zaliczyć do najszkodliwszych, ponieważ jest on jednocześnie „sławnym“ astronomem, do tego astronomem francuskim, i posiada wybitny talent literacki.

Nie wszystkie jednakże teorye, stojące w sprzeczności z naukowo stwierdzonym faktem, są pomysłami matomanów. Obok matomanii, błędzącej w dobrej wierze, istnieje też całkiem świadoma szarlatanerya naukowa, wyzyskująca łatwowierność tłumów dla korzyści materialnych. Wpływ jej na kształtowanie pojęć jest nawet szkodliwym, albowiem unika ona zwykle tematów czysto naukowych, jako mniej popularnych i często dla szerokiego ogółu obojętnych, a wybiera przedmioty, mające bardziej bezpośredni związek z życiem praktycznym. Matoman tylko bardzo rzadko staje się popularnym,

szarlatan zwykle zdobywa szeroki rozgłos; na szczęście, szarlataneria jest zjawiskiem, o wiele rzadszem, aniżeli matomania.

Do szarlatanów naukowych nie wahamy się naprzykład zaliczyć na cały świat głośnego Falba. Niema chyba na świecie przedmiotu bardziej popularnego, jak stan pogody, interesuje on tak samo człowieka kulturalnego, jak i dzikiego mieszkańca najdalszych zakątków ziemi. Jakże uproszczonem i mniej narażonem było-by życie ludzkie, gdyby stan pogody był wiadomy na długi czas naprzód. Ludzkość domaga się dokładnej prognozy, a, niestety, trudność zadania jest tak wielka, że nauka jej podołać nie może. To, na co nauka przy największych wysiłkach umysłowych i materyalnych dzisiaj zdobyć się może, jest zbyt mało w porównaniu z tem, czego się żąda. To też ogół, zrążony do powściągliwej i w swych przewidywaniach chwiejnej nauki, zwraca się tam, gdzie znajduje śmielsze słowo, większą pewność siebie i dalej sięgające odpowiedzi. W krytykę teorii się nie wdaje, nie ma na to ani czasu, ani zdolności, ale czeka i sprawdza.

Jak wiadomo, prognozy Falba podawane są zawsze w formie bardzo nieokreślonej, miejsce nigdy prawie nie bywa w nich podawane, a czas w dość rozległych granicach. Jeżeli taka prognoza się sprawdzi, a gdzieś na ziemi sprawdzić się musi, to mieszkańcy, naturalnie, przekonani są o trafności przepowiedni; a charakterystyczną jest pobłażliwość mas, dzięki której jedna przepowiednia sprawdzona każe im zapominać o całym szeregu chybionych.

Świat chce być oszukiwanym. Więc chociaż tyle razy zwracano uwagę na elastyczność przepowiedni Falba, chociaż tylekroć wykazywano, iż podstawy ich nie mają żadnego uzasadnienia w ogromnym materyale spostrzeżeń meteorologicznych, chociaż w zasadzie przyznano słuszność wszelkim krytykom naukowym; to przecież dni krytyczne Falba skrupulatnie są podawane co miesiąc w wielu czasopismach, a kalendarze jego rozchodzą się po całym świecie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Nie ulega kwestyi, że Falb nie wierzy w swoje dni krytyczne, ale ludzie domagają się jego kalendarzy, a on ich dostarcza, zdobywając sobie w ten sposób bez wielkiego trudu środki do życia.

Na rozgłosie, który zdobyły sobie przepowiednie Falba, oparła też swoje rachunki spekulacya. Jej-to zawdzięczyć należy, że do nader ubogiej naszej literatury naukowej przemycono tłómaczenie dziełek Falba, pod tytułem: „Przewroty we wszechświecie“, oraz „Gwiazdy i ludzie“, pozbawionych wszelkiej wartości naukowej, w których objawy matomanii natomiast występują nader wybitnie. A przecież tyle jest dzieł znakomitych w literaturach obcych, o których tłómaczeniu na język polski nikt nie pomyślał nawet, ponieważ nie znala-

zły-by one u nas nakładcy, choć może-by się nawet i znaleźli czytelnicy.

Wiadomości dyletanta opierają się zazwyczaj na wykładach popularnych, albo na przeczytaniu kilku dziełek popularnych. Tak wykłady, jak i dziełka tego rodzaju, jak zaznaczyliśmy, zamało uwydatniają różnice pomiędzy znanem a nieznanem, a posługują się często fantazyą tam, gdzie nauka prawdziwa milczy. Jeżeli dodamy, że pośród owych dziełek niektóre są wprost zwierciadłami nieuctwa, lub świadectwami matomanii, to możemy pojąć, jak małą w ogólności wartość posiadać musi wykształcenie dyletanckie.

III.

Scharakteryzowaliśmy poprzednio stosunek badacza do nauki. Pomijając stronę utylitarną badań naukowych, powiedzieć można, że postęp naukowy w gruncie rzeczy polega na tem, iż odkrywają się zagadki i niepewności tam, gdzie ich poprzednio nie spostrzegano. Dzięki temu postępowi uświadamiamy sobie coraz bardziej, że otaczający nas świat jest zjawiskiem, o wiele cudowniejszem, aniżeli się to nam przedtem zdawało, że człowiek, który się mianuje często panem stworzenia, jest wobec zjawisk przyrody tylko igraszką, a złudzenie potęgi jest wynikiem zarozumiałości. Im bardziej człowiek postępuje naukowo i zbliża się do sokratesowego: „wiem, że nic nie wiem“, tem czuje się mniejszym, staje się skromniejszym i cichszym.

Wykształcenie powierzchowne do wręcz przeciwnych prowadzi wyników. Pośród dyletantów rzadko spotkamy człowieka skromnego, natomiast nader wybujała zarozumiałość jest wśród nich zjawiskiem pospolitem. Dyletant mierzy całą wiedzę miarą własnych wiadomości, im mniej sam umie, tem bardziej całokształt wiedzy w jego pojęciu się kurczy. Wie on, że jest tam coś poza tem, co podają autorzy przeczytanych przez niego książek, ale są to, oczywiście, rzeczy drugorzędного znaczenia, o których im pisać się nie opłacało. Reszty można się domyślać, albo po swojemu dopełnić. Tego rodzaju dyletanci stają się często matomanami.

Działalność „naukową“ matomani rozpoczynają zwykle w ten sposób, iż w wypracowaniach piśmiennych komunikują swoje pomysły najbardziej w danej dziedzinie głośnym uczonym. Wskazówki i wyjaśnienia otrzymane uważają matomani za obronę, i rozpoczynają

listowną polemikę. Po pewnym czasie przestają otrzymywać odpowiedzi, co wyjaśniają sobie w ten sposób, że uczonemu zabrakło już argumentów do obrony, ale do błędów swych przyznać się nie chce w obawie o swoje stanowisko i połączone z niem różnorodne korzyści. Wtedy postanawiają pomysł swój ogłosić drukiem.

Dzieła matomanów posiadają wiele cech wspólnych, a tak charakterystycznych, że kto z niemi częściej miał do czynienia, rozpoznaje je zazwyczaj po kilku przeczytanych zdaniach. Więc przede wszystkim nie braknie prawie nigdy wstępu, w którym autor określa swój stosunek do nauki. Tutaj autor wyraża swoje votum nieufności uczonym, albowiem ci, ucząc się, zatracić musieli wszelki przyrodzony krytycyzm, i rzeczy tylko tak pojmować mogą, jak ich uczono, jak napisano w książkach. Nie są oni zdolni wytworzyć sobie samodzielnego poglądu na kwestye naukowe, ani pojąć innych, którzy w poglądach swoich od utartych i uświęconych przez naukę błędów nazbyt się oddalają. A jeżeli nawet pośród uczonych jakiś jaśniejszy i samodzielniejszy umysł zdarzyć się może, to przecież nie ma on odwagi wystąpić otwarcie, gdyż wystąpienie takie miało-by znaczenie zerwania z kastą, która umiała sobie wyrobić poczesne stanowisko w społeczeństwie, biernie pozwalającem się wyzyskiwać. Wobec takiego stanu rzeczy, dla prawdy i prawdziwej nauki, zrobić coś może tylko człowiek, który niczego się nie uczył i nie pragnie z nauki czerpać jakichkolwiek korzyści. Sąd cechu uczonych dla takiego intruza, oczywiście, zawsze wypaść musi niekorzystnie, starają się go ośmieszyć, lub zabić milczeniem; ale nie jest on wyrazem ich przekonania, lecz tylko aktem samoobrony przed grożącym niebezpieczeństwem. To też nie do uczonych zwraca się on ze swoim dziełem, ale do myślącego, niezależnego ogółu. Przez wzgląd na swych czytelników, podaje on swe zapatrywania w sposób dla każdego dostępny, nie tak, jak uczeni, którzy umyślnie tak piszą, aby ich nikt nie mógł zrozumieć. Nie wyczerpał on w swej pracy wszystkich swych poglądów, nie umotywował on też wszystkich wniosków należycie, są to drobne braki, które myślący czytelnik sam wypełnić zdoła. Jemu, autorowi, bardziej chodziło o myśl zasadniczą; motywa i szczegóły są to drobiazgi, dobre dla zakrzepłych w rutynie uczonych, którzy, zajmując się szczegółami, zatracają pogląd na całość.

Niekiedy w przedmowach tych zawarte są szczegóły biograficzne z życia autora (często naprzykład znajdujemy wzmiankę o przebytej chorobie, po której jasnowidzenie na autora spłynęło), dokładna bibliografia, oraz ocena wydanych dawniej prac, przyczem przytoczone bywa nazwisko jakiegoś jedyne go rozumnego uczonego (o którym

zwykle nauka nic nie słyszała), który o pomysłach autora wyraził się przychylnie. U polskich matomanów często napotyka się też patryotyczne życzenie, aż-aby dalszego opracowania i rozwinięcia ich pomysłów podjęli się Polacy i nie dali sobie wydrzeć tej zasługi Niemcom, lub Francuzom, którzy tylko czyhają na to, aby przywłaszczać sobie cudze pomysły, i napisali-by całe tomy o książce autora, gdyby ją był napisał po niemiecku, lub francusku.

Jak widzimy, matomani w swych przedmowach uderzają w struny, na które masy są bardzo czułe. Jest rzeczą, godną uwagi, że pogarda dla nauki zawodowej, którą otwarcie w swych wypracowaniach głoszą matomani, jest tylko spotęgowaniem tych uczuć, które żywi dla nauki ogół. Masy nie lubią uczonych, lekceważą pracę, której namacalnych skutków nie widzą, a znaczenia nie pojmują. Nauka zraża sobie ogół swą niedostępnością, swem usuwaniem się od szerokiego życia tłumów, które się błędnie tłómaczy: w skromności widzi się pogardę, albo niedołęstwo, w pracy ideowej — śmieszne dziwactwo. O wiele łatwiej poszanowanie ogółu zdobywają ludzie, którzy zbliżają się do niego choćby tylko z pozorami uczoności, ale mówią mu o tej swej uczoności, dają jej dowody, choćby w rzeczach bardzo błahych, ale z powagą, godną rzeczy najmądrzejszych. Artykuł, napisany w ciągu godziny, a zamieszczony w jakimś rozpowszechnionem piśmie codziennem, czyni autora głośniejszym i większą mu zjednywa powagę u ogółu, aniżeli mądre rozprawy, ogłaszane w w czasopismach specjalnych, lub rocznikach Akademii Umiejętności, a będące owocem wieloletniej wyczerpującej pracy umysłowej.

I dlatego ogół traktuje pobłaźliwiej matomanów, z łatwością solidaryzuje się z ich opinią o uczonych, jako ciasnych i zazdrosnych egoistach, pozbawionych fantazyi molach książkowych, i jeżeli nie okazuje bezwzględnego zaufania do wywodów naukowych matomanów, to przecież z całym liberalizmem uznaje ich równouprawienie naukowe, przyznając, że nauka zawsze była wrogo usposobioną dla wszelkich nowych i przewrotami groźących idei.

Historya, mistrzyni życia, ma być dowodem, że wszelkie nowe idee znajdowały zawziętych przeciwników w przedstawicielach oficjalnej nauki, i tylko z wielkim trudem zdołały sobie wywalczyć przynależne im stanowisko. Mniemanie to jest zupełnie błędne, a opiera się na nieznamomości zadań i dążeń nauki. Najwspanialsza idea, wyrażona w formie abstrakcyjnej bez konkretnego uzasadnienia, nie posiada dla wiedzy żadnej wartości. Każdemu wolno tworzyć swoje idee i wierzyć w to, co mu się podoba, ale nauka różni się od wiary tem właśnie, że ona nie wierzy, ona musi wiedzieć, ona chce być prze-

konaną. Dlatego-to naprzykład, chociaż w ciągu tysiącleci wielokrotnie wygłaszana była myśl o podwójnym ruchu ziemi, nie mogła ona być uważaną za zdobycz wiedzy, dopóki nie znaleźli się ludzie, którzy umieli myśl tę uzasadnić i oprzeć ją na faktach konkretnych. Pierwszy krok w tym kierunku uczynił Kopernik, który umiał przewidzieć wszystkie konsekwencye geometryczne tej idei, to jest skonstruować obraz zmian, jakie musiał-by spostrzegać na niebie obserwator ze stanowiska, zmieniającego w sposób określony swe miejsce w układzie innych, poruszających się analogicznie, ciał niebieskich. Na podstawie tej konstrukcyi wykazał Kopernik zgodność owych zmian z temi, które w istocie obserwujemy, — i w ten sposób dopiero odwieczna idea układu heliocentrycznego z dziedziny fantazyi przeniesioną została na realny grunt naukowy w postaci hipotezy.

Wiemy, jak olbrzymi przewrót wywołało dzieło Kopernika, a wywołało go nie dlatego, że wygłosił on jakąś wielką nową ideę, ale dlatego, że starodawną ideę, na której zwolenników w swojej książce się powołuje, uzasadnił w sposób naukowy. A sława, która imię Kopernika otacza i zawsze otaczać będzie, jest najlepszym dowodem, że zadanie, które on rozwiązał, było wielkiem, na które zdobyć się nie mógł żaden z zapomnianych ojców samej idei.

Ale, jak powiedzieliśmy, Koperuik uczynił tylko krok pierwszy w tym kierunku, ażeby układ heliocentryczny wprowadzić do nauki, on tylko uzasadnił jego prawdopodobieństwo. Czyż można się dziwić, że znalazł licznych przeciwników, którzy zwalczali jego pogląd, jako zbyt mało uzasadniony? Nauce nie wolno burzyć lekkomyślnie budowanych przez wieki gmachów, nie wolno jej iść za pierwszym lepszym płomykiem, ukazującym się w dali, ona się musi przekonać, czy jest to błędny ogień, czy wschodzące słońce. I nie jest winą Kopernika, i nie zmniejsza to jego sławy, że nie posiadał sposobów przekonania swoich przeciwników. Dał on nietylko to wszystko, co w jego epoce dać było można, ale umiał się wzniesć genialnym umysłem ponad epokę, umiał przewidzieć zarzuty, jakie przeciw jego teorii podniesione być mogły, oraz wskazać sposoby, za pomocą których przyszłe pokolenia mogły wykazać jej prawdziwość. A gdy odkrycia Keplera, Newtona, Bradleya i Bessla usunęły wszelką wątpliwość co do prawdziwości heliocentrycznego układu, wtedy prawda ta nie mogła już mieć przeciwników w nauce, i mieć ich nie może. Oczywiście, nie mówimy tu o całych legionach przeciwników, do których dowody naukowe nie mają przystępu, przeciwstawiających prawdom naukowym pewne fikcyje umysłowe, lub przekonania, oparte na uczuciu. Za nich nauka odpowiadać nie może.

Ażeby całkiem wyraźnie określić stosunek nauki do nowych idei, weźmy pod uwagę jeszcze jeden przykład, mianowicie ideę zamieszkalności ciał niebieskich. Mówiąc nawiasem, nie jest to wcale taka wielka idea, jak sobie niektórzy wyobrażają, i bynajmniej nie jest nowa. Musiała ona się narzucić sama przez się każdemu myślącemu człowiekowi, z chwilą, gdy się dowiedziano, że stanowisko ziemi w układzie słonecznym wcale nie jest wyjątkowem, że jest ona tylko jedną z szeregu planet, niczem specjalnem od nich się nie wyróżnia, a warunki życia, według naszych zapatrywań, na innych planetach pod pewnemi względami mogą być lepsze. I od chwili pojawienia się dzieła Kopernika, idea ta była tematem mniej lub więcej fantastycznych utworów, a genialny Herschel umieścił nawet istoty żyjące na słońcu, które uważał za prawdziwy raj świata. I nie należy bynajmniej przypuszczać, że nauka dla tej idei jest wrogo usposobiona; ona przyjęła ją do wiadomości, ale nie ma wcale powodu entuzjazmować się nią, albowiem nie posiadamy dzisiaj — jak i dawniej — żadnych danych, które mogły-by uzasadnić nadzieję, iż kwestya zamieszkalności ciał niebieskich będzie kiedykolwiek rozstrzygnięta. A gdyby kiedy narodził się geniusz, który-by znalazł prowadzące ku temu sposoby, to nie żaden ze zwolenników tej idei, nie Flammarjon, który ją bardzo głośno reklamował, ale tylko ten, kto umiał fantazyi dać podkład naukowy i uczynić z niej zdobycz wiedzy, zyska sobie sławę i uznanie. Dodamy jeszcze, że nietyle istnienie ludzi na Marsie, lub innej planecie, było-by w tym razie źródłem dumy naukowej, ile sam fakt, że tak trudne zagadnienie umysł ludzki rozwiązać potrafił. Z punktu widzenia astronomicznego sama kwestya zamieszkalności światów zaziemskich nie posiada wielkiego znaczenia. Zapewne, gdyby się udało stwierdzić, że na Marsie na przykład żyją jakieś istoty rozumne, to hipoteza, według której kanały na Marsie są ich dziełem, znalazła-by pewne poparcie, co zresztą — dopóki nie było-by pewności — nie zwolniło-by badaczy od szukania czysto przyrodniczych przyczyn dla wyjaśnienia tego zjawiska. Zajęcie, które ta kwestya budzi, nie posiada wcale podkładu naukowego, jest ono tylko wynikiem wrodzonej umysłowi ludzkiemu potrzeby rojeń fantastycznych, do których kwestya ta znakomicie się nadaje.

IV.

Tolerancja nauki zresztą nie jest bezgraniczną. Przystaje ona być wyrozumiałą i pobłażliwą w jednym wypadku, mianowicie, gdy wygłoszona idea znajduje się w sprzeczności z dowiedzionymi prawdami naukowymi. Wtedy wykazuje jej niedorzeczność i raz na zawsze ruguje z nauki.

Takie wyrugowane idee zazwyczaj odnajdujemy w książkach matomanów, z najróżniejszymi wariantami. Nie przedstawiają one nic nowego, często znajdujemy te same argumenty, świadczące o nieznamości najpierwszych elementarnych podstaw nauki. Gdy na przykład obalają układ Kopernika, to opierają się na rozumowaniu mniej więcej następującem.

Przez kilkanaście stuleci dzieło Ptolemeusza było ewangelią astronomii, nikt nie wątpił o prawdziwości zawartej w niem nauki; znajdowało się ono w zgodzie z obserwacjami astronomicznymi i z ludzkim bezpośrednim patrzeniem na rzeczy.

Przyszła Kopernik, umieścił słońce w środku, zredukował ziemię do roli planety i kazał jej biedz dokoła słońca; znalazł on obrońców i popularyzatorów swej teorii, którą wreszcie i nauka oficjalna po długim opieraniu się uznała za prawdziwą. Dziś nauka tak samo konserwatywnie a bezkrytycznie trzyma się teorii Kopernika, jak dawniej ślepo ufała powadze Ptolemeusza. Tymczasem z biegiem czasu zdołano wykazać mnóstwo błędów w układzie Kopernika, obalono np. główną zasadę tej nauki—nieruchomość słońca—a wobec tego ruchy planet po kołach lub elipsach są zupełnie niemożliwe. Jakkolwiek bądź, jasnym jest, że nauka, która mogła odrzucić układ Ptolemeusza, tak samo z biegiem czasu może zmienić i układ Kopernika na jakiś inny, który znajdzie dosyć energicznych obrońców i zwolenników.

Takie zapatrywania słyszy się zresztą dość często wygłaszane przez ludzi normalnych, lecz posiadających tylko powierzchowne wiadomości astronomiczne. Może więc nie będzie zbyt cennym wyjaśnienie istotnego stanu rzeczy. Otóż to, co nauka dziś jeszcze nazywa układem Kopernika, w rzeczywistości od prawdziwego układu Kopernika różni się w znacznej mierze. Ale trzy zasadnicze punkty teorii Kopernika pozostały nienaruszone: 1) Ziemia w ciągu doby raz obraca się naokoło swej osi, 2) ziemia jest planetą i wraz z inne-

mi planetami krąży dookoła słońca, które jest bryłą centralną układu, 3) oś ziemi zakreśla powierzchnię stożkową dookoła osi ekliptyki, powodując cofanie się punktów równonocnych. Poza tem oddaliliśmy się bardzo od zapatrywań Kopernika, ale też układ dzisiejszy nie jest już tylko konstrukcją geometryczno-mechaniczną, lecz całością, w której wszystkie ruchy, o wiele bardziej skomplikowane, niż przypuszczał Kopernik, a nawet Kepler, związane są jednym wspólnym prawem, prawem Newtona. W tym układzie w istocie już nie słońce jest centralnym punktem, ale inny punkt idealny, zwany środkiem ciężkości, dokoła którego krążą nie tylko planety, ale i samo słońce. Tylko wielkości swej masy w porównaniu z masami planet zawdzięcza słońce swoje dominujące stanowisko w układzie; dzięki tej masie środek ciężkości układu znajduje się w bliskości środka słońca, a więc ruchy słońca są małe i w przybliżeniu można je uważać za nieruchome w układzie. W gruncie rzeczy każda bryła układu słonecznego jest źródłem analogicznego działania na inne, jest ciałem centralnym dla wszystkich innych, a ruch każdej z nich jest wypadkowy ze wszystkich ruchów, do których je zmusza każdy oddzielny środek siły. Słońce, dzięki swej największej masie, decyduje o ogólnym charakterze dróg innych ciał układu, wpływ innych mas występuje tylko deformująco w postaci t. zw. perturbacji, których istnienie jest koniecznym wynikiem prawa Newtona.

Inaczej na te sprawy zapatruje się matoman. Powiada on, że układ Kopernika i prawo Newtona, już oddawna z obserwacją są w niezgodzie, ale uczeni, przyzwyczajwszy się do nich, jako wygodnego środka w swoich obliczeniach, nie mają chęci się ich pozbywać, a gdy spostrzegą niezgodność, łatają widoczne braki za pomocą różnych perturbacji, precesyi itp., które nie są niczem lepszem od niezliczonych epicyklów, któremi usuwano niezgodności z prawdą w układzie Ptolemeusza. Ale jakże mu wyjaśnić, że epicykle, któremi łatał układ Ptolemeusza, nie miały uzasadnienia przyrodniczego, lecz przedstawiały tylko coraz drobniejsze wyrazy w szeregu przybliżeń o charakterze czysto liczbowym? jakże wyjaśnić, że najprostsze prawa w kombinacjach swoich prowadzą do bardzo złożonych zjawisk, że właśnie owe atakowane „perturbacje i precesyje“ są najbardziej decydującym dowodem prawdziwości przyjmowanych w nauce zasad?

Nie dla każdego dostępne są dowody naukowe. Aby mózgi się przekonać na przykład o prawdziwości twierdzenia Pytagoresa, konieczne potrzeba znać początki geometrii elementarnej; kto tych początków nie posiada, nie zrozumie dowodu i może o prawdziwości twierdzenia wątpić. O wiele dalej w rozumowaniu naukowym posuniętym być trzeba, ażeby utwierdzić się w przekonaniu, że układ

słoneczny jest w istocie takim, jaki nauka przyjmuje, że prawo Newtona w istocie zdaje sprawę ze wszystkich ruchów, jakie w układzie planetarnym zachodzą—ale dowody są nie mniej ściśle, jak dowód pierwszego lepszego twierdzenia z geometrii elementarnej. Utrzymują niektórzy, że każdy dowód jest względny, że umysł ludzki uledek może takiej zmianie, iż prawdą stanie się $2+2=5$. Otóż układ słoneczny w postaci dzisiaj przyjmowanej jest prawdziwy, tak samo, jak to, że $2+2=4$. Jakim on jest niezależnie od człowieka, nie wchodzi to już w zakres badań astronomicznych.

Są ludzie, którzy nie uznają trudno zrozumiałych prawd. Zaprzeczają im wprost, bojąc się wysiłków umysłu, albo też noszą się z fikcją o prostocie zjawisk przyrody, a nie mogą zrozumieć, że własna nasza psychika najprostsze nawet zjawiska w nierozwiązalne węzły poplątać może. Czyż można sobie wyobrazić coś prostszego, jak wyrażenie matematyczne prawa Newtona, a przecież już ruchy trzech ciał, działających wzajem na siebie według tego prawa, są tak złożone, że umysł ludzki napróżno dotychczas się wysiła, ażeby sobie obraz tych ruchów uprzytomnić. Matoman w swoich zapatrywaniach idzie jeszcze dalej. Jest on nie tylko z góry przekonany o fałszywości dowodów naukowych, ale zarzuca uczonym wprost, że kłamią świadomie, oplątując swoje wywody siecią pozornych trudności, aby oszołomić i odstraszyć tych, którzy chcieli-by owe kłamstwa zdemaskować. Wydawszy taki wyrok, można już snuć teorie własne, nie oglądając się na sprzeczności z nauką oficjalną—owszem nawet musi się z nią być w sprzeczności, jeżeli się szczerze i sumiennie dąży do prawdy.

V.

Podjęmowanie przez matomanów kwestyi trudnych, które zresztą nauka, całkując pracę całych wieków, ostatecznie rozwiązała, opiera się, jak wspomnieliśmy, na podawaniu w wątpliwość dobrej wiary uczonych. Obok tego istnieją kwestye naukowe, usuwające się wprost z pod ściślej kontroli doświadczenia i rozumowania, do których zabierało się tylu ludzi niepowołanych, iż powstały całe stopy prac, w których niekiedy znajdzie się jakieś zdrowe ziarno, ale którego wyszukanie przedstawiłoby trud tak olbrzymi i niewdzięczny, że rzadko komu chce się go podejmować. Do takich zdyskredytowa-

nych tematów w astronomii należą naprzykład wszelkie kwestye kosmogoniczne, teorya budowy słońca i t. p. Żaden uczony, świadomy środków, jakimi nauka dziś rozporządza, nie podejmie się wyjaśnienia, w jaki sposób powstał widzialny wszechświat, żaden olbrzym wiedzy, który ma pojęcie o niezmiernym materiale obserwacyjnym, dotyczącym zjawisk na słońcu, odbywających się w warunkach, których na ziemi wytworzyć, a więc też wyobrazić sobie nie można, nie odważy się dzisiaj budować zupełnej teoryi słońca. Dzisiaj kosmogoniczne teorye może budować tylko ten, kto nie zdolen jest do kontroli matematycznej swoich wniosków, a teorye słońca—tylko ten, kto nie obserwował słońca przez spektroskop, kto nie może sobie uprzytomnić ogromu traconej przez słońce energii, kto jest w stanie skurczyć olbrzymie, cudowne zjawisko przyrody do rozmiarów, które się dadzą wtłoczyć w sferę niendolnego ludzkiego pojmowania rzeczy. I dlatego w kosmogonii nauka stoi na gruncie wspaniałej koncepcyi Laplace'a, modyfikowanej w szczegółach w miarę postępu krytyki i nauki, a w poglądach swych na słońce poszła tak daleko, że odrzuciła wszelkie ogólne teorye słońca i zadawała się tem, gdy wyjaśnienie jakiegoś szczegółu da się sprowadzić do analogii ze zjawiskami, zachodzącymi na ziemi.

Trudność i nieuchwytność zadań wyżej przytoczonych sprawia, że nauka z góry z podejrzliwością i sceptycyzmem przyjmuje każdego, kto wystąpi z nową teoryą kosmogoniczną, albo nową teoryą budowy słońca. Pomimo to, a może właśnie dla tego, teorye takie pojawiają się bez przerwy, a lwia część produkcji w tym kierunku odpada na rachunek matomanów, którzy chętnie szukają odznaczenia i sławy w tych dziedzinach, gdzie nauka otwarcie wyznaje swą bezsilność.

Najzawilsze kwestye matomani rozwiązują z największą łatwością ku zupełnemu swemu zadowoleniu. Do czego zdolni są uczeni, jeżeli nie mogą sobie dać rady z najprostszymi kwestyami; na co oni właściwie istnieją, jeżeli człowiek, który nie obrał sobie nauki za zawód życia, jedynie dzięki odrobinie zdrowej, samodzielnej logiki, ma im torować drogę pośród niepokonanych dla nich trudności?

Jakie idee w swoich dziełach wygłaszają matomani, w jaki sposób je uzasadniają, jak kwestye naukowe rozwiązują, nie można tego ogólnie scharakteryzować, tembardziej, że niema tematu w nauce, który-by nie znalazł swęgo matomana. Na podstawie kilku przykładów, które pozwolę sobie przytoczyć, czytelnik sam o pracach matomanów zdoła sobie wyrobić pojęcie.

Weźmy naprzykład pod uwagę książkę Henryka Ówiklińskiego p. t. „Najciekawsze tajemnice astronomii“, a mianowicie zawartą

w tej książce teorię kosmogoniczną autora. Podstawą tej teorii są t. zw. pozorne nicości, któremi są naprzykład próżnia i cień. Nie są to, zdaniem autora, nicości rzeczywiste, albowiem w każdej z nich tkwi ukryta siła. „Próżnia wciąga nam język i usta w szyję flaszki, gdy wyśsiemy z niej powietrze“, a siła, która zawarta jest w cieniu, udziela się zmęczonemu wędrowcowi, gdy w cieniu spocznie, „cień też wytwarza różne rodzaje pleśni, mechów i grzybów“. Otóż we wszechświecie była na początku ciemność i próżnia, ciemność wytworzyła „potworne chmury pleśni“, a próżnia ściągała je i utworzyła kule światów. Na tej zasadniczej idei autor, operując coraz nowemi „pozornymi nicościami“, buduje swój świat.

W książce d-ra J. Weinberga, p. t. „Geografia powstania i rozwoju kuli ziemskiej“, znajdujemy następujące poglądy. Świat składa się z trzech gatunków komet: słonecznych, planetarnych i księżycowych, z których utworzyły się słońca, planety i komety. Komety takie ciągle odrywają się od mgławic i przyciągane są przez odpowiadające ich naturze ciała niebieskie. Skutkiem tego masa naszego układu wciąż się powiększa, dla otrzymania równowagi w układzie, każdej komecie słonecznej, przyciąganej przez słońce, musi odpowiadać kometa planetarna. Komety słoneczne łączą się ze słońcem, wywołując na jego powierzchni różne zaburzenia, które obserwujemy w postaci plam, protuberancji itp., komety planetarne są to np. małe planety między Marsem a Jowiszem. Nie są one tylko odkrywane, jak astronomowie sądzą, ale w istocie przybywają. Tak samo nie było dawniej w układzie słonecznym Neptuna, dopiero w 1845 dla równowagi został do niego wciągnięty i naturalnie natychmiast spostrzeżonym. Dalsze szczegóły pomijamy.

W książce Fr. Wodeckiego p. t. „Księga wszechświata i sposób jej czytania,“ oraz w broszurce p. t. „A jednak się nie porusza,“ której autor ukrył się pod pseudonimem 44, występuje myśl przewodnia, że ciała niebieskie są ożywione i mają zupełną świadomość swoich czynów. Poza tą wspólną ideą, w szczegółach znajdujemy znaczne różnice. Według pierwszego z autorów każde słońce, każda planeta przedstawiają skończone indywidualum, przyczem słońce jest to indywidualum męskie, planety indywiduala żeńskie. Zgodnie z pojęciami Kopernika, słońce znajduje się w spokoju, a planety się poruszają—ale nie skutkiem ciągnięcia mas, jak przypuszczał Newton, lecz z własnej, nieprzymuszonej woli. Celem tego ruchu, jest umożliwienie stosunku płciowego pomiędzy słońcem a planetami, które stanowią, jakoby jego harem. Życie na planetach jest wynikiem owego obcowania płciowego, a narodzenie się pierwszego człowieka z matki zie-

mi, oraz pierwsze jego dni życia, autor opisuje ze wszelkimi szczegółami. Celem głównym tej pracy jest obalenie prawa Newtona.

Drugi z wymienionych autorów głównie zwraca się przeciw Kopernikowi. Według niego, cały wszechświat jest jednym wielkim organizmem, a oddzielne ciała niebieskie, chociaż posiadają zupełną świadomość siebie, są w stosunku do całego organizmu czemś w rodzaju komórek organizmu zwierzęcego, albo kulek krwi. Zaprzecza on istnieniu słońca, uważając je za odbicie wewnętrznego ognia ziemi od wklęsłego, realnego, sklepienia niebieskiego. Nie może więc ziemia krążyć dookoła słońca, którego wcale nie ma, a zresztą ziemia, jako świadoma siebie i rozumna istota, cierpiąca przytem na chorobę skórnaną (rolę grzybków i bakterii odgrywają tu rośliny, zwierzęta i ludzie), nie będzie się kręciła bez potrzeby, skoro może pozostawać w spoczynku.

Nie będę mnożył przykładów. Takie poglądy reformatorskie znajdujemy po owych wstępach, pełnych wycieczek przeciw uczonym, wygłaszanych z niezmierną pewnością siebie, z ciągle zaznaczanem przekonaniem, iż od tych teorii rozpocznie się nowa era w nauce. I gdyby się nie miało co chwila dowodów zupełnej dobrej wiary autorów, gdyby się nie widziało i nie doświadczało, że są ludzie, którzy nawet takie idee traktują poważnie, albo też wyniki nauki uważają za podobne urojenie, gdyby się nie miało przeświadczenia, że się ma do czynienia z płodami zбочenia umysłowego, można-by wywody matomanów traktować czasami, jako niezrównaną w pomysłach humorystykę. Tracimy wszakże ochotę do śmiechu, kiedy uświadomimy sobie prawdziwy stan rzeczy.

Gdybyśmy wszakże dla ostrzeżenia czytających chcieli dać choćby spis bibliograficzny prac matomanów w astronomii, znaleźlibyśmy się w niemałym kłopotcie. Trudno bowiem niekiedy wydać stanowczy wyrok co do tego, czy mamy do czynienia z objawem matomanii, czy tylko z plodem wybujałej dyalektyki. Niestety, obok zdań i poglądów zupełnie rozsądnych, spotykamy uaraz tak krzyczącą niedorzeczność, iż trudno wierzyć przychodzi, aby wszystko to z jednej głowy pochodzić mogło. Nie chcąc być zbyt surowym, nie można zaliczać do obłąkanych tych wszystkich, którzy wygłaszają poglądy niedorzeczne — ta niedorzeczność musi przechodzić pewne granice, ale gdzie jest ta granica, tego określić ściśle nie można. Bądź co bądź, pobłażliwość krytyki nie powinna przechodzić pewnych granic i nie sądzę, ażeby była pożyteczną zbyt wielką względność dla autorów prac poronionych, podyktowana współczuciem dla ich twórców.

Tę uwagę nasuwa zaś niezbyt dawno ogłoszona w „Kuryerze Warszawskim“ ocena książki p. t. „Pogląd na ustrój przyrody“, na-

pisanej przez Przyrodnika. Recenzja ta pochodzi ze strony bardzo poważnej, a jest nadzwyczaj dla owego dzieła pochlebna. Kiedy mi ta książka przed dwoma laty wpadła do ręki, uważałem ją za dzieło matomana. Dzisiaj nie chcę się przy takim zapatrywaniu upierać, chociaż wiele przemawia za jego słusnością. Ale i dziś odmawiam tej książce wszelkiej wartości, a dla uświadomienia mego sądu pozwolę sobie podać w krótkości jej treść oraz kilka uwag krytycznych.

Z treści książki widać, że autor posiada znaczne odczytanie filozoficzne i przyrodnicze. Cytaty z dzieł filozoficznych i przyrodniczych zajmują większą połowę książki, można je czytać z zajęciem, jak i niektóre uwagi autora o charakterze ogólniejszym. Celem wszakże autora jest ugruntować całe przyrodoznawstwo na mocnych fundamentach, których mu dzisiaj brak — i w tem dążeniu, niestety, występuje cała opaczność jego rozumowania i daltolizm umysłowy w stosunku do własnej osoby, stanowiący jedną z cech charakterystycznych matomanów. Zresztą nie brak w jego książce żadnej z owych cech charakterystycznych.

We wstępie p. t. „Słówko do myślących“ znajdujemy nieuniknioną śpiewkę o rutynie uczonych, która każe im bronić uparcie nawet mylnych poglądów, i o bierności ogółu przyrodników, którzy z obawy narażenia się autorytetom, nie odważają się na żadną opozycję. Dalej autor wzywa myślących, aby odważyli się myśleć samodzielnie, aby nie importowali gotowych idei z zagranicy, która oślepia nas mnóstwem sławnych nazwisk, lecz, aby na miejscu budowali gmach nauki, do którego podstawy znajdują w książce autora. To wezwanie zwraca się nie tylko do przyrodników, ale do całego myślącego ogółu, szczególnie do młodzieży, niezakrzepłej w rutynie, do duchowieństwa, prawników, publicystów. Zaznaczywszy wreszcie, że robota jego jest tylko szkicową, w szczegółach niewykończoną, że w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o przedstawienie idei zasadniczej, dalsze jej rozwinięcie i opracowanie pozostawia innym.

Według autora, chwiejność poglądów przyrodniczych jest skutkiem zupełnej bezkrytyczności uczonych, którzy zaniedbali poznanie zasadniczych podstaw nauki, jakimi są materya i prawo przyczyny, a bez tych podstaw nie można marzyć o zdobyciu jakichkolwiek trwałych wiadomości. Więc też pierwszym zadaniem autora jest krytyczne wyjaśnienie istoty materyi i związku przyczynowego zjawisk.

Otóż wiadomo każdemu przyrodnikowi i filozofowi, że te kwestye, które autor chce rozwiązać na samym początku, należą do bardzo trudnych i rozwiązanie ich prawie przerasta siły umysłu ludzkiego. Ale trudność tych zadań staje się widoczną właśnie dopiero

przez zastosowanie bardzo głębokiego krytycyzmu naukowego, umysł bezkrytyczny z łatwością zadania te rozwiąże, ale rozwiązanie to uczonych nie zadowoli. Czyż cała fizyka, mechanika, chemia itd., nie prowadzą nas do coraz głębszego poznania własności materji, oraz odkrywania coraz ściślejszego związku pomiędzy zjawiskami, pozornie całkiem odmiennymi, a poznanie istoty materji, oraz istoty t. zw. przyczynowości czyż nie jest tym ostatecznym ideałem, do którego owe badania dążą?

Takie odwrotne postawienie kwestji świadczy o niezrozumieniu trudności, z któremi nauka walczy. Ale zobaczymy w jaki sposób autor tę trudność rozwiązuje.

Otóż przede wszystkim chodzi mu o rozstrzygnięcie, czy atomy mają byt realny, czy nie. Cytuje na dużych 16 stronach najrozmaitsze w tym względzie zapatrywania uczonych, a wreszcie zatrzymuje się na „niedorzecznym“ argumencie, że nie można sobie wyobrazić drobiny tak malej, aby już dalej była niepodzielna. „Krytyczne“ rozwiązanie kwestji przez autora jest takie, że przecież drobina nie może się już dzielić, skoro osiągnęła swą minimalną wielkość — i na tej podstawie oświadczą się za atomistyczną budowę materji. Pomimo tej atomistycznej budowy, uważa, że materja napelnia przestrzeń w sposób ciągły.

Znacznie więcej miejsca poświęca autor samej materji, przyczem polemizuje z zapalem z najrozmaitszemi filozofami i przyrodnikami, których poglądy uważa niekiedy za graniczące z objawami patologicznymi. Czytamy z zainteresowaniem, w nadziei, że autor zdobędzie się po tak druzgocącej krytyce na jakiś pogląd głębszy i oryginalny, i w końcu znajdujemy „krytyczny“ wniosek autora, że materja istotnie jest materyjalną i wszelka substancja materyjalna nazywa się materyą!

Nie lepiej załatwia się autor z prawem przyczyny, nie mówi tu już nawet o jego istocie, lecz zadawała się wykazaniem jego ważności nie porzucając ostrego tonu polemicznego, jak gdyby w istocie znajdowali się ludzie mający inne pod tym względem zdanie.

Nie jest mojem zadaniem wyliczać wszystkie sprzeczności i niedorzeczności, jakie spotyka się na każdej stronicy, zwrócę tylko jeszcze uwagę w kilku słowach na główną ideję autora. Otóż głównym jego celem jest wyrugowanie z nauki pojęcia eternu. Właściwie zaś nie ruguje samego pojęcia, tylko jego nazwę — bo na jego miejscu kładzie „normozę.“

Owa normoza jest połączeniem równych ilości elektryczności dodatniej i ujemnej, i wypełnia wszechświat w sposób ciągły. Nie

ma na to autor żadnych dowodów, ale wymaga tego rozsądek natury i prawo rozumnej konsekwencji“. Elektryczność jest materią najdzielniejszą ze wszystkich (rozmaitych), jest płynem i przezroczystym i sprężystym, jest ciałem jednolitem, a jednocześnie złożonym z różnych specyficznych pierwiastków, obok tego bezatomowem i niepodzielnem, a pomimo to przenikliwem i włóknistem. Trudno pojąć, w jaki sposób krytyczny autor był w stanie w jednym ciele umieścić tak biegunowo sprzeczne z sobą własności. Niestety, nie podaje on już tu argumentów, lecz wzywa młodych uczonych, ażeby podjęli się tej pracy, na którą jemu brak sił i czasu. Sam zaś płacze się w chaosie nedorzeczności, w których oryentować się nie łatwo, z którego kilka wyłowionych zdań przytaczamy: światło i ciepło słoneczne jest wyrazem wpływu elektryczności słonecznej na powierzchnię ziemi, „przyписыwanie słońcu wysokiej temperatury, sięgającej ciepłotą aż do kuli ziemskiej, jest przypuszczeniem błędnem i z prawami natury niezgodnem“; przyływy i odpływy morskie są następstwem „indukcyjnego wiązania się elektryczności ziemi, księżyca i słońca; widmo słoneczne jest rozkładem normozy na jej specyficzne pierwiastki itp.“

Po tym najgłówniejszym rozdziale książki musimy przyjść do wniosku, że autora trzeba zaliczyć do matomanów. Jednakowoż w końcu książki dodaje autor „Dopełnienie“, w którym znajdujemy znowu sporo myśli całkiem rozumnych, ale też mniejszą pewność siebie i objawy braku zaufania do poglądów, poprzednio wygłoszonych. Wprawdzie jeszcze na samym końcu autor odmawia wszystkim obliczeniom astronomicznym, opartym na stosowaniu prawa Newtona, wszelkiej wartości, ale tu już bez wahania powiedzieć możemy, że zarzuty oparte są tylko na nieporozumieniu oraz na błędach, zawartych w niektórych podręcznikach szkolnych, a nie są wynikiem matomanii. Taki wniosek wszakże nie upoważnia jeszcze do tego, ażeby zachęcać kogośkolwiek do czytania książki, w której z każdej strony wieje duch negacyi, opartej tylko na urojeniach, a to, co ma być pracą pozytywną autora, jest gorączkowym majaczeniem.

Może za wiele miejsca poświęciłem książce, z którą załatwić można-by się było krótko, gdyby nie było tak wielkiej różnicy poglądów na jej wartość. Ale możliwość takiej różnicy sama świadczy dostatecznie, jak odmienne są sądy ludzkie, i nie ulega wątpliwości, że w szerokich masach nawet typowe książki matomanów znajdują mogą licznych zwolenników.

Artykuł swój oparłem na faktach, wziętych z jednej tylko dziedziny wiedzy. Jestem przekonany, że fakta takie znalazł-by każdy specjalista w swej własnej dziedzinie, ale może za mało wogólności

zwraca się na nie uwagi i zbyt pobłażliwie toleruje. Tymczasem szkoda, którą takim tolerowaniem się wyrządza, jest większa, aniżeli się wydaje, gdyż z pewnością walka z ciemnotą jest o wiele łatwiejszą, aniżeli walka ze spaczonymi pojęciami. A zapobiedz rozszerzaniu się takiego stanu rzeczy może tylko ścisła i sumienna kontrola produkcji książkowej.

M. ERNST.

EMIL ZOLA.

„Członkowie rady municypalnej zamierzają wystąpić z wnioskiem wzniesienia pomnika Emilowi Zoli, nazwania jednej z ulic Paryża jego nazwiskiem, a wreszcie złożenia zwłok jego na wieczny spoczynek w Panteonie.“

W tych słowach zapowiedziała niedawno depesza Paryżowi, Francji, światu całemu epilog jedyne go w swoim rodzaju widowiska, do którego osobliwszych motywów dostarczył rozpętany namiętnościom „stolicy-światła“ pogrzeb twórcy „Rougon-Macquartów.“ Czy i jak odegra się ten epilog; o ile Panteon będzie gościnniej-zym od Akademii—nad tem dzisiaj niema powodu rozmyślać. Prawdopodobnie spoczną tam popioły Zoli; od rzeczypospolitej, zdobywającej szturmem klasztory i szkoły kongregacyjne, zbrojącej się w cały aparat militarny do walki z kobietami i dziećmi, należy się to pisarzowi, który z takim przerażeniem patrzył na wzbierającą około siebie falę idealizmu, który przed dziesięciu laty z taką trwożą pisał do najwytrwalszego z pośród zrzedniałej falangi swoich wielbicieli, do p. Van Santen Kolff: „wytwarza się teraz reakcyja przeciwko wiedzy, nie dotrzymującej swych obietnic. Cała dzisiejsza ludzkość wydaje mi się jak chora, która, zdjęta niesmakiem do nauki a spragniona ulgi, rzuca się w objęcia wiary.“

Będzie więc republikańska beatyfikacya Zoli rodzajem ostatniego zwornika, zamykającego nad ogromnym trójgrodem: „*Lourdes*“, „*Rzym*“, „*Paryż*“ sklepienie kopuły Panteonu, gdzie znajdzie apoteozę duch, znużony przewodniczeniem tej „chorej ludzkości“ po ciężkiej drodze, wiodącej od „*zabobonu*“, przez „*religię*“ ku „*wiedzy*“; będzie tam uczczona jego „*Płodność*“ i „*Praca*“ w oczekiwaniu na „*Prawdę*“ i „*Sprawiedliwość*“, które jeszcze ostatniego słowa nie wypowiedziały. Nim to nastąpi, oderwijmy się na chwilę od symbolu czterech ewangelii Emila Zoli, spróbujmy poprostu schara-

kteryzować co jego płodność, jego praca przyniosły literaturze i za stanówmy się nad tem, co o tem wyrzec mogą. prawda i sprawiedliwość.

I.

Przedewszystkiem muszą go sobie przypomnieć,—bo im w ostatnich czasach zupełnie wyszedł z pamięci, której nie odświeżały nawet zjawiające się od czasu do czasu książki. Człowiek żył, pisarz umarł o wiele wcześniej; książki zaś owe wyglądały, jakby widzenia z innego świata, gdzie potomstwo „zwierzęcia ludzkiego,“ jakimś cudem przeanielone, zwiastować zaczęło niespodzianie erę rajskiej szczęśliwości. Przed czterema laty Karol Récolin nazwał był Emila Zolę *un survivant du naturalisme*; naprawdę jednak autor cyklu „trzech miast“ i prorok „czterech ewangelii“ sprawiał już wtedy wrażenie raczej upioru literackiego, niż żywej siły twórczej, której ostatni wysiłek „Doktor Pascal“ był na tem miejscu przedmiotem szczegółowej oceny.

Wysiłek spełnił się, jak to dawniej jeszcze w „Bibliotece“ z powodu „Pogromu“ zaakcentowałem, w charakterystycznym bardzo odsobnieniu. Emil Zola, wczorajszy dogmatyk i teoretyk, pogromca literatury poprzednich, zwiastun literatury przyszłości, twórca formuł, propagator metod, bicz na starych, apostoł młodych — stał sam, bez przyjaciół, bez ucniów, bez naśladowców, bez towarzyszków walki, którzy tak się rozproszyli po różnych szlakach literackich i nieliterackich, a tak pozbaczali ze wskazanej przez mistrza drogi, że już ich nie z tej rozsypki napowrót około niego nie zgromadziło. Pozorami panowania ludził się może jeszcze historyk „rodziny z czasów cesarstwa“, ale rządzić już nie mógł—i gdyby było doszło do skutku omawiane wówczas żywo przyjęcie Zoli do grona „nieśmiertelnych“, współczesnym przedstawił-by się oryginalny widok pisarza naturalisty, reprezentującego na fotelu akademickim literaturę, która nie chciała być naturalistyczną.

„Doktor Pascal“ miał więc w tej dobie symboliczne, pod wielu względami, znaczenie: symbol bowiem ogarniał nie tylko dzieło, ale i autora znamionami literackiego marazmu; a kiedy z odległości dziesięciolecia spojrzymy na ten „koniec epepei“, ginie nam z przed oczu odpychający romans sześćdziesięcioletniego mężczyzny z dwudziestoletnią dziewczyną i występuje natomiast ideowy podkład tej „sie-

lanki", w której dopatrywano się „próby ożenienia realizmu z pewnymi aspiracyami do ideału“, a który wywierał raczej wrażenie starczego umizgu naturalizmu do młodej, dręczonej niepokojącą tęsknotą, literatury.

Osobliwszy to był umizg, co próbował tragicznym grymasem pesymizmu, zapatrzonemu w najmroczniejsze otchłanie natury ludzkiej, obudzić pragnienie życia, i z obrazów obłędu, choroby, śmierci wydobyć moc rozrodczą do stworzenia w ostatnim, przedśmiertnym uścisku generacji epigonów. W perspektywie oddalenia wszystko w tym wysiłku nabiera pozorów intencji myślowej, począwszy od miejsca, które było jego widownią, od owego Plassans, gdzie grudniowy zamach stanu stał się początkiem świetności Rougonów i gdzie dokonywała się końcowa w ich dziejach ewolucya, aż do słynnego drzewa genealogicznego, rozgałęziającego poglądowo plugawe nieprawości „rodziny z czasów cesarstwa“. Zdawało-by się, że Pascal-Zola, pragnąc ostatnim rzutem oka objąć całość swego dzieła, przypomina, jak w owych przewodnikach po Wagnerowskim teatrze, wszystkie *leit-motywy* tego dramatu filisterskich Atrydów. Więc w „pamiętną noc,“ przy odgłosie grzmotów, z muzyką wyjącego wiatru, od którego wściekłych podmuchów drżą wylęknione świec płomyki, raz jeszcze w czarnoksięskiej latarni przesuwa się w postaci chińskich cieni, rzuconych na tło teraźniejszości z odległości czasu i przestrzeni, pięć pokoleń neurasteników, psychopatów, alkoholików, erotomanów, hysteryczek i rozpustnic. I pozują w błyskawicach Rougon-Macaqurty do obrazów, wśród których przygody i katastrofy, cierpienia i uciechy, nędze i wspaniałości układają się w kolosalną syntezę oszustw, zło-dziejstw, morderstw, cudzołóstw, prostytutcyi, streszczającą w jednej rasie historję społeczeństwa, okres dziejów Francyi, oświetlany z pokolenia na pokolenie tajemniczemi odbłyskami dziedziczności.

Nie będziemy w charakterystyce pisarza, reasumującej to, co już w „Bibliotece“ było o nim powiedziane, powracać do składników tej syntezy. Wiemy co warta rzekomo naukowa, doświadczalna jej podstawa, co trzymać zarówno o owych „prawach“ dziedziczności, stosowanych przez Zolę z naiwną pewnością dyletanta wszędzie, gdzie nauka waha się lub obwarowyywa zastrzeżeniami, jak i o jego eksperymentach, dokonywanych na materyale, nie z „natury“ dobytym, lecz w wyobraźni zapóźnionego romantyka poczętym. Wiemy, że na takim-to chwiejnym, grzązkim gruncie urodziła się grupa indywiduów, przekazujących sobie w fizyologicznej spuściźnie temperamenty, poddawane z rozmysłem działaniom sztucznie zgrupowanego środowiska, gdzie najważniejszą, decydującą niemal, rolę odgrywały rzeczy martwe, obdarzone przez autora duszą, którą odebrał człowiekowi. Po-

znaliśmy istotę i wpływ takiego materialnego determinizmu na ludzi, wijących się w konwulsjach pod brzemieniem zwierzęcej fatalności. I doznawaliśmy dziwnego na ten widok wrażenia, jak gdyby nas przeniesiono w świat szczególniejszy, który nie jest ani tworem fantazyi, ani odbiciem rzeczywistości, w świat hallucynacyi, gdzie uderza nie epickie tej rzeczywistości wyolbrzymienie, z zachowaniem względnych między rzeczami i ludźmi proporcji, ale deformacja, potworne wykrzywienie linii, kształtów, fizygnomii, w dławiającym nieustannie uścisku sennej zmory.

Nie powrócimy do tych wizji nauralisty, wynaturzającego naturę; ale powrócić nam wypadnie na chwilę jeszcze do ostatniej sceny romansu jego z poezją, bo ta właśnie scena, poprzedzająca śmierć nie tylko bohatera, ale i pisarza, jest genezą całego szeregu utworów, któreby właściwie pogrobowemi nazwać należało.

To co występuje na schyłku owej „nocy historycznej“, wypełnionej retrospektywną fantasmagoryą Rougon-Macquartów i tajemnicami „drzewa genealogicznego“, da się streścić w tych mniej więcej słowach doktora Pascala do Klodyldy Saccard:

— Widzisz moje dziecko, wszystko, co ci przedstawiłem obydnie wprawdzie wygląda, ale właśnie dla tego warto żyć na świecie. Więc skoro newropatyczna prababka mogła dać początek aż dwóm szeregom potomstwa, ślubnej linii Rougonów i nieprawych Macquartów; ponieważ piękna Klodylda była tak potężnego jak Eugeniusz Rugon, męża stanu, a Renée Saccard zażywała w oranżeryi męzowskiej kazirodnych z jego synem wczasów; kiedy Albina doprowadziła do grzechu księdza Moureta, a Helena Mouret rzuciła się na szyję wezwanemu nocą do córki lekarzowi i namiętnością swoją zabiła zazdrosne o matkę dziecko; jeżeli Gerwaza Macquart utrzymywała z mężem Coupeau i kochankiem Lantierem gospodarstwo we troje, a Seweryna zamordowała do wspólki z małżonkiem starca, który ją był do rozpusty wciągnął, aby następnie oszukać swego współnika z Jakóbem Lantierem; skoro Franciszka Macquart pomagała swemu mężowi do gwałtu na własnej siostrze, a Nana, obezwładniwszy nierządem cały Paryż, ułatwiła wrogom pogrom Francyi — to ty bądź moją!

Że na tak przekonywające wezwanie młoda dziewczyna padła w objęcia starca, — temu dziwić się niema powodu, kiedy się wie jak wygląda miłość u Zoli, jak w tym zmysłowym akordzie nie brak nawet nuty znieprawionego pożądania, rozkoszującego się zetknięciem z rozkładem. Tylko tu bierze ochota odwrócić się od symbolu, albo nawrócenie idealistki do pozytywizmu, po „lekcji życia,“ demonstrowanej w klinice newropatycznej na okazach szpitalnych, oddanie

się konającemu naturalizmowi młodej literatury pod hasłami wypisanymi na jego karcie pogrzebowej, uważać raczej za akt gwałtu, o wiele prawdopodobniejszy dla wszystkich, co pamiętają dawne jej z nieboszczykiem obrachunki.

II.

Zanim Zola doczekał się w postaci Doktora Pascala białych włosów, zdarzył się, jak wiadomo, fakt, z którego niecierpliwse umysły, wyglądające z utęsknieniem brzasków nowej literatury, wyprowadzały pośpieszny jeszcze naówczas wniosek, że gwiazdę Zoli zaczynają już przesłaniać mroki, posępne zwiastuny zupełnego zaćmienia. Grupa literatów, mieniących się uczniami historyka Rougonów, zaprotestowała „w imię artystycznego sumienia“, w imię „miłości i szacunku dla sztuki“, przeciwko kałuży, w której nurzał się ostatni wtedy romans Zoli, „Ziemia“. Wódz naturalistycznego zastępu odpowiedział, że tych panów zupełnie nie zna, „że nie siadali za jego stołem“, więc protest ich nic go nie obchodzi.

Gdyby doniosłość owej protestacji miała być zależną od wrażenia, jakie wywarła na Zoli, można-by cały ten literacki epizod w dziejach naturalizmu uważać za objaw bez znaczenia. Ale nie idzie tu bynajmniej o to, czy wystąpienie panów Bonnetain, Rosny, Descaves, Margueritte i Guiches dotknęło mniej lub więcej autora *Assommoire'a*, albo czy nazwiska tych panów nadawały ich manifestacji dostateczną powagę; owszém—im mniej protestujący należeli-by do cechu literackiego, im bliżej byli-by sfery czytelników, tem bardziej na seryo wypadało traktować taki symptom, zwłaszcza, że jednocześnie, o miedzę, w Niemczech występował w tej samej sferze objaw biegunowo przeciwny. Podobnie jak różne artykuły mody, Zola zaczynał wśród narodu idealistów rozgłosnej zażywać popularności, właśnie w chwili, kiedy ten rozgłos we Francji zdawał się przycichać. Krytycy niemieccy ścigali się w studyowaniu różnych zwrotów twórczości „ojca naturalizmu“, a w tem wszystkim rej wiodła także grupa młodych pisarzów, marzących o urzeczywistnieniu w swej ojczyźnie przewrotu literackiego, który był-by powtórzeniem wielkiego okresu „burzy i wrzenia“.

„Księgą, która ze wstrząsającą powagą uderza w każdy nerw syna naszych czasów“, — pisał najśmielszy z pośród tych rewolucyo-

nistów, — jest *Germinal* Zoli, wielka allegorya nowożytnego społeczeństwa i jego stosunku do praw żelaznej konieczności; dzieło męskiej twórczości, wobec którego kamienieją z przerażenia, niby przed wizerunkiem w Sais, wszystkie obojej płci kobiety. „Weltschmerz“ z epoki politycznych przewrotów wyraził się w *Werterze*, w *Renem*, w *Child Haroldzie*, bóle wszechświata dzisiejszej żelaznej doby znalazły sobie wieczną w *Germinalu* formułę—a to najwyższy szczyt do jakiego poeta osiągnąć może. Że Zola jest wielkim poetą, o tem wie każdy, kto zachował w sobie szczyptę zdrowego rozsądku, a potrafi zrozumieć błyskawiczne oświecenie otchłani duszy i przytłaczające brzemie sytuacji „*Germinala*“. Ale Zola jest czemś więcej. Pogardzając utartymi kolejami, któredy mkną gładko konwencyonalni poeci, wyższy nawet od twórców, snujących z siebie nową przędzę, piętnuje swoje indywidualne tworzywo znamieniem wieczystej prawdy i, kojarząc energię poety z siłą myśliciela, nadając prawdziwej po wszystkie czasy idei oryginalną, artystyczną formę, jest, w pewnych zacieśnionych granicach, „jedynym po Byronie wszechświatowym poetą“.

A teraz, zestawmy te dwa wyroki, oba wydane przez młodzież, przysięgającą na te same hasła, garnącą się pod ten sam sztandar: gdzie prawda: czy w proteście Francuzów, czy w dytyrambie Niemców? kędy szukać Zoli takiego. jakim istotnie był: czy w cuchnącem bagnisku owej wyklętej „Ziemi“, czy też w jej mrocznych przepaściach, gdzie badacz życia górników zdawał się tajemnice pierwotnych natur podpatrywać w działaniu elementarnych sił przyrody? Albo może między tą tragedją podziemnej niedoli, rzuconą impulsem posepnego talentu na tło dantejskiego piekła, a poronionym płodem doktrynera, kreślącego, jak opiewa protest, „retorycznych pajaców i potworne sylwetki“, istnieje twór, który-by nam lepiej wytłómaczył indywidualność Zoli, rolę, jaką talent jego w minionym literackim okresie odgrywał, wreszcie reakcyę, wywołaną przeciw doktrynie fanatyzmem jej apostoła?

Istotnie—twór taki egzystuje; ma tytuł bardzo szeroki: „Dzieło“ (*L'oeuvre*) i więcej, jak sądzę, przyczynić się może do rozjaśnienia psychologii naturalizmu od wszystkich pism, w których Zola wyklada jego teorię. Właściwie „*Moje nienawiści*“, „*Romans doświadczalny*“, „*Romansopisarze naturalistyczni*“, „*Naturalizm w teatrze*“, „*Nasi autorowie dramatyczni*“, „*Dokumenty literackie*“, — wszystko to stanowi arsenał polemiczny, w którym, z pod ciężkiego rynsztunku argumentów odporno-zaczepnych niedość wyraźnie widać człowieka i pisarza. Człowiek i pisarz wyszli dopiero na jaw w książce, odtwarzającej ze spokojnych obserwacji stosunki literacko-artystyczne ówczesnej doby pod formą powieści, której dwoistym bohaterem, —

wątpić o tem nie można. przeczytawszy cały ów krytyczny materiały, — był sam Zola.

Dwoistym? — nieinaczej.

Świadomie, przedstawił się autor w osobie romansopisarza Sandoza, którego dopełniał, zapewne już bez wiedzy Zoli, malarz, Klaudyusz Lantier; we dwóch dopiero (dopóki „uczony“ Pascal nie dopełnił trójcy) streścili formułę współczesnej twórczości literackiej.

— Studyować człowieka takiego, jakim jest, — mówi Sandoz w „Dziele“, — nie pajaca metafizycznego, ale istotę fizyologiczną, działającą w pełni wszystkich swoich organów, co ty na to powiesz, Klaudyuszu? Czyż to nie farsa prawdziwa, owe studia wyłączne nad funkcjami mózgowemi, pod pozorem, że mózg jest organem szlachetnym. Myśl, myśl, — ależ do pioruna myśl jest wytworem całego ciała. Zróbże, żeby mózg sam myślał, i patrz, co się dzieje z jego szlachetnością, kiedy cię brzuch zaboli. Jakto, my, pozytywiści, ewolucyoniści, mieli-byśmy zatrzymać tego literackiego manekina z czasów klasycznych? Kto mówi o psychologii, jest zdrajcą wobec prawdy. Zre-ztą psychologia, fizyologia, to wyrazy bez znaczenia; jedna przeniknęła drugą, obie składają się na mechanizm człowieka, na całkowitą sumę jego funkcji. I to jest właśnie formuła, a nasza nowożytna rewolucya taką, a nie inną ma podstawę: głosi ona śmierć konieczną staremu społeczeństwu, narodziny nowej społeczności i nieodzowny rozkwit nowej sztuki na tym nowym gruncie. Tak, — wkrótce może świat zobaczy literaturę, która zakiełkuje w przyszłym stuleciu na glebie wiedzy i demokracji!“.

Pominąwszy banalność ostatnich proroczych frazesów i dziwnie amatorskie pomięszanie pojęć o psychologii i metafizyce, znajdziemy, po odrzuceniu tej grubej łupiny, dość drobne ziarnko: obserwowanie zmysłami wrażeń i sensacji człowieka zmysłowego, zewnętrznego, w atmosferze, oddziaływającej nań tylko widomemi, namacalnemi wpływami; opisywanie przedmiotu żywego, o ile go można zobaczyć, usłyszeć, powąchać i dotknąć w otoczeniu przedmiotów martwych, o ile je można zobaczyć, usłyszeć, powąchać i dotknąć. Wobec tej wyłącznej troski o odtworzenie powierzchni życia, nie dziwnego, że sztuki plastyczne tak natarczywie wciskały się do literatury, jak gdyby mszcząc się za to, że literatura tak długo pośród nich gospodarowała; nie dziwnego, że narrator nie mógł ruszyć się bez kolorysty i snycerza, zapożyczając od nich ustawicznie efektów pędzla i dłuta, że kiedy przyszło do tworzenia bohaterów i męczenników dzisiejszej sztuki, Zola skojarzył powieściopisarza i malarza ścisłym stosunkiem, który w intencji autora ma być tylko harmonią pokrewnych usposobień, w rzeczywistości jest dualizmem, rozpoławiającym naturę ówczesnego artysty.

Klaudysz Lantier pozornie tylko występuje jako wyłączny bohater powieści; w najkrytyczniejszych chwilach towarzyszy mu nieodstępnie Sandoz; właściwie, jeden bez drugiego był-by niekompletnym, bo obu potrzeba do sformułowania owej słynnej naturalistycznej doktryny: „dzieło sztuki jest częścią natury, widzianą przez pryzmat temperamentu artysty“; obaj muszą się złożyć na cwo osobliwsze przykazanie naturalizmu, „ażeby utwór artystyczny jednocześnie oddawał jak najobiektywniejszą prawdę i uderzał jak najbardziej osobistą nutą artysty“. Otóż w „Dziele“, Sandoz, powieściopisarz, przedstawia spokój i pracowitość obserwacji przedmiotowej; Klaudysz jest temperamentem, który spostrzeżenia zabarwia kolorytem „osobistym“, dramat zaś powieściowy polega w gruncie rzeczy nie na indywidualnych dziejach jednego lub drugiego, lecz przedstawia raczej historię rozdzwiku między tymi dwoma ludźmi, z których każdy miewa w procesie twórczości swoje momenty omdlenia i zwiąśćstwa.

Taką rozterkę dostrzega się w talencie Zoli, czytając uważnie jego cykl powieściowy; Sandoz walczy w nim bezustannie z Lantierem, a chwilowa przewaga któregokolwiek z nich stanowi o większej, lub mniejszej wartości tego, co do wspólki tworzyli. Systematyczny filister, podszyty namiętnym kolorystą—oto Zola, wydobyty z autobiograficznych i autokrytycznych obsłon „Dzieła“. Pierwszy patrzy uważnie, zbiera porządkie, gatunkuje spostrzeżenia, z pedanterią referenta spisuje inwentarz z rzeczy, protokół z ludzi, a gdy już zbiór dokumentów gotowy, wtedy z tego, co nagromadził Zola-Sandoz, maluje obraz Zola-Lantier, materiał obserwacyjny dostaje się do spożytkowania nieokielznanemu niczem temperamentowi. Nie poznał-by nikt filistra, taki w niego wstępuje demon; nie poznał-by nikt „dokumentów“, takie w nich dziwne zaczyna krążyć życie.

W atmosferze, otaczającej bohatera, przebiegają jakieś tajemnicze dreszcze; schody domu, sprzęty mieszkania, asfalt ulicy, drzewa parku dyszą zmysłowemi żądzami; między ludźmi a rzeczami powstaje związek nie myślowy, lecz fizjologiczny; artysta wrażeń materialnych, Zola, dopuszcza się tego, czego nie może darować romantyk: daje naturze fizjognomię, odpowiadającą stanowi nerwów człowieka, obdarza ją namiętnościami swoich bohaterów, robi krajobraz współdrżającym powiernikiem nie smutków, tęsknot, boleści, tylko instyktów i apetytów ludzkich: tworzy sławny ogród w *La faute de l'abbé Mouret*, lub rozgłośćnię ciepłarnię w *La curée*,—daje się porwać romantyzmowi sensacyi.

Wśród takiego świata zewnętrznego występuje człowiek, popychany zwykle jakimś specjalnym fizjologicznym bodźcem, który,

w miarę rozwoju powieści, rośnie w potężną siłę, wzmagającą się pod działaniem spikniętych na bohatera żywiołów całej jego atmosfery. Wzajemne reagowanie tych wpływów wytwarza wreszcie rodzaj gorączki, przeradzającej się następnie w wizyonerską malignę, która ogarnia stopniowo wszystko i wszystkich: przedmioty, ludzi, wyładki, sytuacje, — wreszcie... czytelnika. Wtedy promień, rzucony przez malarza pod pewnym kątem na tło obrazu, wydaje się jedynie możliwym jego oświetleniem; odosobniony objaw z dziedziny fizjologii przywłaszcza sobie rolę *fatum*, zawieszającego nad aktorami zmysłowego dramatu nieubłaganą grozę; można-by, czytając książkę w takim nastroju, przysiąc, że Teresa Raquin *musiała* w nocy czuć na swoim ciele trupie dotknięcie zamordowanego przez siebie męża; że erotyczny fatalizm pierwszej miłosnej sensacji *musi* znów popchnąć Magdalenę Ferrat w objęcia pierwszego kochanka; że działają tu prawa, stwierdzone metodą doświadczalną, że znajdujemy się wobec prawdy, dobytej z najtajniejszych kryjówek natury.

Skąd się bierze to złudzenie?

Wywołał je już nie obserwator, lecz twórca, który, zupełnie tak samo, jak pierwszy lepszy romantyk, nie może obejść się bez kompozycyji, a komponując, goni równie rozpaczliwie za wymykającą mu się z przed oczów ciała przedmiotową prawdą, jak tamten usiłował ująć unoszący się przed oczami jego duszy oderwany ideał doskonałości. I z tego szamotania się powstaje albo arcytwór, jak „Germinal“, albo dziwoląg, którego tragiczne losy, opowiadane w „Dziele“, zostawiają wrażenie złowieszczej przepowiedni.

Klaudysz Lantier jest reformatorem w malarstwie; od niego datuje szkoła *otwartego powietrza*, wstręt do pracowni zamkniętych i do fałszywego w nich światła; wysiłki oka, obojętnego na linie a odkradającego w lot samej naturze efekty oświetlenia, niedostępne dla nikogo kombinacje i rozkłady barw, zmienne z każdą chwilą dnia i nocy tajemnice kolorytu. „Widzisz, — mówi Lantier, — trzeba innego słońca, innego powietrza; trzeba malowania jasnego i młodego, w świetle, jakie pada na nasze dzisiejsze, młode oczy. Przedmiot obrazu, — to rzecz podrzędna; kształty i kontur — głupstwo; piękność, brzydota — akademickie przesady, zabobony szkoły; barwa i światło — to życie, które trzeba tak oddawać, jak się je widzi. Pęczek marchwi oryginalny, studyowany bezpośrednio, malowany naiwnie, w tonie osobistym, może być początkiem wielkiej w sztuce rewolucyji“.

Męczeńskie boje owej rewolucyji wypełniają stronic „Dzieła“.

Achl te mozoly tworzenia, ten krwawy wysiłek, ta walka z rzeczywistością, niedostępną jak ideał, przypominająca borykanie się z biblijnym Aniołem, — ileż to wszystko kosztowało Klaudyusza i jak

było do konania podobnem! Mocował się z pragnieniem ogarnięcia całej natury na płótnie, padał, wycieńczony fizycznymi bólami porodu, a geniusz jego nie mógł ujrzeć światła dziennego; wreszcie kiedy rozpacz wypędzała go z pracowni, kiedy uciekał od samego dzieła, unosił z sobą myśl fatalnej niendolności, która mu jęczała w czaszce odgłosem pogrzebowego dzwonu. Potem przyszły majaczenia wzroku; pierwotna, oryginalna, jasna, drgająca notacja efektów słonecznych, zamącona teoryjami naukowymi o barwach, wyrodziła się w manię, obalającą wszystkie nawyknięcia oka; sine ciała rozpościerały się na płótnie pod trójkolorowem niebem, wstrętne niebwywałym, potwornym kolorytem. Lantier malował „tak, jak widział“; tragiczną zaś stroną tej twórczości maniaka było nietylko to, że przeciętny filister, uosabiający w sobie pogardzaną publiczność, nie chciał, nie mógł widzieć tak, jak on, ale że „osobistą nutę“ Klaudysza przestali oceniać, nawet rozumieć, przyjaciele i wyznawcy. Powoli rozszerzała się koło nieszczęśliwego próżnia; ci, którzy z nim razem marzyli o przewrocie w sztuce, odeszli, wzruszając ramionami; rozpacz zatapiała coraz głębiej szpony w mózg, w serce artysty, dopóki chwila obłędu nie popchnęła go do samobójstwa. Zawisł na drabinie przed swoim dziełem: zabiła go halucynacja fizyologiczna, przyobleczona na obrazie... w ciało kobiety.

Jaka była natura tej egzaltacji, która Lantierowi stryczek do ręki wcisnęła? Czy uniesienie czysto artystyczne? Takby można mniemać, pamiętając, jak dalece nagość była zawsze motywem malarzkim.

„Wiedz o tem, — pisze Benvenuto Cellini, — że pięć żeber fałszywych tworzy, gdy tors pochyla się naprzód, lub w tył, mnóstwo wypukłości i wklęsłości, które liczą się do głównych piękności ciała ludzkiego. Kręgi będziesz rysował z przyjemnością, bo są wsłaniałe. Najważniejszym punktem w sztuce rysunku jest dobrze nakreślić męzczyznę nagiego, lub nagą kobietę“.

Posłuchajmy teraz Lantiera w pracowni:

— Niema co! Pyszna rzecz ta nagość! Jaką ci to daje nutę na każdym tle! A jakim życiem drga! Zdaje się, że widzisz krew, krążącą w mięśniach. Ach! mięsień dzielnie, w pełni światła namalowany! Czy jest co potężniejszego? Jabym klęczał przed t m całe życie... A szczególnie egzaltował mnie zawsze brzuch. To się tak pięknie maluje... istne słońce z ciała.

Niby to samo... jednak czuć w tych słowach przestrzeń paru przeżytych cywilizacji. Tam zachwyty silnej organizacji, lubiącej się przedewszystkiem linią anatomiczną, kształtami plastyki — tu ekstaza nad światłem i barwą, które nagiemu ciału użyczają drgań

fizyologicznego życia, uniesienie, niepodobne nawet do szerokiej, rubasznej zmysłowości Flamandów, ale mające źródło w nerwach, targanych i podniecanych przez wyobraźnię w jednym wyłącznym kierunku. W tem wyrażeniu „istne słońce z ciała“, jest coś nieledwie mistycznego i na drogę też zmysłowej mistyki skierował się kult kobiecego ciała u Klaudyusza Lantier. Narzucał go wszystkim bez ustanku z całą gwałtownością namiętnego temperamentu, z całą bezwzględnością opętanego jednym motywem malarza, a na wszelkie dyskretne, lęklive zastrzeżenia towarzyszków, przykro zdziwionych tem natarcywym wdzieraniem się nagości w każde ramy, na każde tło, do każdego otoczenia, wbrew najluźniejszej kompozytorskiej logice, jedną miał odpowiedź: „widzicie, ja tego potrzebuję... mnie to podnieca“.

I Lantier nie znał już innej podniety,

Widział ją zawsze i wszędzie. Zawładnęła mózgiem, każdym nerwem jego, przeniknęła do każdej kropelki krwi, wcieliła w siebie całe malarstwo, całą sztukę, zmysł jego artystyczny pędziła śladem fizyologicznej sensacji, wyobraźnię zaludniła fantasmagoryami, które rzucał na płótno, jakby w przystępach wizyi. Przyszło do tego, że owa straszna, jak opętanie szaleńca, naga kobieta przybierała postać jakiegoś potwornego bozka. Pędzeń, prowadzony ręką lunatyka, wydobywał kombinacje barw, strojących lędzwie i żywot migotliwymi odbłyskami złota i drogich kamieni, niby tajemniczy ołtarz, w którym zawarł się symbol żądź nienasyconych. Rozpaczliwy wysiłek ujęcia samej natury wyrzucił artystę poza jej granice, tam, skąd się już nigdy do rzeczywiistości nie wraca.

Musiało się skończyć tragicznie; ale, nim się skończyło, ileż męczarni, a wśród nich jakże krwawa ta dezercya towarzyszków broni z rewolucyjnych szeregów! Rzadko w literaturze powieściowej spotyka się sytuację, równie przejmującą w swej prostocie, jak ostatni obiad u Sandoza przed samobójstwem Lantiera. Wszystkie złe instynkty natur zawistnych, bez szlachetności, wychodzą na jaw wobec stwierdzonego już upadku talentu, który mógł być geniuszem. Wszystkie nici przyjaźni, koleżeństwa, wspólności aspiracji, pokrewieństwa ideałów, rwą się jedna po drugiej między dawnymi współwyznawcami, zasiadającymi „u jednego stołu“; chłód, wiejący w tej sali jadalnej, gdzie dotąd paliły się mózgi i serca żarem artystycznych zapragnień, zdaje się zalatać z grobu, otwartego już dla Lantiera. Niestety, Klaudyuszowi przeznaczonem było przeżyć przed śmiercią jedną jeszcze straszliwą chwilę.

Artysta miał żonę.

Historia poznania się przypadkowego z ową Krystyną, uosabiającą „wstydliwą zmysłowość“, dzieje stosunku, zawiązanego dzięki trafowi, który z niej robi mimowolną modelkę malarza, a zakończonemu małżeństwem, wzbogacają „Dzieło“ pierwszorzędnymi pięknosciami. Geneza miłości w tajonem przez Klaudyusza, a odgadniętem przez Krystynę pragnieniu przeniesienia jej kształtów na płótno jest mistrzowskim rozdziałem psycho-fizjologii, a jedyna w ich pożyciu scena małżeńska, poprzedzająca bezpośrednio śmierć Lantiera, wstrząsa tragiczną grozą.

Miłość, poczęta z plastycznych zachwyków artysty, długo trwać nie mogła. Klaudyusz nie sprzeniewierza się wprawdzie żonie dla jakiejś innej kochanki, ale ją zaniedbuje dla swojej sztuki, która niemniej jest niebezpieczną, przybrawszy na siebie postać owej złowrogiej, nagiej kobiety. Krystyna cierpi niewypowiedzianie; krwawi się w niej serce, zranione obojętnością ukochanego; protestuje duma żony, uważanej tylko za modelkę, a zazdrość pożera kobietę, która na to jedynie ciało swoje oddaje mężowi, żeby mógł pieścić się na obrazie niedołącznym jej kształtów odbiciem. I wybucha w fatalną godzinę, kiedy w mózgu oszalałego malarza dojrzewa już myśl o śmierci; wybucha, zobaczywszy go w nocy na drabinie z łożówką w jednej ręce, z pędzlem w drugiej, nachylonego nad przekłętym malowidłem, tak, że cień jego, padający na postać nagiej kobiety, sprawia wrażenie monstrualnego uścisku.

Na widok tej znenawidzonej rywalki, Krystyna wskakuje na drabinę, wrywa mu świecę i, oświetlając nią naokoło malowidło, mówi:

— Ależ patrz nareszcie, zobacz, do czego zszedłeś! Wszakże to ohydne, śmieszne, wstrętne! Trzeba, żebyś zrozumiał, dla jakiej potwory mnie odpychasz. Uciekasz ode mnie, — do kogo?, do czego?... do odrobinki pyłu, farby na płótnie. Więc się jej przyjrzyj jeszcze raz, tej swojej kobiecie... patrz, jakie w szaleństwie monstrum z niej zrobiłeś! Czy jest kto tak zbudowany? Czy ma kto uda ze złota i kwiaty na brzuchu? Obudź się... otwórz oczy... powróć do rzeczywistości.

Klaudyusz, posłuszny nakazującemu gestowi Krystyny, spojrzawszy otrzeźwionym chwilowo wzrokiem. Łóżówka, postawiona na platformie drabiny, oświetlała kobietę, niby gromnica, żółtym płomykiem, majaczącym wśród zupełnej ciemności pracowni, — i malarz osłupiał, odskoczył, zląkł się własnego dzieła.

— A teraz, — rzekła, odchodząc parę kroków i obnażając się wspaniałym ruchem, — patrz!.. porównaj. Nie pomogą nic klejnoty, któremi inkrustowałeś jej skórę... ona jest zwiędła, jak suchy liść, a ja mam zawsze ośmnaście lat — bo cię Kocham.

Jest w tej imponującej scenie dwoisty dramat: skarży się w nim kochająca kobieta mężczyźnie, który ją opuścił, i mówi artyście straszną prawdę Natura, zwieważona jego szaleństwem. Miał ją przecie, tę naturę, taką, jakiej pragnął, nagą i imponującą nagiemi kształty; oddała mu się cała, bez żadnych zastrzeżeń. I cóż stąd... patrzył i nie widział nawet, że jest piękną... tworzył niby według niej i nie czuł tego, że tworzy potworności! Mężczyzna mógł się jeszcze zdobyć na chwilę przedśmiertnego uniesienia dla kobiety, artysta musiał umrzeć.

Umarł... i z pośród całej falangi rewolucjonistów odprowadził go tylko jeden Sandoz na nowy cmentarz, szary, smutny, pod linię wyciągnięty, miejsce spoczynku stolic demokratycznych, gdzie umarli, zamieszkawszy na pięcioletniem komornem, zdają się spać w ponumerowanym archiwum administracyjnem. Powieściopisarz nie opuścił malarza ani na chwilę; kochał go stale i wiernie, cieszył się jego genialnymi zapędami, ubolewał nad każdym omdleniem talentu, współczuł nawet jego obłędowi i zapłakał nad jego grobem, bo mnóstwo węzłów łączyło go ze zgasłym artystą, bo losy współczesnej z nim literatury powieściowej, to istna historia Klaudyusza Lantiera, a obraz belletrystyki z tego okresu wyda e się być kopią jego ostatniego dzieła. Ta sama namiętność „prawdy“, posunięta aż do „naukowej“ analizy, a spożytkowana na tysiące szczegółów, których odmęt ma tylko służyć za dekorację dla Niej, dla nagiej kobiety, uzmysławiającej królowanie w literaturze Fiziologii na jednym wyłącznie tronie, u którego stóp, czy w chłopskim alkierzu, czy w pałacowej alkowie, odgrywa się wszędzie jeden i ten sam dramat rozszalałych zmysłów.

Zastrzeżenia Sandoza w rozmowie z Lantierem, lęklive jego, niby opozycyjne argumenty, nikogo w błąd nie wprowadzą. Czyż nie on-to marzy o odtworzeniu w książce życia uniwersalnego, przebiegając od jednego końca do drugiego „drabinę zwierzęcości, bez szczytów, ani nizin, bez piękności, ani brzydoty“; czyż nie on pragnie „wydobyć sprawy płciowe ze wstydlivego ukrycia, w jakim są więzione, na chwałę jasności słonecznej“? Czyż ta apoteoza nie warta apoteozy nagiej kobiety Lantiera? Nie,—niema między nimi zasadniczej rozłąki; są tylko dwie połowy jednej, nowożytniej, twórczej natury, przemawiającej raz głosem gderliwego zbieracza dokumentów, drugi raz liryzmem zwaryowanego artysty; w tym filistrzypowieściopisarzu jest zawsze materyał na maniaka, w jego dziełach snuje się zawsze galeria obrazów Lantiera. Z pozoru trudno się tej dwoistości domyślić; dom Sandoza czaruje urokiem rodzinnych uczuć, czystością atmosfery moralnej, odpowiadającej zupełnie życiu gos-

podarza. Sandoz-Zola jest czystym w czynach, w mowie, — ale nie w wyobraźni. Spostrzeżenia jego przeniknione są wstrętem, pogardą dla brudu, która zdaje się nieraz zakłócać pogodę obiektywizmu pisarza, ale tylko dopóty, dopóki nim nie owdładnie temperament malarza. Wtedy, przykładny, wierny swej żonie mieszczech, zamknięty w pracowni, wygląda, pisząc, jak gdyby się wykrażał na jakąś wiarołomną orgię. Im bardziej się gniewał, jako obserwator, tem gniew jego silniejszą się staje podpalką do rozniecenia halucynacyjnych żarów artysty. Pióro, przekształcone namiętym talentem na pędzel, nie zna granic plastyki, czasem sięga poza nie, tam, gdzie nietylko słowo, ale paleta i dłuto odmawiają posłuszeństwa, gdzie ustaje artyzm i rozpoczyna się potworność.

Jest-że to obłuda zepsutego w gruncie filistra, czy też, jak zdradliwie insynuują protestujący uczniowie, psychopatia na gruncie płciowym? Ani jedno, ani drugie — tylko zabobonna jakaś trwoga przed złowrogą potęgą kobiety, trwoga, którą, mimo swój zdrowy, praktyczny umysł, wyraził był już Dumas syn, mówiąc „o nowem wcieleniu kobiety w potworę, szukającą odwetu na mężczyźnie przez jego zmysły, za tysiąc lat niewoli i bezsilności“. Jest w tej trwodze wszystko: i tchórzostwo wycieńczonego newrozją społeczeństwa, i pochlebstwo wobec przypuszczalnej, nieznanej siły, i pogarda, która-by chciała dowieść niezawisłości, energii, — a najwięcej może znajdzie się bezwiednego bałwochwalstwa dla tajemniczej władzy, do której słaby wzdycha, mimo, że jej nienawidzi. Ta choroba przerabia Sandozów na Lantierów, a literaturę na szpital histeryczek i maniaków.

— Skąd się ma wziąć jasne na świat spojrzenie, równowaga w mózgu, — mówi Sandoz na pogrzebie przyjaciela, — kiedy podobne fantasmagorye błakają się pod czaszką? Po pokoleniu romantycznem, nasza generacya za głęboko jeszcze brnie w liryzmie, ażeby mogła zostawić zdrowe dzieła. Przejdzie jedno, przemienie może dwa pokolenia, zanim się zacznie malować i pisać logicznie, z wzniosłą i czystą prostotą. My jesteśmy świadkami i aktorami bankructwa stulecia. Zbytek działalności i dumy ze zdobytej wiedzy musiał nas przerzucić w zwątpienie; ten wiek, który tyle rozlał światła, musiał skończyć się pod grozą nowej fali ciemności. Pessimizm pożera wnętrzości, mistycyzm zasnuł mgłą mózgi. Jesteśmy nie zakończeniem, lecz przejściem, początkiem czego innego... To jedno mię też uspakają, że zdążamy ku czemuś rozumnemu i trwałemu.

Zamilkł na chwilę; potem skończył głosem, drżącym od wzruszenia:

— Jeżeli tylko szaleństwo nie popchnie nas w mrok, jeżeli wszystkich nie zdławi ideał, jak tego biedaka, który tam spi w czterech deskach.

III.

Fundament pod coś „rozumnego i trwałego“ w literaturze miał, jak widzieliśmy, założyć „uczony“ doktor Pascal, kolekcjonujący stare gazety i studujący w świecie papierowym kwestye dziedziczności na drukowanych dokumentach ludzkich. Umarł wprawdzie, nie spożytkowawszy cennego archiwum, które stało się pastwą ciemnoty, ale zostawił dziecię, zrodzone z nieugiętego naturalisty i nawróconej idealistki. Matka odsłoniła zapewne synowi, gdy doszedł do lat, tajemnicę swego nawrócenia; kiedy jednak nastąpiła literacka tego syna pełnoletność, i do którego z „prześciowych pokoleń“ zaliczyćby go wypadło,—dochodzić ani kombinować nie będziemy. W dziejach twórczości historyka Rougon-Macquartów, gdzie czas i przestrzeń, jak wszystko zresztą, jest symbolem, gdzie twórca sam w ciągu tworzenia przestał się orientować: co właściwie było dlań przeszłością, a co teraźniejszością, dość będzie liczyć się z faktem, że potomstwo duchowe Pascala-Zoli egzystuje, i dość będzie—nie troszcząc się zbytecznie o jego metrykę—zaznaczyć charakterystyczne tego faktu znamiona. Jest ich kilka, a wszystkie oddają pogrobową generację pod władzę jakiejś mściwej Nemezydy. W duszy tego pokolenia odbywa się zacięta walka ojcowskich z matczynymi ideałami, które w potomstwie z martwych powstają w widmowych kształtach, z fizyognomią ludzaco do rodzica podobną, choć go się z przekleństwem wypierają. Wszystko zdaje się różnić dzieci od życiodawców i wszystko ich zarazem zbliża; tylko gra różnic i podobieństw odbywa się na gruncie osobliwszych transpozycyi motywów, osłaniających zmysły duchową maską, a duszę zmysłową larwą. W całej „historyi naturalnej rodziny z czasów cesarstwa“ dziedziczność nie objawiła się może z taką mocą, jak w tej czekającej na historię rodzinie literackiej z czasów Rzeczypospolitej, i cały tragizm sytuacji na tem właśnie polega, że spadkobiercy, odrzucając z głośnem oburzeniem dziedzictwo, uginają się pod brzemieniem tej schedy, odrzekając się od pochodzenia, piętno jego noszą na swoim obliczu.

Zestawmy dwa obrazy: z jednej strony, na ostatnich kartach „Doktora Pascala” odmładzającą się ustawicznie ludzkość w postaci Klotyldy, uśmiechniętej do zawieszzonego u jej łona niemowlęcia, które będzie może jutrzejszym geniuszem „messyasem, przeznaczonym do wydobycia ludów z ich wątpień i cierpień”, które, ssąc pierś rodzicielki, „trzyma rączkę do góry, wyprostowaną jak sztandar wzywający do życia”;—z drugiej, przeciągający we współczesnej literaturze orszak czarno zakapturzonych karawaniarzy, którzy niosą do grobu trupa ludzkości. Trudno o jaskrawszy kontrast; jednak ci karawaniarze wyrosli z tamtego niemowlęcia i całun ich śmiertelny z tego samego co ów sztandar życia utkany jest materyału. Życie zasnułe jest dla synów, podobnie jak dla ojca, równie gęstą mgłą cmentarnego pesymizmu, z którego wynurza się jednakowy zawsze dla spokrewnionych z sobą pokoleń symbol kobiety, wcielającej „siłę kosmiczną”, która tworzy i niszczy. Idealizm tego symbolu, przepływający przez przypadkowe, zmienne formy bytu od niezbadanych tajemnic pra-początków, aż gdzieś w „bezkresy” nieskończoności, nie oszuka nikogo; każdy, kto umie i chce patrzeć, zobaczy pod tą mistyczną falą bagniste łożysko naturalizmu; każdy pozna w mętnych wizjach, parujących z przepaścistej głębi tego dna, znane sobie dobrze erotyczne halucynacje. Fizjognomia symbolu zmieniła się tylko zewnętrznie. Zoologiczna kobieta - samica Zoli straciła pełnię kształtów, podniętą bujnego kwiatu, kryjącego zawiązek owocu; postać jej, wyszczuplona, wydłużona, urzeczywistnia ideał *dekadentów*: piękność niedojrzałą dziecka, obiecującą uroki kobiety; kształty, chwiejące się między chudością szkieletu, a silną muskulaturą chłopięcia; formy o płaskiej pierśi i nikłych biodrach; idealną mieszaninę wdzięku z siłą, smukłości niewieścich linii z energią męskich konturów, słowem ostatnie marzenie odwołującej swój zgon cywilizacji,—*androgynie*—istotę dwupłciową, potęgującą zapędy rozpustnej wyobraźni mężczyzny. Otoczona tajemnicą zaświata, przystrojona w te same klejnoty, którymi nieszczęśliwy Lantier ozdobił łono swego gorączkowego widziadła, dźwignęła się na wyżyny nieledwie abstrakcyjne, gdzie, jak sfinks nowożytny, chłonie każdego, kto nie rozwiąże stawianych przez jej znieprawioną wyobraźnię zagadek nowych, nieznanых pragnień. Miłość jej, zrodzona z uścisku nieletnich bohaterów Zoli, Silvera i Mietty, na pustkowiu po starym cmentarzu, w zakątku użyźnionym zgnilizną, ma w swoich wybuchach technienie grobu, w swoich zakłęciach szepty zmarłych, w swoich pieszczotach dreszcze konania. Namiętności tańczą naokoło niej „sarabandę” śmierci; ale nie jest to bynajmniej „taniec szkieletów”. Owszem—nie brak tam ciała, szalcjącej-

go w maskaradowym stroju mistycyzmu bardzo realnie, bardzo plastycznie, z całym naturalistycznym przyborem, z całym rozwichrzeniem świata zmysłów, który chce żyć i rozkosznie żyć, zanim się stanie igraszką sił kosmicznych. Tę samą co dawniej orgię żądz i instynktów osobliwszy idealizm oderwał od stosunków społecznych i przeniósł do indywidualnej duszy, zaludniając literaturę anarchistami myśli i uczucia o licach psychopatów płciowych, wykrzywionych poetycznym grymasem. Jest to odwet Klotyldy Saccard na Pascalu Rougon za gwałt, którego się na niej dopuścił: potomkowie ich pod klątwą naturalizmu tworzyli poematy metafizycznej deprawacyi, i sami zamroczeni pesymizmem, któremu, jak wiadomo, *omne animal* podlega, rozsnuwali z tego mroku nad duszą współczesną oponę „mystycznych ciemności.” A gdy bliską już zdawała się przewidywana przez powieściopisarza Sandoza chwila, kiedy szaleństwo mogło się z tych ciemności wynurzyć, gdy wszystkich mógł zdławić ideał Lantiera, kiedy literatura zaczęła być podobną do owej opisanej w powieści Pelladana operetki wagnerowskiej, przedstawiającej wędrówkę opętańców Namiętności do świątyni Chimery, — skąd miał się wziąć „messyas, przeznaczony do wydzwignięcia ludów z ich zwątpień i cierpień”; na jakiej drodze dokonać się miało to wybawienie ludzkości?

Zola odpowiedział na te pytania w tryptyku powieściowym „*Lourdes*”, „*Rzym*” i „*Paryż*”: symbolem wybawcy będzie ksiądz, który rzuci z siebie suknię duchowną; środkiem ocalenia będzie — ktoby się tego spodziewał! — nowa religia. Rzecz prosta, że cud taki stanie się nie odrazu; poprzedzić go muszą majaczenia ludzkości, „chorej na mistycyzm”, inne naturalnie w *Lourdes*, inne w *Rzymie*, ale jedno zawsze mające źródło: niczem nieugaszone pragnienie ideału. Choroba jest chroniczna, rozpościera się szeroko i symptomata jej rozproszone dopatrywał wszędzie historyk rodziny z czasów cesarstwa; ale choroba miewa swoje objawy ostre, zapalne — takie właśnie są przedmiotem dyagnozy Zoli w „*Lourdes*” i w „*Rzymie*”.

IV.

Obserwował je już Doktor Pascal i z tych może spostrzeżeń urodził się pomysł nowego utworu, a raczej seryi utworów, w wyobraźni Emila Zoli, która ma ustrój symboliczno-cykliczny. Nić powieścio-

wa nie wiąże się już w tym tryptyku z dziejami Rougon-Macquartów; studia nad rzeczywistością materialną mają ustąpić studjom nad rzeczywistością moralną. „Wiesz pan, pisze twórca figury, przezwanej Chrystusem w „Ziemi“, do wspomnianego już przyjaciela p. Van Santen Kolff,— że punktem wyjścia w moim nowym romansie jest zbadanie dzisiejszej sytuacji religijnej“. Ale odmienny przedmiot nie odmieni takiego, jak Zola, pisarza, raz dla tego, że talent jego ciężki, masywny, twardy, skostniawszy w raz wyrobionych formach, do innych się nie nagina, a powtóre, że, dyletant we wszystkim, nie zdaje sobie nawet sprawy, gdzie, w czym i jak głęboko tkwi ta odmienność motywów. Więć też „bada“ sytuację wiary religijnej tak, jak badał koleje żelazne, giełdę, kopalnie, lub magazyny wielkiego przemysłu. Opisowa część miejsca pobożnych pielgrzymek, nużąca drobiazgową dokładnością, w której nie brak nawet rozkładów jazdy, mogła-by posłużyć za przewodnik dla turystów i świadczy o obfitości zebranych dokumentów rzeczowych. Niemniej bogata jest kolekcja „dokumentów ludzkich“, spożytkowana do charakterystyki pątników, zdążających do Lourdes, po cudowne wyzdrowienie. Że zaś ta charakterystyka ogranicza się do malowania pacjentów: rakowatych, suchotników, paralityków, owrzodzonych, cuchnących, ropiejących; że cała ta nieszczęśliwa gromada, natłoczona w pociągu, wraca z Lourdes z temi samemi kalectwami, jakie tam była zawiozła, zostawiwszy tylko trochę nieżywych na miejscowym cmentarzu; że Zola stworzył symbol „chorej“ ludzkości z tego, co dlań było najdotępniejszym, z cierpienia fizycznego,—to wynika wprost z natury obserwatora, wyczuwającego w ludzkości uderzenia cielesnych tylko pulsów.

To też nie trzeba żądać od pisarza więcej, aniżeli dać potrafi, choćby się nawet w tak pięknej formie żądać miało, jak to czyni p. T. de Wyzewa. Zapewne, że do studyowania reakcji mistycznej nowszych czasów Lourdes nie jest tłem szczęśliwie wybranem; zapewne, że nie tam dokonywa się jeden ze znamiennejszych zwrotów w duszach ludzkich; zapewne, że nie u pątników z Lourdes objawiają się w stopniu najwyższego napięcia, a zwłaszcza z natężeniem najbardziej zajmującym, „odraza do wiedzy i zwrot ku wierze.“ Ten, czy ów symbol nie tu nie stanowi; w każdym obniża się znaczenie, nie docenia się doniosłości obecnego w umysłach i sercach przesilenia, jeżeli mu się daje, jako jedyny wyraz, pielgrzymkę chorych do cudownych źródeł. Nie tylko suchotnicy i paralitycy „spragnieni ulgi odwracają się od wiedzy i rzucają się objęcia wiary“; i z większem zainteresowaniem, niż nawróceniom zawsze nieco interesowanym, tych dogorywających kaleków, przyglądalibyśmy się nawróceniom dusz, które w wierze szukają lekarstwa nie na rany cielesne, lecz na wstręt do życia,

na śmiertelne myśli znużenie. Są dusze nawracające się od wiedzy do wiary, nie dla tego, że wiedza na tym lub owym punkcie nie dopisała, ale dla tego, że we wszystkim, co je otacza, odczuły pierwiastek wymykający się z pod kontroli wiedzy, że świat cały wydał im się jednym niezmiernym cudem; nie dla tego, słowem, że stwierdziły rzeczywistość tego, co nadprzyrodzone, ale że zglębiły nicość tego, co rzeczywiste. To prawda,—tylko czy mógł w taką sytuację wniknąć, czy mógł odtworzyć ją pisarz, dla którego „mystycyzmem“ jest wszystko, co człowieka wypycha poza opłotki „historii naturalnej rodu ludzkiego“, który wrażenie przenikające głębiej niż pod sensacyjny naskórek, myśl wymykającą się z więzów zmysłowej percepcji, uczucie wycieczające z temperamentowych instynktów, wolę nieskrępowaną determinizmem; sumienie indywidualizujące osobnika; miłość niezależną od żądz; solidarność społeczną, zadającą fałsz walce o byt; wiarę kapłana, egzaltację poety, aspiracje artysty, wzloty filozofa, syntezę historyka, wysiłki ducha unoszącego się ponad „zwierzę w człowieku“, wszelkie niematerialne czynniki cywilizacji, wytwarzające wielkie idee, wzniosłe hipotezy—całą poezję kultury zawarł, ze sceptycznym ramion wzruszeniem, w rozciągliwym określeniu „la soif de l'au delà?“

Nie mógł,—i trudno orzec, czy chciał, tak dalece, przy pozorach poszanowania dla wierzeń, których nie uznaje, Zola waha się na stanowisku przedmiotowego spostrzegacza i ujawnia na każdym kroku przeciwieństwa między „filozofią“ osobistą, a wybranym do powieści przedmiotem, między swoim umysłem, który nie zmienił się ani na jotę, a imaginacją, która go wciągała w kompromitujące awantury. Co natomiast chciał i mógł z całą właściwą swemu talentowi plastyką przedstawić—to zwrot od religii do wiedzy w osobie księdza Froment, bohatera nowego cyklu, reprezentanta rozumu, wobec wiary, noszonej w postaci młodzieńczej dziewczyny, Maryi de Guersaint, nie-szczęśliwej kaleki, przywiezionej do Lourdes w męczennickiej skrzyni, gdzie bezwładna od siedmiu lat wegetowała. Ksiądz nie wierzy, przywdział bowiem sukienkę duchowną jedynie na życzenie ukochanej matki i ciasno mu w niej coraz bardziej. Straszne przesilenie moralne pozostawiło go złamanym, ale niezdolnym do odepchnięcia sugestji zbuntowanej myśli, postępy zaś odszczepieństwa śledzimy na gruncie sielanki miłosnej, sięgającej jeszcze dziecięcych lat Piotra i Maryi, którzy kochali się oddawna, nic sobie o tem nie mówiąc, a w Lourdes oczekują oboje uleczenia: ona ciała, on duszy. Jedno przyszło, drugie chybiło. Marya Guersaint dzwignęła się z niemocy w Lourdes i podwójnie jest szczęśliwą w przekonaniu, że ten sam cud, który jej zdrowie przywrócił, jemu powróci wiarę; ale Piotr pamięta

prognozę lekarzy, przewidujących możliwość wyrwania chorej z bezwładu wielkiem wstrząśnieniem egzaltacji. Dla niego ziściła się tylko prognoza; dla niej niech to będzie cud; złudzenia, dającego ukochanej tyle radości, on nie rozproszy, byłby to gwałt zadany duszy. Sam, tymczasem, zawiedziony w nadziei odzyskania naiwności pobożnego dziecka, z poczuciem próżni naokoło siebie wśród mroźnej pustyni swej intelligencji, z tęsknotą po utraconym raju ubogich duchem zamyka idyllę osobistego szczęścia pożegnaniem Maryi, która w jasnowidzeniu kochającej kobiety, osładza mu gorycz rozłąki ofiarą dziewictwa swego Najświętszej Pannie za cud wyzdrowienia. Zdało-by się, że zostawiwszy wiarę słabym umysłem, kobietom i dzieciom, Zola ma w zanadrzu dla mocnych duchem gotową, na podwalinach wiedzy silnie ugruntowaną, filozofię. Otóż nie. Książd Froment nie jest jeszcze dojrzały do uajwyższej inicjacji; musi przejść przez próbę „nowej religii“-- i po nią pojedzie do Rzymu.

Rzym! Ktokolwiek zna dobrze Zolę, ten ma już przed oczyma całkowitą dekorację tego drugiego etapu ludzkości na drodze do rozumowego uświadomienia. Rzym pogański, Rzym chrześcijański, Rzym papieski, Rzym nowoczesny, dwa wieki monarchii, pięć stuleci rzeczypospolitej, pięć wieków cesarstwa; 262 papieżów do Leona XIII-go włącznie; opisy ceremonii, ubiorów, uctw, spraw, zabiegów w labiryncie Watykańskim, na tle wszystkich pomników, wszystkich grobowców, wszystkich wodotrysków, wszystkich obrazów, wszystkich posągów, wszystkich pałaców, wszystkich kościołów,— niczego tam nie brak w tej cyklopowej kombinacji Ampère'a z Baedekerem—niczego, prócz duszy Rzymu.

Skąd-by się wziąć mogła? Co miała wspólnego wielka religia i wielka sztuka z malarzem życia materyjalnego i cierpień fizycznych, zbliżających człowieka do zwierzęcia? Co mógł sobowtór Jakóba Lantiera wyczytać z architektury, rzeźby, malarstwa, w których zakrzepła wiekowa historia ducha ludzkiego, wypowiadająca w świątyniach, posągach, obrazach... *la soif de l'au delà?* Więc też klasyczne pomniki, „pierwotni“, *cinquecento*, renesans, wszystko to służy reżyserowi, rozmiłowanemu w wystawie, za kulisy, przystawki, pratikable, za przybór sceniczny do dwóch luźno splecionych akcji, do epizodycznej idylli Daria i Benedetty i do kapitalnej intrygi przeciwko księdzu Froment. Spostrzeżenia Zoli nad rasą italską nie głębiej sięgają od poglądów jego na sztukę. Przyrodzone jakoby cechy Włochów: lubieżność i bezwstyd uznał za dostateczne podłoże fizjologiczne do „tragicznej sielanki“ nowożytnych rzymskich kochanków, nad której śmiesznem zakończeniu czytelnik nie ma na szczęście czasu zastanawiać się zbyt długo, śledząc ową historję nowej religii, głoszonej

przez bohatera z Lourdes. Młody apostoł napisał o niej dzieło zabronione w Rzymie przez kongregację Indeksu i zdaje mu się, że jedno posłuchanie u Leona XIII-go, jedna długa, bardzo długa tyrada, wypowiedziana na klęczkach przed Ojcem świętym, a pełna zaklęć o rzeczenie się władzy świeckiej, o powrocie do prostoty pierwotnego chrześcijaństwa, wystarczy, ażeby zjednać Papieża, zrewolucjonizować Kościół, ocalić książkę i zbawić papieństwo. Kto tu jest naiwniejszym: czy ksiądz Froment, owładnięty gorączką reformatorstwa, czy sufler jego, Zola, który widocznie nie domyśla się nawet historyzoficznej roli Kościoła w dziejach cywilizacji powszechnej? Zamiast kusić się o rozstrzygnięcie tej wątpliwości, która zresztą jest krytyką utworu, przypomnijmy sobie raczej istotę naiwności Zoli: jest nią, jak wiadomo, niewzruszona pewność siebie i ona to wydaje w Rzymie wyrok bez apelacji: bankructwo katolicyzmu, wobec czego przyszłość świata trzeba powierzyć innej jakiejś potędze—a tę oczywiście znaleźć można tylko w „Paryżu“.

Rzecz prosta, że „nową religią“ w tem „ognisku światła“ może być jedynie wiedza, która, jakby to z pierwszego ogniwa cyklu wnosić należało, zbankrutowała w Lourdes jeszcze przed bankructwem katolicyzmu. Na niej jednak ufunduje Zola, jako przeciwstawienie zgnilemu do szpiku kości mieszczańskiemu społeczeństwu, zawiązek nowej społeczności w rodzinie „spokojnych i pogodnych ateuszów“, złączonych z sobą węzłami niewypowiedzianej miłości“ i w jedną tylko wierzących trójcę: w „pracę, naukę i w płodność“. Kontrasty dwóch światów stanowią o budowie powieści, rozpadającej się naturalnie na satyrę i sielankę. Satyra ogarnia jaskrawem, krzyczącym światłem wszystkie warstwy towarzyskie, wśród których, w celach miłosierdzia, uwijać się musi ksiądz Froment, stwierdzając wszędzie zgniliznę egoizmu, stopniowanego w wyrazie od pospolitego filisterskiego sobkostwa, aż do intelektualnego samolubstwa, które na szczytach społecznych przybiera dekadencje pozy. Zola jest tu u siebie; znalazł się wśród krewniaków Rougonów i Macquartów i do tej drapieżnej zgrai spekulantów, giełdowiczów, aferzystów, parlamentaryuszów, kabotynów i komedyantek, udzielających sobie wzajemnie gangreny moralnej w kombinacjach obłudy, wyzysku, rozpusty, cynizmu, może stosować ulubione swoje sposoby symbolicznych wyolbrzymień i grubego patosu. Że naturalista nie żałował sobie barw z tej palety, temu nikt dziwić się nie będzie; niespodzianką natomiast jest konkluzja, wydobyta z obrazu przez „filozofa“: że miłosierdzie przeżyło się, że skoro, mimo setek instytucji filantropijnych, otaczających opieką niedołęstwo, starość i kalectwo, dbających coraz troskliwiej o dolę niezdolnego do pracy robotnika, egoizm nie dopuszcza do zagojenia wszystkich ran społecznych

tedy miłosierdzie należy uważać za ostatnie tchnienie konającego chrześcijaństwa.

Bo chrześcijaństwo kona, skonało, — zapewnia nas Emil Zola, wielkim głosem Nietzscheisty, stwierdzając trzecie już z kolei bankructwo. „Ewangelia, zamknąwszy swą naukę w granicach czasu i miejsca, tak od nas odległych, nie może mieć pretensji do narzucenia swoich zasad społeczeństwom wszystkich czasów. Chrystus jest burzycielem wszelkiego porządku, wszelkiej pracy, wszelkiego życia; spouiewierał kobietę, ziemię, naturę, wieczystą płodność stworzeń; religia jego, ze straszonym pesymizmem grzechu pierworodnego, podtrzymującym dziedziczność win, jest religią despotyzmu i śmierci. Dość mamy chrześcijaństwa i jego bajki o rajn, którą ludzili się dotąd biedacy. Czas już żeby zasługi każdego wynagradzane były tu na ziemi (o karach za winy milczy się dyskretnie); czas żeby wieczyste życie stało się bóstwem dobroczynnym: żeby kobieta płodna odżyła cześć jej należną i żeby niedorzeczna zmora piekła ustąpiła miejsca gloryi natury, nieustającej w pracy ciągłego porodu.“ — Co powiedziawszy, autor nowej religii rozgrzesza swego bohatera z jego apostazji, przebiera go w emancypacyjną marynarkę i rewolucyjne spodnie, sadowi na rowerze w towarzystwie młodej „spokojnej, pogodnej ateuszki“ i daje obojgu błogosławieństwo na miłość, niekrepowaną żadnymi formami, co do której ksiądz Froment miał już widocznie wyrobione poniekąd pojęcie, skoro byliśmy świadkami, jak w Lourdes pobłogosławił spotkaną przypadkiem na korytarzu hotelowym mężatkę, wychodzącą z numeru, gdzie rok rocznie w dniach pielgrzymki do świętego miejsca zamykała się ze swoim kochankiem.

Trzebaż wdawać się w wykazywanie śmieszności tego katechizmu „nowej religii“, w którym zakamieniały determinista, — że to już tylko podkreślimy — wyrzuca Chrystusowi pesymizm grzechu pierworodnego? Krytyka i dyskusja w tej materji nie do nas należy; naszym zadaniem może być chyba tylko ogólna charakterystyka zarówno filozofii, jak filozofa — a ta w krótkich zawrze się wyrazach: zupełna u Zoli niezdolność odczucia kultury, zagłębiającej się daleką perspektywą w odległości historyczne. Chrześcijaństwo, jako czynnik cywilizacyjny, który tworzył dzieje, był tak niedostępnym dla Zoli, jak niezrozumiałą była dlań idea starożytności, dusza średniowieczna, ideały Odrodzenia, rola papiestwa, i wszystko, co stuleciami składało się na wszechświatową kulturę. Ten filister o krótkowzrocznym spojrzeniu, utkwionem uparcie w terażniejszość, ten umysł ciasny, z największą trudnością wydostający się poza granice najbliższej, dotykanej rzeczywistości i stojący bezradnie wobec każdej oderwanej

myśli, przypomina w zetknięciu z objawami duchowego życia, p. Homais z jego aptekarską analizą moralnych pierwiastków cywilizacji. Jak zaś dalece brakuje Zoli syntetycznego zmysłu wszędzie, gdzie mu dotykalna powszedniość nie daje bezpiecznej, faktycznej podstawy, świadczy banalność symbolów dodatnich, nie z krytyki, lecz z twórczości zrodzonych. Przypatrzmy się tylko, jak wygląda bóstwo „nowej religii“, wiedza, w symbolicznych obrazach. Uczeń i cześć Klaudjusza Bernarda, który genialnym rzutem oka umiał wdziierać się w hipotetyczne sfery, nosabia całą wiedzę najprzód w archiwisście, porządkującym akta dziedziczności, potem w chemiku, fabrykującym materje wybuchowe. Około jednego i drugiego jedna i ta sama ciasnota widnokręgów, ten sam mieszczański utylitaryzm i ta sama mdła, bezbarwna, banalna „sielanka“. Idyllę doktora Pascala znamy; nad eklogą w rodzinie „spokojnych ateuszów“ nie zatrzymamy się dłużej, bo rozszerzoną, rozwodnioną znajdziemy w dwóch ewangeliach: w „Płodności“ i w „Pracy“.

V.

W ostatnich rozdziałach „Paryża“, Marya, żona Piotra Froment (pobrali się na bicyklach), stojąc na wzgórzu Montmartre, podnosi w obu rękach gestem entuzjastycznym syna swego i ofiaruje go miastu, „inicytorowi, cywilizatorowi, oswobodzicielowi ludów“, grodowi, „w którym posiew światła dojrzewa w przyszły plon postępu“.

— Patrz, Janie! patrz, dzieckol — mówi do chłopca, — to ty zbierzesz to wszystko i zwieziesz do stodoły.

Jan miał być bohaterem „Sprawiedliwości“, i ziścić to marzenie, rozpoczynając erę powszechnej między ludźmi solidarności. Ale w pochodzie swoim po przez wieki ludzkość przebywa pierwaj trzy jeszcze etapy: rodzinę, społeczeństwo i ojczyznę. O tem pamiętając, dał Zola Piotrowi trzech jeszcze po Janie synów: Mateusza, Łukasza i Marka. Łukasz w „Pracy“, Marek w „Prawdzie“, głoszą każdy swoją ewangelię, pierwszy społeczeństwa, drugi ojczyzny, zanim pierwotny Piotra zakończy w „Sprawiedliwości“ tetralogię, której początkowe ogniwo, „Płodność“, ma za przedmiot rodzinę.

Zola nazwał to naczelne ogniwo „pierwszą pieśnią poematu“. Poemat!.. Czemu nie?.. gdyby wzlot poety w przyszłość, obraz wymarzo-

nego raju, który nowa religia stworzy na tej ziemi, miał coś z poezją wspólnego. Ale wiemy przecie z kim mamy do czynienia: ani ta wycieczka nie jest wzlotem, autor bowiem wraz z bohaterami „Pracy“ siada po prostu do wagonu elektrycznego i, jak właściciel urzędowego własnym przemysłem majątku, zwiedza ów Eden, gdzie wszystkim, nawet duszami, rządzi elektryczność: ani Zola jest poetą jutrzejszych ideałów, bo, podobnie jak wobec horyzontów tego, co było, wyobraźnia jego przestaje być twórczą u progu widnokręgów tego, co będzie; wreszcie kraina, w którą się zapędził, nie jest przyszłością, bo tuż obok jesteśmy w trzęsawisku ohydnej teraźniejszości, mięszającej wszelkie kombinacye czasu i przestrzeni. Może korzystać z tego naturalistyczny romansopisarz, lubiący teatralne przeciwstawienia, ale poeta, a zwłaszcza „filozof“, bardzo nieszczególnie w oświetleniu tych efektów wygląda.

Skąd się biorą wszystkie te pogodne „sielanki“, sąsiadujące bezpośrednio z temi krwawemi satyrami; jaką siłą przerwana została dla jednych posepna nić determinizmu, oplątująca o miedzę innych swemi tragicznemi splotami; gdzie źródło występującej odrazu wolnej woli jednostki, przed którą, ni stąd ni zowąd, pierzchła niewola „dziedziczności“? Jaka potęga wytwarza na oceanie występków, zbrodni, Zła, odosobnione jakieś wysepki cnót, szlachetności, Dobra? Czy doktryna Rousseau'a o przyrodzonej dobroci natury ludzkiej, znieprawionej fałszywą cywilizacją? Ależ cała twórczość Zoli zaprzeczyła tej doktrynie, obciążywszy ową naturę klątwą dzikiej, drapieżnej zwierzęcości. Więc siła moralna? Może... ale jaki jej początek, w imię czego działa i dlaczego nie działała w cyklu Rougon-Macquartów, a zaczyna działać w cyklu „Trzech miast“ i w ewangelicznej trylogii, skoro obie te ostatnie serye mają wspólny z pierwszą grunt „historyi naturalnej“ człowieka?

Na wszystkie te pytania, kompromitujące jego filozofię społeczną, odpowiada Zola obrazami, które tem mniej mogą czegokolwiek dowieść, że są nad wyraz blade, że je autor oprawił w symbole, niczem już nie różniące się od szablonów. Wystawmy sobie „romanse przyszłości“ Bellamy'ego, skombinowane z „romansami naukowemi“ Juliusza Verne'a, a będziemy mieli pojęcie o ideałach nowoczesnych ewangelistów. Najwięcej realnego gruntu ma z natury rzeczy ewangelia płodności. Wyobraźnia autora znajduje się tu, oczywiście, w swoim żywiole; z jednej strony przerabia w powiększającym przyrządzie imaginacyi aktualną klęskę Francyi, bezpłodność kobiet, uplastyczniając, bez żadnej osłony, przyczyny tego groźnego objawu, w scenach, których dekoracye zmieniają się ustawicznie, od wytwornych sypialni zacząwszy, skończywszy na norach, gdzie odby-

wa się dzieciobójcza praktyka; z drugiej, lubuje się widokiem rodziny, normalnie powiększającej się co parę lat, dzięki „wstydlivej zmysłowości“ kobiety i „świętemu płomieniowi żądz“ mężczyzny, i rozwiniętej w nowe drzewo genealogiczne, którego nie toczy już (nie wiadomo zresztą, dla czego) robak dziedziczości. Liryzm tych zachwyków, przypominający chwilami bramińską Kama-Soutrę Indusów i przeplatany zwycięskimi argumentami przeciwko teorii Malthusa, dawno już zwyciężonej, wypełnia książkę, utrzymującą czytelnika jeszcze jako tako w zetknięciu ze światem rzeczywistym.

Inaczej z „Pracą“. Tu satyryczny rozpęd zatrzymać się musiał dość prędko na ruinach kapitalizmu, który zburzył w tragicznej katastrofie, grzebiąc pod materyalnemi i moralnemi gruzami typ mieszczańskiej, zdeprawowanej rodziny, wraz z dotychczasową, na wyzysku opartą, organizacją pracy. I od tej chwili zabrakło już dla analizy materiału, a przyszła kolej na twórczość, ta zaś miała na usługi tylko dyletantyzm ekonomiczny i przyrodniczy, śpiewający w tonie roztkliwionego optymizmu hymn na cześć elektryczności, która reguluje wszystkie stosunki, znosi odległości zarówno między rzeczami jak i między ludźmi, i jako wszechpotężny motor porusza fizyczny i duchowy organizm nowożytnego falansteru. Wszystkie złe skłonności człowieka wypalił bez śladu ten dobroczynny żarowy płomień; wszystkie ciemne strony natury ludzkiej rozproszyły się, niewiadomo dokąd, w zetknięciu z tem błogosławionem światłem. Promienie słoneczne w dzień, a lampy łukowe w nocy rozlewają o każdej porze jasność nieustannej pogody nad tym błogo uśmiechniętym światem, przygasając dyskretnie wtedy tylko, gdy półcień pobłażliwy, lub półmrok usłużny stają się współnikami innych elektrycznych prądów, kojarzących młode pary. Wtedy, wśród gęstych szpalerów rozległego parku, otaczającego olbrzymie królestwo metalurgii, słychać ciche nawoływania, szepty stłumione i namiętne pocałunki. Nie lękajmy się... mema tam już kobiety z obliczem Cyrcei i Meduzy, zamieniającej zakochanych w trzodę chlewną, lub w głazy bez czucia; mema mężczyzny, szukającego odbicia nieba w kałużach rozpusty—jest miłość wolna, wolną tworząca rodzinę, która, opłotłszy familiami węzłami cały ten fabryczny mikrokosmos, stanie się w dalszym swoim rozroście solidarnem społeczeństwem, zwartą ojczyzną i zbrataną ludzkością.

Każdy ma prawo tworzyć utopie; czy jednak mógł z tego prawa korzystać w „Czterech ewangeliach“ historyk Rongon-Macquartów; czy mógł czego innego, prócz uśmiechu sceptycyzmu, spodziewać się od czytelnika prorok przyszłości, snujący optymistyczne marzenia z tego samego motowidła, które mu dostarczało pesymistycz

nej przędzy; czy nie musiał się spotkać z zapytaniem: „a gdzież-to jest ten tajemniczy warsztat, w którym przerobiła się do gruntu natura ludzka, i dlaczego nie pokazano go nam nigdzie?”.

To zapytanie, a zwłaszcza ten uśmiech, mają swoją dojmującą ironię i wyrażają poniekąd wrażenie, jakiego się doznaje dzisiaj wobec całości dzieł Emila Zoli. Czytelnik, czując się między dwoma symbolami wynaturzenia, na białą i na czarno, odwraca się z nieufnością od człowieka dobrego, który mu tylko przypomina słowa protestującej młodzieży o „retorycznych pajacach”, a skłania się ku człowiekowi złemu, bo mu jego retoryka silniej na zmysły, na nerwy działała. Nie wierzy zresztą ani w jednego, ani w drugiego — i jakże ma wierzyć, skoro ukochana towarzyszką naturalizmu, za przykładem żony Lantiera, zawołała w końcu głosem Nemezydy:

— Coś ze mną zrobił, ty, któremu z takim oddaniem się służyłam? Nie umiesz już nawet patrzeć na mnie i wykrzywiasz mi oblicze własnymi grymasami. Nie chcę cię znać więcej.

I odeszła.

Tą towarzyszką była Prawda.

VI.

A Sprawiedliwość?

Ta zapewne powie:

Temperament, przez którego pryzmat Zola patrzył i tworzył, — to był jego talent. A ten talent dla tego tak głębokie piętno wyrył na współczesnej literaturze, dla tego tak imponował nawet przeciwnikom swoim, że przyszedł na świat o właściwej godzinie, że pisarz, więcej jeszcze od własnych bohaterów, był wytworem swego środowiska, a nadewszystko, że stanął na tym samym co jego pokolenie poziomie umysłowym i moralnym. Wydatne tej doby indywidualności, jak Taine, Renan, unosiły się szerokimi wzlotami ponad swoją generacją; Zola był jej rzecznikiem od dnia powszedniego i reprezentował w powieści z wytrwałością pracowitego mieszczanina filozofię życiową swego otoczenia, które nazywało się „pozytywnem” dla tego, że było materialistycznym i krótkowidzącym, któremu się zdawało, że może bezkarnie przeczyć wszystkiemu, co nie podpada pod zmysły; które ideały swoje umieściło bardzo blisko, bardzo nisko, tuż pod ręką; które, odrzuciwszy mnóstwo zagadnień, było silnie przeko-

nane, że je rozwiązało. W takiej wyrosłszy atmosferze społecznej, w której unosiły się atomy materializmu naukowego, wniósł Zola do romansu naturalistycznego swój niezwykły istotnie temperament. Nerwowy, jak Goncourtowie, pierwsi heroldowie hasła „dokumentów ludzkich“; burzliwy i namiętny, jak Balzac; obdarzony, jak Flaubert, wielkim darem uplastyczniania świata zewnętrznego; podniecany, jak Wiktor Hugo, manią egzaltowania wszystkiego,—stał się, on, epigon naturalizmu, nominalnym jego prawodawcą. I gdy inni samorzutnie szli za własnym instyngtem i za przyrodzoną swoją w malowidłach realistycznych fantazyą, Zola usadowił się solidnie na zasadach racjonalnych, które, popychany ciasną i upartą logiką, do ostatecznych granic doprowadził. I dla tego, nie zapoczątkowawszy nic nowego mógł być uznany za przywódcę szkoły, datującej właściwie od Balzaca i Flauberta; mógł jej nawet swoją formułę narzucić.

Formułę znamy; wiemy, że minęła wraz z generacją, której była wyrazem. Dziś można-by ją chyba odwrócić dla oceny tego, co stworzyła. „Krytyka—to sąd o dziele sztuki, wypowiedziany pod działaniem temperamentu czytającego“. Na takiej parafrazy formuły Zoli wyszedł-by najgorzej sam Zola, gdyby nie to, co ponad sądami zmieniających się w szeregu pokoleń „temperamentów“ pozostało w literaturze po nawałnicy jego talentu.

Bo to była nawałnica. Powiedział ktoś o Zoli, że jest, w innem znaczeniu niż Dumas starszy, „siłą żywiołową“. Odróżnienie konieczne—Dumas tworzył, Zola burzył—ale odróżnienie nie wyłącza poezyi, objawiającej się przecie i w elementarnej potędze zniszczenia. Burzył jako krytyk, polemista, burzył jako historyk, filozof społeczny i powieściopisarz; niszcząc jednak ujmował obrazy zniszczenia w syntezę, która jest jego poezyą.

Z „gleby demokracji“ wchłonął w siebie i tchnął w literaturę formuły demokratyczne, począwszy od środowiska, skończywszy na duszy swoich bohaterów. Już samo pojęcie środowiska, warunkującego czyny jednostki, spycha ją prawie na dalsze plany i nie pozwala jej na arystokrację psychologii, podnoszącej głowę ponad gromadę otoczenia. Już samo pojęcie „zwierzęcia ludzkiego“ w człowieku, niwelujące różnice Psychy w osobnikach pod jeden materialny strychulec, wyraża zasadę równości wobec zoologii. Odczuwał też Zola wrażliwiej życie mas nieosobistych, niż życie jednostki; stąd w plastyce tego życia coś masywnego, a w jego ruchach coś ciężkiego, druzgoczącego. Indywidua żyją tam z całą energią wtedy tylko, kiedy bodźcami swej natury zbliżają się do tłumów niepoczytalnych; im wyżej zaś oddalają się od nich po szczeblach drabiny społecznej, im bardziej komplikuje się w nich mechanizm intelektualny i moralny, tem męt-

niejsze stają się ich rysy osobnicze, rozplynięte w zbiorowych symbolach całych warstw. Istny syn rasy łacińskiej, dawał Zola swoim bohaterom jedną wyłączną namiętność, oddając ich na pastwę ślepych sił i zewnętrznych czynników. Psychologia Zoli zstępuje nie do duszy indywidualnej, lecz w odmet instynktów, i podobna jest do muzyki Wagnera, odbierającej najszlachetniejszemu instrumentowi, głosowi ludzkiemu, jego arystokratyczne znaczenie, ażeby go wpleść do orkiestry, — i dlatego tak jest u siebie w środowiskach, gdzie ludzkość objawia się w stanie pierwotnym, prawie chaotycznym, przerzucając się w żywiołowych rozpędach od dzikości do bohaterstwa; dlatego takie niezapomniane wrażenie wywierają ludowe epizody zamachu stanu w Plassans (*La fortune des Rougon*); dla tego arcydziełem literatury powszechnej zostanie „Germinal“, a „Pogrom“ będzie na zawsze typowym tworem wielkiego talentu Zoli.

Typowym — bo jest jakaś przygniatająca analogia między tragicznym przedmiotem tego tworu, a naturą tego talentu; bo w żadnym ze swoich dzieł nie stanął Zola na tak wysokim szczyble artyzmu, nigdzie nie jest takim Homerem rozkładu, i nigdy tak uparcie, jak przy czytaniu tej wstrząsającej książki, nie narzuca się zapytanie: czy życie, zapatrzone w literaturę, nie tworzy dalszego ciągu Rougon-Macquartów?

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Próbną pomoc lekarską dla ludu w gub. Płockiej.

Podstawowym czynnikiem bytu i rozwoju społeczeństw jest niezaprzeczenie zdrowotność mas narodowych. To też od zamierzchłych czasów była ona przedmiotem szczególniejszej pieczy prawodawców. W mistycznej mądrości kapłanów egipskich nie brak przepisów higieny, a prawodawstwo Mojżesza nawskroś jest niemi przesiąknięte. Świątowladny Rzym obłócił w ciało mądrość leczniczą Wschodu przez będące po dziś dzień przedmiotem podziwu urządzenia wodociągowe i kąpiele ludowe, na jakie nie zdobyło się nawet żadne ze społeczeństw współczesnych.

Z postępowaniem wiedzy i rozwojem stosunków międzynarodowych, sfera higieny publicznej rozszerzała się coraz bardziej, zagarniając pod swą pieczę i władzę coraz to nowe dziedziny życia społecznego. Przepisy kwarantannowe, kontrola produktów spożywczych i przetworów przemysłu, przepisy o urządzeniach higienicznych miast, zakładów fabrycznych i szkół, aż do ochronnego szczepienia ospy najwymowniej świadczą o nieprzerwanym postępie i zabiegach celem utrzymania zdrowotności ogółu.

Wszystkie te tak różnolite zabiegi mają jednak wspólną cechę znamiennej, iż są natury czysto zapobiegawczej. — Inicytywa społeczna poza te szranki przekraczała do ostatnich paru dziesiątków lat niechętnie i tylko w wyjątkowych wypadkach, to jest podczas wybuchów chorób epidemicznych, a i w tych nawet razach, właściwie powiedziawszy, tylko rozszerzała czasowo sferę opieki lekarskiej nad zdrowiem ludności niezamożnej.

Zabiegi natury leczniczej społeczeństwa do ostatnich czasów pozostawiały nie tylko inicytywie, lecz i środkom osób zainteresowanych. Szpitalnictwo, służąc przeważnie potrzebom biednych, nie narusza tej zasady, należąc z przeznaczenia swego bardziej do sfery instytucji dobroczynnych, niż do urządzeń zdrowotności publicznej.

Taki stan sprawy musiał jednak ulegz kardynalnym zmianom wobec przeistoczenia się w ciągu XIX wieku stosunków społecznych. Uwłaszczenie włościan i swoboda posiadania łącznie ze swobodą profesyi, oraz olbrzymi postęp w technice przemysłowej są to czynniki, które zróżniczkowały społeczeństwa cywilizowane na dwie klasy: posiadaczy i pozbawionych własności, robotników.—Materiałny byt sfer roboczych zawisł przede wszystkim od ich zdolności do pracy a ta ostatnia, *ceteris paribus*, głównie od zdrowia. Zarobki sfer roboczych wahają się stale około kosztów codziennego utrzymania, pozwalając ledwie na drobne oszczędności. Tak więc w razie losowych wypadków i dłuższej choroby powodującej nawet tylko przejściową niezdolność do pracy, koszty utrzymania sfer roboczych w całości musiały zaciążyć na budżecie ogółu, pod grozą masowego w przeciwnym razie zwiększenia proletaryatu. O wysokości tych ciężarów zrazu nie miano nawet przybliżonego pojęcia dla braku dat statystycznych.—Dopiero państwowe ubezpieczenie w Niemczech rzuciło na tę sprawę należyte światło, oceniwszy, na mocy realnych dat, zaczerpniętych ze swej statystyki, straty klas pracujących w Niemczech z powodu chorób w r. 1894 na 1 miliard marek.—Naturalnie, że tak olbrzymie straty nie mogły przejść bez śladu. Wobec braku wszelkich zasobów, wielu pracowników skutkiem dłuższej choroby musiało z konieczności upaść i pomimo woli zrekrutować się w szeregi proletaryatu, utrzymywanego kosztem ogółu.—Zjawisko to stale powtarza się we wszystkich społeczeństwach zachodnich, występując jaskrawo zwłaszcza w większych ogniskach pracy. Wzrastające szybko masy proletaryatu dały pochop do krańcowej krytyki obecnego ukształtowania stosunków warstw społecznych pod względem ekonomicznym, trzeźwo zaś patrzących mężów stanu skłoniło do przedsięwzięcia środków zaradczych.

Zasługa inicjatywy państwowej w pieczy o zabezpieczenie klas pracujących bezprzecznie należy się Niemcom, gdzie, począwszy od 1883 r., w drodze ustawodawczej wprowadzone zostały instytucje ubezpieczenia sfer roboczych w razie choroby, w nieszczęśliwych wypadkach, oraz w razie stałej niezdolności do pracy czyli inwalidyzmu i starości.

Chociaż prawodawstwo niemieckie bynajmniej nie przedstawia jeszcze całości zakończonej, pomimo to rezultaty już osiągnięte przedstawiają się imponująco. — Nie możemy dłużej zatrzymać się nad temi rachubami, żeby jednak dać pojęcie o ich doniosłości, przytaczamy liczby odnośnych wydatków:

	Marek
Ubezpieczenie na wypadek choroby od 1885 do 1899 włącznie	1,494,000,000
Ubezpieczenie w nieszczęśliwych wypadkach w tymże okresie czasu	517,500,000
Ubezpieczenia na wypadek trwałej niezdolności do pracy i w starości od 1891 do 1899 r. włącznie . . .	402,300,000

Dodajemy nadto, że obecnie, dzięki tym 3 rodzajom ubezpieczeń, klasy robocze w Niemczech otrzymują dziennie milion marek odszkodowania.

Mimo to, normy odszkodowania, udzielanego przez instytucje ubezpieczenia państwowego w Niemczech, w wypadkach nieszczęśliwych, są ledwie dostateczne, a renty dla niezdolnych do pracy stoją daleko niżej rzeczywistych potrzeb, nawet według opinii sfer rządowych.

Jeżeli zatem, mimo wydatków rocznych, wynoszących setki milionów, sfery robocze nie są dostatecznie zabezpieczone w Niemczech, jakżé ogrom nieszczęścia spada na nie w tych społeczeństwach, gdzie instytucje zabezpieczenia wcale nie istnieją lub też znajdują się ledwie w okresie początkowym. Prostem i nieodzownym skutkiem takiego stanu rzeczy jest szybki i stały wzrost proletaryatu. Trzeźwy rozum stanu nakazuje zapobiegać wszelkimi sposobami temu groźnemu objawowi.

Przechodząc na grunt naszych krajowych stosunków, pod względem higieny ludowej prawdziwie opłakanych, należało oczekiwać, że inicjatywa urzędów pomocy lekarskiej dla ludu w Płockiem, podjęta w r. 1896 przez b. gubernatora płockiego, r. t. Janowicza, czyniąc zadość realnym potrzebom, spotka jak najgorętsze przyjęcie.

W Królestwie pomoc społeczna dla chorych do wprowadzenia w życie projektu r. t. Janowicza ograniczała się do:

1) Szpitali i ambulatoryów, podlegających radom dobroczynności publicznej.

2) Opieki lekarskiej dla robotników fabrycznych, udzielanej kosztem pracodawców, na mocy ustawy przemysłowej z dnia 3 (15) czerwca 1886 r. i noweli z dnia 8 (20) czerwca 1893 r.

3) Ubezpieczenia na wypadek choroby robotników według zasad ustawy z d. 27 stycznia 1895 r.

Te środki ochronne dla klas pracujących są ledwie początkiem właściwej organizacyi pomocy, tembardziej, że szpitalnictwo prawie w całości należy zaliczyć do instytucyi dobroczynnych. Nadto nie-

zapominajmy, iż powyższe zarządzenia państwowe dotyczą tylko sfer roboczych przemysłowych, masa zaś bezrolnej ludności wiejskiej, przenoszącej obecnie u nas milion ludzi, pozostawała dotychczas bez wszelkiego uwzględnienia.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że gub. Płocka w Królestwie zajmuje naczelnie miejsce pod względem ludności bezrolnej (około 20% ogółu ludności wiejskiej), pod względem zaś produkcji przemysłowej — ostatnie, to niewątpliwie organizacja pomocy lekarskiej najpilniejszą potrzebą była dla Płockiego i z góry zapewnione miała warunki powodzenia.

Mimo wszelkich sprzyjających okoliczności, wprowadzona przez rząd sposobem próby w końcu r. 1898 pomoc lekarska w Płockiem, po dwuletnim istnieniu spotkała się z surową krytyką nawet sfer rządowych i jako taka uznana została za wadliwą. — Gdyby pomoc lekarska w Płockiem była jedynie organizacją filantropijną, to i w tym razie, ze względów humanitarnych, należało-by fakt nieudania się jej poddać zbadaniu i po wyjaśnieniu wad starać się je co rychlej usunąć. — Zważniny jednak, że z powyżej przytoczonych względów pomoc lekarska w Płockiem bynajmniej nie może być zaliczona w poczet urządzeń filantropijnych, lecz wręcz przeciwnie, stanowi konieczność społeczną i jako taka winna być, po wszechstronnem zbadaniu, poddana gruntownej reformie celem przystosowania jej organizacyi do realnych stosunków i potrzeb miejscowych. — Kierując się jedynie temi poglądami, rozpatrzmy zasady organizacyi pomocy płockiej i postaramy się poddać ją, sine ira et studio, ocenie tak z punktu widzenia ekonomiki państwowej, jak i ściśle miejscowych potrzeb.

Najszerzej pomyślana pomoc lekarska istnieje w Niemczech. Objęła ona 9,230,000 pracowników, zapewniając im w ciągu 13 tygodni choroby bezpłatną poradę lekarską, środki lecznicze, oraz zasiłek pieniężny w stosunku $\frac{1}{2}$ zwykłego zarobku, lub też w pewnych razach kuracyi w domach zdrowia i $\frac{1}{4}$ zarobku na rzecz rodziny, utrzymywanej przez chorego. — Pomijając zasiłki pieniężne, jedynie koszty lecznicze wynoszą w Niemczech na ubezpieczonego 7 marek czyli 3 rb. Dodajmy, że z bezpłatnej rady lekarskiej wyłączono tam zupełnie rodziny ubezpieczonych, oraz, że po 13 tygodniowym okresie ciężar kuracyi ponosi sam zainteresowany lub też instytucye ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków i inwalidyzmu.

Gdy pomoc lekarska w Niemczech, kierując się względami ekonomiki, ściśle zakreśliła sferę swej działalności, nie przekraczając granic nieodzownych potrzeb, pomoc płocka, wręcz przeciwnie, postawiła sobie za zadanie udzielanie każdemu bez wyjątku mieszkańcowi gubernii:

- 1) Bezpłatnej porady lekarskiej w ambulatoriach i w domu u chorych.
- 2) Bezpłatnego leczenia w szpitalach.
- 3) Środków leczniczych za opłatą 10 kop., bez względu na koszt.

Widzimy więc, że płocka pomoc objęła pod swą pieczę ogół ludności na cały przeciąg choroby; w Niemczech państwowa pomoc stosuje się tylko do $\frac{1}{6}$ ogółu zaludnienia, dotycząc jedynie pracowników, którzy zarabiają nie wyżej nad 2,000 marek rocznie z ograniczeniem pomocy do 13 tygodni.

Czy takie rozszerzenie sfery pomocy mogło spowodować zmniejszenie przeciętnych kosztów? — Bynajmniej. — Należy to do abecadła statystyki sanitarnej, że najczęstotliwszym i najdłuższym zachorowaniami ulegają: wiek dziecięcy i starczy, — oba wyłączone z ubezpieczenia niemieckiego.

Angielskie źródła określają okres trwania choroby podług Neisona:

W wieku 20 — 30 lat	8.4 tygodnia
„ 30 — 40 „	10.6 „
„ 40 — 50 „	15.5 „
„ 50 — 60 „	27.8 „
„ 60 — 70 „	64.4 „

W Niemczech wskutek tego, że do ubezpieczenia należą tylko osoby w sile wieku i pomoc trwa tylko do 13 tygodni, okres choroby średnio w ciągu 11 lat wynosi 2.35 tygodni rocznie.

Z powyższych dat widzimy, że średni roczny koszt pomocy lekarskiej, w Niemczech wynoszący 3 ruble na osobę, dla płockiego urzędnika okazał-by się stanowczo zbyt szczupłym. Gdyby jednak poprzestać na tej normie, to przy ludności 692,687 na gub. Płocką spadły-by koszty lecznicze w sumie przeszło 2 milionów rubli rocznie, wobec ciężarów państwowych, miejskich i gminnych wynoszących ogółem 1,220,000 rubli. — Tak więc widoczna, że, wobec rozszerzenia nadmiernego zakresu, pokryć kosztów pomocy lekarskiej dla Płockiego utartą drogą podwyższonego opodatkowania niepodobna. — W Niemczech, nawet wobec daleko skromniejszych rozmiarów pomocy — na środki składają się jedynie sfery bezpośrednio zainteresowane, tj. robotnicy i pracodawcy.

Nie kierowano się tam względami filantropii, lecz konieczności i sprawiedliwości społecznej. Te czynniki jedynie umożliwiają rocz-

ny ciężar zabezpieczenia na wypadek choroby w sumie 166 mil. marek. Na dwie trzecie tej sumy składają się sfery robocze—pozostałą zaś $\frac{1}{3}$ kosztów ponoszą pracodawcy.

Płocka pomoc, pominąwszy zasadę wzajemności jedynie możliwą, chciała w całości oprzeć swój byt na ogólnem opodatkowaniu. — To jest geneza dysproporcji zamierzeń i środków. Naturalnie, że Rada Państwa, wychodząc z zasad ogólnej ekonomiki państwowej, mogła przychylić się tylko do nieznacznego podniesienia ciężarów podatkowych, tj. do podwyższenia o 5% pewnych ciężarów ogólnopństwowych dla własności ziemskiej i handlu i o 10% dla własności miejskiej. — Te źródła dały możność zamknąć budżet roczny pomocy sumą rubli 26,640, co wynosi niespełna 4 kop. na jednego mieszkańca gub. Płockiej.

Co za kolosalna różnica pomiędzy kosztem ograniczonej do 13 tygodni pomocy niemieckiej rb. 3 i płockiej, nie znającej żadnych ograniczeń—kop. 4 na głowę.

Projekt pomocy płockiej, jak widzimy, dopuścił się zasadniczego błędu, gdyż oparł rozwiązanie zagadnienia społecznego wielkiej doniosłości, z pominięciem zasad ekonomiki, na filantropii, kierującej się jedynie zasadami humanitaryzmu. — Niestety, gdyby to przewodnie hasła były w stanie coś więcej zdziałać nad zapobieżenie na razie złemu, mielibyśmy prawdziwy raj ziemski. — Tak jednak nie jest, nawet w tych społeczeństwach, które, jak naprzykład w Anglii, prócz dobrowolnych ofiar ponoszą stale ciężary gwoli uczuciom filantropii.

Zapewnić opiekę państwową całym klasom społecznym, bez ofiar materyalnych z ich strony, a jedynie kosztem pozostałych warstw społeczeństwa, niepodobna. Do takiej bezwzględnej opieki ma prawo tylko proletaryat, zaliczać zaś sfery pracujące masowo do proletaryatu nic nas nie upoważnia. — Taki ustrój społeczny nie mógł by istnieć, a nawet nie da się pomyśleć.

Po tych zasadniczych uwagach rozpatrzmy szczegóły organizacji pomocy lekarskiej w Płockiem.

Naturalnie, że rozporządzając sumą z góry określoną, należało przystosować się do tych ramek. Wobec tego zadanie opieki lekarskiej nad ogółem ludności (692,687) włożono na 8 lekarzy i tyluż felczerów i akuszerów — ogółem na 24 osoby, co wynosi 28,858 ludności na 1 osobę służby zdrowia. Nadto założono 8 szpitali o ogólnej liczbie 80 łóżek, co łącznie z istniejącymi szpitalami w Płockiem (7 szpitali o 189 łózkach) daje jedno łóżko na 2,200 osób. — Te liczby jeszcze dosadniej malują skrajną niedostateczność środków, niż zestawienie kosztów w Niemczech i w Płockiem. — W państwach zachodnich,

gdzie niema dotychczas obowiązkowej pomocy lekarskiej dla ogółu ludności, jeden lekarz wypada w Niemczech—na 2,102, we Francji—na 2,558, w Austrii—na 2,769 osób.—Niedostateczna ilość łóżek nie potrzebuje żadnych dowodów, ale, pominąwszy nawet tę kwestyę, należało-by życzyć, właśnie ze względów zdrowotności publicznej, nieurzędywistniania się projektu szpitali o 10 łózkach. Zapewne, takie szpitale były-by niemal ideałem, gdyby nie żelazna konieczność rachowania się z kosztem utrzymania łóżek, który znacznie wzrasta, w miarę zmniejszenia się ilości.—Płockie nie rozporządzało takimi funduszami, a prosty stąd skutek, że chorzy zmieniali w szpitalach jedni drugich nawet bez kąpieli, gdyż w szpitalach nie było wanien.—W takich warunkach szpital, zamiast być instytucją zdrowotności publicznej, staje się rozsądnikiem chorób zaraźliwych.

Na lekarzu pomocy ciężą obowiązki prowadzenia i zarządu szpitala o 10 łózkach, 2-krotnych tygodniowo wyjazdów na całą dobę w punkty odległej porady ambulatoryjnej; porady chorym przychodnim w miejscu zamieszkania; wyjazdów w miarę potrzeby do obłoznie chorych w promieniu co najmniej 10 wiorst; ścisłego nadzoru nad ekspedycją lekarstw, która odbywa się jedynie przy pomocy felczera, i udziału w ogólnych naradach w Płocku.—Podoleanie tylu zadaniom naraz należy wprost do dziedziny nieprawdopodobieństwa. Jak można prowadzić szpital wobec stałych wyjazdów na całe doby, w jaki sposób przy 20-wiorstowych odległościach punktów ambulatoryjnych udzielić porady w ciągu paru godzin przeszło 100 chorym (według urzędowego sprawozdania, aż do 105) i jednocześnie dopilnować ekspedycyi dla nich lekarstw, dokonywanej przez osoby niefachowe—nikt chyba nie rozwiąże tego zagadnienia. Właściwie zaś powiedziawszy, odpowiedź może być tylko jedna: ponieważ wszystkie te zabiegi ma skutecznie jeden lekarz, to, mimo najlepszych chęci, nieodwołalnie muszą one być pobieżne, czyli nieracjonalne, a w większości wypadków—istnieją tylko na papierze.

Że pomoc nie odpowiada swojemu zadaniu nawet w najszczerzej w najlepszym zakresie, nie jest to nasze osobiste zdanie. Sam twórca projektu, r. t. Janowicz, po 2-letniej próbie skierował do sfer miarodajnych memoriał, w którym obszernie uzasadnia nieodzowność podniesienia rocznego budżetu pomocy z 26,640 do 70,230 rubli, kończy zaś swój elaborat temi słowy: „W każdym razie stan sprawy przedstawia się tak, że, jeżeli obecna suma, wyznaczona na pomoc lekarską, nie będzie powiększona do wyżej wskazanych rozmiarów, to, dla braku środków, instytucye tejże pomocy nieodwołalnie należy zwinąć”.—Określenie aż nadto wymowne, lecz z wyżej przytoczonych względów niedostatecznie malujące położenie rzeczy.

Pomińmy sprawę funduszków, acz arcy ważną, lecz nie decydującą ostatecznie w danym razie.—Dotychczas nie poruszyliśmy wcale kwestyi ogólnej organizacyi pomocy.—W Niemczech, gdzie administracya działa z prawdziwie automatyczną ścisłością, pomimo to sfery rządzące przyznały, że zabezpieczenie pomocy lekarskiej niedozwornie należy zorganizować na zasadach wzajemności i zarząd tej organizacyi w całości powierzyć sferom zainteresowanym. Tylko w ten sposób uznano za możliwe osiągnięcie pożądaných rezultatów przy możliwej oszczędności. Szybkość i taniłość są to dwa warunki, bez których skuteczna pomoc dla chorych niezamożnych pozostanie raz na zawsze ułudną chimera.

Tak więc wszędzie wzorowa organizacya pomocy lekarskiej opiera się na współdziałaniu społeczeństwa z rządem, gdzie rola ogółu określona pracą i radą dodatnią, rząd zaś zastrzega sobie prawo zwierzchniego nadzoru nad należytem wykonaniem obowiązujących ustaw i ostateczne rozstrzygnięcie powstających kwestyi zasadniczych. W Cesarstwie sprawa pomocy lekarskiej, w ten sposób pojęta, spoczywa w rękach ziemstwa, to jest instytucyi samorządu. U nas, wobec innego ustroju władz, nie chodzi o wyłączność kierunku przez społeczeństwo, — próbną atoli pomoc lekarską, zorganizowaną tak, jak w gub. Płockiej rzecz tę podjęto, to jest wyłącznie przez organa administracyjne, jakeimi są rady dobroczynności publicznej, gubernialna i powiatowa — musiała, naturalnym biegiem rzeczy, okazać się niewystarczającą i nieopowiedną.

Przez to, iż stosunku ściślejszego ze społeczeństwem od założenia nie było, że ograniczono się ogłoszeniem ustawy w miejscowych „Gubernskich Wied.“, i roze łano jedynie do urzędów powiatowych i gminnych zawiadomienia odnośne, nie zainteresowano dostatecznie ogółu, który winien był przejąć się i współdziałać w tak ważnej a pilnej sprawie.

Bez powołania tego społeczeństwa w sprawie tak ważnej i w tak codziennej jego potrzebie, działalność organów administracyjnych nie uzyska tej skuteczności, o jaką wszystkim chodzi, i pozbawioną będzie istotnej treści, z wielką szkodą dla ogółu i państwa. Miejmy nadzieję, że niepomyślna próba pomocy lekarskiej w gub. Płockiej przekonanie o tem utwierdzi.

S. KRZECZKOWSKI.

NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA.

Bernhard Berenson: 1) *The Central Italian Painters of the Renaissance.*
2) *The Florentine Painters of the Renaissance. Second Edition revised. 1901.*

W żadnym może kierunku umysłowości angielskiej nie dokonał się przy końcu ubiegłego stulecia przełom tak stanowczy, jak w dziedzinie krytyki artystycznej. Pod wpływem Prerafaelitów z jednej, a teoretycznej i pedagogicznej działalności Ruskina z drugiej strony, pozbyła się sztuka angielska wielu cech swej rasowej odrębności, ale rozszerzył się jej horyzont i równocześnie rozbudził się w narodzie angielskim zapal do sztuki wogóle, mnożyć się zaczęły historyczne i krytyczne nad rozwojem sztuki badania, a zagadnienia estetyczne, ich właściwości i pobudki, coraz więcej zaprzatają umysły. Jeszcze lat kilka, a berło krytyki artystycznej, silną dłońią dzierżone dotąd przez Niemców, wrywane im od czasu do czasu przez Francuzów, przejdzie w ręce angielskich historyków sztuki. Obok znamionującej ich na równi z Niemcami ścisłości, wnoszą oni do artystycznej krytyki właściwy im dar obserwacji psychologicznej, obniżający się u niemieckich uczonych w miarę, jak zanika w ich narodzie trzeźwość w sądzeniu samych siebie, a teutońska buta, wdzierająca się nawet w najidealniejsze sfery myśli, nie pozwala odstąpić od pewnych, zakorzenionych uprzedzeń.

Objawem tego artystycznego sądu, opartego na historycznych badaniach z jednej, a psychologicznej obserwacji z drugiej strony, są prace Bernarda Berensona o malarzach włoskiego Odrodzenia.

Biorąc te książki do ręki, mimo woli nasuwa się wątpliwość, czy znajdzie się w nich coś nowego o szkołach i mistrzach, którym najpoważniejsi krytycy i historycy poświęcili długie i mozolne badania, o których napisano setki wyczerpujących monografii, większych i mniejszych rozpraw, o których rokrocznie ukazują się jeszcze artykuły w różnych literackich i naukowych miesięcznikach?

Istotnie, w tych dwóch małych książeczkach, z których jedna liczy właściwie tylko 95, a druga 129 stron (reszta odpada na spis obrazów i miejscowości, w których się one znajdują), nowych i nieznanych nie spotykamy szczegółów. A przecież te książki sprawiają niezwykle wrażenie. Czytając, oderwać się od nich trudno, skończywszy, otwiera się je znowu, i czuje się, że poruszają one szeregi myśli, w wielu z nas tkwiących, ale nieskrystalizowanych, że rzucają więcej światła na naturę wrażeń, wywołanych w nas przez dzieła mistrzów, o których mowa, niż niejedna z dokładnie opracowanych monografi.

W czem tajemnica uroku Rafaela, lub Leonarda, dlaczego do pewnych pokoleń i ludzi lepiej przemawia ten, niż tamten z mistrzów Odrodzenia; dlaczego niektórzy z nich narzucają się uwielbieniu wszystkich, dlaczego jedni są i pozostaną nieśmiertelnymi, choćby się nawet zmienił charakter naszej europejskiej kultury, a drudzy wydają się typami epoki już zamkniętej? To są pytania, żywiej nas może obchodzące, niż koleje życia i historyczny związek utworów największych nawet artystycznych geniuszów.

Prace Bernarda Berensona, jakieśmy to już powyżej zaznaczyli, napisane są z punktu widzenia czysto psychologicznego; ten punkt widzenia sprawia, że nie tylko tak żywo uprzytomniają nam odniesione osobiście artystyczne wrażenia, ale nadto poruszają mnóstwo doniosłych, z faktem artystycznego użycia powiązanych zagadnień.

Bernard Berenson zwraca już od lat kilku uwagę piękniemi i oryginalniemi pracami, jest on również autorem ciekawego szkicu o Lorenzu Lotto, oraz książki o malarzach weneckich, zdobnej w piękne fotografiury, która w krótkim czasie już trzeciego doczekała się wydania. Nigdzie jednak wyraźniej nie zarysowało się stanowisko angielskiego krytyka, nigdzie szerszego nie miał pola do rozwinięcia całokształtu swych artystyczno-psychologicznych poglądów, jak w tych dwóch pracach, z których zdajemy sprawę. Oddzielić jedną od drugiej niepodobna. Uzupełniają się one wzajemnie, tak, jak w rzeczywistości uzupełniały się owe dwie szkoły włoskie, do których się odnoszą, a z których jedna wydała Rafaela, druga z działalnością Michała Anioła kulminacyjnego dosięgnęła punktu.

Jaką w historii Odrodzenia malarze Włoch środkowych odegrali rolę, co ich od szkół innych, mianowicie od weneckiej i florenckiej, wyróżnia, co im nadaje pewną jednolitość typu, od Duccia począwszy, a skończywszy na Rafaelu, oto pytanie, od którego Berenson pracę swoją zaczyna. „Zdarzają się — mówi — między nimi malarze, obdarzeni żywym poczuciem kolorytu, jak Gentile da Fabriano,

Perugino, Rafael, są tacy jak Signorelli, którzy nie ustępują malarzom florenckim w rozwiązywaniu największych trudności kształtów i ruchów; ale, wzięci zbiorowo, nie zasłynęli oni w dziejach sztuki ani jako rysownicy, ani jako koloryści. Dzięki czemuż zajęli miejsce, jeżeli nie obok najpotężniejszych, to obok najpopularniejszych imion?“.

„Malarze Włoch środkowych—odpowiada w dalszym ciągu Berenson — są przede wszystkim znakomitymi i typowymi Ilustratorami“.

Ażeby tę definicyę autora ocenić, trzeba zrozumieć, jakie to w utworze sztuki plastycznej, a mianowicie w utworze malarskim, wyróżnia składniki. Wszelki obraz, uwidoczniony za pomocą linii i barw, ma bez względu na swoją artystyczną wartość i techniczne wykonanie to samo źródło, co wszelkie nasze pamięciowe obrazy: podrażnienie wyobraźni przez pewne zajścia, odbywające się w świecie zewnętrznym. Zdolność tworzenia obrazów posiada każdy umysł, ale posiada ją w rozmaitym stopniu: u jednych pamięciowe obrazy są zaledwie cieniem odczutyh na razie podrażnień, przyczem większa ich część zaciera się zupełnie; u drugich przybierają wyraźniejsze i trwalsze kształty; u innych wreszcie zdolność obrazowania jest tak wybitna, że po upływie dłuższego czasu, jakiś fakt, jakaś scena z tą samą przedstawia się im wyrazistością, jak kiedy ją odczuwali na razie. Z chwilą, gdy ta zdolność obrazowania uwidocznia się na zewnątrz za pomocą linii i barw, mamy przed sobą utwór malarski. Gdyby nie istniała zdolność pamięciowego obrazowania, nie mieli-byśmy zapewne sztuki, ale gdyby wszystkie umysły posiadały tę zdolność w jednakowo doskonałym stopniu, żaden obraz, utrwalony na zewnątrz, nie sprawiał-by im należytego zadowolenia. Obraz bowiem każdy, ze względu na swoją treść, tem głównie uczucie zadowolenia wywołuje, że wyobraźni naszej pewną pomoc, a zarazem i podnetę przynosi. Otóż wszystko to, co w utworze artystycznym pociąga nas i zajmuje ze względu na znaczenie swej treści, podciąga autor pod miano *I l l u s t r a c y i*. Na to jednak, ażeby utwór malarski wywarł na nas prawdziwie artystyczne wrażenie, innych potrzeba jeszcze składników. Oprócz zdolności odtwarzania pamięciowych obrazów, potrzeba tego, co bezpośrednio podnieca i zadawalnia naszą dotykową wyobraźnię (*our tactile imagination*), a co Berenson, w przeciwstawieniu do *Ilustracyi* nazwą *D e k o r a c y i* oznacza.

Ilustracyą są niezaprzeczenie ryciny, zdobiące szpalty czasopisma, ale Ilustracyą są także freski Rafaela, o ile nie weźmiemy pod uwagę różnicy, zachodzącej między jednym a drugim, pod względem

strony dekoracyjnej, to jest jego ściśle artystycznych wartości, ja-
kiemi są kształty, ruch, układ lub koloryty.

Ponieważ zdolność pamięciowego obrazowania objawia się u wszystkich ludzi i we wszystkich epokach, przeto oczywistą jest rzeczą, że nawet w tych okresach, które zatraciły, lub nie wyrobiły sobie jeszcze poczucia kształtów, ruchów, układu i t. d., nawet w czasach nizkiego wykształcenia technicznego, utwór malarski czynił za-
dość pewnym potrzebom wyobraźni. Podobnież i w epokach najbardziej rozwiniętego poczucia artystycznego znajdują się zawsze ludzie, którzy wartość obrazu upatrują w jego ilustracji, to jest w tem, co on nam za pomocą linii i barw wyraża. Z tego punktu widzenia wynika, że jeżeli który składnik w dziele sztuki ulegać może pewnym fluktuacyom pojęć, jeżeli który odzwierciedla ideały, różniące jedne pokolenie od drugiego, to tylko ilustracya. Strona dekoracyjna, przeciwnie, odpowiadająca pewnym stałym i niezmiennym wymaganiom wyobraźni dotykowej, pozostaje poza wszelką fluktuacją kursujących wyobrażeń. Obraz, odznaczający się prawdziwie artystyczną wartością, jakakolwiekby była treść jego, nie straci tej wartości, choćby nastąpiła epoka zboczenia smaku estetycznego, jak to działo się za czasów Carraccich, Gwido Renich i t. p.

Cóż więc znajdujemy w tych czasach, w których brak środków technicznych, brak odpowiedniej metody w traktowaniu kształtów i ruchów, nie dozwalał artystom wydoskonalić strony dekoracyjnej utworu, a nigdy nie ustająca w pracy swej wyobraźnia silila się głównie w kierunku uzmysłowienia sobie zajmujących ją ideałów? Oto widzimy, że w takich czasach wszystkie utwory malarstwa są przede-
wszystkiem ilustracyami. Jeżeli ilustrator obdarzony jest wyjątkową zdolnością pamięciowego obrazowania, jeżeli krążące wśród jego otoczenia pojęcia w jego umyśle, a następnie pod jego ręką wyraż-
niej i potężniej się odbijają; to, pomimo braków, zachodzących w czę-
ści dekoracyjnej jego utworów, ilustrator taki wywoła głębokie wra-
żenie i pozostanie zawsze ważnym, a nieraz i bardzo pociągającym wyrazem swej epoki.

Otóż cechą wybitną malarzów Włoch środkowych jest to, że są wszyscy przeważnie ilustratorami, nie przestaje bowiem być ilustratorem i tak genialny, jak Rafael, artysta, a to z tego powodu, że i dla niego celem wszystkich jego usiłowań jest wyrażenie tkwiącej w nim i jego otoczeniu idealnej treści.

Takim typowym, a do dziś dnia bardzo jeszcze pociągającym okazem ilustratora jest Duccio di Buoninsegna (1282 — 1339). Wszystko, czego wieki średnie żądały od malarza, to Duccio doskonale urzeczywistnia. Berenson przechodzi cały cykl jego obrazów, prze-

chowywanych dotąd w muzeum Sienneńskim. Zatrzymajmy się przed kilkoma z nich. Metaliczny ich blask, ich złoto, zlewające się z barwą zieloną, nadają im sztuczną wprawdzie, ale niezaprzeczoną cechę wspaniałości. A w oddaniu treści jakąż prostota, jasność i dokładność! Co więcej, scenom, które przedstawia, umie Duccio nadać całą tę wartość, całe to znaczenie, jakie w nich genialną wyobraźnią swoją odczuwa; umie w nich dopatrzeć się czegoś więcej ponadto, coby w nich zwykła wyobraźnia pochwyć zdołała, a tem samem działa na umysły podniecająco, „podnosi je do wysokości własnego umysłowego poziomu“. Oto mamy przed sobą Chrystusa Pana, przemawiającego do swych uczniów przed umyciem nóg. Staje przed nimi pełen majestatu, a oni patrzą na Niego tak, jak gdyby im się teraz dopiero w całym blasku swej doskonałości odsłonił. Zachwyt, wysilenie duszy, ażeby go pojąć, aby się dźwignąć ku niemu, wszystko tu uwydatnione i przeprowadzone przez całą skalę indywidualnej ekspresji. Idźmy dalej. Nastął dzień Zmartwychpowstania; jutrzeńka oblewa swem światłem ściany jaskini. Trzy Marye zbliżają się do grobu i zatrzymują, nagle olśnione widokiem Anioła. Tu już do dramatyczności wyrazów, do głębokości uczucia, do wspaniałości pomysłu, stanowiących główne zalety wielkiej ilustracji, przyłącza się czar oświetlenia. W zdradzie Judasza znajdujemy jeszcze inną zaletę, mianowicie rzadką zdolność artystycznego układu. Niekiedy schodzi Duccio z wyżyn dramatu i wsuwa nieznacznie wdzięczny, rodzajowy obrazek. A jednak, pomimo tych znakomitych zalet, dlaczego Duccio wydaje się raczej archeologicznym zabytkiem, dlaczego imię jego tak mało znane, podczas gdy współczesny jemu Giotto tak silnie przemawia do naszego artystycznego poczucia, a imię jego już od pięciuset lat nieśmiertelnym jaśnieje blaskiem? Posiadał widocznie Giotto jakiś talizman, jakiś sekret, do którego Duccio nie dotarł. Odpowiedź jest na to krótka: owym talizmanem nieśmiertelności jest *ż y c i e s a m o*, pulsujące w utworach Giotta. „Jeżeli—powiada Berenson—artysta potrafi zręcznie pochwyć ów pierwiastek życiowy i wcielić go w swoje utwory, natenczas może być pewnym, że dzieła jego żyć będą wiecznie. Ale owe życiodajne własności nie odnajdują się w samej treści obrazu, czyli w jego ilustracyjnym składniku, osiągnąć je można tylko przez właściwe oddanie kształtów, to jest wartości dotyków i ruchu“.

„Wyobraźmy sobie kogoś, przynoszącego nam jakąś nowinę, — tłumaczy obrazowo autor, — jakakolwiekby była osnowa jego poselstwa, jakiegokolwiek sprawiło-by nam ono na razie wrażenie, jeżeli ten, co nam go udzielił, prostym jest tylko posłańcem, myślimy o tem, co nam obwieścił, ale na niego i na sposób, w jaki to wyraził, nie zwracamy uwagi“.

camy nawet uwagi. Niech to jednak będzie interesująca i pociągająca osobistość, a niebawem wiadomość, jaką nam przyniósł, o tyle już ma tylko dla nas znaczenie, o ile się stała zawiazkiem naszej przyjacielskiej zażyłości. To samo dzieje się z nami i w stosunku do artystycznego utworu. Choćbyśmy dawno wyczerpali treść jego, jeżeli posiada wartości dotykowe, jeżeli w nim jest ów pierwiastek życiowy, nie przestaje nas swym urokiem pociągać, bo, podobnie jak zalety naszego przyjaciela, ma on dar potęgowania i podniecania w nas bezpośrednio objawów życia.

Otóż w utworach Duccia postać ludzka ma znaczenie, jako aktor w dramacie, jako szczegół w kompozycji, ale nigdy nie jest owym czynnikiem, podniecającym naszą wyobraźnię dotykową i poczucie ruchu. Jego ciała nie mają odporności, ani wagi — one nie ciężą i nie naciskają, gdy siedzą — pchnięte, możeby się rozwiały, jak cienie, draperye nie czynią nigdy wrażenia, jakoby żywe okrywały kształty. Jeżeli wyzyskuje nasuwające się mu kształty i ruchy, czyni to po dyletancku, nie zdając sobie sprawy z ich właściwej roli; nigdy same przez się nie są dla niego celem, ale środkiem do podniesienia ilustracji.

Nie jest to naszym zadaniem przejść w szczegółach rozwój sztuki Włoch środkowych; chcieliśmy tylko pokazać, w jaki sposób, wyszedłszy z psychologicznego założenia, doszedł Berenson do określenia malarzy tej szkoły, jako typowych ilustratorów. Zaznaczamy więc pobieżnie, że jeżeli w Ducciu przeważa poczucie uroczystości i dramatyczności, to Simone Martini, uczeń Duccia, celuje pięknoscią, gracyą, a przytem świetnością kolorytu, ale i on jest tylko ilustratorem własnych i otoczenia swego wyobrażeń. Z dwoma Lorenzettimi, Piotrem i Ambrozym, poczucie kształtów, ruchu, kompozycji, schodzi już na ostatni plan, wszystko poświęcone wyrażeniu najbalsmalniejszych i najłatwiejszych wzruszeń.

Początkiem swej działalności sięgająca czasów, w których techniczne środki i metoda artystyczna nie były się jeszcze wykształciły, a obserwacja nie była się zwróciła w kierunku realnych, życiowych objawów, gałąź ta szkoły Włoch środkowych, odcięta dłużej, niż inne, od zewnętrznych wpływów, skostniała z czasem tak dalece, że późniejsze jej okazy czynią już całkiem archeologiczne wrażenie. Upadła szkoła Sieneńska, ponieważ jej malarze nigdy nie zwrócili obserwacji swej tam, skąd mogli zaczerpnąć nieśmiertelnego pierwiastku życia, woleli dorabiać ciała do swych marzeń i wywoływać pamięciowe wyobrażenia, pokutujące w ich umysłach. A tymczasem wkoło nich, w niedalekiem sąsiedztwie, dokonywał się przełom wyobrażeń. Co

przyczyniło się do zmiany? Przedewszystkiem ów niespożyty zapas energii, niepozwalający, jak się wyraża autor, spocząć beczynnie w jakimkolwiek raj; dalej obudzenie się ducha obserwacji naukowej i fakt nader pomyślny, że znaczny, jeżeli nie przeważny, zasób owej energii zwrócił się pierwiej ku sztuce, niż ku umiejętności. Wynikiem tego był naturalizm, który Berenson określa jako umiejętność, spożytkowującą sztukę do swoich celów. Wkrótce wyłoniło się przeświadczenie, że obiektywna wartość nie tkwiła w tego rodzaju sztuce, jaką dotychczas uprawiano. Człowiek, obdarzony niezwykłą samodzielnością, jakim był Donatello, oswobodził za jednym zamachem sztukę od całego balastu średniowiecznych wyobrażeń i zwrócił się z niebywałym zapalem do reprodukcji przedmiotów, jakie mu obserwacya nasuwała. Opanowany żądzą udzielenia jak najwięcej ruchu, ujawnienia jak najwięcej akcji, wyszczególniał z upodobaniem z pomiędzy niezliczonej ilości narzucających mu się form te, które najlepiej objawiały grę zwinnych i szybkich sił w przyrodzie. Tkwiło w tem poniekąd niebezpieczeństwo: dążność ta, zadaleko posunięta, utrzymuje Berenson, mogła nadać sztuce impuls, który-by ją był zbliżył więcej do kierunku japońskiego malarstwa, niż do naszego. Ale niebezpieczeństwo zostało zażegnane przez Masaccia wprowadzeniem takich kształtów, które potęgują w naszej wyobraźni wrażenie odporności i mocy. Potężnej wreszcie dostarczył umysłom podniety świat starożytny, zmartwychwstający z gruzów i odsłaniający stopn owo swoje poczucie życia i piękna w coraz ciekawszych i coraz liczniejszych fragmentach. Stworzony przez Donatella i Masaccia, sankcyonowany przez Humanistów nowy kanon figury ludzkiej uwidoczniał ten nowy i niejako wzmocniony typ istoty ludzkiej, lepiej do walki życiowej zaopatrzonej, niż poprzedni, i typ ten wyrażać będzie nasz ideał człowieka, dopóki utrzyma się helleniski charakter naszej europejskiej kultury. Pod działaniem tych czynników musiał się zmienić charakter wyobrażeń — co więcej, po pięciu wiekach ciągłego naśladowania i powtarzania rasa europejska stała się do typu, jaki jej nowy kanon dostarczył, podobniejszą, niż pokolenia, które go poprzedziły, „jest to bowiem niezaprzeczoną prawdą,—dowodzi autor,— że sztuka uczy nas, nie tylko jak mamy patrzeć, ale także, jakimi być mamy“.

Z Donatellem i Masacciem zaglądaliśmy w podwoje florenckiej szkoły. Jeżeli uprzytomnimy sobie składniki, jakie Berenson w utworze artystycznym wyróżnia, to zrozumiemy odrazu, dlaczego, zdaniem jego, artyści florency są w przeciwstawieniu do malarzy Włoch środkowych przedewszystkiem Dekoratorami. Jak dla tamtych treść duchowa najwyższe i niemal wyłączne miała znaczenie, tak

dla tych wszystkich to, co działa na dotykową wyobraźnię, staje się przedmiotem i celem głównym wszystkich umysłowych wysiłków, wszystkich zmian, wprowadzonych do artystycznej metody, wszystkich udoskonaleń technicznych. Ale, że umysł ludzki w rozeznawaniu czynników działających wznosi się od najprostszycych do najzawilszych, więc w przebiegu sztuki florenckiej ujrzymy odpowiadające tym etapom rozeznawania także stopniowe opanowywanie dotykowych wartości. Najprostszą, ale też i najpierw na wyobraźnię działającą wartością są kształty; od obserwacji i reprodukcji onych rozpoczyna się działalność tej szkoły, a inicjatorem w tym kierunku, jakśmy to już nadmienili, był Giotto.

Zanim jednak pójdziemy w ślad za mistrzami florenckimi po coraz wyższych stopniach rozwoju sztuki, przypatrzmy się, o ile w innych ogniskach środkowych Włoch uwidoczni się ów typ Ilustratorów, który tak wybitnie i niemal wyłącznie odznaczał szkołę Sienneńską.

Zdawało-by się, że trzech mistrzów stanowczy w tej tradycji uczyniło wyłom; Romania i najbardziej na Południe wysunięta część Toskanii są ich ojczyzną: Piero dei Franceschi, Luca Signorelli i Metozzo da Forli, to na pierwszy rzut oka godni florenckich malarzy współzawodnicy. Do tych samych zdają się zmierzać celów, temi samymi kroczyć drogami. Już Piero, mistrz Signorellego i Metozza, ma także poczucie dotykowych wartości i taki dar uwydatnienia siły i ruchu, że nie ustępuje ani Masacciemu, ani Donatellemu, a jest niezaprzeczenie pierwszym, dla którego efekta światła mają same przez się urok i znaczenie. Obok tego jest to ilustrator pierwszorzędnego znaczenia, ilustrator, uprzytomniający nam odrębny świat pojęć, zapatrzony w pełen majestatu ideał, skłonny do uroczystej interpretacji. Zarzucić mu jednak można, — powiada Berenson, — że nie zawsze utrzymuje się na tej wysokości, że nieraz wydać się może za mało osobistym, nawet obojętnym. Tu następuje u Berensona pełna ciekawych szczegółów ocena tego, co pod nazwą obiektywności (impersonality) w sztuce rozumie. Szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają iść w ślad za wszystkimi jego wywodami. Jakkolwiek daleki od akademickiego na sztukę poglądu, jednak w tej ocenie zarysowuje się Berenson jako stanowczy przeciwnik całego impresjonizmu, i na bezdroża schodzącego dekadentyzmu. O ile niezbitym jest fakt, że żaden artysta nie jest w możności oddania bądź zjawisk życia ludzkiego, bądź krajobrazu, takimi, jakimi są w istocie, ale tylko takimi, jakimi się w jego wyobraźni odbijają, o tyle wystrzegać się powinien przy odtwarzaniu swych pamięciowych obrazów zabarwiania ich czysto subiektywnem odczuciem. Redukując rzeczywiste zja-

wiska do ich najbardziej charakterystycznych znaków i siłą sprawi to, „że patrzący wobec nich będzie reagować, jak on reagował, i czuć, jak on czuł“.

Spadek po Piotrze dei Franceschi obejmują dwaj genialni uczniowie, a idąc za impulsem własnego temperamentu, każdy na swój sposób wysokiego stopnia doskonałości dosięga. Melozzo ma potężniejszy temperament, Signorelli jest subtelniejszym i głębszym umysłem. W uroczyste kreacje swego mistrza wlewa Melozzo wyjątkową siłą uczucia; u niego figura nigdy nie jest nieczułą, nigdy też sama w sobie nie jest dla niego celem, ale zawsze wcieleniem wielkich wzruszeń. Wzruszenia te nie tylko udzielają się patrzącemu, ale go porywają w jakiś świat wyższy, archanielski. Występuje zatem Melozzo w całej swej artystycznej działalności, jako genialny ilustrator.

Signorelli nie pali się tym ogniem, co Melozzo, — pisze Berenson, — ale i znaczenie treści poetycznym chwyta umysłem i równie dobrze panuje nad kształtami, jak Giotto, a nad ruchem, jak Piero, lub Masaccio. Wprawdzie w tym kierunku mistrzem więcej był mu jeszcze Pollainolo od Piotra. Wielkim artystą był-by się stał Signorelli z temi zaletami, ale te zalety były mu środkiem do celu, który sobie nadewszystko inne upodobał, a celem tym były nagie kształty: „Il nudo“. Dlaczego nagie kształty taką w sztukach plastycznych odgrywają rolę? dlaczego ku nim zwracać się będą upoczywie najgenialniejsi artyści? to nam już wyjaśniono nieraz, to nam jeszcze z psychologicznego punktu widzenia wyklada Berenson w swej pracy o malarzach florenckich. Oddanie nagich kształtów, o ile się uda i należyście było traktowane, jest ze wszystkich artystycznych tematów najwięcej życia udzielającym i najbardziej życie podniecającem, żaden bowiem przedmiot w takiej mierze nie pozwala uwydatnić i skontrolować wartości dotykowych, a szczególnie ruchu. Stąd owa uparta żądza opanowania nagich kształtów, wydarcia im wszystkich tajemnic życia, apoteozowania ich niemal, jaką znachodzimy u Michała Anioła. A jednak w tym kierunku współzawodniczy z nim nieraz Signorelli, a jeżeli czasem mylił się w swem zrozumieniu nagich kształtów, to dla tego, że i on jest wybitnym ilustratorem, że i on jest dzieckiem Włoch środkowych, ale, jako taki, Signorelli jest najrozumialszym dla nas ze wszystkich, dotąd omawianych ilustratorów. „On pierwszy — mówi autor — ilustruje nasz własny, n o w o z y t n y dom życia“. Ci trzej malarze zależnością swoją od florenckich wpływów, a tradycyjną skłonnością umysłów, stanowią pomost pomiędzy Florencją a środkowemi Włochami. Ale czas nam przypatrzeć

się wraz z autorem trzeciej tych szkół odnodze, wdzięcznym umbryjskim malarzom.

Szkoła Umbryjska stoi z początku pod bezpośrednim wpływem Sieneńskiej; pozostawiona jakiś czas samej sobie, nie wydaje ani jednego utworu, który-by na miano sztuki zasługiwał, ale szczęściem dla siebie wchodzi niebawem w bezpośrednie i pośrednie zetknięcie z Florencją. Zetknięciu temu zawdzięcza, że mogła wobec Odrodzenia podjąć to samo zadanie, jakie Sienna spełniła wobec wieków średnich: „wcielenia i utrwalenia tych wyobrażeń i wizyi, które w danej chwili mogły przynieść najwięcej ukojenia i radości, wytknięcia nowego kierunku aspiracyom sere ludzkich, przelania nowoodczutych piękności w odmłodzone kształty“. Temu posłannictwu, „kapłańskiemu raczej, niż artystycznemu“, Umbrya pozostała wierną. Pierwszym, który ją otrząsł z letargu, był Benozzo Gozzoli; obudziły się do życia uśpione talenty i odtąd nie przerwał się już nigdy duchowy z Florencją związek. Z jej obficie tryskającej krynicy czerpać nie przestaną umbryjscy artyści. Już Fiorenzo di Lorenzo wędruje jako młode pacholę do pracowni Pollainola i niejednego sekretu uczy się od Signorrellego. Skąpany w tych ożywczych wodach, opowiada swym pędzlem cuda świętego Bonawentury; czyni to z wdziękiem, właściwym Umbryjczykom, a z poczuciem linii i ruchu, jakie cechuje Florenczyków. Ale dłuższe zasiedzenie się w Umbryi wygasza w nim powoli płomień, jaki w nim roznieciła Florencya; wkrótce sława jego niknie, przyćmiona blaskiem, jakim świecą dwaj jego uczniowie: Pintoricchio i Perugino.

Wykształcenie artystyczne Pintoricchia jest powierzchownem i wadliwem— odbija się to we wszystkich jego utworach; ale uzdolnienie jego jest tak wielkie, że w Sykstyńskiej kaplicy, obok największych mistrzów, poczesne zajmuje miejsce, a w S-ta Maria del Popolo do dziś dnia czaruje nas wdziękiem swych kobiet i romantycznością krajobrazu. Ponad wszystko posiada jedną zaletę, wyróżniającą odtąd umbryjskich malarzy: poczucie przestrzennej kompozycyi. Rzućmy okiem na freski z Libreria del Duomo w Siennie: z punktu widzenia malarzkiego, same źle namalowane figury, ale pod względem architektonicznej dekoracji jakież nieporównane mistrzostwo! Dano mu pokój długi, onieszczególnych rozmiarach, ale czegoż on nie uczynił z tego pokoju! Wielkie łuki poniżej stropu otwierają się szeroko na rozległy, romantyczny krajobraz. „Jesteś pod dachem, a zdaje ci się, że na otwartem powietrzu pełnemi oddychasz płucami“. Powietrze to jakieś łagodne, harmonijne, dane ci w mierze, tak, że każde twoje odetchnienie jest muzyką. „Przez ten uroczy krajobraz, jak gdyby od niechcenia przeciągają procesy: patrzysz na nie wpółsen-

ny, jak gdybyś spoglądał na przeciągającą przed twemi oczyma bandę muzykantów w piękny wiosenny poranek, gdy wszystkie twe pulsy przyśpieszonym biją tętnem“.

Jednym słowem z Pintoricchią zapisuje Berenson wielki dla sztuki nabytek: „poczucie przestrzennej kompozycji“. Nie możemy przytoczyć całego szeregu uwag angielskiego krytyka o znaczeniu tego, tak ważnego a subtelnego w utworach malarskich czynnika. Wykazawszy, że nie można przestrzennej kompozycji identyfikować ani z kompozycją wogóle, ani z architekturą malarską, ani z krajobrazem—że rozwiązanie trudności, jakie ona przedstawia, nie zależy ani od mozolnych studyów nad światło-cieniem, ani od subtelnego oddania atmosferycznych objawów, że, przeciwnie, słabo nawet skądinąd uzdolniony malarz, byleby miał z natury to poczucie, potrafi dodatnie wywołać efekt,—oświadcza wreszcie Berenson, —że poczucie to jest czemś, czego żadna wprawa, żadna umiejętność nauczyć nie potrafi, jest to poczucie, niektórym malarzom wrodzone.

W pojęciu Berensona, układ przestrzenny jest w utworze malarskim najsubtelniejszym, najbardziej duchowym, prawie że mistycznym momentem. On-to sprawia, że nas utwór malarski od siebie samych odrywa, a pozwala niejako rozplynać się w wyobrażonej nam przestrzeni. „Daje nam uczucie, — mówi autor, — jakobyśmy identyfikowali się z wszechświatem, stawali się jego duszą“. Jednym słowem, poczucia przestrzennej kompozycji nie można sobie wystawić bez pewnego uroczystego nastroju. Tem poczuciem przestrzeni, tak wysoko rozwiniętem, tłumaczy sobie Berenson wrażenie religijne, jakie utwory Perugina sprawiają, pomimo, że ten pierwszy nauczyciel Rafaela uchodził powszechnie za ateistę. Poczucie to, zdaniem autora, występuje tak wybitnie w tym artyście, że, podobnie jak u Pintoricchia maskowało nam jego artystyczne wady, tak u niego sprawia, że trudno orzec, o ile dodatnie strony jego utworów z innych także wypływają zalet. To pewnem jest jednak, że Perugino jest znowu typem wielkiego ilustratora, nie tylko znakomicie odzwierciedlającego wyobrażenia swej epoki, ale umiającego również odtwarzać i typy swego otoczenia; jest to portrecista, odznaczający się wielką subtelnością, a zarazem podziwienia godną obiektywnością.

Przechodząc stopień po stopniu rozwój sztuki umbryjskiej, zaprowadził nas wreszcie Berenson na ową wyniosłą i rozległą platformę, na której niepodzielnie króluje Rafael Potężniejszy od niego bywali geniusze; on przez całe życie różnorodnym ulegał wpływom, od każdego ze współczesnych mistrzów coś przyjął, czegoś się nauczył; a jednak, choć wszystko pochłaniał i w sobie przetapiał, nawet w najświetniejszych swych freskach, jako kolorysta, nie dorównał Tycya-

nowi, a w oddaniu kształtów i ruchu — mistrzom florenckim. Bo też inne były jego cele i z innego względu przykuwa naszą uwagę. Żaden przed nim, żaden po nim artysta nie posiadał tak uporządkowanej, a zarazem tak lotnej wyobraźni. W tę nieocenioną uposażony zaletę, zjawia się w epoce już udoskonalonej formy, już ustalonych głównych Odrodzenia ideałów. Filtrując i klarując wszystko, co przez retortę jego umysłu przechodziło na to, aby uczynić go tem, czem się stał, Rafael zakreśla sobie za zadanie obdarzenie świata nowożytnego całym szeregiem artystycznych kreacyi, uwidoczniających po dziś dzień dla większości oświeconych ludzi całą treść duchową i umysłowe aspiracye nowego pokolenia. Doskonalszego tłumacza starożytności klasycznej sztuka nie wydała nigdy, i dopóki za tym światem tęsknić będziemy, dopóki będziemy się rozczytywali w greckich i rzymskich autorach, dopóty świat ten będzie nam się przedstawiał takim, jakim go Rafael wyobraził. Z drugiej strony, w swych Madonnach, w swej Dyspucie, jest również tłumaczem aspiracyi chrześcijańskich, umie oddać całą głębię uczucia, całą nawet czysto ludzką podniosłość, na jaką tylko pod tchnieniem chrześcijaństwa dusza zdobyć się może. Rafael wreszcie odsłania nam nasz własny i dotąd niewyrugowany ideał piękności, zwłaszcza niewieściej. Co zadziwia, to to, że ten artysta, o temperamencie tak harmonijnym, o skłonnościach nieraz idyllicznych, potrafi być obiektywnym, surowym, umie siebie wykluczyć, i dla tego portrety jego nie mają sobie równych co do prawdy, ani wyższych co do oddania zarazem duszy i ciała.

Ale czy na tem wyczerpały się zasługi Rafaela? Czy powiedziało się wszystko o tym geniuszu, przedstawiwszy go, jako najdoskonalszego z ilustratorów? Wystawmy sobie, że przeżyła się nasza cywilizacya, że na jej miejscu rozpanoszyła się kultura Japońska, czyżby się wtedy utrzymało coś — nie z utworów, bo te mogły-by przeżyć, — ale z artystycznych zdobyczy Rafaela? Po jakichże-to cechach nowa ta ludzkość odróżniła-by Rafaela od innych artystów? Berenson nie waha się twierdzić, że zaletą, zapewniającą Rafaelowi wszędzie i po wszystkie czasy nieśmiertelność, było-by jego poczucie przestrzennej kompozycyi! Rafael — reasumuje w końcu Berenson — nie był wprawdzie artystą w tem znaczeniu, co Leonardo, Michał Anioł, Velasquez, Rembrandt, on był wielkim ilustratorem i wielkim kompozytorem przestrzennym. A toli w tryumfach, jakie święcił, leżał już zaród jego zguby. Ostatnie jego prace noszą z małemi wyjątkami cechy pośpiechu; często dokończają je uczniowie. Wraz z Rafaelem dosięgnęła szkoła umbryjska swego zenitu, odtąd szybkim krokiem chyli się do upadku i z czasem wyradza się zupełnie.

Chcąc przedstawić całość poglądów Berensona na sztukę Odrodzenia i jej rozwój, musieliśmy czerpać równocześnie z obydwu jego prac. Omawiając w ślad za autorem dzieje szkoły Umbryjskiej, dotknęliśmy niejednokrotnie najważniejszych w rozwoju szkoły Florenckiej momentów; wysunęliśmy naprzód te typy, które już to przez swoje przeciwieństwo uwydatniają właściwości malarzy środkowych Włoch, już to te, które wpływem swoim ich dotknęły i do pewnej zmiany, jeśli nie w kierunku, to w metodzie, się przyczyniły.

Mówiąc o Ducciu, jako prototypie ilustratora, przeciwstawia mu Berenson Giotto, jako pierwszego dekoratora, jako tego, który inicjuje zwrot ku obserwacji i odtwarzaniu zjawisk życiowych.

Teraz pozostaje nam wykazać, czerpiąc z pracy o malarzach florenckich, jak spełnia się to stopniowe rozeznawanie i odtwarzanie dotykowych wartości. Ta, która się najpierw kontroli naszej dotykowej wyobraźni narzuca—to kształty. Oddanie kształtów tak, aby nam czyniło wrażenie rzeczywistych, ażeby nie tylko zadawałniało, ale i podniecało naszą dotykową wyobraźnię, jest myślą przewodnią Giotto i pozostaje naczelnym rysem szkoły florenckiej przez cały ciąg jej rozwoju.

Ażeby ocenić, jak wielki postęp zaznacza Giotto w metodzie malowania, potrzeba go porównać z Cimabuem. Typy, które obaj malują, są bardzo podobne, ale podczas, gdy u Cimabuego musimy cierpliwie rozeznawać linie i kolory, aby ująć w jeden obraz to, co nam chce przedstawić, wystarcza rzucić okiem na Giotto, ażeby natychmiast zrozumieć, o có mu chodzi, przyczem nasza wyobraźnia nie tylko uczucia zadowolenia, ale i silnej doznaje podniety. Nie rozporządzając jeszcze wydoskonalonemi technicznemi środkami, Giotto ma ten przedziwny takt, że nie porywa się na skomplikowane efekta, ale za pomocą głównie funkcyonujących linii, za pomocą najprostszego rodzaju światła i cieniów oddaje te istotne każdej postaci rysy, które musimy sobie w naszej wyobraźni wydzielić, chcąc ową postać uprzytomnić. Nadto posiada Giotto nie tylko dar pochwycenia kształtów, ale zarazem uwydatnienia duchowych wartości przez wcielenie ich w takie kształty, które najlepiej znaczenie ich uzmysławiają. Jest to właśnie cecha wyróżniająca głęboki i przekonujący symbolizm Giotto od wyobrażenia treści duchowej jego poprzedników i współczesnych mu ilustratorów.

W sto lat później, wśród zmienionych już wyobrażeń, w nierównie korzystniejszych warunkach podaje Masaccio wytknięte przez

Giotta zadanie. „To Giotto odmłodzony i już w znakomite środki techniczne zasobny“. I dla niego oddanie życiowych kształtów jest celem wszystkich zabiegów, on ma dar uwydatniania za pomocą charakterystycznych rysów znaczenia tak materialnych wartości, jak moralnych właściwości. Wiemy już jak uzupełnia Donatellego, jak wraz z nim tworzy pierwszy nowożytny kanon ludzkiej postaci.

Pomiędzy Giottem jednak a Masacciem, wśród pewnego zastoju wyszczególniają się dwaj malarze: Orcagna i Fra Angelico. Ostatni zwłaszcza, ten artysta zapatrzony i wsłuchany w pienia anielskie, to, zdaniem Berensona, typowa postać przełomu. Źródłem jego uczuć: Wieki średnie—ale sposób, w jaki się temi uczuciami napawa i raduje, jest czysto nowożytny i nowożytnymi są też te środki, któremi się w wyobrażaniu tych uczuć posługuje.

Masaccio, umierając, zostawia sztukę w rękach dwóch dla dalszego postępu bardzo znaczących osobistości; są niemi Paolo Uccello i Andrea del Castagno.

Uccello ma niezaprzeczenie zmysł dotykowych wartości, ale to dla niego i dla Andrei środki do podniesienia i ilustrowania naukowych zagadnień.

Uccello to ojciec naturalizmu, który z punktu widzenia artystycznego jest właściwie odstępstwem; wszelako usiłowania tych dwóch artystów, a zwłaszcza Pawła, ażeby przedmioty przedstawić takimi, jakimi są, ich studia anatomiczne i perspektywiczne przygotowały grunt dla Leonarda. Teraz dopiero stało się możliwem zupełne opanowanie kształtów, skomplikowanej wartości życiowej, jaką jest ruch.

Tego, co Giotto i Masaccio spełnili wobec kształtów, dokonywa Pollainolo wobec zjawisk ruchu. Metoda jego polega na tem, ażeby pewien szczególny ruch oddać w taki sposób, iżby wyobraźnia uzupełnić go sobie mogła wszystkimi innymi ruchami, na jakie ta postać zdobyć-by się zdołała.

I tu nowe źródło zadowolenia i podniety dla dotykowej wyobraźni.

We wszystkim, co dotyczy ruchu, jest Verocchio uczniem Pollainola, ale w jednym kierunku jest innowatorem, mianowicie w krajobrazie. Jaka jest przyczyna naszego upodobania w krajobrazie i w jaki sposób pojęli pod tym względem swoje zadanie pierwsi florency malarze? zapytuje autor.—Idealem poprzedników była jaknajdoskonalsza reprodukcya konturów. „Gdyby przyjemność, jaką sprawia krajobraz, przychodziła nam wyłącznie przez oczy, możebyśmy niczego więcej nie żądali; ale w takim razie wszystkie stopniowania tonu, powietrze i to co się rozumie pod wyrazem plein-air, było-

by zbyt czynnem!" Zadanie malarza krajobrazów nie polega wyłącznie na oddaniu, o ile być może najdokładniejszym, wartości dotykowych przedmiotów, ale na wywoływaniu w sposób o wiele szybszy, niż to czyni natura, świadomości jakiegoś niezwykłego uczucia, upodobania i zadowolenia—*de bien-être*, jak mówią Francuzi. Dopiero najnowsze malarstwo podjęło na serio to zadanie i może stoimy—dodaje autor—w przededniu sztuki, która w stosunku do dawniejszych krajobrazów będzie tem, czem jest dzisiejsza muzyka do greckiej.—Verocchio jest pierwszym, który czuł, że reprodukcya konturów nie jest jeszcze krajobrazem, że malowanie widoków natury jest czemś odrębnem od malowania figur.

Wszystko, co Giotto i Masaccio, ci pierwsi dekoratorowie, osiągnęli przy oddaniu dotykowych wartości, Fra Angelico przez pochwylenie najsubtelniejszych wrażeń duszy, Pollainolo przez opanowanie tajemnicy ruchu, Verocchio wreszcie w rozkładzie światła i cieniów, to Leonardo bez śladu jakiegoś wahania, jakiegoś widocznego wysiłku, nie tylko sobie przyswaja, ale w tem wszystkim ich przewyższa i prześciga.

„Leonardo jest jedyny, o którym można powiedzieć, że wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w rzecz wiecześnie piękną“.

Powiedziano już o nim wiele, ale całej tajemnicy jego uroku i potęgi nikt jeszcze nie zgłębił; tkwi ona zarówno w artyście, w uczonym i człowieku.

Szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają nam wysledzić wraz z Berensonem wszystkich drobniejszych zdobyczy w kierunku opanowania coraz to subtelniejszych i coraz bardziej skomplikowanych składników życia. Nie możemy zatrzymywać się nad Filipem Lippim i Gozzotim, którzy wprowadzają do sztuki pierwiastek życiowy, jakoby idylliczny, tylko że u jednego rodzaj ten ma duszę, u drugiego ciało na celu. Mijamy Fra Bartolomea i Andree del Sarto, owego z pomiędzy Florentczyków jedyne może współzawodnika Tycyana i Giorgiona w kolorycie, ale który już zatracca zmysł tego, co jest najważniejszym w sztuce: szczere poczucie dotykowych wartości, i poświęca je nieraz dla pozy i draperyi.

Stajemy wreszcie wobec tego, który, nie będąc niczym uczniem, jest wszystkich spadkobiercą, który czuje głęboko i potężnie to, co w innych było nieokreślone przecuciem, i znaczenie tego wszystkiego widział i oddał. „W nim—mówi Berenson, —ostatnim swojej rasy, ostatnim z wielkich dekoratorów, urodzonym w warunkach dla sztuki najpomyślniejszych, wszystkie energie duchowe skoncentrowały się niejako; w nim sztuka florencka osiągnęła swoje logiczne uwieńczenie“! Obdarzony wszystkimi zaletami swych po-

przedników widzi nadto tak jasno, jak nikt przed nim, żenarzędziem, pozwalającym najlepiej uwydatnić wartości dotykowe, a szczególnie ruch, to nagie kształty — „il nudo.“ Nagie kształty stają się same przez się dla niego celem, il nudo, jest dla niego, jak dla greckich rzeźbiarzy, synonimem sztuki.—Do tego uczucia materyalnych wartości, do tej potęgi wywoływania ich w sztuce, łączy Buonarrotti ideał piękna i siły, jakieś widzenie doskonalszej ludzkości, z jakim się już nigdy nie spotkamy. Michał Anioł uzupełnia to, co zaczęli Masaccio i Donatello: stworzenie typu człowieka, powołanego do zapanowania nad ziemią, „a kto wie, czy nie nad czemś wyższem jeszcze niż ziemia“, dodaje autor.

Niestety, to życie artystyczne miało, jak to nieporównanie wykazał Klaczko, swoją wielką tragedję i z tej tragedji, z tego szamotania się wewnętrznego, z tych porywów przechodzących granice najwyższej nawet artystycznej potęgi, wypłynęły jego wady, zarodki jeżeli nie jego upadku, to zbroczeń tych wszystkich, którzy go naśladować chcieli.

Na tem zamyka nasz autor studyum swoje o malarzach florenckich; jak w książce o szkołach Włoch Srodkowych, tak i w tej pracy zarody upadku w kilku tylko zaznaczone słowach. Inaczej zapowiadają się u Rafaela, inaczej u Michała Anioła, ale tak u jednego, jak u drugiego, dadzą się łatwo wysledzić. Czyżby więc ci dwaj genialni współzawodnicy mieli ponosić całą odpowiedzialność za upadek sztuki odrodzenia! Czyżby geneza skrzywienia artystycznych pojęć była tem dostatecznie wyjaśniona? O taką jednostronność poglądu nie możemy Berensona posądzać. Gdyby mu przyszło, czego się po nim spodziewamy, omawiać dalsze malarstwa włoskiego koleje, to wciągnął-by w grę inne jeszcze współdziałające czynniki, uwzględnił-by również i wzmagające się rozprężenie polityczne miast i państw włoskich, i przyczyny natury ogólnie dziejowej, a mianowicie ów nagły i tragiczny zwrot, jaki się pod wpływem Reformacyi dokonał. Michał Anioł i Rafael mogli nosić w sobie zarody większych jeszcze wad, niż te, które im wytyka autor, a następne pokolenie artystów było-by zdolna wrócić do równowagi i od tych uwolnić się zbroczeń, spalenie artystycznego smaku nie było-by się stało tak powszechnem, gdyby nie atmosfera duchowa, która już samego Michała Anioła owiała i nad całem późniejszym zaciężyła pokoleniem. Podmuchi był lodowaty i zabójczy. Zabójczy nie tylko dla tego, że odrzucał wszelkie ze strony sztuki usługi, że kult Boży obdzierał ze wszystkiego, co przemawiało do wyobraźni i uczucia, ale zabójczym stał się i przez ducha reakcyi, jakiego w łonie samego kościoła wywołał. Nie czas już było lubować się w harmonijnych i pogodnych

wizjach, potrzeba było wstrząsnąć umysłami, stawić im przed oczy w najjaskrawszy sposób wszystko, co Chrystus za niewdzięczną i wiecznie buntującą się ludzkość wycierpiał, trzeba było opamiętać dusze wyobrażeniem sądu ostatecznego i strasznych mąk, jakie je czekały. Odpowiedzialność za upadek sztuki włoskiej spała jeszcze bardziej na Reformację, niż na Michała Anioła lub na Rafaela.

Reasumując wreszcie ogólnie z książek Berensona odniesione wrażenie, dochodzimy do przekonania, że jest to objaw tego psychologiczno-biologicznego kierunku, jaki myśl nowożytna coraz częściej i z coraz większem powodzeniem stosuje do różnych umysłowego życia objawów. Wyszędłszy z punktu widzenia psychologicznego, sztukę pojmuje on jako rozwijający się ciągle organizm, którego funkcye i rozmaite składniki mają odpowiadające im wartości w organizacyi umysłu ludzkiego z jednej, a w otaczającej nas przyrodzie z drugiej strony.

To co nam podaje Berenson, to nie tyle dzieje sztuki Odrodzenia, ile psychologiczna analiza rozwoju sztuki wogóle, a włoskiej w szczególności, ilustrowana całą galeryą typów zasadę jej wcielających i udowadniających.

Jako taki a mało znany dotąd objaw, zasługiwał, aby z nim i polskich czytelników zapoznać.

M. T. S.

Pamiętnik generała Jana Weysenhoffa.¹⁾

ROZDZIAŁ VII.

Kampania roku 1813. — Nominacya Weysenhoffa na generała brygady. — Na czele brygady piechoty maszeruje do Krakowa. — Zatargi ze sprzymierzonym wojskiem austryackim. — Marsz do Saksonii. — Weysenhoff prowadzi całą kolumnę. — Warunki przemarszu przez Czechy i Morawy i zachowanie się wojska austryackiego. — Przyjęcie u hrabiny Pachta, hr. Waldstein, hr. Haugwitz. — Przybycie do Zittau. — Zawieszenie broni. — Weysenhoff przechodzi z piechoty do jazdy i otrzymuje brygadę jazdy. — Wypowiedzenie zawieszenia broni 10 sierpnia i pierwsze działania pod Zittau i Bautzen. — Brygada Weysenhoffa oderwana od korpusu polskiego i przyłączona do korpusu hrabiego Lobau. — Marsz przez góry i Elbę pod Königstein do Hellendorf w Czechach. — Generał Dumonceau. — Bitwa pod Hellendorf i działanie w niej Weysenhoffa. — Wzmianka w „Moniteur”. — Szarża brygady pod Peterswalde pod komendą Napoleona. — Bitwa pod Zahra. — Cofanie się do Drezna. — Weysenhoff z brygadą swą osłania odwrót. — Utarczki z Kirgizami i Kozakami. — Utarczki pod Dreznem. — Krytyka działań marszałka Gouvion St. Cyr. — Kapitulacya Drezna 11 listopada. — Pasport i powrót do Krakowa. — Sprawy familijne 1814 roku.

Manewrując ku Krakowowi, przybyliśmy 1 lutego 1813 roku do Piotrkowa. Tu książę odebrał kuryera z Drezna od króla saskiego, który nigdy nie złożył berła księcia warszawskiego, wierny sprawie i przyjaźni Napoleona, mimo wrzaski całego kraju swojego. Odpowiadając na przedstawienia naszego wodza, Fryderyk August przesłał nominacye i patenta na generała dywizyi księciu Sułkowskiemu, na generałów brygad: mnie, Rautenstrauchowi i Sierawskiemu. Zwołani

¹⁾ Patrz zeszyty: lipcowy, str. 1; — sierpniowy, str. 300; — październikowy, str. 24; — listopadowy, str. 234.

zaraz do wodza, odebraliśmy z rąk jego nasze patenta; poczucie jednak położenia naszego przytłumiało radość z tych nagród, bo cóż taka nagroda w obojętnych obcych krajach? Przypuszczaliśmy, że opuszczamy granice nasze na zawsze; mało było między nami szczęśliwie zaślepionych, którzy jeszcze obiecywali sobie odzyskanie utraconej sprawy. Awansowanie nasze w czasie pochodu dało nam nieco kłopotów, trzeba było przywdziać ubiór naszego stopnia, a możliwości żadnej sprawienia. Książę Sułkowski dał mi swoje dawne hafty, które do mojego munduru jako tako przyszyłem. Całe wojsko zatrzymało się dui parę w Piotrkowie i tam, po ogłoszeniu naszego awansu, wódz naczelny dopełnił organizacji: nowi generałowie otrzymali brygady. Mnie dano komendę nad brygadą, złożoną z 1-go i 16-go pułku piechoty. Poczem ruszyliśmy w dalszy pochód, zatrzymując się po kilka dni w różnych stanowiskach. Ja z moją brygadą spoczywałem 10 dni w Olkuszach. Tu przybyła do mnie żona z dzieckiem: Włodzimierz miał wówczas drugi rok. Ze smutkiem patrzyłem na te przedmioty rzewnej mojej miłości; myśl rozstania się z nimi może na zawsze, opuszczenia ich bez opieki, szarpała mnie, a obowiązek okazywania spokoju wśród towarzyszków dopełniał goryczy uczuć. Za przybyciem do Krakowa kazano mi iść za Wisłę na Podgórze i zająć stanowisko na Krzemionkach, wzgórzach, panujących nad tem przedmieściem. Rychło potem powiększono moje dowództwo batalionem Francuzów, zebranych z pozostałych po lazaretach; batalionem tym dowodził major francuski, człowiek światły i na wszystko gotowy.

Wojsko austryackie, niby przyjazne, usiłowało wszystko nam utrudnić. Generał ich, Bianchi, postanowił zająć Podgórze, a tym sposobem stanąć między nami a Krakowem. Jakoż wprowadził, nie ostrzegłszy nas, batalion grenadyerów do przedmieścia, między nami a miastem położonego. Nie odwołując się dalej, wysłałem sztabsoficera do tego batalionu z oświadczeniem, że to przedmieście do mnie należy, że jeżeli nie ustąpią natychmiast, to z nastawionym bagnetem uprzątą sobie ten kwaterunek. Wymowne to oświadczenie skłoniło Austryaków do wymaszerowania bez zwłoki.

Tak rozłożone wojsko naokoło Krakowa i w mieście stało spokojnie aż do pierwszych dni maja. Smutne to było położenie, bośmy nie wiedzieli, jaki los nas czeka. Wódz naczelny oczekiwał rozkazów cesarza i wiedział na pewno, że te dójść muszą, gdyż Austria jeszcze nie zdeklarowała się przeciw niemu. Tymczasem organizowano i opatrywano pułki, w co było można. Z powstania krakowskiego uformowano szwadrony, później Krakusami zwane. Te nam wielką później oddały usługę; męstwo i wytrwałość, równie jak gorące przywiąza-

nie do kraju, znamionują wieśniaka krakowskiego, on lepiej zdaje się pojmować te szlachetne uczucia, niż reszta naszego ludu. W Wielkopolsce szlachta gorliwa, ale lud już obojętnością i flegmą niemiecką zarażony. Przeciwnie, szlachtę krakowską egoizm znamionuje, a po części i obojętność (nie bez wyjątku wszakże), a cały zapal narodowy jest w pospólstwie.

Odebraliśmy rozkaz ciągnięcia przez Morawy i Czechy do Saksonii, dla połączenia się z wielką armią francuską. Cesarz Napoleon otrzymał od teścia swego, cesarza austriackiego, swobodne przejście dla nas przez jego prowincye. Utworzywszy nowe armie po klęskach w Rosyi, z zadziwieniem całej Europy, korzystnie skończył kilka bitew i opanował Saksonię. Kondycjami przejścia były: spokojność i porządek najściślejsze, broń tylko podoficerom zostawiona, żołnierska zaś cała wieziona za wojskiem; wojsko, podzielone na pięć kolumn, co trzy dni po sobie następować miało. Wódz nasz wyznaczył generałów do każdej kolumny; ja z moją brygadą byłem w otatniej, której dowódczą generał Izidor Krasiński miał zostać, lecz gdy ten jeszcze przed wyruszeniem zachorował, ksiązę mnie powierzył dowództwo kolumny. W duchu przyjętych warunków przejścia przez terytoryum austriackie, potworzyliśmy oficerów bez miary dla zachowania największej ilości broni w szeregach. Żona moja odprowadziła mnie aż do pani Dembińskiej pod Kętami; tam spędziliśmy ostatni wieczór w domu przyjacielskim i gościnnym; nigdy nie doznałem tak boleśnie milczącego rozstania się, jak wówczas.

Pókiśmy ciągnęli przez Galicyę, obywatele, wystawiając się na prześladowania, zabiegali nam drogę: każdy chciał nas mieć u siebie w domu. Toasty za pomyślny i rychły nasz powrót do ojczyzny nie były do smaku urzędnikom austriackim, towarzyszącym każdej kolumnie dla rozpisywania kwater i potrzebnych transportów. Nim doszliśmy do Kęt, generał Sokolnicki, wysłany z Saksonii przez Napoleona, spotkał nas w drodze i, stanąwszy na swoim powozie, ogłaszał przechodzącemu wojsku nowe zwycięstwa pod Lutzen, Bautzen, Hochkirchen, odniesione przez wojska francuskie. Entuzjazm był niewypowiedziany: zdawało się nam, że już cesarz rozpoczął nowy szereg tryumfów; nie wąpiliśmy, że, złączywszy się z wielką armią, i my do żniwa nowych laurów należeć będziemy. Nową zagrzani nadzieją, ciągnęliśmy przez Morawy i Czechy do Saksonii. Nie było nam tajemem, że znaczne wojsko austriackie postępuje obok nas w małym odstępie. Młodzi oficerowie z tego wojska grozili nam obskoczeniem i zabranieniem bezbronnym w niewolę; starsi nawet posuwali nierozsądek aż do zapowiadania tego w miastach, przez które przechod-

dzie mieliśmy, nie mając na to ani odwagi, ani rozkazów z góry, zwłaszcza, że cesarz austriacki, uwiadomiony o naszym porządnem postępowaniu, chcąc zapewne ująć Napoleona, przysłał, ledwieśmy kilka marszów w Morawy postąpili, rozkaz, ażeby wrócono wojsku polskiemu całkowitą broń, „nie godzi się bowiem, — brzmiał rozkaz, — pozbawiać broni tak waleczne wojsko, kiedy ono porządkiem w marszu i obchodzeniem się z mieszkańcami na największą zasługuje pochwałą”. Odtąd, uzbrojeni zupełnie, maszerowaliśmy w najściślejszej zgodzie z obywatelami, gardząc pogrozkami wojska, które nas zdaleka eskortowało.

Uprzejmie nader nas przyjmowano. Cały kraj, uprzedzony przez czynnych nieprzyjaciół naszych, że jesteśmy barbarzyńcami i niesforną dziecą, a doświadczając przeciwnie najspokojniejszego naszego postępowania, nie mógł wyjść z podziwu, i powziął o nas najkorzystniejszą opinię. W istocie żołnierz nasz, przyzwyczajony do niedostatku i niewygód, zadowolony tem, co znalazł u wieśniaka morawskiego, lub czeskiego, dziękował mu jeszcze za przyjęcie. Wkrótce po wejściu naszym w Morawy, przybyłem z kolumną moją do miasteczek Friedeck i Misteck, które dzieli mała rzeczka. Mimo woli mojej zrobił mi komisarz austriacki kwaterę w zamku hrabiny Pachta. Tam zostaliśmy dni sześć dla ułatwienia marszu kolumnom poprzedzającym. Hrabina przyjęła nas z niezwykłą grzecznością, ze zbytkiem prawie; kobieta przystojna, prawie półwieczna, ośwadczyła mi zaraz przy powitaniu, że życzy, aby mi było w jej domu jak najwygodniej i najswobodniej; wie dobrze, że mając liczny sztab przy sobie, miło mi będzie u siebie z nim obiadować, że jednak, gdyby to było przyjemnem, czekać nas będzie codzień z wieczszą. Stosowałem się do tego: przy sztabie miałem Józefa Mieroszewskiego, znanego z dowcipu i talentu pisania wierszy, Stanisława Platera, biegłego w literaturze niemieckiej, Michała Walewskiego, dowcipnego i wesołego w towarzystwie, Wiktora Łuniewskiego etc. — wszystkich mówiących po francusku i po niemiecku, dobrze wychowanych młodych ludzi. Z orszakiem tym miło mi było prezentować się u hrabiny. W jej towarzystwie znaleźliśmy poetę Niemca, który nam czytał swoje wiersze, bujając zawsze w „Sonnenglanz“ i „Gestiernenstaub“. Między grzecznościami, które nam prawil, było i to, że dla sławy naszej koniecznie było potrzeba przechodzić przez te obce kraje, gdyż złość, nie mogąc szkodzić opinii o naszym męstwie, rozsiewała niekorzystne wieści o naszej moralności i wychowaniu; uprzedzeni mieszkańcy byli-by przy tem pozostali, gdyby się naocznie przekonać nie mieli sposobności.

Po miłym kilkodziennym pobycie w tym zamku, maszerowaliśmy dalej przez Wischau, Austerlitz, Trebitsch, Iglau, Kolin, Jungbunzlau, Gabel, skąd już weszliśmy w granice Saksonii ku Zittau. W ciągu tego marszu częste miewaliśmy kłótnie z pojedynczymi oficerami, którzy odwiedzali nasze stanowiska; śmiało zapewnić mogę, że takowe niesnaski kończyły się zawsze z honorem dla naszych oficerów. Powodem były zawsze grube rodomontady oficerów austriackich, zapowiadających, bez względu na naszą obecność, zupełne zniszczenie armii francuskiej i wytepienie wszystkich Napoleouistów, do czego jednak męstwo ich mało się przyczyniło. Tu trzeba zauważyć, że wówczas cesarz i cały rząd austriacki nie był jeszcze przeciwny sprawie Napoleona, ale burzliwy zapał wojska, któremu nigdy nie zbywało na czczych przechwałkach, zmusił prawie później rząd i cesarza do zmiany opinii. Tak zrobiło i wojsko pruskie w 1805 roku, nagłąc swojego króla do wojny, która skończyła się czasowem wymazaniem Prus z rzędu niepodległych potencji. Austria, pod osłoną całej Europy, uniknęła tak smutnego końca.

W Trebitsch przyjął nas wspaniale hrabia Waldstein. Żona jego, Rzewuska z domu, rodzona siostra Rzewuskiego, „Arabem“ zwanego, traktowała nas, jak ziomków, z zaufaniem: pokazała mi wszystkie swoje kosztowności i miejsca, gdzie były złożone, w celu, abym wiedział, co i gdzie mam bronić w przypadku, gdyby mnie z prowadził do Trebitsch los wojny, którą już ze strachem przewidywano. Później w zamku Namiest spotkał nas hrabia Haugwitz bardzo wspaniale. Nie zdarzyło mi się widzieć tak wypogodzonego i wesołego starca, jakim był ojciec dzisiejszego majorata, stary hr. Haugwitz, przedwieczny generał Maryi Teresy, lub przynajmniej Józefa II-go. Całe towarzystwo było ożywione jego dobrym humorem, a dwie bardzo przystojne wnuczki były mu wdzięczne za piękne słówka, które mi moi młodzi ludzie, ośmieleni przez staruszka, do nich przemawiali.

Stąd ciągnęliśmy przez Kolin do Gabel, ostatniego miasteczka czeskiego. Tu opuścili nas komisarze i inżynierowie austriaccy, a miejsce ich zastąpił tylko rtmistrz węgierski z kilku huzarami, gdyż nie mieliśmy, jak milę do granicy saskiej. Na granicy pożegnaliśmy go i już w Saksonii ciągnęliśmy swobodnie ku Zittau, gdzie się znajdował nasz wódz naczelny z po-rzedzającymi kolumnami. Przyśłany z Drezna przez Napoleona generał-adjutant jego lustrował przybywające kolumny; w mojej najbardziej go zajęły trzy szwadrony Krakusów, dowodzonych przez oficerów z jazdy; mieli sukmany i czapki krakowskie, a za broń— lance; Krakowiak, pojętny i żwawy, zadziwiał swoją zręcznością w postawie zupełnie wiejskiej. Cesarz

kazał im później, gdyśmy się połączyli z wielką armią, defilować przed sobą w pełnym pędzie konia; niespodziewana siła małych koni, ogień i żwawość jeźdźców tak mu się podobały, że natychmiast kazał im dać dobre umundurowanie, nie zmieniając kroju, zastępując tylko chłask many szare, lub białe, granatowemi, i opatrując ich w resztę potrzebnych efektów. Całe nasze wojsko stało spokojnie pod Zittau, gdyż trwało zawieszenie broni, z którego miano nadzieję pokoju.

Wojsko nasze składało się ze starych polskich pułków, wzmocnionych, jak się wyżej powiedziało, swojemi zakładami, i pułków litewskich, które miały dużo oficerów, a bardzo mało żołnierzy. Postanowił zatem wódz nasz (zapewnie z wyższego rozkazu) zmniejszyć o połowę liczbę pułków i wszystkie litewskie wcielić do starszych polskich. Niektórzy litewscy oficerowie, szczególnie starsi, sarkali przeciw temu, mieniając to krzywdą, nie bacząc jednak, iż bez tego, ze swoimi oficerami tylko, nie mogli-by służyć czynnie w następującej wojnie. Wszystkim zachowano jednak stopnie i dawność, oddając tylko dowództwo starszym i doświadczonym w kompaniach oficerom. Operacya tego przemieszczenia była powierzona mnie co do piechoty, a co do jazdy—generałowi Umińskiemu. Za rozkazem sztabu głównego wystąpiło w tym celu wojsko w całej sile, osobno piechota, osobno jazda. Wcielenie nowych do starych pułków, sporządzenie kontrol i otmian wyszczególnienie zabrały czynność dnia całego na polu. Wojsko, odchodzące z placu, już przybrało postać uorganizowanego korpusu. Wódz nasz naczelny był zupełnie zadowolony, a miasto i obywatele przygotowali nam niespodziewaną ucztę wieczorną pod rozbitymi namiotami.

Po takowem urządzeniu podzielono dywizye i brygady między dowódców. Książę Sułkowski otrzymał komendę dywizyi jazdy, złożonej z brygad generała Umińskiego i mojej. Tu wymienić muszę, jakim sposobem przeszedłem z piechoty do jazdy. Brygada druga w dywizyi księcia Sułkowskiego nie miała jeszcze dowódcy; kilku generałów ubiegało się o nią, ale książę, wódz naczelny, nominował mnie jej dowódcą. Wyznam, że ten niespodziewany wybór zdawał mi się zrazu niedogodnym z przyczyny, że od początku byłem w piechocie, że szczegóły służby w jeździe były mi nieco obce, że nareszcie ból reumatyczny w lewej nodze nie pozwalał mi ręczo na koniu pracować. Gdy jednak upatrywano coś zaszczytnego w tej preferencyi dla mnie, przyjąłem, a profitując z wolnego czasu, który nam jeszcze trwające armistycyum zostawiało, wzięłem się całemi siłami do wyuczenia się nowych obowiązków moich, co mi łatwo przyszło, gdyż wszyscy doświadczeni wojownicy wiedzą, że dobrze pojęta szkoła piechoty usposabia najlepszych oficerów jazdy.

Dokonawszy zupełnej organizacyi swego korpusu, wódz naczelny rozkazał, aby wojsko zostało wygodniej i obszerniej rozłożone po okolicach. Przysłany komisarz królewski z szefem sztabu głównego rozpisywali stanowiska. Dywizyi Sułkowskiego dostała się okolica Herrnhut; moja brygada stanęła na koło samego miasteczka, tej stolicy Braci czeskich. Tu się pokazał przemysł pana komisarza, tak bowiem wystawił przelożonym tego związku na dużyctwa i zle obchodzenie się nasze, że ci obowiązali się płacić tygodniowo po kilkaset talarów, aby tylko miasteczko samo było uwolnione od kwaterunku; ale, przekonawszy się z doniesień wsi okolicznych, a między temi i swoich własnych, że to była potwarz, a że opłata była uciążliwa, udali się z prośbą do księcia, aby zrobiono kwaterunek w mieście i zwolniono ich z tej opłaty. Komisarz o powieździł, że to nie może już być odmienione. Wszyscyśmy widzieli coś w tem nieczystego; powszechna opinia obwiniała podszefa sztabu, generała Rautenstraucha, o porozumienie się tajemnie z komisarzem. Pozostający czas krótki do wypowiedzenia armistycyum poświęciliśmy ćwiczeniom i porządkowaniu wojska.

Tymczasem ciągnęły się negocyacye w Pradze. Sprzymierzeni, wsparci przystąpieniem cesarza austriackiego do wspólnej wojny przeciw jego zięciowi i zbliżaniem się nowych wojsk, a szczególnie Bernadotta ze Szwedami, zmienili ton konferencyi i podali ultimatum, którego Napoleon przyjąć nie mógł. Wypowiedziano zatem zawieszenie broni dnia 10 sierpnia. Jak było w umowie, i kroki nieprzyjacielskie natychmiast się rozpoczęły. Korpus księcia Poniatowskiego odebrał rozkaz zebrania się na wzgórzach przed Zittau ku Czechom.

19 sierpnia cesarz przybył do korpusu. Ja z moją brygadą stałem na czele, formując niby przednią straż. Na rozkaz cesarza wysłałem pułk huzarów dla zlustrowania obszernego pola aż do lasu ku czeskiej granicy, dokąd przybywszy, pułk się zebrał i czekał obok drogi. Tymczasem cała piechota z artyleryą postępowała naprzód do lasu i przez las, moja brygada posunęła się naprzód i spędziła strzelców austriackich, rozsadzonych po rowach i zbożach, którzy zemknęli aż do Gabel i w tem mieście zdawali się chcieć bronić, ale kilka kul armatnich i widok rozwiniętej piechoty doradziły im, aby to miasto opuścili; jakoż bez oporu weszliśmy do miasta. Parę dni spokojnego posiadania tego punktu było dostateczną wskazówką, że znacznych sił nieprzyjaciela nie było przeciw nam; zostawiwszy zatem moją brygadę dla zajmowania tego punktu, korpus wrócił do Bautzen. Kilka ruchów korpusu ku granicom czeskim były tylko wielkimi zwiadami, ściągającemi się do ogólnego planu wojny. Wkrótce

i mnie z brygadą ściągnięto do Bautzen. Kiedy dywizya nasza była tylko o mil parę od obozu, wśród ciemnej nocy usłyszeliśmy pod Bautzen mocne strzelanie z ręcznej broni. Dowódzca nasz, książe Sułkowski, kazał ruszyć dywizyi wielkim kłusem, aby tam dobiedz; obiecywaliśmy sobie, że, wpadłszy niespodziewanie z tyłu na nieprzyjaciela, atakującego nasz obóz, będziemy mogli uskutecznić bardzo korzystną dywersyę. Zbliżywszy się, napotkaliśmy uchodzących ludzi, którzy nas zapewniali, że jazda rosyjska wpadła na nasz obóz. Strzelanie nie ustawało. Przybiegliśmy bez przeszkody do jednej bramy, ale ta była zamknięta i zatarasowana. Ruszyliśmy bokiem miasta, nie spotykając nigdzie obcego wojska, i pokazało się, że fałszywy alarm podniosły konie, które się purywały i poprzewracały kozły z broni; z tych kilka wystrzeliło, upadając. Dzień już się zrobił: rozpatrzono się. Zamieszanie było jednak powszechne tak, że potrzeba było dnia całego, aby wrócić do porządku.

Tymczasem dywizya nasza postąpiła nieco naprzód i zaślaniała obóz szykujący się. Chcąc dowiedzieć się z pewnością o zapowiedzianym przez szpiegów nieprzyjaciela, wódz naczelny wysłał dwa silne wzwiady: generała Umińskiego z jego brygadą i kilku kompaniami piechoty w jedną, a mnie z moją brygadą i paru kompaniami wołtyżerów w drugą stronę. Ja odebrałem rozkaz dotarcia aż o kilka marszów do obozu. Przybyłem tam, nie spotkawszy, jak tylko kilku huzarów węgierskich. Mając rozkaz oczekiwania w Rumburgu dalszych dyspozycji, stanąłem obozem przed miastem tak dla bezpieczeństwa, jako też dla zapobieżenia nadużyciom i rabunkom, zwłaszcza, że tu przysła do mnie bateria artylerji konnej francuskiej; wiadomo, że ci nie oszczędzali mieszkańców. Rozstawiłem sztyldwachy około mego małego obozu i rozkazałem surowo, aby nikt nie ważył się iść samowolnie do miasta, dokąd posłałem komendanta placu z małym oddziałem, na co Francuzi bardzo sarkali. Zyskałem na tem, że władze miejskie, wdzięczne za wzorowy porządek w wybieraniu żywności i furażu, uwiadamiały nas wiernie o bliższych ruchach nieprzyjaciela.

Po kilku dniach naciągnął tu z całym korpusem książe Józef. Już były zapewne dyspozycye zbliżania się do Drezna, gdyż wkrótce ruszyliśmy ku Lobau. Dywizya Sułkowskiego i Krakusy formowały tylną straż. Hrabia Kellermann już był objął dowództwo całej jazdy naszego korpusu. Po żwawej utarczce pod Lobau ciągnęliśmy do Drezna; dywizya Sułkowskiego ciągle w aryergardzie. Kiedyśmy się zbliżyli do Stolpen tak, że już widać było wśród płaszczyzny wznoszący się zamek na bazaltowej górze, huzarzy austriaccy zaczęli silnie nacierać na tylną straż. Hr. Kellermann kazał naszej dywizyi zatrzy-

mać się, rozwinąć i dać odpór huzarom. Skorośmy stanęli do boju i wsparli naszych flankierów, huzarzy natychmiast się zatrzymali i rozpoczęło się tylko mało znaczące flankierowanie, a korpus tymczasem maszerował ku Stolpen.

Wśród tego naszego harcowania odbieram bilet od hr. Kellermanna następującej treści:

„A la reception de la présente vous quittez avec votre brigade le champs de bataille et marchez par la plus courte à Hellendorf en Bohême pour y rejoindre le 1-er corps d'armée, commandée par le général comte de Lobau, dont vous recevrez les ordres ultérieurs. Vous passerez l'Elbe à Königstein. Vous ne négligerez pas de prévenir votre collègue le général Umiński de la ténance de cette disposition, afin qu'il prenne ses mesures“.

Żadnej wiadomości o dyrekcyi ani drogach powziąć nie można było: z wojskowych nikt nie wiedział, a mieszkańcy ze wsi pouciekali. Szczęściem, mieszkając cztery blisko lata w Saksonii, dość dobrze pamiętałem położenia i, nie namyślając się, kazałem brygadzie zejść trzema w prawo i maszerować za mną polem bez drogi w dyrekcyi Königstein, jak miarkowałem. Pamiętając, że, ażeby dojść do Elby, trzeba było przebyć część gór skalistych, należących do tak zwanej Szwajcaryi Saskiej, przewidywałem wielkie trudności. Tam już niepodobna było instynktem się kierować. Zbliżywszy się do gór, spostrzegłem osadę, a że to było dość daleko od hałasu wojennego, dostałem we wsi przewodnika. Pokazało się, że maszerowałem dotąd w dobrej dyrekcyi. Przewodnik uprzedził mnie, że przebycie gór do Königstein będzie bardzo trudne, że tu niema drogi, są tylko ścieżki po skałach, urwiskach i strumieniach. Wyboru nie było: puściliśmy się w te bezdroża. Maszerowaliśmy resztę dnia i noc całą, najczęściej prowadząc konie w rękę i równo ze dniem stanęliśmy w Königstein, gdzie, przebywszy Elbę po moście, zatrzymałem się pod twierdzą dla nakarmienia ludzi i koni. General francuski, Mouton de Vernet, komenderował w twierdzy; na moją rekwizycyę rozkazał mi natychmiast dostarczyć wszystkiego zadość. Twierdza ta, jak wiadomo, zdobyta być nie może, gdyż ze wszystkich stron jest niedostępna dla skały, więcej niż tysiąc stóp wysokiej, na której jest zbudowana. Głodem także zmuszona być nie może, gdyż nader mały potrzebny garnizon miał-by dostatek gruntu na przysposobienie sobie żywności; nadto doskonałe, w skale wykute kazamaty i magazyny stale są opatrzone na siedm lat we wszelkie potrzeby. Żołnierze garnizonu, siedząc z lulkami na parapetach twierdzy, patrzyli na nasze trudy, jak na zajmujące widowisko. Do godziny jedenastej popasłszy dostatecznie, ruszyłem w dalszy pochód. Znaczne oddalenie i bardzo złe drogi

skłoniły mnie do przepędzenia nocy o milę od Hellendorf. Nazajutrz do południa byliśmy zatrudnieni czyszczeniem się, wchodząc bowiem do francuskiego obozu, chcieliśmy się korzystnie pokazać, a de-zcze ustawiczne i drogi rozbłoczone nie dobrze na nasz pozór wpływały. Ruszywszy około pierwszej, stanąłem o godzinie piątej w głównej kwaterze hrabiego Lobau. Ten, przejrawszy brygadę, kazał mi natychmiast maszerować do generała Dumonceau, którego dywizya formowała przednią straż o milę przed korpusem. Deszcz ulewny ze straszną burzą uczynił nam ten ostatni ruch bardzo nieprzyjemnym.

Przyczyną tak nagle o odesłania brygady do awangardy było, że generał Dumonceau miał tylko 30 koni jazdy, niedobitków pułku Wesfalskiego, a nieprzyjaciel, naprzeciw niemu stojący, miał liczny zbiór różnorodnej kawaleryi. Gdy, stanąwszy na miejscu, wszedłem do baraki generała, jakież było nasze zdziwienie, kiedy, spojrzawszy po sobie, poznaliśmy się nawzajem. W czasie mojego podróżowania poznałem najprzód generała tego w Amsterdamie na obiedzie u bankiera Kuders, a potem przyjaźń jego z Kościuszką powodowała mnie do częstego odwiedzania go w tem mieście. Jego zasady i opinie nie podobały się Napoleonowi, i dlatego był zaniędbywany, chociaż się bardzo odznaczył w poprzednich wojnach. Szczególnie kiedy książe York wylądował ze znacznem wojskiem angielskiem na brzegi Holandyi, śmiałe natarcie francuskie zmusiło go do schronienia się z wielką stratą na okręty i wrócenia do Anglii. Generał Dumonceau był bohaterem dnia tego. Przeszyty kulą przez piersi, leżał bez nadziei w poblizkiej chałupie; generał en chef Brienne przybył do niego z chorągwiami nieprzyjacielskiemi, a złożwszy je u nóg jego, rzekł:

— Tobie się wszystkie należą, generale, tyś to sprawił.

Później, nadspodziewanie wyleczony, był znów użyty, zawsze niechętnie, przez Napoleona.

Po zwyczajnych powitaniach, przeczytawszy raport, który mu podałem, zawołał:

— Maintenant nous sommes grands garçons!

gdyż dotąd liczna jazda nieprzyjacielska dawała mu się we znaki: nie było ani wedetów, ani patroli innych, jak z piechoty, które ani obozu zabezpieczyć, ani nieprzyjaciela obserwować zbliżka nie mogły. Wysłąłem przeto natychmiast wielkie warty i placówki naprzód przed obóz. Było to już ku wieczorowi; ulewa ciągle nam dokuczała. Żołnierze ani konie nie mieli żywności, oprócz tej, którą ze sobą na siodłach przywieźli; sztab korpusu wcale nie pomyślał o tem, tak, jak i w ciągu całej kampanii. Nieprzyjaciel, uwiadomiony o przybyciu jazdy naszej, chciał się naocznie przekonać. Około jedenastej w nocy,

kiedyśmy wszyscy jakimikolwiek barakami zasłaniaли się przed deszczem, usły-zeliśmy okropne „hurra!“ na całym froncie. Wściekły atak jazdy nieprzyjacielskiej, spędziwszy moje placówki, oparł się na wielkich wartach (grandes gardes), które nie ruszyły się z miejsca, i, po czezym halasie wrócił do swego obozu. Spokojność u nas nie została naruszona. Generał Dumonceau powiedział mi:

— Hier cela pouvait être d'un grand danger.

Nazajutrz, około dziesiątej z rana, nieprzyjaciel ukazał się w całej sile z piechotą i działami, rozpoczął ogień i atak na całej linii. Moja brygada stała na lewym skrzydle; jazda nieprzyjacielska zaczęła nas z tej strony oskrzydlać, gdyż na wielkiej drodze, która szła przez środek obu wojsk, ogień nasz armatni nie dał jej rozwinąć się. Wypadli na mnie najprzód huzarzy rosyjscy, których natarłem, nie namyślając się, dwoma szwadronami pułku 16-go ułanów, z pułkownikiem Obuchowiczem na czele. Przewróciliśmy uatychmiast tych huzarów, lecz mnogość jazdy nieprzyjacielskiej nie dała nam gonić i korzystać; napadnięci przez większą siłę, musieliśmy wrócić do frontu i całą brygadą ruszyć naprzód. Tak odparta nieprzyjacielska jazda już się więcej nie ukazała. Piechota nasza tymczasem cofała się nagle i prawie w nieporządku; pułki francuskie, poformowane z Holendrów, Belgów etc., już wówczas nie przypominały nawet męstwa dawnych wojsk. Ruszyłem z brygadą dla zasłonięcia nieladu,— wtem spostrzegłem działa opuszczone i woźniców, zabierających się do ucieczki pieszo. Kazałem ich łapać, zmuszać do wsiadania na zaprzężone konie, i tym sposobem ratowaliśmy opuszczone działa. Potem z całym korpusem cofnęliśmy się do ?..... i tam zajęli pozycję korzystną.

Hrabia Lobau, który był wszędzie obecny, dziękował nam i zapewniał, że cesarz będzie o tem uwiadomiony. Jakoż w rzeczy samej umieścił w raporcie swoim:

„Nous devons à la conduite de la brigade de cavallerie polonaise le salut du corps d'armée et moi celui de l'honneur“.

Słowa te były w buletynie, umieszczonym w „Moniteur“. Wkrótce przesłałem raport księciu Józefowi, wódz bowiem naczelny polski powinien był wiedzieć, co robią Polacy, chociaż do innych komend przyłączeni,—i odebrałem list własnoręczny, bardzo pochlebny. Odtąd uganiałiśmy się tylko nawzajem między Giesshübel i Peterswalde, zajmując stanowiska nieprzyjaciela, lub odstępując mu nasze.

Około połowy września postąpiliśmy naprzód aż za Peterswalde. Stanąwszy na szerokim i gładkim polu, ujrzeliśmy na równoległym wzgórzu naprzeciwko nas wielką linię jazdy nieprzyjacielskiej.

Co począć? Moja brygada już nie liczyła nad 650 koni. Wtem przybył do nas sam Napoleon z kilku szwadronami jazdy gwardyi. Na lewem skrzydle mojem był wzgórek, znacznie wyniesiony. Nagle stanął na nim cesarz, zsiadł z konia i długo obserwował linię nieprzyjacielską najprzód przez wielką perspektywę, kładąc ją na ramieniu jakiegoś generała, potem przez zwyczajną swoją ze słoniowej kości kieszonkową, — poczem, przechodząc się po wzgórk, ziewając, strudzony i znudzony ciągłemi przeciwnościami, zapytał, co to za jazda stoi na dole. Gdy mu odpowiedziano, że to brygada polska i że polski generał nią dowodzi, zawołał mnie. Pośpieszyłem na wzgórze. Trzeba sobie wystawić to solenne milczenie, które panowało około posepnego cesarza. Skoro stanąłem przed nim:

— C'est vous qui commandez cette troupe?

— Oui, Sire.

— Voyez-vous cette ligne? chargez la moi droit devant vous!

Poprawiłem kapelusza i wróciłem pędem do brygady. Straszny to był wyrok, bo widziałem przed sobą dziesięć razy mocniejszego nieprzyjaciela; obserwacyi wszakże żadnej robić nie można było, zawołałem przeto do moich:

— Polacy! Napoleon patrzy!

I kazałem ruszyć stępą; uszedłszy nieco, zakomenderowałem kłusa. Wśród tego ruchu, adjutant mój, Łuniewski, ostrzegł mnie:

— Czy widzi generał, co nasz kapral robi? (w wojsku nazywano Napoleona „le petit caporal“).

Obejrzawszy się, spostrzegłem w tyle za mojami skrzydłami i zdaleka postępujące szwadrony gwardyi w kolumnach. Nowy zapał — „galopem!“, a zbliżywszy się: „nacieraj!“ ze spuszczonej lincami, a huzary z podniesionym pałaszem. Zdawało się zrazu, że jazda nieprzyjacielska zamysłała dotrzymać, ale skorośmy się bardzo zbliżyli, wszystko znikło i uciekało bez ładu. Po jakimś czasie jednak wstrzymał się nieprzyjaciel, uformował i szarżował na nas: wstrzymał nas, ale nie na długo.

W tej chwili kilku lancierów pruskich rzuciło się na mnie; byłem w niebezpieczeństwie, ale porucznik od huzarów, Porczyński, z kilku ludźmi przypadł i oswobodził mnie i mojego adjutanta, Michała Walewskiego, któremu koń się związał w gwałtownym ruchu.

Natychmiast komenderowałem nacieranie całą brygadą, która ruszyła, a nieprzyjaciel spędzony został ostatecznie do lasu. Między szwadronami gwardyi, które za nami postępowały, był jeden lancierów polskich szefa szwadronu Jankowskiego. Ten, korzystając z nieładu nieprzyjaciela, wpadł z boku i wziął w niewolę Blüchera, syna głównego generała. W tej bitwie wzięliśmy kilkuset jeńców; z na-

szej strony dzielny szef szwadronu, Radoński, był ranny dżdżą w bok tak, że mu wyszły wnętrzności i ujęty został przez kozaków, ale siedział na koniu nadzwyczajnej chyżości, bo, mimo rany i dwóch kozaków, którzy go prowadzili, upatrzył moment i wrócił do swoich szeregów, żywy jeszcze, ale już niezdolny do służby. Chirurg królewski, Hedenius, wykurował go wprawdzie, ale już ani mocnego zdrowia, ani zwyczajnych sił nie wrócił.

Po ukończonej bitwie przybiegł do mnie generał Ornano, oświadczając mi, że cesarz był zadowolony ze sprawienia się brygady mojej w tym dniu. Tegoż dnia poszliśmy naprzód aż do wsi Zahra, nieco na lewo od traktu. Wieś ta położona na samym schyłku gór, nad doliną, która się rozciąga aż do Teplitz, w parowie ku dolinie. Moja brygada stanęła nade wsią, patrząc na dolinę, szwadron zaś lancierów Jankowskiego rozłożył się we wsi i, swoim zwyczajem, wygodnie rozkwaterował się po niej. Uważałem przeto ten szwadron jako w awangardzie. Z tem wszystkiem nie spuszczałem oka z doliny, którą całą widziałem ze swojego stanowiska. Sądziłem, że ten szwadron ma swoją wartę i placówki; nic z tego nie było, — oswojony z wojną sposobem francuskim, nie miał żadnej ostrożności. Ulica przez wieś, szeroka i prosta, kończyła się na dolinie. Dnia następującego spostrzegłem zrana ruch nieprzyjaciela na dole, a gdy siły jego coraz się powiększały, posyłałem co moment raporta o tem do sztabu korpusu. Nakoniec kazałem brygadzie mojej konie pokiełznać i stać przy koniach, nie ufając ostrożności szwadronu lancierów. Spostrzegłem wreszcie, że kilka pułków piechoty austriackiej rozwinęło się tuż przed nami, i że ustawiono 12 sztuk armat prosto w wieś i niedaleko od niej. O tem także posyłałem pośpieszny raport. Od przybycia cesarza objął tym razem dowództwo jazdy generał Ornano. Czy te raporta dochodziły cesarza, lub nie — nie wiem; stało się tylko, że cesarz przebiegł galopem pomiędzy moimi szwadronami, wpadł do wsi i był już w drugim końcu, kiedy nieprzyjaciel, spostrzegłszy to, rozpoczął żywy bardzo ogień w ulicę, naprzeciw której działa swoje miał ustawione. Niebezpieczeństwo było wielkie: bocznego ujścia żadnego nie było. Cesarz, zwróciwszy nagle konia, galopem wracał ulicą, po której go kule gonily. Szczęśliwie wszakże wyskoczył ze wsi i zaraz rzucił się na lewo, gdzie już był zasłonięty. Gniew jego, że nie był ostrzeżony o takiej bliskości nieprzyjaciela zaraz wywarł się na dowódcę jazdy, generała Ornano. Ten nie miał innej wymówki, jak zrzucić na mnie, że, będąc w przedniej straży, żadnego mu raportu o tem nie przesłałem. Tu była-by moja kolej być lajanym i tłómaczenia moje nie były-by mnie usprawiedliwiły, ale hr. Lobau ujął się z ogniem za swoim podkomendnym i oświadczył cesarzowi, że był

świadkiem, jak raporta generała Weyszenhoffa były co kwadrans posyłane. Cały zatem gniew spadł na Ornano, a my tymczasem staliśmy wystawieni na okropny ogień armatni, a później i ręczny, kiedy strzelcy austriaccy lasem wpadli na nasze prawe. Tam brygada moja uczyła się i emulowała z dragonami gwardyi, jak stać spokojnie pod ciężkim ogniem armatnim. Kule nas raziły, ale sąsiedztwo tej niewzruszonej gwardyi było szlachetnym przykładem dla moich. Nadbiegła też artylerya piesza i chciała się postawić przed środkiem mojej brygady, ale w tym dymie i hałasie zabrała się do tego z takim roztargnieniem, że, zajeżdżając, wyrócili działo, a potem, otwierając kofret z lontem w rękę, wysadzili całą amunicję w powietrze. Aż nakoniec przybiegło kilka dział lekkiej artyleryi gwardyi, te natychmiast zgasiły ogień nieprzyjacielski i do cofania się zmusiły. Austriaccy oddalili się zupełnie w kierunku Teplitz. Cesarz, pochwaliwszy nas, odjechał; my, przenocowawszy pod tą wsią, wróciliśmy nazajutrz na pozycję naszą pod Giesshübel. W tej potrzebie straciliśmy kilkadziesiąt ludzi; szczęściem dla nas, że kule dział, z dołu do góry strzelających, przynosiły. Szef szwadronu, Błędowski, był ciężko ranny w głowę kulą z ręcznej broni przez strzelców, którzy się ukazali na naszej prawej.

Tu się skończyły z naszej strony wszelkie działania zaczepne. Korpus hr. Lobau był, jak powiedziałem, złożony z popisowych nowych departamentów; już ten wódz nieustraszony nic z nimi śmiałego przedsięwziąć nie mógł. Staliśmy tu zatem aż do 15 października, w którym-to dniu uwiadomiony dowódzca, że się zbliża do nas nieprzyjaciel w znacznej sile, postanowił cofać się ku Dreznowi, gdzie był marszałek Gouvion Saint-Cyr z korpusem. Rozkazawszy przeto minie formować arriergardę i zostać na miejscu dwie dobre godziny po odejściu korpusu, sam z wojskiem pomaszzerował w tył.

Miałem przed sobą równoległy wąwóz, stałem przeto poza nim z rozwiniętą brygadą. Deszcze ciągłe w tym roku tak popsuly drogi, że artylerya doznawała największych trudności w postępowaniu. Z tej przyczyny widzieliśmy za wąwozem i blisko nas działa rosyjskie, które się ustawić chciały, ale uwięzły w głębokiej drodze i kroku naprzód ruszyć nie mogły. Zamyślałem wpaść na nie i, cofając się, uprowadzić, ale liczna jazda przybiegła na okrycie onych. Po wytrzymaniu tu nie dwóch, ale przeszło czterech godzin, kiedy korpus już ze dwie mile się oddalił, zacząłem się cofać od lewego, kolumnami, szwadronami, w całych odstępach. Mieliśmy za sobą równiny i obszerne pola; wielkie to było niebezpieczeństwo dla mojej szczupłej brygady, gdyż obszerne pole podawało wszystkie korzyści jeździe nieprzyjacielskiej, dziesięć razy liczniejszej. Cofałem się jednak

spokojnie aż do Pirny; tam dopiero ukazały się liczne hufce nieprzyjaciela, a na czele pułk huzarów pąsowych. Pułk ten rozwinął się zupełnie, skoro ja zatrzymałem brygadę i front odwróciłem. Sztabsoficerowie podjeżdżali bliżej i wołali, abyśmy próżno nie stawiali oporu, obiecując nam złote góry. Gdy się przekonali, że takowe exorty na nas żadnego skutku nie wywierały, zaszli plutonami w lewo i odmaszerowali zupełnie. Zostały tylko naprzeciw nas hordy baszkirów, kałmuków i kozaków, których nasze chorągiewki i lance trzymały zdaleka.

Po odejściu regularnej jazdy osądziłem, że mogę mój ruch dalej ciągnąć. Ledwom uszedł z ćwierć mili, aż się wszystkie hordy z przeraźliwym krzykiem rzuciły na nas. Zmuszony byłem stanąć i front odwrócić, ale zawsze w kolumnach, szwadronami i z odstępami—i ta hurma zatrzymała się także, oskrzydliwszy mnie prawie wkoło. Formacja moja w szwadrony czyniła mój szyk głębszym i zabezpieczała boki i tył. Środek nieprzyjaciela, zbliżywszy się do mnie najdalej na dwieście kroków, zaczął się niejako szykować, poczem ujrzeliśmy widowisko, dotąd nam nieznaną: wyleciała z pomiędzy tego środka chmura strzał. Strzały te zaczęły pojedynczo spadać na nas i jednaście ludzi mi raniły mniej lub więcej mocno. Szef szwadronu ułanów, Mikoszewski, dostał strzałą blisko pięściowego stawu pomiędzy dwie kości; przeszła wskroś i ułamała się tak, że grot wyglądał z obu stron, a nie można było go z żadnej strony wydobyć; cierpiał niezmiernie i długo się leczył. Druga strzała trafiła sztabstrębacza od huzarów, który z tej rany w kilka dni umarł. Reszta była lekko ranna. Po tym wybuchu wszystko spokojnie stało, a ja, obróciwszy trzema w tył, cofałem się jak najwolniej, bacząc zawsze na nieprzyjaciela. Skorom się zaczął cofać, hordy znowu z krzykiem na nas; kozaki tak docierały, że aż do frontu dobiegały pojedynczo, a jeden z nich ranił dzidą kapitana Linkiewicza, stojącego na skrzydle pierwszego plutonu ułanów. Porządek i spokój moich były jednak tak poważne, że te hordy naokoło nas biegały, ale natrzeć nie miały odwagi. Wtem upatrzawszy, że sporo ich wcisnęło się między moje prawe skrzydło, a przykopę bardzo wysoką, kazałem szwadronowi huzarów nagle rzucić się w bok i natrzeć gwałtownie. Kapitan Kuszel skutecznił ten ruch tak trafnie, iż odciął tej kupie odwrot i, wparłszy na przykopę, straszną im zadał klęskę. Brygada, stojąc zawsze w porządku, patrzyła na to. Wojsko, jakiegośmy nigdy nie widzieli, uciekało, nie używając nawet broni. Widziałem wtenczas osobliwszych żołnierzy, bardzo zblizka: kozuchy poprzewracane, kapelusze śpiczaste białe, czerwone, błękitne, sahajdaki na plecach. Padła ich znaczna liczba, a ujęliśmy dwóch rotmistrzów, z którymi nikt rozmówić się

nie mógł, gdyż i po rosyjsku nie mówili,—i stu kilkudziesięciu jeźdźców. Po tym hałasie cała jazda nieprzyjacielska cofnęła się zupełnie, a my, przybywszy pod Pirnę, nocowaliśmy na polu.

Nazajutrz rano ruszyłem ku Dreznowi, trochę niepokojony z tyłu przez kozaków, ale bez starcia się. Pomyślność poprzedniego dnia byłem winien jedynie spokojowi i porządkowi brygady. Doświadczyłem, iż jedynie porządek w takich razach od wielkiej klęski uchronić może. Gdybym chciał z brygadą szarżować, przełamał-bym zapewne wszystko, ale taki nieprzyjaciel, co się salwuje ucieczką na wszystkie strony, aby się natychmiast znowu zebrać, korzysta z nieładu i nieprzezorności, okrąża zewsząd, nawzajem naciera i najczęściej tryumfuje. Groźny spokój jest w takim razie jedynym środkiem. Gdy już zbliżyłem się do Drezna, kozacy wpadli po mojej prawej na warty piechoty francuskiej. Pobiegłem natychmiast ze szwadronem hużarów w pomoc i ocaliłem je, już w nieładzie będące. Przed miastem stały w szyku i pozycji poważne siły, gdyż korpus marszałka Saint-Cyr wystąpił na linię. Hrabia Lobau przybiegł do mnie i serdecznie mnie uściskał, mówiąc:

— Vos braves ont trop travaillé pour ne pas mériter un ample repos; l'Empereur aura connaissance de votre conduite.

A obracając się do jednego ze swoich generałów, rozkazał, aby moją brygadę zaprowadził w tył w bezpieczne i wygodne ogrody miejskie. Tu miałem wypadek, który mnie ledwo oka nie pozbawił: generał, prowadzący nas, jadąc przede mną pomiędzy owocowymi drzewami (było już dobrze szaro), zalał gałąź jabłoni, czego ja już widzieć nie mogłem; gałąź tak sprężyście odskoczyła, że, uderzywszy mnie po samych oczach, mocno mnie raniała. Mówię o tem dla tego, że już odtąd nie mogłem dowodzić moją brygadą. Hedenius chirurg, któremu mnie oddano, nie był pewien przez 24 godziny, czy oko odzyskam; staraniem jednak jego zostałem wyleczony i dość rychło. Marszałek Saint-Cyr, jako starszy, objął tu dowództwo ogólne. Dla kuracyi przenieśliśmy się do miasta. Wojsko rosyjskie, pod dowództwem generała Tołstoja, zajęło położenie od strony Grossgarten i ustawiło baterję pozycyjną na wzgórzu tak blisko, że mogło razić nie tylko nasze konie, ale i do miasta wygodnie strzelać. Marszałek uznał konieczność spędzenia tego nieprzyjaciela, zwłaszcza że wiedział, że oprócz artyleryi, cała komenda generała Tołstoja była złożona z nowych pułków. Uwiadomiony będąc o dyspozycjach w tym celu, zerwałem się i z zawiązanem okiem pośpieszyłem do brygady. Tam otrzymałem rozkaz, aby wprost przed baterją nieprzyjacielską jazda moja szwadronami rozstawiła się po polu. Piechota ruszyła, ciągnąc w prawo dla obejścia pozycyi atakowanej, a skoro już na

wzgórzu postępować zaczęła, przypuściłem atak wprost i od lewego; piechota nieprzyjacielska nie dotrzymała, opuściła swoją baterię i w nieładzie uchodziła. Działa zatem dostały się natychmiast w nasze ręce, a goniąc za piechotą, ujęliśmy jej kilkaset ludzi. Szwadrony moich huzarów, wpadłszy na cały batalion, do złożenia broni go zmusiły. Po tej pomyślnej wyprawie wróciliśmy na nasze miejsce pod miasto.

Tu się zaczęły już smutne okoliczności. Brygada moja, zmniejszona do stu kilkudziesięciu ludzi, zdolnych do boju, wszyscy prawie oficerowie ranni, lub polegli. Ja sam cierpiący na oko, posłałem grosmajora Wacława Gutakowskiego dla objęcia dowództwa nad resztą brygady, którą już kapitan komenderował, bo sztabs-oficerowie wszyscy byli ranni. Major Gutakowski tak był nieszczęśliwy, że ledwo stanął na czele, jakaś zabłąkana kula kozacka strzaskała mu rękę i ten wrócił do miasta. Odtąd też już nic z obu stron nie przedsiębrano.

Są plamy w życiu sławnych ludzi, które historia pokrywa, lub omija, dla uświetnienia pochwalnych obrazów; plamy te, objawione, całe-by świetne życie przyćmiły. Postępowania marszałka Saint-Cyr w tej epoce żaden historyk zapewne nie wykaże, oszczędzając jego poprzednie czyny. Niechęć ku Napoleonowi nie może go usprawiedliwić. W jego mocy było wielką zrobić dywersję na korzyść wielkiej armii, a przynajmniej ratować kilkadziesiąt tysięcy Francuzów. Twierdze Torgau, Wittenberg, Magdeburg — wszystkie nad Elbą w dół tej rzeki, w rękę naszem będące, czyniły nas panami obu brzegów i ułatwiały nasze połączenie się z marszałkiem Davoust'em pod Hamburgiem. Siły, któremi dowodził w Dreźnie Saint-Cyr, składały się z 20,000 piechoty, licznej artylerji, opatrzonej działami i amunicją dostateczną. Jazdy wprawdzie miał mało: resztę mojej brygady, cały pułk ułanów, doświadczonych w Hiszpanii, na teraz pod dowództwem pułkownika Tańskiego, i parę szwadronów dragonów francuskich. Te siły mogły być powiększone przez zebranie załóg z twierdz, które, oprócz Magdeburga, były już skazane na poddanie się. Ale Saint-Cyr nie widział tylko trudność tego długiego pochodu dla połączenia się z Davoust'em. Mijam przecież, że przy złej chęci na nie się odważyć nie chciał, chociaż go nic gorszego spotkać nie mogło, jak haniebna kapitulacya w Dreźnie; mijam, że, mimo wołania wszystkich swoich generałów, a hrabiego Lobau szczególnie, postanowił z tak znacznemi siłami zakończyć poddaniem się. Lecz czego ominąć nie mogę, to jego opieszałość i okrutną obojętność w opatrywaniu wojska, pod dowództwem jego będącego. Wojownicy francuscy błakali się po ulicach Drezna zgłodniali; sam widziałem biedaka, zbiera-

jącego na śmietniku okrawki kartoflane i jedzącego je na miejscu. Ranni tak dalece nie mieli opieki, ani schronienia, że codziennie widziano po ulicach, dziedzińcach i bramach umarłych z nędzy i nieopatrzenia. Wychodząc raz z mojej kwatery w wilią kapitulacyi, znalazłem w powozach, stojących przed bramą, czterech żołnierzy francuskich umarłych. Żadnego magazynu, żadnego lazaretu, a przecież marszałek stał spokojnie od niejakiego czasu w tem mieście i wiedział dobrze, że korpus hr. Lobau ma się tu połączyć z jego korpusem; stał w stolicy zamożnego kraju; ani na domach wygodnych na lazarety nie zbywało, ani o zapasy żywności i furazu nie było trudno. Oficerowie administracyjni, jak komisarze wojenni, lekarze etc., widocznie dzielili jego szkaradną obojętność, gdyż kiedy wojsko umierało z głodu, ran i niewygód, oni, świecąc haftowanemi mundurami, wyświeżeni, jak w największej pomysłowości, jeździli kabrioletami na śniadania do siebie.

Stan taki był przygotowaniem do kapitulacyi. Wszelako Saint-Cyr, chcąc jakiemś formami usprawiedliwić krok ten nikczemny, rozkazał wysłać wzwiady w stronę ku Meissen wzdłuż Elby. To się działo w kilka dni po odebranej wiadomości o klęsce pod Lipskiem. Nieprzyjaciela mieliśmy tylko od strony przeciwnej, to jest od Grossgarten — hrabiego Tółstoj, dowodzącego samymi „opółczenkami“, wojskiem, niezdolnem nam dotrzymać. Uskuteczniając powyższy rozkaz, hr. Lobau polecił mi wysłać pluton jazdy, co uczyniłem, wybierając ten oddział z reszty huzarów, i powierzyłem go kapitanowi, Ignacemu Kuszłowi, mężnemu i doświadczonemu oficerowi. Podjazd ten spotkał o pół mili od miasta kilkunastu huzarów węgierskich; z którymi starłszy się gorąco, spędził ich i doszedł spokojnie do Meissen, gdzie powziął pewną wiadomość, że w tej stronie i wzdłuż Elby nieprzyjaciela nie było. Kapitan Kuszł, ranny w nogę kulą karabinową, wrócił do Drezna z tą wiadomością, która, zamiast skłonić marszałka do cofania się wzdłuż rzeki od twierdzy do twierdzy, posłużyła mu tylko do ubarwienia jego przedsięwzięcia: wysłany patrol spotkał nieprzyjaciela — więc miasto było zewsząd otoczone.

Zatem kapitulacya została podpisana przez marszałka ¹⁾, a ze strony nieprzyjaciela przez hr. Klenau, generała en chef, przysłanego z wielkiej austryackiej armii. Warunki były, że wychodzące wojsko złoży broń i pójdzie spokojnie do Francyi z obowiązkiem nie służenia przez rok cały przeciwko sprzymierzonym; wszystkie bagaże

¹⁾ Dnia 11 listopada 1813 roku.

oficerskie i żołnierskie nietknięte pójdą wraz z wojskiem; oficerowie zatrzymają swoją broń etc. etc. Skoro złożenie broni zostało uskutecznione, generał Klenau odebrał depesze od księcia Schwarzenberga, niepotwierdzające tej umowy i rozkazujące prowadzić wojsko francuskie w niewolę do Węgier. Rozbrojone wojsko musiało się poddać temu wyrokowi. Haniebny podstęp! Powstało powszechne mniemanie, że marszałek był uprzedzony i w porozumieniu. Nie umiem obwiniać go o tak niegodziwy postępek, ale wszystkie okoliczności zdawały się potwierdzać to mniemanie.

W pierwszej umowie było, iż pozostający chorzy i ranni będą następnie wyprawieni do Francyi w miarę przychodzenia do zdrowia; między tymi chorymi byłem i ja, cierpiący na oko od uderzenia, o którym wspominałem. Po oddaleniu się wojska naszego zostało ze mną dużo moich oficerów; jedni postanowili iść do niewoli węgierskiej, skoro będą mogli, drudzy, zrażeni oszustwami, powrócić do domu. Ja byłem z liczby ostatnich, zwłaszcza gdy hr. Tolstoj przysłał do mnie adjtanta swego, podpułkownika Buturlina, oświadczając, iż, gdybym chciał wrócić do kraju, wyda paszport mnie i moim sztabowym oficerom. Nie namyślałem się długo: widziałem wszystko stracone, niemożność służenia dalej naszej sprawie, długą tylko i nieużyteczną tułaczkę po obcych ziemiach, a z drugiej strony smutne położenie naszego kraju i opuszczoną żonę z dzieckiem, potrzebującą mojej obecności i pomocy w najkrytyczniejszych okolicznościach; nie wahałem się, mówię: przyjąłem paszport do Krakowa. Przedałem, jak mogłem, wszystkie wierzchowe konie dla udzielenia moim towarzyszom sposobności wrócenia i ruszyłem z kapitanem Mieroszewskim i Michałem Walewskim w podróż, inni pojechali osobno.

Bez trudności ani przygód przybyliśmy do Krakowa. Żona moja żyła tu w towarzystwie dawnych przyjaciółek, pani Walewskiej i pani Turno, jak najciszej i najskromniej. Nie opisuję jej radości, kiedy ujrzała mnie w domu; zdawało się, że wszystko złe już minęło. Mogłem się teraz oddać bez przeszkody staraniom około mojej rodziny. Znalazłem w mieście komendanta, niejakiego majora Awaryna, który się mniemał być królem Krakowa. Pan Wielogłowski, zastępca prefekta, człowiek niepospolitego charakteru, oparłszy się stanowczo jego rozkazom, dowiódł mu, że jego władza nie była nieograniczoną, a później przybyły z Francyi generał en chef, Jermolow, utarł do reszty rogów dumie tego dzikiego człowieka. Ja tymczasem udałem się do pana Józefa Niemojewskiego z prośbą o pożyczanie mi pewnej sumki do ukończenia procesu z Bobrowskimi. Jakoż nie odmówił mi i pożyczył 500 dukatów. Z tym zasiłkiem czekałem końca sprawy i myśleć zacząłem o dalszym zawodzie życia. Uradziliśmy z żoną

wziąć się do gospodarstwa wiejskiego, a że na kupienie ziemi funduszu jeszcześmy nie mieli, postanowiłem starać się choćby o dzierżawę. W tym celu badałem okolice Krakowa, nakoniec pisałem do księżnej marszałkowej Lubomirskiej do Wiednia, która natychmiast przysłała rozkaz do p. Drahe, plenipotenta swojego, aby mi wypuszczono jaki folwark z dóbr Staszowskich, ale nie mogłem się zdecydować. Tu wspomnę z wdzięcznością o niewzwywanej przeze mnie troskliwości rodziny mojej. Kiedym się najmniej spodziewał, przybył do nas brat mój, Wincenty, z Inflant, przywożąc mi 800 czerwonych złotych dla zaradzenia potrzebom naszym, sądził bowiem, żeśmy w najsmutniejszym położeniu po tak okropnej zmianie i utratkach. Pomoc ta nie była w istocie zbyt cenna, zwłaszcza gdy w styczniu 1815 roku żona moja powiła córkę, Helenę, i wydatki nasze się powiększyły.

NB. Jako świadectwo o postępowaniu Weyssehoffa i jego brygady w kampanii 1813 roku, porównaj listy do niego księcia Józefa Poniatowskiego i hrabiego Lobau w anneksach NN.

PIŚMIENNICTWO.

Józef Jeziorański: „Potrzeby stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem.“
Warszawa, 1902.

Przed laty dwunastu autor umieścił w „Słowie“ szereg prac, ujawniających potrzeby stanu włościańskiego. Od tego czasu sprawa mało się posunęła naprzód, tak, że powyższe studia nic prawie z żywotności swej nie straciły. Autor ogłosił więc je drukiem po raz drugi nie tylko dla tego, że dla wielu będą nowymi, lecz zwłaszcza, że mogą się przyczynić cokolwiek do rozbudzenia w czytelniku słusznego zajęcia się losem podstawowej, najliczniejszej, a niemogącej zaradzić potrzebom swoim, części społeczeństwa naszego. W pracy swej autor poświęcił bardzo mało miejsca przeszłości, dając tem samem do poznania, że cała jego uwaga skupioną jest na stan włościan teraźniejszych, to jest wytworzony ukazem uwłaszczającym z 1864 r. Autor uważał za stosowne uprzednio zaznaczyć, że nieuzasadnionemi są te zarzuty, iż opinia większych właścicieli nieprzychylną była uwłaszczeniu. Mamy wszelką podstawę utrzymywać, powiada on, że reforma z roku 1864 znalazła w umysłach grunt przygotowany. Niechęć, o jaką względem reformy pomawiano właścicieli, nie dotyczyła też nigdy głównej zasadniczej myśli uwłaszczenia. Odnosiła się ona do niektórych pojedynczych przepisów, więcej jeszcze do szczegółów wykonania, które niejednokrotnie surowszemi były od zamiarów prawodawcy, a głównie do niezupełnego załatwienia innych, z reformą jaknajściślej powiązanych, kwestyi.

Omawiając warunki ogólne, w jakich znaleźli się włościanie po roku 1864, autor zauważył, że tak w epoce reformy, jak i dzisiaj, dokładna separacya gruntów włościańskich i połączenie w całość każdej pojedynczej osady (komasacya), usunięcie wszelkich wspólnych

używalności i służebności, jak najmocniej jest pożądanem. Początek temu niejaki dało prawo z 1875 o separacji. Doświadczenie wszystkich czasów i krajów z nieprzepartą siłą dowiodło, że wszystko to są warunki dla trwałego dobrobytu włościan nieodzowne. To też Prusy, kraj rządzący się we wszystkich krokach swoich przezornością, wyrachowaniem i oszczędnością, w polityce swojej wewnętrznej o los włościan tradycyjnie dbały, nie cofa się przed wyłożeniem ogromnych na powyższe cele kapitałów, o ile tych celów zaraz przy samem uwłaszczeniu nie załatwił. Własność włościańska, oparta na zasadzie indywidualności, potrzebuje niewątpliwie zaczerpnąć z tradycji to, co w niej było dobroczyнного, a jednocześnie uszlachetniającego, mianowicie pojęcie łączności interesów gromadzkich. Lecz aby wydała owoc pożądany, winna ona uprzednio stać się rzeczywiście indywidualną, a więc wolną od wszelkich wspólności pomiędzy włościanami a folwarkiem, od używalności pasania na gruncie każdej z pojedynczych osad, całej gromadzie przysługujących, gdyż wszystko to stanowi jedynie przeszkodę do prawdziwego rozwoju.

Oświecone klasy, zdaniem autora, żywo uczuwają i uznają potrzebę podniesienia stanu włościańskiego na wyższy stopień uspołecznienia, utrzymania onego, a nawet podźwignienia w dół robycie, umocnienia w świadomości praw jego i obowiązków. Aby warunki spełniania wymienionych zadań pod względem społecznym najżywotniejszych, oprócz na gruncie praktycznym, autor przytoczył w dosłownych wyciągach zebrane z rozmaitych okolic kraju przez ludzi dobrej woli, a dotyczące stanu włościańskiego wiadomości. Z nich wypływają te nieprzeparowane wnioski: 1) że właściciel osady 6 morgowej, w średniourodzajnych gruntach położonej, znajduje się u nas w warunkach ekonomicznych nierównie gorszych od parobka folwarcznego, głównie z powodu marnowania czasu i nie wychodzenia na zarobki; 2) że utrzymanie w niepodzielności osad mniejszych, nie mogących bez pobocznego zarobku utrzymać należycie właściciela, nie tylko za pożądane uważanem nie jest, ale poczytuje się ogólnie za nader szkodliwe, jako prowadzące do szybkiego mnożenia się proletaryatu wiejskiego; 3) że natomiast utrzymanie klasy włościańskiej, jako niezależnych właścicieli ziemi, nie potrzebujących szukać pobocznego zarobku, uważanem jest ogólnie za rzecz pożądaną, lecz możliwą jedynie przy znacznej rozległości osady i utrzymaniu onej w niepodzielności; 4) że prawo zabraniające dzielenia osady na części mniejsze od 6 morgów bywa najczęściej przez włościan wymijane i nie osiąga celu, a wyradza w stosunkach majątkowych włościańskich stan nielegalny; 5) że we wsiach skolonizowanych, gdzie grunt każdej

z osobna osady nie jest rozrzucony w działkach, ale skupiony w jedną całość, wzrasta zamożność i osada przechodzi w ręce jednego spadkobiercy, gdy tymczasem większość wsi u nas posiada grunta orne w trzech odległych od siebie polach rozrzucone; 6) że należyte urządzenie gruntów włościańskich nie mogło-by nigdy nastąpić, gdyby na przeprowadzenie onego wymaganem było w każdej wsi jedno-myślne żądanie całej gromady; 7) że dla utrzymania osad w niepodzielności bardzo potrzebnym jest dla włościan kredyt długoterminowy i tani; 8) że wreszcie za najskuteczniejszy środek utrzymania osad w niepodzielności uważanem jest ogólnie— rozszerzenie wolności testamentowej włościan. Wnioski te wprost z życia wzięte uderzają zadziwiająco swoją zgodnością ze zdaniem najbogiejszych w tej materii ekonomistów, konkluzjami kongresów naukowych i rolniczych, wreszcie z kierunkiem, jaki w najnowszych czasach przybrały w ościen-nych krajach prawodawstwa. Dadzą się one ująć w dwa główne postulaty, których treść stanowią: 1-o ułatwienie dokładnej separacyi gruntów włościańskich; 2-o ułatwienie przechodzenia niepodzielnego większych osad w ręce jednego spadkobiercy. Od ziszczenia tych celów zależy bezpieczna przyszłość stanu włościańskiego.

W osobnym rozdziale zastanawia się autor nad urządzeniem osad, wskazując przedewszystkiem cel i znaczenie komasacyi. Już w 1851 znajdujemy w rocznikach gospodarstwa krajowego rozprawę, w której szkodliwość gospodarczą i ekonomiczną niedokładnej separacyi gruntów włościańskich przedstawiona jest wszechstronnie i wyczerpująco. Czterdziestoletni wpływ czasu nie osłabił doniosłości i trafności zawartych w tem źródle uwag. Autor posiłkuje się też niemi, aby je w pamięci powszechnej odświeżyć. Według pojęć najogólniejszych, zdaniem autora, komasacya polega na połączeniu rozrzuconych gruntów całej miejscowości w jeden lub kilka możliwie najobszerniejszych foremnych działów, celem nowego, a dla dawnych posiadaczy jaknajkorzystniejszego tych gruntów między nich podziału. Czynność ta przedsięwzięta na żądanie wszystkich właścicieli lub też pewnej prawem oznaczonej części i wykonywa się przez właściwe urzędy, według ogólnych w tym celu wydanych przepisów. Szczegółowe przepisy, wprowadzające w czyn komasacyę, i dodatnie rezultaty, jakie z niej w Niemczech osiągnięto, przedstawił autor dokładnie i zajmująco, a następnie przechodząc do rezultatów komasacyi i sposobów wprowadzenia jej u nas oświadcza: że niezawodnie w każdej wsi znajdzie się u nas część włościan pragnąca urządzenia osad i część onemu przeciwna. Pierwsza, pomijając już względy ekonomiczne, ma ten tytuł za sobą, że, według obowiązującego prawa cy-

wilnego, nikogo do pozostawiania w niepodzielności zmuszać nie można; gospodarowanie zaś na rozrzuconych polach, podzielonych pomiędzy włościan na wązkie szmatki, zmusza każdego z nich do niewolniczego ze zmianowaniem, ugorowaniem, porą żniwa i uprawy, do sąsiadów stosowania się, słowem do służebności z natury rzeczy wynikającej. Z tych wszystkich względów nie należało-by wymagać, aby uchwała gromadzka, o potrzebie komasacyi stanowiąca, dopiero przy jednomyślności głosów stawała się obowiązującą, jak to ma miejsce obecnie. Nie należało-by żądać w tej materji nawet większości $\frac{2}{3}$ głosów, jak w innych sprawach gromadzkich, lecz z uwagi na wszechstronnie u nas i w innych krajach doświadczoną wielką pożyteczność należytego urzędzenia osad, można-by zadawałniam się skromniejszą większością, a nadewszystko należało-by liczyć głosy nie podług ilości głów, lecz podług posiadanych przez nie przestrzeni.

Ponieważ jednak zdaniem osób dobrze z położeniem obznajomionych opierać się komasacyi będą u nas raczej zamożniejsi niż ubożsi włościanie, wypadało-by zatem postanowić, iż prosta większość głosów, tak samo na głowy, jak i na przestrzeń podług podatku liczona, jedna czy druga, czyni komasacyę dla ogółu wiejskiej gromady obowiązującą. W całym dziele komasacyi rzadzić się należy dokładną znajomością ekonomii gospodarczej, jasnym zrozumieniem potrzeb włościan i samego celu urzędzenia, raczej niż literą przepisów. Połączenie gruntów rozrzuconych nieraz już nie w trzypółowce, ale w kilkunastu działkach po kilka w jedną całość, tak, aby gospodarstwo zyskało ekonomiczną swobodę, już będzie znakomitym postępem, a niekiedy zupełnem zadania rozwiązaniem.

Do nadającego swobodę ziemi należytego urzędzenia osad w naszym kraju wielce dopomódz może bank włościański, jeżeli wnabywanych za jego pomocą dobrach do urzędzenia tego należyta da podniętę, a następnie, jeżeli nie odmówi kredytu wsiom, powstałym z uwłaszczenia, pragnącym za przykładem tamtych przejść na porządek kolonialny, co zwykle wymagać będzie przykupna gruntu, tak, że udzielenie kredytu tego zasadam ustawy bankowej, w artykule 1-ym, z roku 1882 wyłuszczonej, w niczem się nie sprzeciwi. Założeniom banku tak blisko odpowiada też udzielenie włościanom kredytu umarzalnego na samo przeprowadzenie komasacyi, że uzyskanie Najwyższego w tym względzie zezwolenia wątpliwości ulegać nie może. W krajach, gdzie rząd popiera komasacyę, powszechnie, przed jej dokonaniem wszelkie usuwają się służebności. Zaniedbanie pod tym względem było-by w istocie wielce nielogicznym, następnie bowiem

w razie układu i pozyskania wzamian za służebności gruntów, było-by do wyboru: albo komasacyę, z wielkim mozołem i kosztem dokonaną, na nowo rozpoczynając, albo do rozrzucenia gruntów powrócić. Nie mogą też nastęczyć się warunki więcej sprzyjające usunięciu służebności na gruntach dworskich, jak przy urządzeniu osad, wtedy bowiem włościanie w widokach dogodniejszego skupienia gruntów nierównie do zawarcia układu o zamianę służebności będą skłonniejsi, gdyż zamiast skupywać grunta przedzielające ich własność, otrzymać je będą mogli z zamiany.

Następnie, autor zastanawia się nad kredytem dla włościan i przychodzi do przekonania, że kredyt na ziemi oparty winien wogóle odpowiadać następującym warunkom: 1-o dostępnym być każdego czasu z jaknajmniejszym dla biorącego kosztem; 2-o niewymagalnym, dopóki dłużnik opłaca procent; 3-o niskoprocentowym; 4-o umarzalnym w ratach; 5-o splacalnym na żądanie dłużnika każdego czasu, w całości lub części; 6-o nie przekraczającym wraz z amortyzacją i kosztami możliwości dochodowej ziemi. Niemal wszystkim tym warunkom odpowiadają pożyczki Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Gdy wszakże wypadki, w których wolno Towarzystwu udzielić kredytu na osadę włościańską, są bardzo nieliczne, a nadto, gdy koszta wzięcia pożyczki w Towarzystwie nader są znaczne, wypadło-by więc obmyślić oddzielną instytucję kredytową dla włościan. Podobną instytucję, w której pożyczka na osadę dochodzi do wysokości 22 razy wziętego dochodu kadastralnego, urządzono przy oddziale związku włościańskiego dla prowincyi westfalskiej w roku 1877. Przez 10 lat istnienia instytucya ta wydała listów zastawnych nominalnie na 25 milionów marek, z których na 4 miliony w samym r. 1877.

Niema wątpliwości, że instytucya taka, przy nabytem u nas co do Towarzystw kredytowych doświadczeniu, przy staranności, zwróconej ku obniżeniu kosztów wzięcia pożyczki, miała-by wszelkie warunki powodzenia, a była-by bardzo pożyteczna zarówno dla spadkobiercy, utrzymującego się przy osadzie, jakoteż dla jego współspadkobierców, dla których jednorazowy odbiór spłaty wielkiem byłby dobrodziejstwem. Aby jednak przez zbytne ułatwienie kredytu, nie doprowadzać włościan do wchodzenia w niepotrzebne długi, a co większa, aby nie wysuszać na cele drugorzędne źródła mogącego spełniać zadanie dla bytu włościańskiego najważniejsze, jakim jest ułatwienie działów spadkowych, wypadło-by ograniczyć operacye instytucyi kredytowej ziemskiej dla włościan do samego tylko udzielania poży-

czek na spłatę współspadkobierców, obciążenie bowiem osady w tem ograniczeniu w zupełności odpowie niezbędnej potrzebie i sprawiedliwości. Bank włościański w Królestwie dobrze odpowie swemu założeniu, jeżeli zamożniejszym włościanom do powiększenia posiadanej przez nich przestrzeni dopomoże, a tembardziej, że w kraju naszym przeważa kategoria osad albo niżej 10 morgów, które na utrzymanie rodziny nie wystarczają, lub średnich, których połowa nie osiąga średnicy przeciętnej 14 morgów. Tę ostatnią kategorię stale zmniejszając, bank włościański dobrze zasłużył-by się przyszłości stanu włościańskiego, co wcale nie przeszkadza, że kredyt na kupno małych kawałków ziemi udzielony ludności bezrolnej, pragnącej własną mieć osiadłość, a na pobudowanie się nie pozbawionej zasobów, dobrze i właściwie będzie użyty. Przy gruntownem poznaniu potrzeb włościan, przy umiejętnem wzięciu się do rzeczy, bank włościański w zakończeniu sprawy uwłaszczenia, wyprowadzenia onej ze sfery poprawek i przeróbek na drogę żywotną, organiczną, dla przyszłości płodną, oddać może nieocenione usługi, nierównie przewyższające samo geometryczne powiększenie włościańskiego obszaru.

Omawiając kredyt osobisty, autor utrzymuje, że rolnik jest niesłychanie zależny od wypadków losowych. Jeżeli pozostawiony będzie własnym siłom, upadek inwentarza, nieurodzaj, pogorzel, powódź, mogą przyprawić go o ruinę. Obmyślenie zatem dla drobnych właścicieli taniego kredytu osobistego koniecznem jest dla ich bezpieczeństwa. Skutecznie do tego zdąża rozgłośna organizacja kredytu Raiffeisenowska. Na początek u nas wielką korzyść oddać mogą fundusze istniejących kas pożyczkowo-wkładowych, które wogóle stanowią materiał bardzo przydatny dla założenia kas Raiffeisenowskich. W tym celu należało-by do zarządu każdego stowarzyszenia powołać między innymi osoby powszechnem cieszące się zaufaniem, a w następstwie niewątpliwie kasy pożyczkowe, rządząc się zasadami Raiffeisena, i u nas nie mniejszy niż gdzieindziej przyniosą pożytek. Od nadania właściwego kierunku kasom pożyczkowym zależy całkowicie ich użyteczność i rozwój. Rozwój zaś ich zależy od zaufania, jakie ku sobie wzbudzić potrafią, wtedy bowiem dla oprocentowania popłynie do nich każdy pieniądz, posiadaczowi od bezpośrednich potrzeb zbywający.

Zastanawiając się nad wolnością testamentową, autor zauważył, że prawodawstwa państw ościennych, od lat mniej więcej dwudziestu zmierzają do zapewnienia niepodzielności osad, drogą rozszerzenia wolności testamentowej, w tem przypuszczeniu, że przy pozostawie-

niu ludności wiejskiej większej swobody, a ułatwieniu jej dróg prowadzących do zapewnienia osadom niepodzielności, ludność ta, własnym kierowana pożytkiem, sama najwłaściwszy obierze kierunek. I rzeczywiście dobrze zrozumiany interes poprowadził włościan nie tylko na obczyźnie, ale i u nas, do zapisu całej osady na rzecz jednego spadkobiercy, z wyznaczeniem spłaty pozostałym. Właściciel osady z gruntami rozrzuconemi zwykle mało dba o pozostawienie onej w jednych rękach i taki rzadko kiedy z wolności testamentowej korzystać będzie. Ten dopiero, który posiada grunt w skupieniu i uzyskaną ma przez to swobodę dzwignięcia go pracą i zastanowieniem się na wyższy stopień kultury, dba o to, aby jego usiłowania, dla przyniesienia owocu długich lat potrzebujące, nie poszły na marne przez rozkawałkowanie osady, aby z uich nie korzystał kto inny, tylko jego potomek. Rozszerzenie dla właścicieli osad większych wolności testamentowej w nierozzerwalnym jest związku z urządzeniem osad. Dopiero razem wzięte te dwa środki mogą krajowi zapewnić utrzymanie krzepkiego stanu włościańskiego, którego-by posiadłości, na równi ze spuścizną starych wierzeń i tradycyi, przechodząc z ojca na syna niepodzielnie, stanowiły fundament dobrobytu i umoralnienia tej najliczniejszej, a tak ważnej dla społeczeństwa, klasy ludności.

W samym końcu poświęcił autor uwagę hipotekom włościańskim, zaznaczając, że jeżeli z obawą przeciążenia włościan długami liczyć się zaczniemy, wystąpią na jaw względy pierwszorzędne, które nam potrzebę hipoteki dla włościan uwidomią, a mianowicie: 1-o że zabezpieczy ona włościaninowi własność osady, spadkobiercom ich prawa, 2-o że dając kredyt jawny, przyczyni się do powstrzymania lichwy, 3-o że przez jawność umowy utrudni tranzakcyje podstępne i rujnujące, 4-o że dla oszczędności włościańskich bezpieczne utworzy umieszczenie, wyprowadzając stopniowo z użycia zwykle między włościanami na zastaw gruntu pożyczki, dla dłużnika zgubne, 5- że przyczyni się do zmniejszenia u włościan pieniacstwa, w niejasności stosunków majątkowych główne biorącego źródło, i wreszcie, 6-o że stanowić będzie podstawę dla publicznego włościan kredytu, który przez właściwie ułożone warunki wpływać może nader pożytecznie na dalsze kształtowanie się własności mniejszej. W dalszym ciągu nasuwają się autorowi następujące co do hipotek włościańskich postulaty: 1-o iż dla włościan odseparowanych oddawna powinna być hipoteka obowiązkową z terminem prekluzyjnym, przez prawo oznaczonym, dla pozostałych zaś włościan dowolną, 2-o iż w regulacji hipotek przymusowej władze włościańskie przez złożenie dokumentów czynny powinny wziąć udział, 3-o iż hipoteka dla włościan urządzona po-

winna być przy sądach pokoju, co nietyczyło-by gruntów z pomocą banku włościańskiego nabywanych, 4-o prowadzoną powinna być w księgach, nie zaś w aktach, 5-o prowadzoną dla każdej wsi w jednej wspólnej księdze z oddzielnym i całkowitym dla każdej księgi wykazem, 6-o niedopuszczającą aktów sporządzonych według art. 74 ustawy notaryalnej na podstawie samego domniemania o tożsamości osoby. W końcu autor oświadcza słusznie, że urządzenie hypotek zrówna włościan pod względem rzeczowym z innymi obywatelami kraju, z tą myślą ich oswoi, że sami o swoim własnym losie radzić winni; będzie więc w zakresie ustalenia własności wyjściem z epoki zmian i przeobrażeń ku zakończeniu organicznemu sprawy uwłaszczenia, czynnikiem niezbędnym dla pomyślnego stanu włościańskiego przyszłości, którego opóźnienie tylko szkodę wyrządzić, a żadnej nie może przynieść korzyści.

Studjum p. Józefa Jeziorańskiego, potrzebom stanu włościańskiego poświęcone, przedrukowanem zostało na czasie. Utworzone bowiem rady gubernialne rolnicze zajmą się niewątpliwie potrzebami gospodarstw włościańskich i zastanowią się nad sposobami ekonomicznego ich urządzenia i dźwignięcia. Uwłaszczenie włościan w Królestwie Polskiem pozostawiła nadal sprawę komasacy i serwitutów niezalatwioną. Nowi właściciele włościanie nie zostali wsparci odpowiednim kredytem i stan ich ekonomiczny pogarszał się raczej z czasem niż polepszał. Prócz tego szachownice gruntowe i serwituty szkodziły większej własności ziemskiej, wytwarzając pragnienie zaradzenia złemu i wytworzenia takiego porządku, który-by i większą i drobną własność mógł doprowadzić do lepszego rozwoju. Autor w swej pracy dowiódł gruntownej znajomości przedmiotu i wniknął szczegółowo a wszechstronnie w potrzeby naszego stanu włościańskiego; właśnie jednak dla tego, że p. Jeziorański złożył dowody gruntownego, fachowego wykształcenia i praktycznego doświadczenia, można mieć żal do niego, że ograniczył się na przedrukowaniu swych dawnych studyów, a nie uzupełnił ich tem, co nauka i jego osobiste doświadczenie przyniosło w ciągu lat dwunastu.

Słusznie autor zauważył, że sprawa potrzeb ludu włościańskiego nie straciła dziś nic ze swej żywotności, a wogóle mało posunęła się naprzód. Ale choćby się jaknajmniej posunęła, w każdym razie należało w przedruku ową odrobinę postępu, czy doświadczenia, uwzględnić, czem-by się pracy własnej nadało więcej znaczenia i obudziło dla niej więcej interesu. Autor z wielką starannością wykazuje reformy, przeprowadzające komasację, czy uregulowanie serwitutów w państwach, które urządzenie stosunków włościańskich posunęły już znacznie naprzód. Sądziłbym jednak, że należało-by przede-

wszystkiem uwzględnić stan włościan w Księstwie Poznańskiem, w Galicyi, ażeby z owego przeciwstawienia praw dłowych czy niedokończonych urzędzeń można było dla stanu włościan w Królestwie wyprowadzić jaknajpraktyczniejsze wnioski i projekta. W roku 1898 ukazało się w Austrii wyborne dzieło Schiffa p. t. „Oesterreichs Agrarpolitik seit der Grundentlastung.“ W pracy owej przedstawiono szczegółowy obraz dążeń komasacyjnych, urzędzeń serwitutowych i melioracyjnych we wszystkich dzielnicach Austrii. Z przedstawienia powyższego łatwo się przekonać, jaki ekonomicznie i społecznie wywierają wpływ pomieszczone grunta (szachownice) i służebności i jak wytrwale trzeba dążyć do tego, aby usunąć zło, które zaciemnia pojęcia własności i wytwarza nieujawnioną waśń społeczną. W r. 1900 ukazały się studia agrarne Krzyżanowskiego, w których prawdopodobnie autor znalazł by niejedną trafną uwagę. Jednem słowem, nie należało ubiegłych lat 12 puszczać w niepamięć, bo owe 12 lat przekonywały dobitnie, że nie wypada opóźnić reform stanu włościańskiego jeżeli się nie chce wyrządzać krzywdy całemu organizmowi społecznemu. Wszystko, co autor pisze o hipotekach włościańskich, jest trafnem, ale ażeby uwagi i wnioski jego miały więcej siły przekonywającej, należało dokładniej przedstawić niedokładności, wynikające z tabel likwidacyjnych, i wykazać nadużycia, jakie się w tym kierunku uwidoczniły. Autor pominął także rozprawę Feliksa Jeziorańskiego o hipotekach włościańskich, którą swego czasu drukowała Biblioteka Umiejętności Prawnych. Z tem wszystkiem, jeszcze raz zaznaczyć wypada, że autor w swem studyum dowiódł tak gruntownego wykształcenia i znajomości przedmiotu, iż życzyć-by należało, aby powrócił jeszcze do potrzeb stanu włościańskiego i niektóre przynajmniej kwestye uzupełniająco rozważył. Jest to chwila, w której zmysł praktyczny i doświadczenie autora mogły-by samej sprawie oddać duże usługi.

A. R.

Jana Dantyszka poemat „De nostrorum temporum calamitatibus silva“ (z portretem Dantyszka i medalem wybitym na cześć jego r. 1529), wydał dr Zygmunt Celichowski (Przyczynki do dziejów panowania Zygmunta Staroego, zeszyt 2), Poznań, nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1902.

Niestrudzony bibliotekarz kórnicki, którego pracy edytorskiej zawdzięczamy już wiele ciekawych przyczynków do dziejów piśmiennictwa wieku XVI w Polsce (między innymi „Kupca“ Rejowego)

obecnie wydobył z zapomnienia poemat Dantyszka, napisany r. 1529, p. t. „De nostrorum temporum calamitatibus silva“. Poemat ten dotychczas bardziej może znany był z tytułu, niż z treści.

P. Celichowski nie ograniczył się wydaniem tego pomnika naszej poezji łacińskiej wieku XVI, lecz dodał jeszcze przedmowę, gdzie charakteryzuje poemat Dantyszka i kreśli tło dyplomatyczne, na którym utwór ten nabiera znaczenia czynu politycznego: chciał nim bowiem Dantyszek poprzeć u dworu Habsburgów zabiegi dyplomacyi polskiej. Poemat ten w dziejach naszej literatury politycznej XVI—XVII wieku zajmuje miejsce poczesne: jest on bowiem pierwszym z szeregu utworów, nawołujących do wypędzenia Muzułmanów z Europy, owych ód, elegii, świstków, mów, rozpraw, których tak wiele, prozą i wierszem, zaczęło wychodzić od owego czasu.

Prócz tego dr Celichowski podał jeszcze wiadomość i odbitkę dwu nieznanych prawie portretów Dantyszka: jeden z nich widzimy na medalu, wybitym na cześć poety-dyplomaty przez Karola V.

Wyobraża on męża w pełni wieku, w świeckim ubiorze, o wyrazie twarzy surowym i niemiłym. Drugi, podany przez d-ra Celichowskiego, portret Dantyszka, znajduje się w zamku biskupim we Fromborku i przedstawia poetę, już jako biskupa warmińskiego, o rysach twarzy łagodnych i poważnych.

H. G.

Stanisław Przybyszewski: „Z gleby kujawskiej“. Warszawa, nakładem księgarni Borkowskiego, 1902, 4-o, str. 71.

Odczyt swój o Kasprowiczu p. t. „Syn ziemi“, wygłoszony niegdyś na jednej z konferencyi literackich, p. Przybyszewski obecnie rozszerzył, uzupełnił i przyodziął w formę studyum literackiego, a raczej „impresyi“.

Przedewszystkiem wyznać należy, że książka nie wywiera ani połowy tego wrażenia, co odczyt. W druku wyszły na jaw wszystkie braki, wszystkie paradoksy, wszystkie frazesy przesadne, z dobrą wiarą podawane za prawdę najoczywistszą.

Kto rzecz swoją zaczyna od twierdzenia, że ludzie piszący dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy mają talent, a tymi są symbo-

liści, i na tych, którzy go nie mają, a więc realiści, ten poza błędne koło paradoksów niedaleko wyjdzie. P. Przybyszewski przyznaje wprawdzie paradoksalność tego twierdzenia, ale sam w dalszym ciągu swoich wywodów dopuszcza się podobnych błędów logicznych. „Człowiek, który jest w stanie świat w sobie od nowa w nowej potędze i piękności odtworzyć, który poza przypadkową zjawą rzeczy widzi odwieczną ciągłość istoty bytu, ten jest twórca—a wszystko reszta to tylko literatura“. Zapytamy, czy p. Przybyszewski zalicza do tej wzgardzonej „literatury“ takich twórców, jak Homer, Szekspir, Byron, Goethe, Mickiewicz, którzy nie mogą przecież być zaliczeni do symbolistów?

I znowu kilka kart dalej: „ten, który umie odtworzyć każde pojęcie w obrazie, który umie odtworzyć uczuciowe związki pomiędzy pojedynczemi pojęciami, który nie logicznie, ale wewnątrznie, uczuciowo łączy wszystkie pozrywane i przez mózg postrzeżone rzeczy świata zewnętrznego, ten jest twórca, i znowu: et tout le reste c'est de la littérature“.

Niepodobna w krótkim sprawozdaniu rozwodzić się nad słusnością lub niesłusnością tych określeń. To tylko zaznaczyć należy, że są one podobnie jednostronne, jak i przeciwne zdania, potępiające w czambuł nowe kierunki poezyi.

Następuje najpiękniejsza część „Z gleby kujawskiej“: opis tego zakątka ziemi, z którego wyszedł Kasprowicz, a i sam Przybyszewski: „trójkąt obwołu kilku mil kwadratowych pomiędzy Inowrocławiem, Gniewkowem, a pramatką, kolebką ojców naszych—Kruszwicą“.

Niewypowiedziane uczucie smutku, melancholii, przygnębienia wyziera z tych kart. „Lasy wycięto—tak maluje p. Przybyszewski miejsce swoje rodzinne — Gopło opada coraz więcej, tworzy na miłą długie i szerokie bachorze, porosłe wysokiem zielskiem, w którym grzęźnie i płacze się noga, gdy się chce przez nie przedrzeć, krzewy ostu i pokrzyw ranią ręce, a nawet sięgają po szyję, a na miękkiej, bagnistej ziemi idzie się, jak po niezmiernie bogatym a głębokim kościercu wschodnim. Czasem tam człowiek zapadnie, czasem koń po kark ugrzęźnie, że go i dziesięciu chłopów wydostać nie może, ale to nic. Pełno tu stawów i bagien — w ciemnych nocach przelatują tu duchy masonów, błędne ogniki prowadzą chłopów, wracających z odpustu lub karczmy, na najgłębsze zatory bagien—ale to nic. Po rowach i kanałach niema mostów, za ledwo jakaś krucha zmorszała belka służy za przejście dla ludu, raz po raz ktoś się zwali, skąpie się lub utonie w głębokim kanale; jedzie się bryczką, trzeba daleko objeżdżać i przy ujściu kanału przez Gopło broczyć—po nocach włóczyć się po ścieżkach wzdłuż głębokich kanałów, z których torf wykopano—lada

chwila na łeb na szyję zaprzepaścić się można w otchłannej ich głębi — ale i to nie“.

Śmiało można powiedzieć, że te obrazy, z których wieje „niesłychany fatalizm życiowy, dziwna a smutna rezygnacya, co ręce rozwiera i na piersiach je krzyżuje“, należą do najcelniejszych kart autora „De profundis“. A dalej z podobną potęgą słowa maluje on lud kujawski, straszny w swej zaciętości i melancholii, i „biedną przykucniętą dolę Kujawiaka“, i ten nastrój dziwnego lęku, jaki widok ziemi kujawskiej wywołuje w duszy ludzkiej: „Głos zamiera, jakby go coś ogłuszało — czuje się coś przed sobą, co krzyczy za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie może, coś co czatuje, co gotowe jest do skoku, a poza sobą jakieś ciche, powłóczyście kroki — tuż — tuż za plecami — już chwytą, już obejmuje kleszczami piersi i strach — strach!“

P. Przybyszewski nie ocenia całego dorobku literackiego Kasprowicza, ale wybiera dwa z pomiędzy jego utworów, najlepiej jakoby charakteryzujące autora: „Na wzgórzu śmierci“ i „Święty Boże, Święty Mocny“, a właściwie na tle tych poematów snuje przędzę własnych nastrojów. Wobec tego braku ścisłości naukowej niepodobna wywodów p. Przybyszewskiego poddawać drobiazgowemu rozbirowi.

Musimy tylko zaprotestować przeciw niektórym zbyt gorącym objawom entuzjazmu.

Czytając pełne superlatywów wysłowienia p. Przybyszewskiego, mamy nieraz takie wrażenie, jakgdyby przed Kasprowiczem nie było nic, coby zasługiwało na miano poezyi. „On pierwszy nadał ziemi, że tak powiem, jej metaforyczny charakter“ (str. 17), pisze w jednym miejscu p. Przybyszewski, a w drugim dodaje: „w całej literaturze, Kasprowicz jest jedyny autochton, Syn Ziemi“ (str. 18). Nie dość na tem: „on jeden — pisze dalej autor „Złotego runa“ — nie wyłączając Mickiewicza w „Panu Tadeuszu“, powrócił ziemi jej metaforyczny charakter, wyczuł jej ból i nim żyje, jej świętość jest jego religią — jej szal i rozpacz jego rozpacz“ (st. 32). I więcej jeszcze: „tak głęboko, tak silnie — czytamy kilka kart dalej — żaden z poetów nie odtworzył tego symbolu. Ani Byron, ani żaden z romantyków niemieckich, którzy przecież jeszcze najgłębiej wnikali w istotę zła (str. 39 -- 40). A wreszcie: „w całej literaturze nie znam takiego akordu, który nabiera niesłychanej mocy przez zestawienie go z następnym ustępem“ (str. 54).

Nie wątpimy, że Kasprowicz z pomiędzy młodszych poetów naszych należy do najbardziej utalentowanych. Ale twierdzić, że przed nim nie było nic równie wielkiego i równie potężnego, wynosić go po-

nad Byrona i Mickiewicza—to wygląda nieco na przyjacielską usługę. Nie spostrzega p. Przybyszewski, że w ten sposób nie wynosi, lecz obniża w oczach czytelnika poetę rozważanego, gdyż kto jedno i drugie takie przesadzone określenie przeczyta, ten przestanie wierzyć wszystkim wywodom autora i zachwieje się w nim wiara w genialność, nawet w talent twórcy „Buntu Napierskiego.“

Podobne wrażenie wywrzeć muszą także frazesy szumne, które nie mówią: „w Kasprowiczu—powiada p. Przybyszewski—jest coś, co „łączy się z hypotetycznym czwartym wymiarem, jakiś nadświat i pozaświat, anamnesis Platona o stanach i cudach, jakie monada duszy kosztowała, kiedy jeszcze śniła w łonie prabytu i patrzyła w czytą, nagą istotę bytu“ (str. 70).

Sens takich określeń jest równie hypotetyczny, jak czwarty wymiar.

H. GALLE.

Marya Rodziewiczówna, „Wrzos“, powieść. Warszawa, druk synów St. Niemiry, 1903, 8^o, str. 392.

Ze wszystkich powieści, które ukazały się w druku w ciągu roku bieżącego, „Wrzos“, Rodziewiczówny, obudził najżywsze bodaj zajęcie; wpłynęła na to przede wszystkim ta okoliczność, że drukował się w poczytnym „Kuryerze Warszawskim“, a potem i sama osnowa powieści mogła przypaść do smaku szerokim warstwom czytelników.

Niewątpliwie, „Wrzos“ jest nieskończenie wyższy od ostatnich utworów autorki „Szarego prochu“, jak np. „Nieswojone ptaki“, „Magnat“ i inne, tym podobne rozpędy nieokielzanej fantazyi. „Wrzos“ trzyma się bliżej ziemi: odtwarza lub usiłuje odtwarzać stosunki realne z bruku warszawskiego. Ale w głąb rzeczy nie wnika. Autorka używa tu swej, przestarzałej nieco metody: wymyśla bohatera czy bohaterkę, o wszelkich możliwych przymiotach umysłu, serca i charakteru, a dookoła roztawia kilkanaście powystrzyganych z kartonu figurek, których poziom duchowy nie sięga, oczywiście, nawet kolan tytułowego olbrzyma szlachetności, tężyzny i poświęcenia. We „Wrzosie“ razi to mniej znacznie, niż w innych powieściach Rodziewiczówny; ale przyjrząwszy się bliżej, przekonamy się, że l u d z i tu wcale niema, są tylko wcielone i d e a ł y, lub ich przeciwień-

stwa. Że cierpi na tem prawdopodobieństwo i postaci, i sytuacji, o tem i mówić nie trzeba.

Pan Sanicki, bogaty i „ustosunkowany“ mecenas i obywatel warszawski, chce ożenić swego syna, szafawię, Andrzeja: dość ma już jego miłostek, z taką np. rozwódką, panią Celiną, a zresztą ożenić go trzeba, gdyż w takim tylko razie spadnie na Andrzeja scheda po matce. Godzi się na taką konieczność i Andrzej i razem z ojcem popelnia nikczemność: wybiera sobie na żonę młode, szlachetne dziewczę wiejskie, Kazię Szpanowską, którą poznał—w dniu zaręczyn; a pierwszą z nią rozmowę zaczął od wyznania, że kochać jej nigdy nie będzie, gdyż serce swe oddał już innej. Ale i ona u progu powieści popelnia czyn wcale nie bohaterski: godzi się na małżeństwo z Andrzejem, chociaż ma narzeczonego, którego losy zagnały daleko—może już gdzieś zginął wśród śniegów: dwa lata nie dał wcale znaku życia.

Dość tu należy, że ów naręczony nie zginął, ukazuje się przy końcu powieści po to tylko, aby wymierzyć Kazi krwawy policzek pogardy. Wiarołomstwo bohaterki usprawiedliwia się chęcią dogodzenia ojcu, zapewnienia mu domowego spokoju ze strony macochy itp.—wszystko to wszakże ani dość zręczne, ani dość szlachetne, na taką zwłaszcza anielską istotę, jak Kazia. A i pan Sanicki, który wyszukuje na synową szlachcianeczkę z zapadłego kąta, co nigdy jeszcze nie była w Warszawie, nie ma na poparcie swego postępkę żadnych pozorów logicznego rozumowania.

Na takich kruchych podstawach spoczywa intryga powieści; nic więc dziwnego, że i cała powieść obraca się w błędnem kole nieprawdopodobieństw życiowych i psychologicznych. Właściwie jednak mówiąc, intrygi niema tu wcale: od chwili, kiedy Kazia wysiada z wagonu kolei w Warszawie, w powieści już nic się nie dzieje. Przewijają się sceny jedna za drugą: wizyty, rozmowy mniej lub więcej banalne, teatr, cyrk, wycieczka powozem do Wilanowa, poznajemy cały szereg ludzi, bądź szlachetnych, oddanych czynom altruizmu i miłosierdzia, jak Ramszycowa, doktor Downar, bądź płaskich i płytkich, pędzących życie na zabawach i plotkach: rozmaici Wolscy, Dąbscy, Dąbrowscy, Markhamowie, Radliczowie, Saniccy, Kołoccy itd., itd.

Ale to wszystko nie ludzie, lecz—pionki w szachach, te—białe, tamte czarne, wszystkie według jednego wzoru toczone. Doznaje się takiego wrażenia, jak wobec przeciągającego tłumu ludzi o obojętnych, świątecznych wyrazach twarzy: w końcu wzrok tak się nuży, że wszystko zlewa się w jedną szarą masę, w której przestaje się różnicować oddzielne twarze.

Brak w powieści i wewnętrznej akcji. W stosunku Kazi do Andrzeja od początku do końca nic się nie zmienia: są małżeństwem tylko z tytułu, ona zawsze cierpliwa i łagodna, lecz zarazem pełna godności i majestatu; on obojętny, pogardliwy, często brutalny, co już takiemu, jak on, światowcu, wcale nie przystoi.

Cała różnaitość powieści polega na tem, że Warszawa, w owem odrębnem znaczeniu tout Varsovie, bierze Kazię na języki, snuje ploteczkę o miłostce z malarzem Radliczem, a ona, wysoko trzymając głowę ponad tą czeredą oszczerców, gardzi nimi w duszy, chociaż musi żyć z nimi i przyjmować ich w swoim domu.

I tu dopiero Kazia występuje, jako zbiór wszelkich cnót. W domu stara się dogodzić teściowi, który najwięcej ze wszystkich okazał jej serca, i nawet mężowi, ażeby dopełnić zawartej przed ślubem umowy.

Jest rządna, gospodarna, pracowita, energiczna, gdzie trzeba uległa, gdzie trzeba, wyniosła, zawsze pełna zaparcia się i poświęcenia. Poza domem cały czas, trud i oszczędności oddaje czynom miłosierdnym, niesie pomoc, radę i pociechę w sutereny i na poddasza, co wreszcie życiem przyplaca: umiera, zaraziwszy się tyfusem od jakiejś biedoty. Sądzimy, że ta właśnie strona powieści zjednała jej najbardziej popularność: ci, którzy nie mogą strawić pewnych idei społecznych, podanych w ciężkiej dla przeciętnych umysłów formie w „Ludziach Bezdomych“, ci sami dadzą się unieść „pocziwej“, poprostu wyłożonej tendencji „Wrzосу“.

Nie dość na tem. Kazia dokonywa większych jeszcze cudów.

W jaki sposób ta dziewczyna wiejska, wychowana w klasztorze, zajęta od świtu do nocy — pilnowaniem udoju, potrafi zachować się na pierwszych salonach warzawskich? Oto pytanie, które zadaje sobie myślący czytelnik na początku powieści, przypuszczając, że tu kryć się będzie jądro udręczeń kazinych, że ona, choć duchowo wyższa od „towarzystwa“ warszawskiego, kulturalnie będzie się czuła od niego niższą, upokorzoną, będzie popełniała tysiące śmieszności.

Próżna obawa! Kazia potrafi się ślizgać po posadzkach salonów tak zręcznie, jakgdyby od urodzenia noga jej nie dotknęła nigdy innej podłogi. Poprostu imponuje tym pałom z monoklami i tym paniom w jedwabiach! Trzeba posłuchać, jaką ta córka ekonoma daje ciętą odprawę umizgającemu się do niej głupio hrabiemu Kołockiemu, jak majestatycznie zachowuje się u siebie na przyjęciu, jak zawsze à propos używa francuszczyzny! I nikt jej pod tym względem nie ma nic do zarzucenia: wszyscy są oczarowani lub zazdrośczą.

To tylko jeden dowód, że postacie „Wrzосу“ nie są przeniesione do powieści z życia, lecz zmyślone w wyobraźni twórczej autorki. Ale takich dowodów nastęrczają się tysiące: przy każdej postaci, głównej czy epizodycznej, przy każdej niemal rozmowie, które grzeszą brakiem naturalności; tyle się ludzi widzi i słyszy w powieści, a żaden nie pozostaje w pamięci czytelnika. Wszystko to — słowa, słowa i jeszcze raz słowa.

Powodzenie „Wrzосу“ jest jednym jeszcze dowodem niskiego poziomu wymagań estetycznych czytającego ogółu. Wierzyć się poprostu nie chce, aby rzecz taka, artystycznie słaba, życiowo banalna, społecznie mdła, mogła obudzić tak żywe zaciekawienie. Estetyka warszawska poprostu załapała się na tej powieści: nie jest to bowiem rzecz, której wady biją w oczy, ale utwór w całym znaczeniu tego wyrazu mierny. Nie dorośliśmy widocznie jeszcze do tego, aby odróżnić mierność od poprawności.

H. GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Najważniejszym wydarzeniem ubiegłego miesiąca było otwarcie ruchu na nowej linii Warszawa Kalisz. Zewnętrznie — jest to fakt bardzo prosty. Rano o godzinie 8-ej w dniu 15 listopada na dworcu w Alejach Jerozolimskich zebrały się władze kolejowe, z prezesem, baronem Kronenbergiem na czele, przybyła publiczność, zaopatrzyła się w bilety, rozległy się sygnały, pióropusz dymu wyklębił się z lokomotywy i pociąg ruszył z miejsca, uwożąc garść podróżnych ku Kaliszowi. W gruncie rzeczy atoli jest to sprawa doniosła — kraj pozyskał nową arterję komunikacyjną, kultura nową drogę, handel i przemysł — poważny środek do swego rozwoju. Odtąd obszerny szmat ziemi, którego prawidłowy rozwój pod wielu względami był utrudniony i tamowany, pozyskał stałe połączenie ze światem, przecinająca go kolej stanie się dźwignią jego postępu, przyniesie dobrobyt tysiącom ludzi, zwiększy ich czucie z ośrodkami życia umysłowego, pobudzi do wytwórczości, rozszerzy im ciałny, zamknięty obręczą lasów rodzinnej okolicy widnokrąg, będzie im bodźcem do pracy, nadzieją zdobycia sobie przyszłości lepszej, niezależnej. A gub. Kaliska przyszłość taką ma przed sobą, bo już dziś posiada poważne dane do rozwoju ekonomicznego.

Obszar jej wynosi 206.55 mil kwadratowych, podzielonych na 8 powiatów, 142 gminy, 220 parafii katolickich, 15 ewangelickich i 39 okręgów bożniczych. Na tej przestrzeni znajduje się 8 miast powiatowych, 5 miasteczek, 37 osad handlowo-fabrycznych, 2,041 wsi, 1,672 folwarki i z górą 2,000 kolonii. Przestrzeń gruntów uprawnych dosięga 2,000,000 morgów. W gubernii przeważa drobna własność, z górą $\frac{1}{3}$ część obszaru zajmują posiadłości, liczące od 5 włók do 6 morgów. Cena morga ziemi waha się między 180 do 350 rb. Rolnictwo stoi tu wysoko, produkuje w poważnej ilości zboża i rośliny okopowe. Z hodowli najwyżej stoi owczarstwo, w powiatach zaś nadgranicznych, jak Kaliski, Wieluński, Słupecki, dzięki zapotrzebowaniu spo-

żywców i handlarzy niemieckich, rozwinął się, zwłaszcza wśród włościan, chów gęsi i trzody chlewnej.

Przemysł gub. Kaliskiej w r. 1896 (nowszych danych nie posiadamy) reprezentowało 1,803 fabryki czynne, zatrudniające do 10,000 robotników, z produkcją roczną przewyższającą 12,000,000 rubli. Co do ilości i wartości wyrobu pierwsze miejsce zajmuje dziś cukrownictwo (dawniej przodowało gorzemnictwo). Zbiersk, Młynów, Cielec, Leśmierz i Dzierzbín — oto ośrodki produkcji cukrowniczej. Obok cukrowni postawić należy browary i młyny parowe. Przemysł fabryczny miejski rozwija się głównie w dwóch kierunkach — tkackim i sukieniczym. Zaznaczyć jednak należy, że w Kaliszu istnieją dwie jedyne w swoim rodzaju na całe Królestwo, fabryki — koronkarska i fabryka lalek. Wyroby pierwszej cieszą się powszechnem i szerokim uznaniem, druga — zaznajomiła nas ze swą produkcją na wystawie gier i zabawek. Obie mają dużą przed sobą przyszłość.

Z ręk dzieł i rzemiosł największe mają powodzenie: szewstwo, białoskórnictwo i kaflarstwo.

Na życie umysłowe mieszkańców gub. Kaliskiej rzuca pewne światło fakt istnienia 12 księgarń w różnych punktach gubernii, 9 drukarni i kilku litografii, jak w Łęczycy, Koninie i Kole.

Największe dane do rozwoju posiada, oczywiście, sam Kalisz, ze względu na swe położenie w bliskości granicy. Wiele tu jednak zależy jeszcze od ostatecznego rozwiązania kwestyi stacyi przeładunkowej, o którą walka toczy się dotąd bez widoków na rychłe jej rozstrzygnięcie. Złośliwy upór władz pruskich, zachęcanych do tego przez Towarzystwo dr. żel. Włocławskiej, musi jednak w końcu uleść słusznemu roszczeniu Kaliszani i kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która wzniosła już kosztowne budynki na stacyi kaliskiej dla użytku władz celnych.

W jakich dziedzinach kolej pobudzi produkcję miejscową, w jakich zaś ją wstrzyma, a może nawet i zniszczy, o tem dziś mówić byłoby zawcześnie. Dokona się to na mocy ogólnych praw ekonomicznych, to pewna wszakże, że podniesie się podstawa bytu ziemian kaliskich — rolnictwo, dotychczas bowiem miało ono ciężkie warunki istnienia z powodu trudnego wywozu.

Na tem kończymy wzmiankę o nowej kolei. Wrócimy zaś jeszcze do niej w przyszłości, skoro tylko ruch ustalony dostarczy materiału do wniosków i wskazówek do oceny tych przeobrażeń ekonomicznych, o których mówiliśmy wyżej. Nastąpi to jednak nie wcześniej, jak za lat kilka.

Kwestya „zwyrodnienia“ naszego ludu była już poruszana niejednokrotnie. Przed laty toczył się nawet dość ostry spór o sprawiedliwość tego twierdzenia i o przyczyny fizycznego upadku rasy, której doskonale uposażenie przez przyrodę nie podlegało dotąd wątpliwości. Sprawa przycichła, starły się dwie teorye, prysnęło kilka iskier namiętej polemiki, wniosków praktycznych wszakże nie było i nic nie uczyniono w kierunku rozpoczęcia akcji szerszej, zmierzającej ku wyświeetleniu istotnego stanu rzeczy i wskazaniu środków przeciwdziałania złemu, gdyby to zło zostało stwierdzone. Stwierdził je, niestety, dopiero sam czas i dziś po latach kilkunastu kwestya, nieco już zapomniana, siłą swojej doniosłości wysuwa się znów na czoło i domaga się wszechstronnego zbadania, nie na tle przebrzmiałego chłopomanstwa i taniego demokratyzmu, ale w ramach zdrowej myśli społecznej, zmierzającej ku jasnym i rozumnym programom działania na przyszłość. A jest to sprawa niezmierniej wagi, z nią bowiem wiąże się bezpośrednio ideał wszelkiej pracy społecznej—kulturalne i ekonomiczne podniesienie kraju i narodu.

Nie możemy tu szeroko traktować bogatego w tej dziedzinie materiału przyczynowego i faktycznego, wymagałoby to bowiem dużego aparatu cyfr i zmusiło-by nas do pisania studyum, wykraczającego poza granice zajmowanej przez nas placówki publicystycznej. Poprzestaniemy na podkreśleniu tego, co jest najjaskrawsze i najznamienniejsze i co powinno obudzić czujność społeczną. Za punkt wyjścia posłużą nam nie daty statystyczne z całego kraju, ale skromna korespondencya z Włoszczowy, w gub. Kieleckiej, niedawno temu wydrukowana w pismach codziennych. Dowiadujemy się stamtąd, że w powiecie Włoszczowskim na 1,000 popisowych zaledwie $\frac{1}{3}$ uznano za zdalnych do służby wojskowej, pozostałe zaś $\frac{2}{3}$ uwolniono, bądź z powodu małego wzrostu, bądź też skutkiem chorób i braków cielesnych, lub też udzielono im odroczenia, ażeby mieli czas zmęźnieć i wyleczyć się z choroby, część wreszcie wyprawiono do szpitala dla ściślejszego zbadania.

Nie przyjmujemy tego stosunku, wprost przerażającego, za normę dla całego obszaru Królestwa, sądzymy jednak, że wystarcza sam fakt, iż znajduje się w jego obrębie powiat, w którym na 1,000 młodych, liczących 21 lat wieku mężczyzn, zaledwie 300 kilkunastu odpowiada wzrostem, pojemnością klatki piersiowej i ogólnym rozwojem fizycznym wymaganiom przepisów poborowych, które w państwie rosyjskiem są wogóle łagodniejsze, niżeli np. w Austrii lub Prusach,

600 kilkudziesięciu zaś — to prawie niedołęgi, do służby wojskowej niezdadni cherlacy. Fakt taki nie może obudzić różowych nadziei w nikim, ale pozwala przypuszczać, że chociaż tu i owdzie wyniki poboru mogły być znacznie lepsze, to przecież na ogół ze sprawą rozwoju fizycznego jest źle. I to za pewnik można uważać.

„Gazeta Polska“, cytując powołaną wyżej korespondencyę włoścowską, dodaje do niej komentarz, segregujący kilka najważniejszych przyczyn fizycznego zwyrodnienia ludu. Przedewszystkiem więc wskazuje na złe odżywianie się, na co, zresztą, oddawna już zwracał uwagę baczną pewien odłam prasy warszawskiej z „Głosem“ na czele, a co niezwykle gruntownie zbadano i przedstawiou w doskonałej pracy „O żywieniu się ludu“. Jak wiadomo, głównym artykułem odżywczym mieszkańców wsi naszych są kartofle, z dodaniem zgotowanej na wodzie niewielkiej ilości kaszy jęczmiennej lub tatarczanej, kapusty, klusek z mąki i wody, i w homeopatycznej dozie mleka. Chł-b stanowi u większości włościan dodatek bardzo skromny do tej chudej strawy. Oczywiście, że dzieci karmione tak w okresie szybkiego rozwoju i największej zdolności assimilowania pokarmów przez organizm, nie mogą wyrastać na tęgich i zdrowych młodzieńców. Jest to więc bardzo ważna przyczyna wyrodnienia ale nie jedyna. Obok niej postawić należy niechlujstwo większości włościan, tak często ujawniane przez superrewizyę. Jest to niechlujstwo niesłychane, świadczące o zupełnem barbarzyństwie ludu pod względem najpierwotniejszych potrzeb ciała. Zapytywani popisowi oświadczają, iż w ciągu swego dwudziestoletniego życia nie używali ani razu łaźni, nie kąpali się w rzece, nawet szyi nigdy nie myli, nie mówiąc już o innych częściach ciała. Skóra takich osobników pokryta jest grubą warstwą stwardniałego, lśniącego brudu, zmieszanego z potem, i wydaje ostrą, odrażającą woń. Niekiedy zaś młode ciało smukłego zdrowego chłopaka bywa literalnie zjedzone przez żyjątką. Nogi poniżej kolan u większości pokryte są swego rodzaju łuską ciemnobronzowego koloru, rzadko który nie cierpi na świerzbę, egzemę skóry, parchy lub inną chorobę skórnią. Do tego smutnego obrazu, który podaje „Gazeta“, dodać trzeba, że w związku ze złem odżywianiem się i niechlujstwem idą w parze dwie klęski ludzkości współczesnej: alkoholizm i syfilis. Dzieci alkoholiców, jak to już przez naukę zostało stwierdzone, rzadko kiedy rosną i rozwijają się należycie, a wieś nasza na polu wstrzeźliwości nie wielkie jeszcze poczyniła postępy. Syfilis zaś, jak wiadomo, szerzy się u nas z większą mocą, niżeli gdzieindziej i do gorszych prowadzi skutków, ma bowiem dzielnych sprzymierzeńców w niechlujstwie i w ciemności i w dodatku rzadko kiedy jest prawidłowo i w czasie właściwym leczony.

Ograniczając się tylko temi czterema punktami, które wskazują na przyczyny najważniejsze zwyrodnienia, nie na pod-tawie ścisłej statystyki, ale kierując się żelazną logiką skutków, jakie przyczyny powyższe muszą wywołać, dojdziemy łatwo do wniosku, że położenie rzeczy jest groźne i że słynna rozrodczość naszej rasy nie jest w walce z upadkiem fizycznym bronią tak silną, aby można liczyć na zmózenie przy jej pomocy tych przeciwności, które prą nas ku zaiedoleżnieniu.

Zresztą jest to sprawa, której należy przeciwdziałać zawczasu, a nie wtedy dopiero, kiedy upadek stanie się faktem dokonanym, łatwiej bowiem do upadku nie dopuścić, niż z niego się podnieść; z drugiej zaś strony wszelkie środki, które tu mogą być stosowane, nie będą działały doraźnie, ale po szeregu, i to długim, dopiero lat, dadzą rezultaty mniej lub więcej pomyślne. I tak, wiadomo że sprzymierzeńcem najlepszym wszelkiego postępu są: dobrobyt i oświata, a przecież utopią byłoby żądać dzisiaj, aby przy pomocy tych dwóch środków sprawę zażegnać odrazu. Na wzmożenie się dobrobytu ludności włościańskiej potrzeba jeszcze licznych i wielkich ekonomicznych przeobrażeń kraju, które odbywają się powoli, drogą naturalnej ewolucji. Podobnie na podniesienie ogólnego poziomu oświaty składają się liczne warunki. Czekać zatem należy lata na urzeczywistnienie się tą drogą społecznego ideału świadomej walki ze zwyrodnieniem. Wszakże żyjąca w zupełnie dobrych warunkach pod obydwoma względami inteligencya nasza tak mało jeszcze zwraca uwagi na fizyczną stronę wychowania młodych pokoleń, czegoż więc oczekiwać można od ludności włościańskiej za lat 10, 15 lub 20?

Z góry tedy wyrzec się musimy szybkich a pomyślnych zmian w położeniu rzeczy, i praca, którą rozwinąć należy, może być tylko przygotowawczo-zapobiegawczą. Przedewszystkiem — przygotować należy, zgrupować i opracować wszechstronnie cały materiał faktyczny, jaki w kwestyi zwyrodnienia następuje się już dzisiaj. Rozpatrzeć przyczyny tego zjawiska aż do najdrobniejszych i to rozpatrzeć gruntowniej, niż to publicystyka uczynić może. Pracy takiej wykonać jednostka nie zdoła — na to trzeba sił zbiorowych i przedewszystkiem istniejący przy Tow. higienicznem wydział higieny ludowej był-by do tego powołany.

Zgromadzony w ten sposób materiał nastęrczyłby cały szereg wniosków, które stałyby się wytycznemi punktami programu działalności sanacyjnej, skierowanej ku zapobieganiu szerzenia się i wzrostu klęski, a więc ku walce z niechlujstwem przez szczepienie zamięłowania do czystości wśród ludu, chociażby przy pomocy rygoru prawno-policyjnego, zmuszającego każdą wieś do utrzymywania łaźni, dalej ku

walce z chorobami skórными przez zapewnienie opieki lekarskiej włościanom, a nawet przez ustanowienie prawa, na mocy którego każdy chory na przymiot powinien-by być na koszt gminy odesłany do szpitala; wreszcie ku walce z pijaństwem przez zakładanie Towarzystw wstrzemięzliwości, których u nas, seryo rzecz biorąc, dotąd niema, a które powinny się całą siecią po kraju rozpostrzeć. Takie towarzystwa, przypuścmy, parafialne, z proboszczem, jako przewodniczącym, na czele, oddałyby ogromne usługi walce z alkoholizmem, która dziś nie wyszła jeszcze u nas z powijaków rozpraw teoretycznych. Gdzieindziej takie towarzystwa już istnieją, świeżo z inicjatywy prof. Lutosławskiego przy ich pomocy („Eleuteria“) rozpoczęła się już walka z pijaństwem w Galicyi—czas więc i na nas stanąć do apelu, na który odezwała się cała Europa czynem.

To wszystko dla tej części inteligencyi, która ma wrażliwe sumienie społeczne i narodowe, a chętna jest do pracy dla ludu, jako dla rdzenia i podwaliny swego bytu, stanowi bogaty materiał do rozważań. Poruszone tu krótko i pobieżnie najważniejsze momenty koniecznej walki ze zwyrodnieniem mogą znaleźć wielorakie i zupełnie inne oświetlenie, tysiąc jeszcze rozmaitych kwestyi może się przy tem wyłonić, tyleż braków wyjść na jaw, niejedna piękna myśl i zdrowy projekt może się narodzić, trzeba tylko, aby opinia publiczna żywiej się tem zajęła, aby prasa zaczęła traktować sprawę tak, jak tego jej doniosłość wymaga, ażebyśmy w jej rozwiązaniu uznać chcieli dźwignię i rękojmię naszej przyszłości. Jak bowiem podniesie się nasze rolnictwo, jeśli mu zabraknie zdrowych i silnych rąk do pracy, jak rozwinię się nasz przemysł i jak wytrzyma współzawodnictwo z przemysłem obcym, jeżeli tam wydajność pracy jednego robotnika będzie dwa i trzy razy wyższa niżeli u nas, jak się wzmocze bogactwo narodowe, jakimi drogami pójdzie ogólny rozwój kraju i społeczeństwa, jeżeli zaledwie $\frac{1}{3}$ część jego będzie zdolna do normalnej pracy fizycznej, $\frac{2}{3}$ zaś będą wykonywały ją z nadmiernym wydatkiem energii, z wysiłkiem, przenoszącym ich zdolność mięśniową, aż staną się improduktywem, ciężarem i przeszkodą dla zdrowych? A któż powstrzyma tych słabych od rozmnażania się, od zwiększania nędzy i chęłactwa, od tworzenia proletaryatu, który będzie proletaryatem chorych i niedołężnych? Tak. Jeżeli więc nie chcemy mieć w przyszłości kraju, zabudowanego przytułkami dla żebraków i więzieniami, jeżeli nie chcemy mieć ludu, zajmującego ostatnie miejsce w szeregu innych narodów świata, ale jeżeli wyobrażamy sobie, że kiedyś dźwigną się po miastach i wsiach naszych liczne fabryki, że wytwórczość nasza wzrośnie, rolnictwo

zakwitnie, handel się rozwinie, dobrobyt zawita do chat wiejskich, a wieś będzie miała czyste domki murowane i przestronne, widne budynki szkolne, i jeżeli pragniemy tego szczerze, to wy tęmy siły i starajmy się do zwyrodnienia ludu naszego nie dopuścić. Nie wszystko uczynić możemy, ale uczynmyż to, co możemy! Szukajmy zawczasu dróg i środków do walki z najgorszym nieprzyjacielem naszym — z charakterem fizycznym.

Od kilku miesięcy opinia publiczna zajmowała się u nas dość żywo sprawą uratowania Pieskowej Skąły, pięknego majątku w powiecie Olkuskim, prowadzonego przez rabunkową gospodarkę ku ruinie i, ostatecznie, omal że niewydanego już na łup zupełnej dewastacji. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki ludziom dobrej woli z d-r'em J. Zawadzkiem i p. Wilczyńskim na czele, akcja ratunkowa przyobiekła się w formę, która pozwala wróżyć o pomyślnem i zdaje się, najpomyślniejszem, jakie mogło być, uwieńczeniu zabiegów, zmierzających ku zachowaniu tej miejscowości na przyszłość od zamachów niszczyielskich. Oto organizuje się w Warszawie spółka, która ma nabyć Pieskową Skąłę, doprowadzić ją do należytego porządku i uczynić z niej pierwszorzędną w kraju letnisko. Miejscowość nadaje się do tego znakomicie, wzniesienie jej bowiem nad poziom morza jest takie, jak wzniesienie Ojcowa. Pieskowa Skąła przewyższa nadto Ojców pod względem klimatycznym, dzięki dobrej osłonie od wiatrów i obfitości wody.

Na przeszkodzie dotychczasowemu rozwojowi Pieskowej Skąły w kierunku uczynienia z niej miejscowości letniczej, mówi d-r Zawadzki, omawiając zadania przyszłej spółki, stał przede wszystkim brak dobrej komunikacji, jak wiadomo bowiem odległość Skąły od stacji kolejowej w Olkuszku wynosi 2 mile. Należało więc przede wszystkim rozstrzygnąć pytanie, jaki rodzaj komunikacji przy danym terenie byłby najdogodniejszy i najtańszy? Pytanie długo wahało się między urządzeniem kolejki a szosą. Z uwagi jednak na stosunkowo duże spadki, krótkotrwałość sezonu i kosztu wielkie, musiano odstąpić od zamiaru przeprowadzenia kolejki parowej lub nawet tramwaju konnego i postanowiono urządzić szosę. Po nowozbudowanej szosie prywatnej, która prowadzić będzie z Olkusza na Kosmołów i Sposzowę i będzie miała około 14 w. długości, spółka wypuści samochody.

Skoro najgłówniejsza z przyczyn dotychczasowych słabego rozwoju letniska usunięta zostanie, wypadnie z kolei zająć się gruntowną restauracją zamku i należących do niego budynków, co da się uskutecznić kosztem 25,000—35,000 rb. Zamek, wzniesiony na skale wysokiej, z pionowemi od południa ścianami, składa się z budynku głównego i oficyny. W budynku głównym, zaopatrzonem w trzy klatki schodowe, na 1-em piętrze mieści się 9 olbrzymich sal, odpowiednio budowanych na sale stołowe, salony, bibliotekę i t. p.; na 2-iem piętrze jest pięć spalonych pokoiów, kaplica oraz 6 dużych pokoiów mieszkalnych i ogródek na skale, zwanej Dorotką; na parterze jest kilka dużych sal sklepionych, które mogą być przerobione na pokoje mieszkalne. W oficynie dwupiętrowej, na parterze mieszczą się ubikacje gospodarcze, na 1-em piętrze jest trzy pokoje z przedpokojem i kuchnią, na 2-iem piętrze obszerna jadalnia, gabinet, a w końcu 4 pokoje, przedpokój i kuchnia. Oprócz zamku do dyspozycji spółki będą jeszcze następujące domki dla letników: „Na Parnasie“ — trzy mieszkania po 2 pokoje z kuchnią, „Czworak“ (2 pokoje z kuchnią), „Murowaniec“ (sala balowa z kuchnią, 6 pokoiów, stajnie i piwnice), hotel pod „Pałką Herkulesa“ (12 pokoiów), „Podzamecze“ (2 mieszkania po 3 pokoje z kuchnią) i „Pod Rusałką“ (takież pomieszczenie). Nadto nieopodal zamku są w niezłym jeszcze stanie budynki gospodarskie i dla służby, stodoły, spichlerz, stajnia, wozownia, chata dla gajowego itp.

Po odpowiedniej przeróbce zamku, która nie zatarła-by ani pamiątek, ani charakterystycznych cech budowli, uda się niewątpliwie z mocnego dotąd budynku utworzyć coś w rodzaju kursalu z salą balową, czytelnią, pokojami hotelowemi, oraz mieszkaniami większemi. Kursal ten byłby środkiem ciężkości nowego letniska i wokoło niego, wśród lasu, głównie na wzgórzach, budowano-by domki, na 2 do 4 rodzin, rozrzucone na dużej, bo 300 morgowej przestrzeni. Szczególniej do tego celu nadaje się las poza zamkiem i folwarkiem, suchy, dobrze poszyty, urządzony wzorowo. Stojące już dziś budynki, po nieznacznych przeróbkach, także doskonale zużytkować można, są bowiem w dobrym stanie, a co najważniejsza, umieszczone są w zupełnie odpowiednich miejscach.

Nie będzie też wcale trudną rzeczą zaopatrzenie terenu letniska w wodę, wobec jej obfitości i siły prądu w Prądniku, również i kanalizacya nie będzie zbyt trudna wobec spadków naturalnych, a siła Prądnika, który niesie na sobie kilka młynów i tartaków, pozwoli może w przyszłości na oświetlenie elektryczne całego terenu.

Kwestya finansowa przedsiębiorstwa, według obliczeń d-ra Zawadzkiego, przedstawia się jak następuje:

Nabycie Piaskowej Skały wraz z kosztami wyniesie około 65 tysięcy rb., przeprowadzenie szosy 30,000 rb., wybudowanie w pierwszych latach 3—5 willi po 3,000 rb.—9,000—15,000 rb., przebudowanie zamku 35,000 rb., kupno samochodów 10,000 rb., całość zatem wydatków wyniesie około 150,000 rubli, a ponieważ kapitał zakładowy spółki oznaczono na 300,000 rubli w 500 rublowych udziałach, pozostanie zatem do rozporządzenia jeszcze 150,000 rubli, za co wybudować będzie można większą ilość domków, urządzić je, zaprowadzić kanalizację i wodociągi.

Przypuszczalny zaś dochód spółki oprze się na takich pozycjach, jak: wynajem 50 pokoiów w zamku, 22 mieszkań w domkach istniejących i w 20 nowo wybudowanych—co przyniesie, licząc za pokój po 75 kop. dziennie przez 100 dni—10,500 rubli; przewóz 2,000 osób da 4000 rb.; dochód z restauracji, sprzedaży produktów, z koncertów, reunioń, taksy zdrojowej itd. niewątpliwie przyniesie przy dużej frekwencji po 6,000 rubli miesięcznie, czyli razem około 18,000 rb., dochodu zatem brutto już w pierwszym roku powinno być 10% od kapitału zakładowego. Jeżeli od tego odciągniemy wydatki na administrację, które nie powinny przynieść 4%, to otrzymamy jeszcze wcale nie najgorszy zysk czysty, zapewniający udziałowcom normalny procent od włożonych kapitałów.

Dr Zawadzki, gorący apostoł całej tej sprawy, nie wątpi też, że znajdują się chętni do nabywania udziałów spółki, zwłaszcza, że dom bankierski, Pilawitz & Wilczyński, aż do chwili ukonstytuowania się spółki, której sfinansowaniem zajął się gorliwie, będzie płacił według deklaracji po 5% na rzecz składającego pieniądze, a po utworzeniu się spółki po 6% na rzecz nowej spółki od znajdujących się kasie pieniędzy. Biuro bankowe pp. Pilawitza i Wilczyńskiego udziela też wszelkich wskazówek i objaśnień interesowanym, posiadając szczegółowe dane o całym przedsięwzięciu.

„Jeżeli pod względem finansowym—mówi w zakończeniu autor cytowanego tu artykułu—spółka wytrzymuje wcale nie illuzoryczny rachunek, to z drugiej strony społeczeństwo zyska na utworzeniu się spółki dwojako: na zachowaniu pamiątki, oraz na nowej, po europejsku urządzonej, miejscowości letniej w najpiękniejszej okolicy kraju naszego. Nie zapominajmy bowiem, że Pieskowa Skała to początek całej przepięknej doliny Prądnika, że tuż koło niej leży prastara pustelnia błogosławionej Salomei—Grodzisko, o milę Ojców, a w promieniu dwóch mil przyroda nagromadziła tu takie skarby, jak dwa wodospady Będkowickie, jak grotę mamurową i sto grot innych, zbadanych i niezbadanych dotąd, a zawierających skarby dla badania

naszej prakultury, że opodal mamy Rabsztyn i cały szereg miejscowości, uświęconych przez historię, legendy i podania.“

Wszystko to są niewątpliwie atuty w rękę przedsiębiorców, którzy mogą bezwarunkowo liczyć na powodzenie, jeżeli tylko nie poskąpią kapitałów na początek i uczynią z Pieskowej Skały istotnie po europejsku urządzonej miejscowość, a miejscowość taka jest nam bardzo potrzebna, dla tych zwłaszcza, co tak chętnie wywożą pieniądze za granicę, tłómacząc się, że w kraju nie otrzymają nigdzie tego, co tam otrzymują — komfortu, czystości, dobrej kuchni, wyćwiczonej obsługi, i — na wypadek choroby poważniejszej — troskliwej i czulej opieki lekarza. Obok nich wszakże i dla sfer średnio zamożnych, komfort i wygoda są już oddawna pożądane, pierwotne bowiem domki letniskowe coraz mniej mają zwolenników. Ogólny poziom kultury podnosi się u nas stopniowo i na coraz szersze warstwy się rozlewa, wymagania i potrzeby rosną, kto więc im zadość uczynić potrafi — ten zyska na tem z pewnością.

Niedawno temu J. E. ks. biskup Ruszkiewicz poświęcił nowo zbudowane schronisko dla nauczycielek w Zielonce pod Wołominem. Instytucya ta, dzwignięta dobrą wolą jednostek i ofiarnością uspołecznionego ogółu, na bliższą zasługuje uwagę.

Początek jej moralny — to idea ś. p. Agnieszki Helwich, zasłużonej nauczycielki, która w roku 1880 zwróciła się do ks. rektora Chełmickiego z prośbą o opiekę nad sprawą schronienia, którego potrzeby odczuwała sama, będąc już w wieku podeszłym i nie mając sił do dalszej pracy. Inicytorka ofiarowała jednocześnie na ten cel skromny, zebrany drogą długoletniej oszczędności, fundusz, wynoszący 500 rubli. Ta drobna kwota stała się jądrem materyalnem dzieła, uwieńczonego obecnie wzniesieniem trwałego, przestronnego i pięknego budynku, w którym znajdzie przytułek na starość kilkadziesiąt kobiet inteligentnych, ciężką pracą całego życia zmęczonych i spragnionych cichego i spokojnego kąta na ostatek dni swoich.

Nie odrazu wszakże można było zdobyć się na to. Powolny i trudny był początkowo rozwój instytucji. Jak każda rzecz nowa, musiała ona waleczyć z obojętnością ludzką i zdobywać sobie krok za krokiem prawo do bytu i do uznania. Dzięki jednak opiece i przewodnictwu ks. Chełmickiego, tudzież pań Emilii Blochowej i Maryi Wrotnowskiej, skromny przytułek przy ulicy Żórawiej, gdzie znala-

złło początkowo schronienie 6 tylko pensyonarek, stopniowo rozszerzał się, przygarniając coraz większą ilość potrzebujących pomocy staruszek. Przeniesiony na ulicę Kruczą, potem do Królikarni, następnie na ulicę Zielną, doczekał się on wreszcie poparcia, na które oddawna zasługiwał. Środki materyalne rosły odtąd z dniem każdym, a więzy, krępujące swobodny rozwój instytucyi, rozluźniały się powoli.

Wszakże hojne dopiero zapisy Czabana (10,000 rb.) i ś. p. J. G. Blocha (8,000 rubli), oraz dary pań: Blochowej (3,000 rubli), Sikorskiej (10,000 rb.), Roeslerowej (1,000 rb.) i jednego z kapłanów (9,000 rb.), umożliwiły zarządowi nabycie 12 morgów gruntu w Zielonce i rozpoczęcie budowy własnego gmachu. Stało się to w sierpniu 1901. Roboty postępowały szybko i oto d. 26 października r. b. zakład został uroczystie poświęcony i oddany na użytek 34 pensyonarkom.

Miejsce wybrano dobre. Gmach, wzniesiony podług planów budowniczego Szyllera, stoi na górze okolonej świerkami, powietrze tu czyste, przestrzeni dużo, urządzenie skromne, proste, ale wzorowe. Budowa jednak, acz prowadzona bardzo oszczędnie, pochłonęła wszystkie środki, zgromadzone dotąd. Nie starczyło ich nawet na wykończenie gmachu w szczegółach i na zapewnienie siedzibie wielu koniecznych udogodnień. Brak jeszcze poważnej kwoty 24,000 rb. Kierownicy instytucyi, dla zapewnienia pokrycia tego braku postanowili wprowadzić zwyczaj tworzenia stypendyów wieczystych. W ten sposób, posiadając pewien fundusz, będzie można „kupić“ za sumę 4,000 rb. miejsce w schronieniu dla jednej osoby, a za 6,000 dla dwóch osób. Fundusze w tym celu wniesione będą nosiły nazwę stypendyum imienia ofiarodawców. Nie wątpimy, że znajdą się ludzie życzliwi, którzy chętnie w ten sposób zechcą pamięć swoją utrwalić. Było-by jednak pożądanę, aby i z innych źródeł instytucya mogła czerpać, i to stale i niezawodnie, potrzeby jej bowiem niewątpliwie wzrosną z biegiem czasu i dotychczasowe oparcie materyalne okaże się za słabe i nie wystarczające w przyszłości.

W tym celu, przedewszystkiem, należało-by wprowadzić w zwyczaj, aby chlebodawcy, bez względu na to, czy są nimi osoby prywatne, czy też zakłady naukowe, wnosili na rzecz schronienia pewną stałą opłatę, przypuścmy przy zawieraniu umowy, lub przy jej rozwiązaniu. Nauczycielek jest w samej Warszawie liczba znaczna, obok nich zaś wziąć należy w rachubę cały zastęp tych, które uczą się po dworach wiejskich i po miastach prowincjonalnych, gdyby więc nawet opłata taka nie przenosiła 1-go rubla od każdej umowy, to już tą drogą można-by zebrać wcale poważny fundusz.

Drugie źródło stałego dochodu dla instytucji mogły-by stworzyć ofary uczennic. Wiadomo, że w żeńskich zakładach naukowych istnieje zwyczaj składania zbiorowych prezentów nauczycielkom w dniu ich imieniu i w rozmaitych innych okolicznościach. Gdyby więc panie przełożone pensjonatów z jednej strony, a same nauczycielki z drugiej starały się zwyczaj ten zastąpić innym, mianowicie zamiast prezentów postawić ofiary pieniężne na rzecz schronienia, to z ofiar takich przytułek miał-by także pewien stały dochód roczny.

Trzecia wreszcie droga do zwiększenia funduszków instytucji—to budzenie uczucia wdzięczności w pokoleniu już dorosłym dla przewodniczek dzieciństwa i lat młodych.

Kobiety uczucia tego mają mało i o ile wśród mężczyzn zdarza się nieraz, że stosunek ucznia do nauczyciela w wieku dojrzałym przeradza się w przyjaźń, o tyle wśród kobiet jest rzeczą niezmiernie rzadką, aby uczennica utrzymywała z nauczycielką stosunek bliższy i serdeczniejszy w kilka lub kilkanaście lat po ukończeniu pensyi. Gdyby jednak wychowawczynie zwróciły na to wcześniej uwagę i starały szczepić w młodych duszach przywiązanie i miłość, budowane na trwałych podstawach, to z pewnością takie uczennice, wspominając dawne lata, w miarę środków starały-by się pomagać zakładowi, w którym może ich dawne nauczycielki schronienie znalazły. Wkracza to zresztą już w sferę moralnego oddziaływania na otoczenie tych sfer, dla których przytułek powstał, a które jego rozwój i dalsze losy powinny gorąco wziąć do serca. Podkreślamy więc tylko raz jeszcze, że instytucja potrzebuje prócz ofiar jednorazowych, stałej i ciągłej pomocy.

Przed czterema mniej więcej laty podniesiono u nas myśl założenia „Towarzystwa przyjaciół astronomii“, które, grupując dokoła siebie z jednej strony ludzi, posiadających wiedzę specjalną, z drugiej tę część inteligentnego ogółu, która z tej wiedzy pragnie korzystać, stałoby się promieniującym szerzej ogniskiem tej nauki, tak u nas zaniedbanej przez wszystkich, wyjąwszy szczupłe koło fachowców, których Warszawa posiada kilku, a całe społeczeństwo polskie—kilkunastu.

Jakie były-by bliższe zadania i cele takiej instytucji—tego na ówczas nie określono. Jedni pragnęli uczynić ją dostępną dla jaknajszerszych mas i zorganizować na podobieństwo „Uranii“ berliń-

skiej, drudzy — popularyzowanie zdobyczy naukowych uważali za mniej pilne, cały nacisk kładąc na potrzebę pracy cichej, skupionej, zamkniętej w nielicznym kółku prawdziwych miłośników, a mającej za cel główny — zaznaczanie obecności polskiej w tej dziedzinie usiłowań ludzkich. Za wzór stawiono tu ś. p. Jędrzejewicza, autora doskonałej „Kosmografii“, który, jako prawdziwy miłośnik, z takim pożytkiem dla nauki pracował w swoim zaciszu płońskim i, rozporządzając tylko skromnymi funduszami lekarza prowincjonalnego, potrafił założyć za nie obserwatorium astronomiczne, jak na nasz kraj i na nasze stosunki wcale dobrze uposażone.

Projekt, bez względu na popularny, czy też ściśle naukowy charakter Towarzystwa, o ile nam wiadomo, powitany był przychylnie, nawet radośnie, przez nielicznych, ale prawdziwych „przyjaciół astronomii“. Niestety jednak od owej pory minęło już wiele czasu, a sprawy nietylko, że z miejsca nikt nie trącił, ale przycichła ona do tego stopnia, że wogóle niewiadomo, co się z projektem stało? Czy rozbił się on o obojętność szerszych kół dla nauki astronomii i, wskutek braku kandydatów na członków, stowarzyszenie się nie zawiązało, czy inicjatorowie po głębszej rozwadze doszli do wniosku, że na Towarzystwo takie u nas jest zawcześnie, czy inne jeszcze względy stanęły na przeszkodzie, tego nie wiemy, dość, że koło „przyjaciół astronomii“ nie dało dotąd najmniejszego znaku życia.

A szkoda, bo Towarzystwo takie mogło-by poważnie i z dużym pożytkiem pracować, krzewiąc światło nietylko wśród mas, ale wśród inteligencji, astronomia bowiem jest nauką, o której u nas nawet ludzie wykształceni mają bardzo mgliste pojęcie. Jesteśmy tak przyciśnięci do ziemi, tak wirem jej interesów przemijających porwani, że niezmiernie rzadko odrywamy się myślą od spraw codziennych i wnosimy w beżmiary wszechświata. Nie lubimy operować pojęciami „wieczność“ i „nieskończoność“, niema w nas ciekawości do poznawania tego, co dzieje się w przestrzeni, nieznającej granic. Zadawalamy się popularnem wyłożeniem teorii kosmogonicznej Kanta, Laplace'a, poprzestajemy na krótkim, suchym wykładzie kosmografii, którą przechodzimy w ostatniej klasie gimnazjum na gwałt, bez żadnego systemu, bez dobrania się do jądra tej nauki, byle zbyć ten przedmiot „drugorzędny“ i przy egzaminach nieobowiązujący. Odajemy się potem w uniwersytecie studjom specjalnym i, przygotowaniu do pracy zawodowej, wchodzimy w życie, posiadając zawstydzająco małe, chwiejne, a częstokroć fałszywe wiadomości o niebie, systemach planetarnych, kometach, odległościach gwiazd, ich wielkości itd. Nierzadki to przecież wypadek, że człowiek z patentem uniwersyteckim nie umie nazwać ani jednego gwiazdozbioru, nie wskaże na

niebie najświetniej błyszczących planet, jak Venus i Jowisz, a nawet pomiesza z sobą fazy księżyca. Cóż dopiero mówić o gruntowniejszym, naukowym poglądzie na wszechświat, o tych postępach olbrzymich, które nauka astronomii uczyniła w ostatnich latach kilkudziesięciu, od czasu wynalezienia refraktorów achromatycznych i zastosowania do badań spektroskopu i kamery fotograficznej? Tu już panuje niewiedza zupełna i prawie powszechna wśród elity naszej inteligencji, bez względu na to, że, jak zaznacza pięknie w przedmowie do swej „Astronomii gwiazd stałych,” dr Ernst — „żadna nauka nie jest w stanie w równym stopniu zadziwić człowieka, pokazując mu wielkość jego ducha”. Tymczasem — ta właśnie nauka, tak wspaniała i tak wielka, spotyka się z ogólną u nas obojętnością.

A cóż dopiero mówić o szerszych masach, wśród których do dnia dzisiejszego utrzymać się potrafił zabobon o złowróżbnej roli komet, które deszcz gwiazdzisty Leonidów uważają za omen, zwiastujący koniec świata, które nie zdołają sobie wytłómaczyć takiego zjawiska, jak zaćmienie słońca, nie znają przyczyn zmiany pór roku, a gwiazdy uważają za ćwieki, któremi Bóg skiepienie ponabijał niebieskie po to ażeby w nocy było widniej!

Ileż tu jeszcze światła trzeba, ile pracy, aby od szerokiego strumienia wiedzy prawdziwej boczne poprowadzić ramiona dla użyczenia tych nizin umysłowości, zamkniętej w ramach pierwotnego pojmowania świata i jego tajemnic.

Ta wielka rola nauczania i uświadamiania, prostowania mylnych pojęć i tępienia przesądów, podnoszenia myśli ku wyżynom i zapoznawania jej z Prawdą, spadła-by niewątpliwie na barki „Towarzystwu przyjaciół astronomii”, otwierając przed niem szerokie pole do działalności. Dla tego też Towarzystwo takie jest potrzebne, jest niezbędne nawet i oby powstało jaknajrychlej. Może nie zapomnieli o niem jeszcze inicjatorowie i na te słowa przypomnienia czynem się odezwą, bo prawdziwa byłaby szkoda, gdyby piękny projekt utonąć miał w archiwum „dobrych chęci”, gdzie już tyle pożytecznych spraw spoczęło.

„Dobra“ dla społeczeństwa polskiego „nowina“ był ogłoszony pod datą 27-go października roku bieżącego list d-ra Benniego. Oto jego treść:

„Przy inauguracji nowego gmachu Sztuk pięknych w Warszawie, osoby następujące zobowiązały się przez lat 5 płacić corocznie na powiększenie zbiorów Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem: po rubli 1,000—p. Emilia Blochowa, Izydor hr. Colonna-Czosnowski z małżonką, Leopold br. Kronenberg, Konstanty hr. Potocki, Hipolit Wawelberg i ordynat Maurycy hr. Zamoyski; po rb. 150 corocznie p. Julian Fraget; po rubli 100 rocznie: pp. Wincenty Brokl, p. M. Classen, Feliks hr. Czacki, Włodzimierz ks. Czetwertyński, p. Władysław Czosnowski, p. Jakób Erlich, p. Józef Gardowski, p. Franciszek Karpiński, p. Tadeusz Kowalski i Jan br. Lesser; od rubli 25 do 100 przez lat pięć: p. Aleksander Feist, p. Feliks Jasiński, p. Reych i synowie, p. Zabokrzecki i Spółka; poniżej rubli 25 przez lat pięć: p. Józef Głogowski z córką, p. Julian Simon; jednorazowo złożyli: Tadeusz Łapiński rubli 400, p. Leonowa Pouchetowa z Paryża rubli 187, dr Mikołaj Reichman rubli 100, p. Antoni Górski rubli 25, p. Józef Polczyński rubli 10 p. Eleonora Sommerowa rb. 6, p. Feinkindowa rb. 5, p. L. Goldberg rb. 5, p. Julianowa Maszyńska rb. 5, p. Stanisław Młodzianowski rb. 5 i p. Hipolit Królikowski rubli 3.

Z sum w ten sposób zebranych powstał fundusz, powiększony jednorazowem wpłaceniem pięcioletniej składki przez p. Blochową, czteroletniej przez br. Kroneuberga i trzyletniej przez Konstantego hr. Potockiego, oraz ofiarą 3,000 rb. przez Amelię Rozenblumową i po 500 rb. przez jej dzieci: p. Gabryelę Gutmanową i pp. Arnolda i Gustawa Rozenblumów.

Z funduszu tego zakupiono w dniu dzisiejszym na mocy aktu notaryalnego. przed rejentem Wasiutyńskim zawartego, dzieło Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ od spadkobierców ś. p. Karola Rozenbluma. Nabycie tego obrazu zostało umożliwione przez niższenie ceny pierwotnej 40 tysięcy rubli (bo takie było honorarium Matejki) do 25 tysięcy rubli, którą to sumę w dniu dzisiejszym przy akcie wyplacono.

Jedno z największych arcydzieł Matejki pozostanie więc na zawsze w Warszawie, jako najcenniejsza ozdoba naszej galeryi“.

Tyle prostych słów listu człowieka, który nie szczędził starań, ani sił własnych, ażeby piękną myśl doprowadzić do końca i obraz, który ma nie tylko znaczenie wielkie dla sztuki narodowej i stanowi najwyższy wyraz polskiego malarstwa historycznego, ale przedstawia zarazem wspaniały moment dziejowy i przemawia do widzów ideą, potężną, jak ten spór odwieczny, który początek swój bierze w zamierzchłej przeszłości i krwawą nicią wije się przez dzierżawę Piastowiczów i Jagiellonidów, przez całe stulecia Polski, odbijającej

o swą pierś zapędy fali germanizacyjnej—aż do czasów najnowszych, do Wrześni i milionów komisji kolonizacyjnej, ażeby ten obraz, nawskroś rycerski i nawskroś nasz, uczynić własnością społeczeństwa.

Nazwisko d-ra Benniego ukrywa się tu za szeregiem imion tych, co z hojnemi pospieszili ofiarami i materyalnie przyczynili się do nabywania dzieła, tak królewski stanowiącego dar dla ubogiej dotąd galeryi własnej Towarzystwa. Sprawcą jednak moralnym tej gotowości ofiarodawców, dobrym duchem, który im podszeptął, że w tę, a nie w inną stronę zwrócić można i trzeba pieniąż na cel publiczny przeznaczony, zabiegliwym agitatoremm i pełnym poświęcenia stróżem myślici raz podjętej, aż do chwili, kiedy się ona stała faktem dokonanym, był dr Benni.

Jego uczuciom obywatelskim, jego miłości dla sztuki rodzimej i jego energii, tylekroć ujawnionej, w każdej pracy publicznej, której się jął, w każdym przedsięwzięciu, w którym brał udział, we wszystkim, czego się dotknął, zawdzięczać należy, że obraz, do którego Warszawa już się przywiązała, oglądając go wielokroć na wystawie Towarzystwa zachęty, pozostanie tam na zawsze.

Dając w zeszłym miesiącu notatkę o jubileuszu Maryi Konopnickiej, nie mogliśmy już, ze względu na termin wyjścia zeszytu, uzupełnić jej sprawozdaniem z uroczystości lwowskich, które odbyły się w tydzień później. Uroczystości te miały charakter równie piękny, jak w Krakowie, a różniły się od nich jeszcze więcej skupionym i jednolitym nastrojem, brali w nich bowiem udział nietylko przedstawiciele instytucji społecznych, naukowych i literackich, nietylko szerokie warstwy ludności stolicy galicyjskiej, ale obok nich i najwyższe władze państwowe i autonomiczne kraju, w osobach J. E. Namiestnika hr. Pinińskiego i marszałka sejmu Andrzeja hr. Potockiego. Świetny korowód deputacyi przewinął się przed oczyma jubilatki na scenie teatru miejskiego, świetne były przemowy, z którymi wybitni przedstawiciele literatury zwracali się do siedzącej na złocistym fotelu „królowej pieśni“, do której stóp spadały kwiaty, rzucane z łóż i krzeseł przez rozentuzyzmowaną publiczność.

Jan Kasproicz przemawiał najwznieślej. W imieniu poetów polskich witał ją i wieńczył girlandą żywego słowa, mieniącego się przepychem barw, czarującego brzemieniem podniosłem i górnem.

„Nas, pokolenie nieco młodsze—mówił między innemi,—którzyśmy nie brali bezpośredniego udziału w walce o prawa poezyi, którzy

jednak pamiętamy jeszcze echa pocisków, rzucanych na tę najpotężniejszą, najwspanialszą emanację ducha, nietylko radością napełnia widok spieszącego ku tobie z oznakami hołdu społeczeństwa, ale budzi w nas wiarę, że mniemanie, jakoby poezya była szkodnikiem narodu, bo go wrzekomo odciąga od myśli o potrzebach t. zw. realnych, bezpowrotnie minęło. I nie może być inaczej, jeżeli pieśń, jak twoja, nie stwarzając żadnych przemijających wskazań i kodeksów politycznych czy społecznych, będzie wyobrazicielką najwewnętrzniejszych, dla zwykłego oka niejednokrotnie utajonych, pożądań, pragnień i tęsknot duszy zbiorowej; jeżeli twórca, jak ty, rozumiejący płomienną mowę biblijnego krzaka, wielką, bezwzględną miłością ogarnia wszystko i wszystkich; jeżeli wygłosiwszy zasadę, iż szczęśliwym staje się człowiek przez to, że ukocha, miłość tę uczyni najistotniejszą treścią swej pieśni“.

Kończąc zaś tę piękną mowę swoją, zaznaczył i podkreślił mówca, że Konopnicka, jako poetka, była „istotnym twórcą“, bo odczuwała „związek duszy swej nietylko z duszą otaczających ją ludzi, ale z duszą wszystkiego, co jest, co z Bożego rodzi się źródła: z mgławym oddechem świeżo zoranej gleby, z szumem liści jesiennych, z krwawieniem w zorzy wieczornej, z połyskiem świtami oblanych jezior i rzek, z dalekim wrzaskiem pieśni pastuszej, z mistycznym pobrzmiwaniem zamilkłych, a jednak głośnych ech przeszłości“.

Były w tem przemówieniu nietylko moc i piękno słowa, ale nadzwyczaj trafna i głęboka charakterystyka literacka poetki, przenikliwe zgłębienie twórczych pokładów jej duszy. Nie wiele też po Kasprzewiczu powiedzieć mógł przedstawiciel Towarzystwa dziennikarzy polskich, autor „Szarego Wilka“, Adam Krechowicki, ani tembardziej p. Kazimierz Skrzyński, witający ją w imieniu koła literacko-artystycznego.

Dziś, kiedy przebrzmiały już ostatnie echa uroczystości jubileuszowych, a życie, wymagające pracy i ofiar od tych, którym dano jest hetmanić duchowi narodu, i od tych, co szare tworzą szeregi, zwykłą swoją popłynęło falą, niech wolno nam będzie w zamknięciu tej kroniki i tego roku wyrazić nadzieję, że społeczeństwo, które, urządzając jubileusz poetce, złożyło dowód głębokiego zrozumienia i odczucia idei przewodnich, zawartych w pieśni Konopnickiej, potrafi także te idee wcielać w życie i służyć im wytrwale.

Dnia 26 listopada r. b. zmarł w Sejnach dostojnik kościoła, sędziwy i zasłużony pasterz, J. E. ks. Antoni Baranowski, biskup Sejneński i Augustowski.

J. E. ś. p. ks. biskup Baranowski urodził się dnia 17 stycznia r. 1835, w gub. Kowieńskiej. Ukończywszy seminaryum duchowne w Worniach, kształcił się następnie w akademii duchownej w Petersburgu, którą w 1860 opuścił w stopniu magistra św. Teologii.

Wyświęcony na kapłana w r. 1862, wszedł na zwykłą drogę posług parafialnych. Z drogi tej w r. 1865 sprowadziły go obowiązki bibliotekarza, kapelana i profesora w Akademii petersburskiej. Powołany następnie przez ś. p. biskupa Wołoncewskiego na profesora seminaryum duchownego w Kownie, na tem stanowisku rozwinął zmarły szerszą i płodną działalność, wznosząc się zarazem szybko w hierarchii kościelnej. I tak w r. 1879 widzimy go już w godności kanonika gremialnego kapituły żmudzkiej, w r. 1883 zostaje prałatem-scholastykiem, a następnie biskupem tytularnym tepszańskim i sufraganem żmudzkiem.

Po śmierci ś. p. biskupa Piotra Wierzbowskiego, mianowany w z. 1897 biskupem Sejneńskim i Augustowskim, sprawował ks. Baranowski do chwili ostatniej trudne swe obowiązki z taktem, rozważą i z całkowitem oddaniem się sprawom kościoła. Miłością, dobrocią i rozumem zjednał sobie powszechny szacunek i uznanie, śmierć jego odbija się też żałobnem echem szeroko poza granicami osieroconej diecezji.

Pracując w wolnych chwilach nad językiem litewskim, którym władał doskonale w mowie i piśmie, ś. p. ks. biskup pozostawił po sobie cenną pracę „O języku i słowniku litewskim“, a nadto napisał po litewsku cały szereg pieśni religijnych i ulotnych poezji, wzbogacając tem ubogą skarbnicę literatury litewskiej. Zmarły był także autorem niedawno wydanej pracy „O progresji transcendentalnej oraz o skali i siłach umysłu ludzkiego“.

Cześć jego żywotowi bogobojnemu, jego pracy i zasługom, jego pamięci czystej i prawdziwie chrześcijańskiej.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Na posiedzeniu *Wydziału Filologicznego* dnia 10 listopada bieżącego roku, członek profesor L. Sternbach przedstawił swoje dwie prace: a) „Czas powstania Melissy gnomicznej Antoniosa“, b) „O poemacie moralnym Manassesa“. Dr Tadeusz Grabowski przedstawił swoją pracę pod tytułem: „O poezji polskiej po roku 1863. Część II“.

Ukazał się *Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie*, zdający sprawę z działalności tej najpoważniejszej u nas instytucji naukowej z roku 1901/2. Ze sprawozdania sekretarza generalnego dowiadujemy się o liście nowych członków, ich życiu i pracach naukowych. A ponieważ w maju roku bieżącego upłynęło lat trzydzieści od założenia Akademii, przytoczmy ciekawsze szczegóły. Z pierwszego zawiązku pozostało w składzie Akademii dwu członków tylko (Dunajewski i Estreicher), z kooptowanych wówczas również dwu (Klaczko, Małecki). Przechodząc do najnowszej doby, zaznaczyć należy, że czterech członków Akademii zasiadło po kolei w radzie Korony, jeden dziś rządzi krajem, drugi archidyecezyą lwowską. Kapitały, służące na cele wydawnictw badań naukowych, wynosiły w roku 1873 dwa tysiące pięćset złr., obecnie zaś 156,500 zł. w. a.; funduszu nagród w roku 1873 nie było, dziś wynosi on 100,826 złr. i 5,400 rubli. Na ten fundusz złożyły się przeważnie ofiary i zapisy z Królestwa i Litwy. Liczba tomów, wydanych od założenia Akademii, dosięgła obecnie cyfry 472: średnio wypada na rok 14 — 15 tomów; był szereg lat, w których produkcja roczna przekraczała d w a d z i e ś c i a t o m ó w. W przyszłości cyfra ta musi się zmniejszać, gdyż wzrost środków materialnych nio będzie w żadnym stosunku do wzrostu kosztów pracy badawczej i techniki wydawniczej. Liczba i n s t y t u c y j, z którymi teraz łączą Akademię stałe stosunki wymiany publikacji, doszła do poważnej cyfry 660. Sekretarz generalny

kończy swe sprawozdanie temi słowy: „Niechże wszędzie, dokąd publikacye nasze dochodzą, utwierdza się przekonanie, że każde dzieło, na którem wybite godło polskiej Akademii, to, albo w całym tego słowa znaczeniu monumentalne wydawnictwo, albo mu niedaleko do tej linii granicznej. To przysporzy poszanowania imieniu polskiemu, to spłaci dług, należny nauce powszechnej, to podniesie zarazem poziom wszelkich usiłowań polskiej nauki poza Akademią“.

NOWE KSIĄŻKI.—Zapowiedziane od ukazania się niemieckiej książki o literaturze polskiej prof. Brücknera (ob. „Bibl. Warsz.“, 1902, t. I, str. 499) wychodzą obecnie w zeszytach tegoż *Dzieje literatury polskiej*. (Nakład Gebethnera i Wolffa). Tekst polski nie jest ani tłumaczeniem, ani przerobieniem tekstu niemieckiego, który przeznaczony był dla cudzoziemców, a tem samem musiał być zastosowanym do znajomości rzeczy polskich u obcych. Dzieło polskie zapowiada się jako treściwe ujęcie najbardziej typowych i charakterystycznych objawów myśli polskiej i ducha polskiego. O wyczerpaniu szczegółów prof. Brückner nie myślał. Przeznaczywszy dzieło swe dla szerszej publiczności, nie obciążał autor tekstu aparatem bibliograficznym i cytatami. Zadanie książki jest bardzo pięknie określone na okładce zeszytu: „Dać poznać tok dziejów literackich, związek ich z europejskimi, samorodność w różnych objawach, głębokość pomysłów, piękność wykonania, zalety myśli i stylu, a przez nie przyczynić się do uświadomienia przeszłych zasług i przyszłych zadań“. Dzieło prof. A. Brücknera zawarte będzie w dwu tomach, z których pierwszy poświęcony jest dawniejszym czasom, drugi zaś wiekowi dziewiętnastemu. Tomy te wyjdą w sześciu zeszytach dziesięcio-arkuszowych. Ukazały się już dwa pierwsze zeszyty, doprowadzające nas do Morsztynów. Po wyjściu całości podamy obszerną ocenę tego ważnego dzieła.

— Jan Kasprowicz wydał dwie bardzo ozdobne książki, z których jedna ma tytuł: „Moja pieśń wieczorna—poezye“; druga, pod zbiorowym tytułem: „Salve Regina“, oprócz pieśni na cześć „Pani świata“, zawiera „Hymn św. Franciszka z Assyżu“, monolog: „Judasza“, w końcu pieśń „Maryi Egipcjanki“. Dwie te ostatnie poezye pełne są przejrzystych, indywidualnych alluzyj. Tom ze zbiorowym tytułem: „Moja pieśń wieczorna“, ozdobiony jest doskonałym portretem poety (photogravure). Mamy tu następujące poezye: „Na wzgórzu śmierci“, „Moja pieśń wieczorna“, „Święty Boże, Święty mocny“, „Dies irae“ i „Salome“. Ocenę obu tych tomów zamieścimy wkrótce; tutaj zaznaczamy tylko, że są one wspaniale wydane. Druk i papier przynoszą prawdziwy zaszczyt firmie lwowskiej B. Połonieckiego. Kiedyż—to doczekamy się w Warszawie tak gustownie wydawanych dzieł.

— Komitet jubileuszu Maryi Konopnickiej wydał w Krakowie *Wybór* jej pism, przystępny dla warstw najszerszych, z piękną przemową

Lucyana *Rydla*. Dwa tomiki, razem oprawne, z rysunkami St. Wyspiańskiego i prześliczną okładką ozdobną Wincentego Wodzinowskiego, kosztują zaledwie 35 centów. Do „Wyboru“ dołączono udatny portret Jubilatki.

— Z niwy poetyckiej mamy jeszcze do zanotowania „Strofy jesienne“, miniaturową książeczkę autora „Tytana“ i „Strof“, poświęconą „duszom bratnim“. Są tam rzewne, przeważnie melancholijne dwustrofki, pisane bez pretensyi pod bolesnem wrażeniem doby bieżącej, naprzykład laskaty wielkopolskiej.

— Na polu historii literatury polskiej, obok wielkiego dzieła Brücknera, ukazało się kilka prac następujących:

Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Stanisław Windakiewicz, ogłosił studjum swe pod tytułem: „Teatr ludowy w dawnej Polsce“. (Oobne odbicie z Rozpraw Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, tom XXXVI, str. 1—231). Znajdujemy tu szczegółową historję teatrów naszych w XVI i XVII wieku, dzieje misteryów i cyklów wielkanocnych w porównaniu z misteryami zagranicznymi, genezę intermedyów, w końcu rzecz o blaznach, frantach, tudzież o sztukach rybaltów.

Książka d-ra Windakiewicza doczekała się zaraz po wyjściu surowej krytyki prof. Brücknera w „Przeglądzie Polskim“, na którą autor unieścił tamże swą replikę. Polemika toczy się głównie o mylnie, zdaniem Brücknera, pojęcie „ludowego“ teatru. Niebawem ukaże się nowa praca d-ra Windakiewicza, pod tytułem: „Dramat liturgiczny“.

— Niezwykle pracowitym jest p. Stanisław Zdziański. W krótkich odstępach czasu wydał on wielką książkę o „Pierwiastku ludowym w poezyi polskiej XIX-go wieku“, spory tom o „Bohdanie Zaleskim“, a teraz mamy przed sobą jego „Szkice literackie“ i przyczynki do filozofii życia, pod tytułem: „Z menażeryi ludzkiej“. „Szkice literackie“ są zbiorem prac, drukowanych luźnie przedtem w różnych pismach. I tak: pierwsze studjum, pod tytułem: „Kłonowicz a pamflet przeciw Jezuitom“, znane jest czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ (1900, tom drugi). Podobnie studjum o „Chronologii młodocianych utworów Zaleskiego“ zamieściła „Biblioteka Warszawska“ w roku ubiegłym. Sporą część tomu wypełnia studjum o Maurycym Gosławskim. W artykule pod tytułem: „Witwicki i Żukowski“, rozebrał autor wyczerpująco stosunek ballady Witwickiego: „Wieczór świętego Andrzeja, i wykazał, że jest to przeróbka „Świetlany“ Żukowskiego. Bardzo interesujące są dalej „Notatki do pism Słowackiego“. Mamy tu analizę młodocianych utworów Słowackiego (Hugo — Mnich — Żmija) i wykazanie wpływów Mickiewicza, Byrona, Beauplana i Goszczyńskiego. Na postać Eoliona w „Wacławie“ wpłynąć miał, zdaniem autora, Orcio z Nieboskiej Ko-

medyi. W szkicu pod tytułem: „Mickiewicz i Lermontow“, zastanawia się autor nad możliwością wpływu Wallenroda na Izmail-Beja, a wogóle nad stosunkiem poezyi Mickiewicza do twórczości Lermontowa. Cały tom „Szkiców“ St. Zdziarskiego ma treść obfita, a wydany jest bardzo ładnie, jak wszystko, co wychodzi staraniem Księgarni Polskiej we Lwowie. Tegoż autora rzecz pod tytułem: „Z menażeryi ludzkiej“ jest spowiedzią młodego pisarza z przebytych rozczarowań i błędów. „Jeśli kiedy bryznąłem jadem goryczy, jeśli czasem podniesie się z kart tej książki krzyk oburzenia, lub rozpaczy, niechaj mi nie będzie poczytany za złe, bo jest to ból człowieka, co całym sercem chciał by przychylić społeczeństwu szczęścia, wiele go tylko dać można“. Jest tam szczery krzyk przeciw obłudzie publicznej i prywatnej, wychowaniu młodzieży bez zasad moralności, przyczem silnie oddziałał na autora artykuł A. Wysloucha, drukowany w „Krytyce lekarskiej“ i Weresajewa „Zwierzenia lekarza“. Książeczka ta zawiera kilka drastycznych ustępów, które nie pozwalają na umieszczenie jej w bibliotekach pensjonatów żeńskich. Nastrój cały jest pesymistyczny, ale tendencya najszlachetniejsza.

— Studya historyczno-literackie mnożą się ostatnimi czasy. Są to nieraz drobne na pozór cegiełki, które jednak wypełniają dotkliwie odczuwane braki, i są trwałymi nabytkami dla historii naszej literatury. Dr Wiktor H a h n ogłosił „Zapomniane utwory łacińskie Szymona Szymonowicza“ (Lwów, 1902, str. 39). Mamy tu wiadomości o pięciu utworach łacińskich Szymonowicza, zupełnie zapomnianych. — Ignacy Ch r z a n o w s k i ogłosił drukiem studjum: „O satyrach Naruszewicza“ (Lwów, 1902, stron 44). Jest to pierwsza próba dokładnego rozbioru satyr Naruszewicza; praca ta pod względem metodycznego traktowania przedmiotu może służyć za wzór. Szczegółowe zestawienie satyr Naruszewicza z satyrami Boileau'a, pozostanie trwałym nabytkiem w literaturze. — Profesor Józef T r e t i a k wydał i wstępem opatrzył „Wspomnienia młodości“ *Brodzińskiego*, zaradzając w ten sposób potrzebie, odczuwanej już od pół wieku przeszło. „Wspomnienia“ te były zagrzebane w dawnych, mało komu przystępnych, czasopismach—a przecież, jak słusznie twierdzi wydawca, w całej literaturze polskiej niema pomnika autobiograficznego, kreślonego ręką poety, który-by był równie zajmującym, posiadał tyle wdzięków szczerości i prostoty, i tak się nadawał na lekturę powszechną. „Wspomnienia“ te nigdy nie były wydane ani w zbiorach utworów poety, ani w osobnej broszurze. Razem z temi cennymi „Wspomnieniami“ ogłosił prof. J. Tretiak urywki z dziennika Brodzińskiego z roku 1813 i urzędową tegoż autobiografią z roku 1823.

— Tak długo odłogiem u nas leżąca historia sztuki, zaczyna się budzić do życia, dzięki Akademii Umiejętności. Po pięknych studyach

Maryana Sokolowskiego, Jerzego Mycielskiego, F. Koperę i innych, nadchodzi pora systematycznego opracowania naszych zabytków sztuki. Ogłoszone świeżo w Rozprawach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności (tom XXXV): „Studia do historii sztuki i kultury wieku XVIII-go w Polsce“, przez Emanuela Świeykowskiego, zapowiadają nam cały szereg monograficznych opisów znamiennych zabytków wieku XVIII-go. Wychodzące one będą w systematycznym porządku, tak, że wszystkie razem stworzą jednolite opracowanie przedmiotu. Zamierzone przez p. Świeykowskiego monografie obejmą: Kościół i Klasztor warowny w Berdyczowie, Zamek książąt Lubomirskich w Równem, Rydzyńską ks. Sułkowskich, Białystok, rezydencją hetm. Branickiego, niektóre pałace warszawskie, Brühlowski, Błękitny, Krasińskich, pałac królewski w Łazienkach i t. d. Obecnie ukazała się wyczerpująca Monografia Dukli z fototypiami pałacu, jego ozdób, kościoła (fotograwiura), nagrobków, kraty ozdobnej, ołtarzy, grobowca Maryi Amalii Mniszechowej, fasady klasztoru Bernardynów i t. d. Praca p. Świeykowskiego odznacza się wielką erudycją w danym zakresie i metodycznym traktowaniem przedmiotu. Na pole powszechnej historii sztuki przenosi nas rozprawa d-ra Jerzego Kieszkowskiego, pod tytułem: „Appartamento Borgia“ (Kraków, Spółka Wydawnicza Polska), ozdobiona pięknymi fototypiami fresków Pinturicchia, które, zdaniem autora, doskonale streszczają całą kulturę wieków średnich. Do bieżących spraw, związanych z pojęciami i zasadami malarstwa wprowadza nas polemiczna broszura pana Ludomira Benedyktowicza pod tytułem: „Stanisław Witkiewicz jako krytyk“ (Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1902). Zadanie swe określił autor w słowach następujących: „Czas wielki zrobił obrahunek z książką p. Witkiewicza („Sztuka i krytyka u nas“), i rozdzieliwszy kwiaty od ostów wyłączył z powodzi utareczek polemicznych to, co ona wniosła dobrego do sztuki“, P. Benedyktowicz „nie czyni tego z próżnej chęci wywołania nowej polemiki z p. Witkiewiczem“, ale dlatego, aby spełnić ciężący mu na sercu obowiązek wypowiedzenia prawdy z miłości dla sztuki polskiej, którą pragnął-by widzieć „w królewskich szatach piękna chodzącą, a nie w lachmanach żebraka, lub strzępach obłąkańca“.

— Przegląd nowych książek zamykamy wiadomością, bardzo dobrze świadczącą o budzącym się u nas zamiłowaniu do dzieł filozoficznych. Oto „Wstęp krytyczny do filozofii“ prof. H. Struvego ukazał się w trzecim wydaniu w ciągu lat siedmiu. Zapewne, cena przystępna (trzy ruble za ośmset stron bitego druku!) przyczyniła się niemal do rozpowszechnienia tak doskonałego podręcznika, nie mniej sam fakt, że książka tej treści doczekała się tak rychło trzech wydań, jest bardzo pocieszającym dla umysłowości naszej faktem. Trzecie to wydanie nie jest tylko przedrukiem, jest ono wszechstronnie przejrzone i dopełnione w głównym tekście dzieła.

— Bardzo pożądanym i cennym dla historii naszej nabytkiem jest rozprawa polskiego uczonego, d-ra Augusta Rodakiewicza, pod tytułem: „Die galizischen Bauern unter der polnischen Republik. Eine Agrarpolitische Untersuchung von August Rodakiewicz. Brünn, bei R. M. Rohrer, 1902. Wykazuje ta praca, jakim był los wieśniaka polskiego w porównaniu z tem, co się działo zwłaszcza w krajach niemieckich, i dowodzi, że nigdy los chłopów w Polsce nie był tak ciężki, jak w państwach ościennych. Dowodzi tego na przykład fakt, że chłopci z Saksonii, Meklemburga i Pomorza nieustannie uciekali do Polski. Ważne szczegóły podaje autor z XVIII wieku o Chreptowiczu, Andrzeju Zamoyskim, księżnej Annie Jabłonowskiej, P. Ks. Brzostowskim i in. Obecnie pracuje p. Rodakiewicz nad uzupełnieniem swego dzieła, i zamierza skreślić dzieje włościan galicyjskich pod panowaniem austriackiem.

— Akta grodzkie i ziemskie. Z fundacyi Aleksandra hr. Stadnickiego, przeznaczonej na wydawnictwo aktów grodzkich i ziemskich, wydano siedmnaście tomów tychże aktów. Obecnie przygotowany już został do druku tom XVII I; Wydział krajowy postanowił zwołać ustanowioną dla tego wydawnictwa komisję, w celu ocenienia przygotowanego manuskryptu i powzięcia decyzji. Do komisji należą pp.: dr Antoni Malecki, dr Wojciech Kętrzyński, dr Aleksander Hirschberg, dr Tadeusz Wojciechowski, dr Antoni Prochaska, ks. kan. Petruszewicz i dr Oswald Balcer. Należał do komisji także ś. p. Szaraniewicz; zapewne powoła Wydział krajowy w jego miejsce innego uczonego.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A.

W. Heinrich: Teorya i wyniki badań psychologicznych. Część pierwsza. Badania wrażeń zmysłowych. (Wydane z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Cena rub. 1 kop. 80. Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“. (E. Wende i S-ka), 1902. Stron VIII + 307.

Henryk Struve: Wstęp historyczny do Filozofii. Wydanie trzecie. Warszawa, 1903. Cena trzy ruble. (E. Wende i Spółka, stron XXIV + 779.

Dr Mściław Wartenberg, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: Obrona Metafizyki. Krytyczny wstęp do metafizyki. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1902. (Adamowi Mironowskiemu). str. 158.

SPRAWY SPOŁECZNE.

J. Dallemagne: Zbrodnia w świetle teorii współczesnych, przełożył Zygmunt Poznański, Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa. Księgarnia E. Wende i Spółki. 1902. Stron 202.

Pismo Dyrekcji Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, wystosowane do Delegatów na Ogólne Zgromadzenie Towarzystwa, jako odpowiedź na zarzuty, zawarte w broszurce pod tytułem: „*Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie i obecny jego Zarząd w świetle prawdy przez poinformowanego*“. Kraków. Nakładem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, 1902. Stron 52 i tabela.

M. Kowalewski: Zarys początków i rozwoju rodziny i własności. (Wykłady w Uniwersytecie Sztokholmskim). Przekład z francuskiego Maryi Gomolińskiej. Warszawa. Skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44. 1903. Stron 238.

S. Posner: Nad otchłanią. (W sprawie handlu żywym towarem). Część pierwsza. Warszawa. Nakładem Księgarni Naukowej. 1903. Stron XI + 95.

Stanisław Zdziański: Z menażeryi ludzkiej. Przyczynki do filozofii życia. Z winiętą tytułową rysunku Stanisława Dębickiego. 1903. Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i S-ka, stron 87.

Bilans handlowy gubernij Królestwa Polskiego, opracował Władysław Zukowski, przy współpracownictwie pp. Chruszczyńskiego i Czerniawskiego. Warszawa. Nakładem „Słowa“, 1902, stron 86.

NAUKI ŚCISŁE. — MEDYCINA.

Prace matematyczno-fizyczne, wydawane przez Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Wł. Natansona, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego. Tom XIII. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902. Stron 395, 2 nl. *Treść*: Prace Denizota, J. Zawidzkiego, K. Żórawskiego, G. A. Millera. A. Przeborskiego, Korespondencya Kochańskiego i Leibniza przez S. Dicksteina, Studya R. Mereckiego, M. P. Rudzkiego, E. E. Bötchera.

Dr. J. Szaniawski: Rozpoznawanie i leczenie brajtyzmu. Warszawa. Druk Laskauera i Sp., 1902, stron 96.

HISTORIA.

Justyn Feliks Gajsler: Dzieje Węgier w zarysie. Tom III. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1902. Cena 75 kop. Stron 211.

Czesław Jankowski: Sześćset lat stosunków polsko-pruskich. Z przydanymi głosami w sprawach polsko-pruskich Henryka Sienkiewicza.

Bolesława Prusa i Tadeusza Smarzewskiego. Wilno. Nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego, 1903. Fototypie obrazów Matejki, Bitwa pod Grunwaldem i Hold pruski; portrety Fryderyka Wilhelma, wielkiego Kurfirsztą i Bismarcka, stron 100.

Maciej Lorek: Między Jeną a Tylżą (1806 — 1807). (Monografia w zakresie dziejów nowożytnych, tom II). Z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Warszawa, 1902, stron XV + 165. (Przedmowa Szymona Askenazego).

Dr W. W. Tomek: Historia Królestwa Czeskiego. Wedle jubileuszowego wydania przełożyła z upoważnienia autora H. Strażyńska. Tom I. Stron 271. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1902.

Ludwik Woltmann: Teoria Darwina i demokracja społeczna. Przekład I. Moszczeńskiej. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki“, 1902, stron 256 (dwie części).

HISTORIA LITERATURY. — SZTUKA.

Kazimierza Brodzińskiego: „Wspomnienia mojej młodości“ i inne urywki autobiograficzne wydał i wstępem opatrzył prof. Józef Tretiał. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1901, stron 88.

Wł. Jabłonowski: Emil Zola. (Charakterystyka twórczości). Warszawa, G. Sennewald, 1903, stron 31.

Dr Jerzy Kieszkowski: Appartamento Borgia. Kraków, 1901. Spółka Wydawnicza Polska). Stron 76. (Ośm fototypii z fresków Pinturicchia).

Antoni Potocki: Marya Konopnicka. Szkice literackie. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1902, stron 94.

Tegoż: Stanisław Wyspiański. Studium literackie. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. 1902, stron 150.

Maria Rygiel: Maria Konopnicka nel suo giubileo. (Dalla Nuova Antologia 1-o novembre 1902). Roma. Direzione della Nuova Antologia Corso Umberto I, 131. — 1902, stron 12.

X. Wacław z Sulgostowa, Kapucyn: O cudownych obrazach Przenajświętszej Matki Bożej. Wiadomości historyczne, bibliograficzne i ikonograficzne. Kraków. Nakład autora. Druk W. L. Anczyca i S-ki, 1902, stron 846. Cena 23 koron.

POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

J. Barbey d'Aureville: Kawaler des Touches. Przekład *Lucyana Rydla*. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1901, stron 228.

W. Dzierżanowski: Poezye. Warszawa. Skład główny w księgarni S. Dembego. 1903. Stron 153 + 2 nl. Okładka i winiety podług rysunku Teodora Ziomka.

Kazimierz Gliński: Poezye. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 251). Warszawa, 1902, stron 160.

Stanisław Grajbner: Marszałek. Powieść. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni A. G. Dubowskiego. Stron 176.

(A. K.): Strofy jesienne. Kraków, G. Gebethner i S-ka. (Duszom bratnią poświęcam), stron 130.

Maryan Manteuffel: Statyci. Szkic. Warszawa. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 254). 1902. Str. 141.

Antoni Miecznik: Mistrz Twardowski—bytu ludzkiego misteryum. Warszawa, 1903, Jan Fiszer, stron 99.

Jan Nowacki: Pieśń. W Krakowie. 1903. Księgarnia Gebethnera i S-ki. Stron 44.

Fr. Reinstein: Humoreski. Warszawa. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 243). Stron 134.

Henryk Rzewuski: Zamek krakowski. Tom pierwszy, stron 87. *Biblioteka dla młodzieży*. (Wydawnictwo tygodniowe). Cena pojedynczego tomiku kop. 25.

Abgar Soltan: Nea. Powieść współczesna. Spółka wydawnicza polska w Krakowie. 1901. Stron 300.

Ryszard Wagner: Walkiryja. Pierwszy dzień z trylogii. Pierścień Nibelunga. Tłómaczył Teodor Mianowski. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1902. Stron 111 i XXVI. Dodatek muzyczny.

Jan Zacharyasiewicz: Tajemnica Stefanii. Powieść. Tom pierwszy, stron 186. Tom drugi, stron 174. Spółka Wydawnicza Polska, 1902. Kraków.

PISMA ZBIÓROWE.

Na Pogotowie Ratunkowe w Warszawie. *Kalendarz informacyjno-encyklopedyczny na rok 1903*. Wydawnictwa rok trzeci. Warszawa. Nakład Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron XVIII+LVI+652+CIV+84. Mapa Królestwa Polskiego. Plan miasta Warszawy. Oprawne w płótno. Cena rub. 1 kop. 20.

Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX-go. Warszawa. Nakład M. Chelmońskiej. Redakcyja i skład główny: Wspólna 51 m. 2. Tom drugi. Zeszyt X—XII, stron 289—384. *Treść*: Józef Dietl (przez d-ra Józefa Grabowskiego), Hieronim Strojnowski (przez d-ra Władysława Zahorskiego), Karol Brzostowski (przez Zygmunta Glogera), Stanisław Jachowicz (przez Aniełę Szycównę), Henryk Dembiński (przez Maryana Massoniusa), Michał Sokolnicki (przez M. Sokolnickiego), Teodor Morawski (przez W. Ossowskiego), Wincenty Pol (przez Piotra Chmielowskiego), Polikarp Girsztowt (przez d-ra J. Peszkego), Teofil Lenartowicz (przez Piotra Chmielowskiego), W. Korotyński (przez Zygmunta Glogera), Józef Supiński (przez Stanisława Kempnera), Ignacy Chodźko (przez Romana Plenkwicza).

Zeszyt trzeci tomu szóstego Encyklopedyi wychowawczej obejmuje następujące artykuły: „Katechetyka“ (dokończenie) — przez ks. ks. Krukowskiego i S. K. Wesółowskiego; „Katecheza“ — przez tychże; „Katechizm“ — przez tychże; „Kazania dla uczniów“ — przez ks. Jełowickiego; „Kąpiele“ — przez d-ra St. Kopeczyńskiego; „Kehr Karol“ — przez R.; „Kluk Krzysztof“ — przez G. Ch. i R. P.; „Klamstwo“ — przez St. Karpowicza; „Knapki Grzegorz“ — przez J. K.; „Kochański Adam-Adamanty“ — przez S. Dicksteina; „Kolaborator“ — przez L. Finkla; „Kologia“ — przez

d-ra A. Danyszka; „Koleżeństwo” — przez J. Moszczeńską; „Kolołkwia” — przez L. Finkla; „Kolonie akademickie” — przez Henryka Gallego; „Kolonie letnie” — przez St. Markiewicza; „Kołłtaj Hugo” — przez Piotra Chmielowskiego; „Kołyska” — przez d-ra J. Brudzińskiego; „Komeński Jan” — przez A. Danyszka.

Zeszyt 178-my Słownika Geograficznego zawiera dopełnienia do litery *K* od „Klełhówka” do „Krasnosiołka”. Z większych opracowań pomieszczono tu: Koek, Kołł, Koprzywnica, Kołłcielce i Kraków.

Zeszyt 179-ty zawiera dopełnienie do całego dzieła, począwszy od „Krasnosiołka” do „Lubasza”. Z ważniejszych opracowań miełci: Łąd, Łądek, Lelów.

Józefa Ungra Kalendarz Warszawski popularno-naukowy, ilustrowany, na rok 1903. Str. XXVI + 100 + 167,



Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z ROKU 1902.

HISTORIA.

	Str.
PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSSENHOFFA (dalszy ciąg),— podał Józef Weyssenhoff	24, 234 i 565
W PRZEDEDNIU KATASTROFY. Galicya w roku 1846, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	417

LITERATURA.

AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliu- sza Romskiego	1, 253 i 458
--	--------------

STUDYA I SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

KRAJ LAT DZIECINNYCH, — przez prof. Józefa Kallen- bacha	47
KS. GRACYAN PIOTROWSKI I JEGO „SATYR“. Przyczynek do historyi satyry polskiej XVIII wieku (dokoń- czenie),—przez Ign. Chrzanowskiego	93
DRAMAT I OPERA, — przez Władysława Bogusław- skiego	121
O BOHDANIE ZALESKIM, — przez Maryę Konopnicką	292
POGADANKA ARTYSTYCZNA. Z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych: Druga wystawa Krakowskiego Towa- rzystwa sztuki Stosowanej	349
NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA. Bernhard Berenson: 1) The Central Ita-	

	Str.
lian Painters of the Renaissance; 2) The Florentine Painters of the Renaissance. Second Edition revised, 1901, — przez M. T. S. . . .	548
EMIL ZOLA, — przez Władysława Bogusławskiego . . .	512

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

WYCHODZTWO POLSKIE W NIEMCZECH, — przez d-ra Kazimierza Rakowskiego	66 i 438
NASZE POTRZEBY I ŚRODKI NAUKOWE, — przez L. Krzywickiego	273
LUDWIK GÓRSKI, — przez Adama Krasińskiego	209
OCHRONA WŁASNOŚCI POLNEJ, — przez Józefa Białokura	326
PRÓBNA POMOC LEKARSKA DLA LUDU W GUBERNII PŁOCKIEJ, — przez S. Krzeczkowskiego	540

NAUKI PRZYRODNICZE.

O MATOMANACH W ASTRONOMII, — przez M. Ernsta	489
--	-----

ROZMAITOŚCI.

Dyaryusze sejmów Księstwa Warszawskiego, — przez Henryka Konica	140
Listy ks. Józefa Poniatowskiego, — podał Adam Skałkowski	361

KRYTYKA.

<i>Klemens Kolaczkowski</i> , generał. Wspomnienia. Księga V od końca lipca do 22 listopada 1831 roku, — przez A. R.	145
<i>Julian Adolf Święcicki</i> : „Historya literatury powszechnej”. Warszawa, bez daty wydania tomy (I — IV), — przez Kazimierza Kaszewskiego	153
<i>Jerzy Żulawski</i> : „Benedykt Spinoza”. Człowiek i dzieło. Dwa tomy, w ósemce, stron w obu tomach 189. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki”, 1902, — przez Maryana Massoniusa	163
<i>Wł. St. Reymont</i> : „Przed świtem. — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie.” Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. Kra-	

	ków, G. Gebethner i Spółka, 1902, 8-o, stron 253, — przez Henryka Gallego . . .	157
	„Z nad brzegów Narwi“. Jednodniówka. Na dochód Łomżyńskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa, 1902, — przez Z. D.	170
<i>Józef Ignacy Kraszewski</i> :	„Polska w czasie trzech rozbiorów 1772 — 1799“. Studium do historii ducha i obyczajów z przedmową profesora Askenazego. Tom pierwszy, 1772 do 1787 roku, — przez A. R.	374
Des syndicus der Stadt Danzig Gottfried Lengnich, Jus publicum civitatis Gedaneusi oder der Stadt Danzig Verfassung und Rechte. Nach der Originalhandschrift des Danziger Stadtarchivs herausgegeben von dr Otto Günther, Stadtbibliotheker zu Danzig, 1900. (Quellen und Darstellungen zur Geschichte Westpreussens), — przez A. R.		377
<i>Sulka Goldmann</i> :	„Danziger Verfassungskämpfe unter polnischer Herrschaft“, 1891, — przez A. R.	384
<i>Bronisława Ostrowska (Edma Mierz)</i> :	„Opale“, Jan Fiszer, Warszawa, 1902, — przez Henryka Gallego	388
<i>Józef Jeziorański</i> :	„Potrzeby stanu włościańskiego w Króleswie Polskiem“. Warszawa, 1902, — przez A. R.	584
<i>Jana Dantyszka</i> poemat: „De nostrorum temporum calamitatibus silvia“ (z portretem Dantyszka i medalem, wybitym na cześć jego w roku 1529), wydał dr Zygmunt Celichowski. (Przyczynek do dziejów panowania Zygmunta Starego, zeszyt drugi). Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1902, — przez Henryka Gallego		593
<i>Stanisław Przybyszewski</i> :	„Z gleby kujawskiej“. Warszawa. Nakładem księgarni Borkowskiego, 1902, 4-o, stron 71, — przez Henryka Gallego	594
<i>Marya Rodziewiczówna</i> :	„Wrzos“. Powieść. Warszawa. Druk synów S. Niemiry, 8-o, stron 392, — przez Henryka Gallego	597

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

Sprawa „syonizmu“ i jej doniosłość społeczna. — Rozstrzygnięcie sporu o Morskie Oko. — Okólnik ministerjum oświaty, dotyczący uregulowania zajęć szkolnych, oraz rozszerzenia zakresu ćwiczeń fizycznych w szkole średniej. — Tandeta podręczników szkolnych. — Wydział górniczy w Politechnice warszawskiej. — Park publiczny

	Str.
w Wierzbnie. — Sprawa uczczenia pamięci Adolfa Dygasińskiego. — S. p. Sokrates Starynkiewicz. — S. p. Franciszek Salezy Lovental	172
LISTOPAD:	
Kilka uwag z powodu wystawy gier i zabawek. — Jubileusz Maryi Konopnickiej. — Rocznik Towarzystwa osad rolnych i działalności patronaży. — Sanatorium w Zakopanem. — Monografia gmin. — Korekta i korektorzy. — Zamiedbanie dziejów przemysłu artystycznego. — Zapis ś. p. d-ra Władysława Florkiewicza. — Ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska. — Ś. p. Henryk Foszteter. — Ś. p. Książdz Ignacy Świeży.	393
GRUDZIEŃ:	
Kolej Kaliska. — W sprawie zwyrodnienia fizycznego naszego ludu. — Pieskowa Skala, jako wzorowe letnisko. — Zakład schronienia dla nauczycielek w Zielonce. — Co się dzieje z „Towarzystwem przyjaciół astronomii“? — „Bitwa pod Gaunwaldem“ Matejki. — Echa jubileuszu Konopnickiej — Ś. p. ks. biskup Antoni Baranowski	601

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

PAŹDZIERNIK	197
LISTOPAD	413
GRUDZIEŃ	619

Encyklopedia Wychowawcza,

wydawana z zasiłkiem Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia Józefa Mianowskiego.

Encyklopedia Wychowawcza, wydawana od r. 1880 do 1894 przez ks. Jana-Tadeusza Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego, Stanisława Przystańskiego, oraz Józefa-Kazimierza Plebańskiego, wychodzi obecnie poszytami miesięcznymi jako ciąg dalszy wydanych tomów czterech, pod kierownictwem Romana Plenkiewicza, przy współudziale Komitetu redakcyjnego, który składają: Chlebowski Bronisław, Chmielowski Piotr, Dickstein Samuel, ks. Gralewski Jan, Kallenbach Józef, Karpowicz Stanisław, dr Kopeczyński Stanisław, Król Kazimierz, Nitowski Jan, Struve Henryk.

O konieczności doprowadzenia takiego dzieła do końca było-by mówić zbytecznie. Wobec trudnych warunków ekonomicznych i potrzeby zdobywania coraz szerszej wiedzy we wszystkich jej kierunkach i zastosowaniach w życiu; wobec obowiązku doskonalenia etycznego naszej młodzieży i skierowania jej ku wysokim ideałom moralnym; wreszcie, wobec braku należytego pojmowania środków do tego celu wiódących, nieodzownem jest: oprócz wychowanie młodych pokoleń na zasadach, uznanych przez doświadczenie wiekowe i naukę, z uwzględnieniem najnowszych jej wyników i rzeczywistego postępu.

A skoro od umiejętnego stosowania tych zasad zależy prawidłowy rozwój sił fizycznych i duchowych kształcącej się młodzieży, jej szczęście lub niedola w przyszłości, wyższy stopień udoskonalenia lub zwicnięcie jej pod względem umysłowym i moralnym: ulegać wątpliwości nie może, iż gruntowna znajomość pedagogiki jest najważniejszem zadaniem dla wszystkich kierowników takw domowem, jak i publicznem wychowaniu.

Założyciele Encyklopedyi, zamierzili w niej objąć i udostępnić całość wiedzy pedagogicznej zarówno w teorii, jak i w jej historycznym rozwoju dla najszerszych kół wychowawczych. Obecna Redakcja, kierując się temi samemi względami i podejmując przerwany wątek pracy pierwszych założycieli, pragnie dzieło to, z pomocą szerokiego koła współpracowników, w tym samym duchu doprowadzić do końca.

Dotąd, oprócz członków Redakcyi, przyrzekli zasilac wydawnictwo lub już nadesłali swe prace:

Amborski J., Appel K., Bieliński J., Bienkowski B., Bostel F., Brudziński J., Chmielewski G., Chrzanowski I., Chudzyński A., Danysz A., Diehl (Sup.), Drzażdżyński St., Erzepki B., Finkiel L., dr. Gawroński B., Gębarzewski B., Gębarski S., Gizecki J., Godlewski M. ks., Gubrynowicz B., Hahn W., Jelowicki A. ks., Jeska St.; Konie H., Karbowski A., Konopczyński E., Kopeczyński St., Korzeniowski J., Kozłowski Wł., Kramsztyk St., Krček Fr., Krukowski ks., Kulczyński L., Lassota-Lewinson P., Lagowski Fl., Łazarewicz, prof., Lebiński W., Łęgowski, prof., Maciszewski B., Majchrowicz Fr., Marrené W., Teofil Matuszewski ks., Miaskowski ks., Moszezeńska I., Nowicki Wł., Nusbaum H., Oltuszewski Wł., Orsza H., Osterloff W., Parylak P., Poliński A., Ptasnik J., Radliński I., dr. Rafał Radziwiłłowicz, Rowiński M., Rychliński K., Schneider St., Smoleński Wł., Szenie, pr., Szcówua A., Trepka M. E., Tretiak J., Trzaskowski B., Urbanowski St., Warmiński ks., Weryho M., Wesołowski S. K. ks., Witkowski F.; Wróblewski K., Załęski St. ks.

Redakcja zamierzyła całość Encyklopedyi, liczącw to wydanych dotąd tomów 5 i nieodzowne dopełnienia, zawrzeć najwyżej w tomach 15.

(Skład główny i ekspedycja w księgarni Gebethnera i Wolfa, Krakowskie Przedmieście № 15 w Warszawie).

ENCYKLOPEDIYI STAROPOLSKIEJ

ilustrowanej (Zygmunta Glogera)

wyszedł tom III-ci,

obejmującej wyrazy od K do P, a łącznie z dwoma poprzedniami około dwa tysiące artykułów i kilkaset ilustracyi, rysunków, nut z polskiej kultury, obyczaju, praw, dziejów, urzędów, kunsztów, ubiorów uzbrojeń, zabaw, gier, dowcipu, pieśni, pamiątek i wogóle życia (wszystkich stanów) domowego i publicznego, rycerskiego i rolniczego, kościelnego, rzemieślniczego i łowieckiego, z dziewięciu wieków ubiegłych. Tom czwarty (ostatni) wyjdzie w połowie roku 1903-go. Cena całego dzieła na welinie i w oprawie ozdobnej, w księgarniach i redakcyi (ulica Chmielna № 59) rubli 12. Po wyjściu tomu czwartego i obliczeniu wszystkich kosztów wydawnictwa, cena ta będzie prawdopodobnie zwiększona.

Osoby, nieprzysyłające pieniędzy, mogą żądać listownie (ulica Chmielna № 59) wysyłki tomów prawnych, podając dokładny i czytelny adres, a otrzymując dzieło za zaliczką pocztową, to jest zapłacą przy odbiorze.

Komitet Zarządzający Kasą pomocy

DLA OSÓB, PRACUJĄCYCH NA POLU NAUKOWEM
imienia d-ra Józefa Mianowskiego,

podaje do wiadomości,

że z zapisu Jakóba Natanson'a, przyznane zostaną w roku 1905 dwie nagrody pieniężne:

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi) ogłoszone drukiem w języku polskim w latach: 1901, 1902, 1903 i 1904; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Дозволено Цензурою. Варшава. 14 Ноября 1902 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.